

Hawthorne Nathaniel  
**DOM**  
**O SIEDMIU**  
**SZCZYTACH**

## PRZEDMOWA AUTORA

Gdy pisarz nazywa swe dzieło romansem, byłoby niemal zbyt cichym zastrzeżeniem, że chce zachować sobie prawo pewnej dowolności zarówno w wyborze materiału, jak i w ukształtowaniu go, do czego nie czułby się upoważniony, gdyby nazwał swą książkę powieścią. Ta ostatnia forma kompozycji, jak się ogólnie przyjmuje, zakłada drobniogową wierność nie tylko temu, co może się wydarzyć w życiu człowieka, lecz także temu, co w nim jest prawdopodobne i zgodne ze zwyczajnym naszym doświadczeniem. Romans jako dzieło sztuki musi stosować się ściśle do swoich praw i jest grzechem nie do wybaczenia, jeśli odstąpi od prawdy ludzkiego serca, natomiast ma pełne prawo ukazać tę prawdę w okolicznościach zależnych w dużej mierze od swobodnego wyboru pisarza lub przez niego stworzonych.

Jeśli uzna za stosowne, może stworzyć taką atmosferę, by wydobyć lub stonować światła, a pogłębić i wzbogacić cienie swego obrazu. Mądrością będzie oczywiście nienadużywanie owych przywilejów, a zwłaszcza przy stosowaniu elementu cudowności lepiej uczynić z niego przymieszkę, niby woń lekka, subtelną i lotną, niż konkretny składnik potrawy ofiarowanej publiczności. Jednak nawet jeśli zaniedba tej ostrożności, nie można go oskarżać o literackie przestępstwo.

W tej książce autor postanowił skorzystać z tych swobód — z jakim skutkiem, na szczęście nie on będzie sądził. Opowieść ta odpowiada definicji romansu, ponieważ przedstawiono ją z pewnego specjalnego punktu widzenia: wyraża ona próbę połączenia czasów minionych z teraźniejszością, która się od nas ciągle oddala. Jest to legenda; ciągnie się od epoki już ciemniejszej w oddaleniu aż do naszych jasno oświetlonych dni i niesie ze sobą trochę tej mgiełki, którą czytelnik, zależnie od własnej woli, może albo pominąć i zlekceważyć, lub też pozwolić, by się unosiła prawie nie dostrzeżona nad ludźmi i zdarzeniami dla osiągnięcia malowniczego efektu. Samo opowiadanie, być może, utkane jest z nici tak wątych, że potrzebuje tej ozdoby, a równocześnie czyni ją przedsięwzięciem trudniejszym.

Wielu pisarzy kładzie silny nacisk na jakiś określony morał, do którego, jak twierdzą, zmierza ich dzieło. Aby nie zawieść w tym względzie, autor zaoptował się w morał; jest nim mianowicie ta prawda, że zły czyn popełniony w jednym pokoleniu żyje w pokoleniach następnych i pozbawiony z czasem doraźnych korzyści, jakie kiedyś przyniósł, staje się złem czystym i niemożliwym do opanowania; i autor byłby bardzo zadowolony, gdyby ten romans mógł skutecznie przekonać ludzkość lub choćby jednego tylko

człowieka o tym, jakim szaleństwem jest zwalanie na głowę nieszczęsnej potomności lawiny złota lub majątków zdobytych nieuczciwą drogą, które potomność tę okaleczą i będą gnębić dopóty, póki nagromadzone dziedzictwo nie rozproszy się na wszystkie strony na drobne cząsteczki, z jakich powstało. Szczerze mówiąc jednak autor nie ma dość bujnej wyobraźni, by żywić najlżejszą choćby nadzieję takiego wpływu. Jeśli romanse w ogóle czegoś uczą lub wywierają jakieś skuteczne działanie, to zwykle dzieje się to w sposób bardziej subtelny niż przez jaskrawy morał. Dlatego też autor nie uważał, żeby było warto nawlekać opowieść na morał niby na pal żelazny lub przebijać jak motyla szpilką, pozbawiając ją w ten sposób od razu życia, i podawać w tej zeszywniałej i nienaturalnej pozycji. Zaiste wielka prawda, pięknie, delikatnie i zręcznie wpleciona, która pobłyskuje na każdym kroku i wieńczy zakończenie dzieła, może mu dodać artystycznej doskonałości, lecz nigdy nie stanie się bardziej prawdziwa, a rzadko kiedy bardziej oczywista na ostatniej stronie, niż była nią na pierwszej.

Czytelnik zechce może umiejscowić zmyślane wydarzenia tej opowieści. Autor jednak chciałby tego uniknąć, mimo że oparł swą powieść na pewnych faktach historycznych, co było niezbędne dla jej konstrukcji. Nie mówiąc już o innych obiekcjach, naraża to romans na krytykę specjalnego rodzaju, sztywną i nadzwyczaj niebezpieczną, która obrazy wyrosłe w fantazji twórcy wprowadza w bezpośredni kontakt z rzeczywistością danej, określonej chwili.

Celem autora zresztą nie był opis lokalnych obyczajów ani też krytyka społeczeństwa, które darzy właściwym szacunkiem i należnymi względami. Jest też przekonany, że nie poczytają mu za niewybaczone przestępstwo, jeśli wytyczył ulicę, która nie wchodzi na żadne prywatne grunta, i przywłaszczył sobie ka-

wał ziemi, która nie miała właściciela, a dom zbudował z materiałów używanych od lat do budowania zamków na lodzie.

Osoby tej opowieści, choć mienia się być od dawna tu osiadłymi i znacznymi w społeczeństwie, zostały w rzeczywistości stworzone przez autora lub skomponowane przez niego z istniejących elementów. Ich cnoty nie mogą rzucać blasków na czcigodne miasto, którego zwać się mieszkańcami, a ich wady nie mogą w najlżejszym nawet stopniu przynosić mu hańby.

Autor pragnąłby więc, aby książkę rozumiano — zwłaszcza w tych okolicach, o których mówi akcja — ściśle jako romans, który ma nierównie więcej wspólnego z chmurami na niebie niż z jakąkolwiek częścią rzeczywistej ziemi okręgu Essex.

*Lenox, 27 stycznia, 1851.*

## STARY RÓD PYNCHÉONOW

W połowie bocznej uliczki w jednym z naszych nowoangielskich miast stoi poczerniały drewniany dom o siedmiu ostro zakończonych szczytach zwróconych we wszystkie strony świata, z potężnym kominem wiązkowym pośrodku. Ta uliczka to ulica Pyncheonow; dom — to stary dom Pyncheonow; a rozłożysty wiąz rosnący przed wejściem znany jest każdemu dziecku urodzonemu w tym mieście jako wiąz Pyncheonow. I nie zdarzyło mi się, abym odwiedzając miasto, o którym mowa, nie zaszedł na ulicę Pyncheonow, by przystanąć na chwilę w cieniu tych dwóch zabytków: skołatanego wiekiem budynku i wielkiego wiązu.

Ta czcigodna rezydencja przywodzi mi zawsze na myśl ludzką twarz, którą rzeźbią nie tylko wichry i słońce, lecz także długie koleje doczesnego życia

(Szarpiające duszą człowieka. Gdyby dzieje tego domu odtworzyć w należyty sposób, powstałaby opowieść nader ciekawa i pouczająca, nacechowana ponadto pewną osobliwą jednością, która zdałaby się owocem niemal artystycznej kompozycji. Lecz historia taka objęłaby łańcuch wydarzeń rozciągający się na przestrzeni prawie dwóch stuleci i przedstawiona szczegółowo wypełniłaby większy foliał lub dłuższą serię małych tomików, niż można by słusznie poświęcić na kronikę całej Nowej Anglii tegoż okresu. Tak więc koniecznym będzie zwięzłe potraktowanie bogactwa faktów, jakie przekazała nam tradycja na temat prastarego domu Pyncheonów, zwanego inaczej Domem o Siedmiu Szczytach. Zaczniemy zatem od krótkiego opisu okoliczności, w których położono fundamenty domu, i od pobieżnego spojrzenia na jego dziwną budowę szerniałą od podmuchów wschodniego wiatru, który przeważa w tych stronach — zwracając też czasem uwagę na bardziej omszałe miejsca na dachu i ścianach — a rzeczywistą akcję naszej opowieści umieścimy w epoce nie nazbyt od dnia dzisiejszego odległej. Będzie tu jednak mowa i o związkach z dawno minioną przeszłością, o wydarzeniach i osobach już zapomnianych, o obyczajach, uczuciach i poglądach całkiem lub prawie przestarzałych, które, jeśli się je stosownie ukaże czytelnikowi, winny posłużyć za dowód, jak dalece przeszłość jest tworzywem najnowszych dni. Stąd też będzie można wysnuć morał płynący z zapoznanej prawdy, że czyny żyjących pokoleń są załącznikiem, który może i musi zrodzić owoc zły lub dobry w bardzo dalekiej przyszłości; że wraz z ziarnem dającym jedynie plon doraźny, który służy temu, co śmiertelni zwą potrzebą chwili, człowiek rzuca w glebę twardą żołądź, a ta po wielu latach wyrasta w dąbrowy ścielące się czarnym cieniem na potomnych.

Dom o Siedmiu Szczytach, choć tak stary ma teraz wygląd, nie był pierwszym domem wzniesionym przez cywilizowanego człowieka na tym miejscu. Ulica Pyncheonów nosiła kiedyś skromniejszą nazwę: Zaułek Maule'a, od nazwiska pierwszego właściciela tej ziemi, i była zwykłą ścieżką, biegnącą pod drzwiami jego chaty, którą pędzono krowy na pastwisko. Źródło miękkiej i miłej w smaku wody — rzadki skarb na opasanym morzem półwyspie, gdzie założono purytańską osadę — skłoniło ongiś Mateusza Maule do zbudowania chaty nastroszonej strzechą, w miejscu trochę może zbyt odległym od tego, co stanowiło wówczas centrum wsi. Lecz w miarę rozwoju osady, po jakichś trzydziestu a może czterdziestu latach, miejsce, gdzie stała uboga chata Maule'a, stało się celem pragnień pewnego potężnego i wybitnego obywatela, który, z racji nadania mu przez władze przyległych gruntów, rościł pozornie słuszne pretensje i do tej posiadłości. Był to pułkownik Pyncheon, który odznaczał się, jak możemy wnosić z tego, co podaje tradycja, żelazną energią i wytrwałością w dążeniu do celu.

Z drugiej strony Mateusz Maule, choć człek nieznacznym, uparcie bronił tego, co uważał za swoje prawo. I przez kilka lat zdołał uchronić ten skrawek ziemi, który własnymi rękoma wyrąbał w odwiecznej puszczy, by mu służył za ogród i domostwo. Nic nam nie wiadomo, by istniały jakiegokolwiek zapiski dotyczące tego sporu. Nasza znajomość tematu wywodzi się głównie z ustnej tradycji. Byłoby więc zbyt śmiałym i być może niesprawiedliwym, gdybyśmy się odważyli wyrazić sąd stanowczy i wyrokować o słuszności. Chociaż nasuwa nam się podejrzenie, czy działania pułkownika Pyncheona nie rozszerzono wbrew prawu po to, by jej powierzchnia zagarnęła także szczupłą posiadłość Mateusza Maule. Co wielce potwierdza takie podejrzenia, to fakt, że ów spór między dwoma



przeciwnikami o nierównych siłach pozostawał nie rozstrzygnięty przez całe lata, a zakończył się dopiero ze śmiercią tej strony, która zajmowała sporny grunt; a przecież działo się to w okresie, w którym wpływy osobiste większe miały znaczenie niż obecnie, co należy stwierdzić, choćbyśmy owe czasy wynosili pod niebiosa. Okoliczności, w jakich Maule zakończył życie, przedstawiają się nam również inaczej dzisiaj niż półtora wieku temu. Była to śmierć, która w osobliwy sposób zhańbiła skromne imię mieszkańca chaty i sprawiła, że przeciągnięcie pługa przez placyk, gdzie wznosiło się jego domostwo, i wymazanie jego siedziby i osoby z pamięci żyjących stało się niemal religijną powinnością.

Krótko mówiąc stary Mateusz Maule został stracony za zbrodnię czarnoksięskich praktyk. Był on jedną z ofiar tego strasznego obłędu, z którego morał między innymi i taki wynika, że klasy wpływowe oraz ci, którzy biorą na siebie obowiązek przewodzenia innym, podlegają takim samym błędom zaślepienia, jakie cechują najbardziej rozszałały motłoch. Duchowni, sędziowie, mężowie stanu — najmądrsze, najbardziej zrównoważone, najświętobliwsze osobistości tej doby — stali w pierwszym kręgu otaczających szubienicę tłumów, najgłośniej oklaskiwali krwawy czyn, najpóźniej przyznali się do swego potwornego błędu. Jeśli czymkolwiek można ich proceder usprawiedliwić, to ową szczególną równością, z jaką prześladowali nie tylko ubogich i starych, jak to miało miejsce w poprzednich prawomocnych masakrach, lecz ludzi wszystkich klas; także równych sobie, swych braci i żony. Wśród zamętu ogólnego zniszczenia nic w tym nie było dziwnego, że prosty człowiek jak Mateusz Maule przemierzył swymi krokami ścieżkę męczeńską na wzgórze straceń prawie nie zauważony w tłumie towarzyszy niedoli. Lecz w czasach późniejszych.

gdy szął tej krwawej epoki uśmierzył się, przypomniał sobie, jak gorliwie pułkownik Pyncheon przyłączył się do ogólnego nawoływania, by oczyścić kraj z czarowników; szeptano też po kątach, że żarliwość, z jaką dążył do tego, by Mateusz Maule został skazany, kryła w sobie jad zawiści. Mówiono, że człowiek, który padł ofiarą, odgadł w prześladowaniu zaciętość osobistego wroga i głosił, iż zaszczytu go na śmierć dla pochwylenia po nim łupu. W chwili egzekucji, gdy pułkownik Pyncheon siedząc na koniu ponuro przyglądał się tej scenie, Maule z postronkiem na szyi zwrócił się do niego z wysokości szafotu i wygłosił przepowiednię, której słowa dochowały się wiernie w kronice i w gawędach przy kominku. — Bóg — wyrzekł umierający człowiek wskazując palcem swego wroga i upiornym spojrzeniem przywierając do jego niewzruszonej fizjonomii — Bóg cię napoi krwią.

Po śmierci domniemanego czarownika jego skromna siedziba bez trudu stała się łupem pułkownika Pyncheona. Gdy się rozniosło jednak, że pułkownik zamierza wznieść rodzinną rezydencję — obszerną, masywnie zbudowaną z dębowego drzewa, obliczoną na przetrwanie wielu pokoleń kwitnącego rodu — na miejscu, gdzie stała uprzednio sklecona z bali chata Mateusza Maule, wiejscy plotkarze mocno kręcili głowami. Nie wyrażając wprost wątpliwości, czy nieugięty Purytanin rzeczywiście postąpił w powyższej materii jak człowiek sumienny i prawy, napomykali, że stawia swój dom na niespokojnym grobie. Ściany tego domu obejmą przestrzeń, na której stał dom straconego i pogrzebanego czarownika, i w ten sposób duch tego ostatniego otrzyma niejako przywilej nawiedzania nowych apartamentów i pokojów, do których w przyszłości nowożeńcy wprowadzą swe oblubienice i gdzie rodzić się będą dzieci z krwi Pyncheonów. Groza i ohyda grzechu Maule'a i straszna kara rzu-

cą cień na świeżo tynkowane ściany i uczynią go melancholijnym i starym od zarania. Dlaczegoż tedy — skoro tyle ziemi wokoło zaścielały liście dziewiczego lasu — dlaczego pułkownik Pyncheon woli miejsce, na którym już ciąży przekleństwo?

Lecz purytański żołnierz i dostojnik nie był człowiekiem, którego mógł odstraszyć od dobrze rozważonego planu duch czarownika czy jakieś sentymentalne błahostki, choćby na pozór godne zastanowienia. Gdyby mu powiedziano coś o złym powietrzu, może by go to cokolwiek obeszło; ale ze złym duchem gotów był się potykać na jego własnej ziemi. Obdarzony zdrowym rozsądkiem połączonym w dążeniu do celu z nieugiętą wolą, której nic zachwiać nie mogło, jak bloków granitu spojonych żelaznymi klamrami, spełniał swój zamysł nie wyobrażając sobie zapewne możliwości nawet jakiegokolwiek przeszkody. Co się tyczy delikatności czy jakichś skrupułów, które mogłyby się zrodzić w człowieku subtelniejszej natury, to pułkownik, podobnie jak większość ludzi jego pokolenia i wychowania, był dla tych uczuć całkowicie niedostępny. Wykopał więc piwnice i położył głęboki fundament na tym samym kwadracie ziemi, z którego Mateusz Maule czterdzieści lat temu po raz pierwszy odgarnął zeschnięte liście. Ciekawym, a jak chcieli niektórzy złowróznym było zjawiskiem, że wkrótce po rozpoczęciu robót przy budowie źródło, o którym wspominaliśmy poprzednio, straciło całkowicie swój odwieczny, nieporównany smak. Czy to głębokość nowej piwnicy zakłóciła bijące doń wody, czy też kryła się w tym jakaś subtelniejsza przyczyna, pewne jest, że woda ze studni Maule'a, jak ją w dalszym ciągu nazywano, stała się twarda i słonawa. Taka pozostała do dzisiaj i każda staruszka z sąsiedztwa zaświadczy, że sprowadza ona zaburzenia jelit na tego, kto zaspokoi nią pragnienie.

Czytelnik osądzi może jako coś szczególnego fakt, że głównym cieślą nowego budynku był nie kto inny jak syn tegoż samego człowieka, któremu wyrwano z martwej ręki posiadaną ziemię. Nie jest wykluczone, że był on najbiegleszym rzemieślnikiem swego czasu; lub też pułkownik uznał za właściwe — może i lepszymi uczuciami wiedziony — w ten sposób jawnie okazać, że nie żywi żadnej urazy do rodziny swego przeciwnika. I nie było to sprzeczne z ogólnym charakterem tej epoki, prostackiej i praktycznie usposobionej, że syn okazał się chętny do zarobienia uczciwego pensa, a raczej okrągłej sumki funtów szterlingów z sakiewki śmiertelnego wroga swego ojca. Tak czy owak, Tomasz Maule został architektem Domu o Siedmiu Szczytach i wywiązał się ze swego zadania tak sumiennie, że drewniana konstrukcja, wznoszona jego rękoma, trzyma się dotychczas.

W ten sposób został zbudowany dom. Jakkolwiek bliski wspomnieniom autora jako obiekt jego ciekawości od wieku chłopięcego a zarazem jako okaz najlepszego, najwspanialszego stylu budownictwa dawno minionej epoki i teren wydarzeń bardziej być może interesujących z ludzkiego punktu widzenia niż dzieje jakiegoś feudalnego szarego zamczyska — jakkolwiek zatem bliski jego wspomnieniom w swoim leciwym szerniałym kształcie, dom ów tym ciężej przyszłoby mu sobie wyobrazić w tej krasie nowości, w jakiej po raz pierwszy odbił słoneczne światło. Wrażenie, jakie sprawia obecny jego wygląd po upływie stu sześćdziesięciu lat, kładzie się cieniem na obraz, jaki pragnęlibyśmy odmalować, by go ukazać takim, jak się przedstawiał owego ranka, gdy purytański magnat sprosił w gości całe miasto. Miała się odbyć uroczystość poświęcenia złożona z części obrzędowej i z zabawy. Pиво, jabłecznik, wino i wódka w wielkiej obfitości oraz, jak zapewniają niektóre powagi, w całości upieczony

wół — lub przynajmniej waga i treść wołu zawarta w łatwiejszych do obrabiania udźcach i połędwiach — miały umilić gościom poważne obrządki: modlitwę i przemówienie wielebnego pastora Higginsona oraz psalm odśpiewany przez zjednoczone gardło całej społeczności. Rogacz zastrzelony gdzieś w promieniu dwudziestu mil dostarczył materiału do pasztetu w kształcie koła. Sztokfisz o wadze sześćdziesięciu funtów, złowiony w zatoce, został rozgotowany na zawieszoną zupę. Krótko mówiąc, komin nowego domu wyrzucając dym z kuchennego paleniska nasycił powietrze wonią mięs, drobiu i ryb suto przyprawionych korzeniami, wonnymi ziołami i cebulą. Sam ten świąteczny zapach trafiający do wszystkich nosów był już zaproszeniem na ucztę i jej przedsmakiem.

Zaułek Maule'a, lub raczej ulica Pyncheonów, jak ją zwać już teraz bardziej uchodziło, zapełniła się • o oznaczonej godzinie — jak droga do kościoła tłumem wiernych. Zbliżali się z zadartymi głowami, w podziwie dla imponującej budowli, która odtąd miała zająć zaszczytne miejsce wśród gniazd ludzkości. Zewnętrzna ozdoba domu tworzyły dziwne figury, płody gotyckiej fantazji żłobione lub wytłaczane w błyszczącej zaprawie z wapna, kamyczków i kawałków szkła, która pokrywała drewniane ściany. Siedem wieżyczek wystreliło ostro w niebo ze wszystkich stron, tworząc całe bractwo budynków oddychających przez nozdrza jednego wielkiego komina. Mnogość okratowanych okien z małymi szybkami przyciętymi w kształt rombu wpuszczała światło do hallu i do sali, a pierwsze piętro rozrośnięte daleko poza podstawę i z kolei cofające się pod bardziej jeszcze wysuniętym drugim rzucało cień i mrok zamyślenia na niżej położone pokoje. Pod zrębem wystających pięter przytwierdzono rzeźbione w drzewie kule. Małe, spiralnie skręcone pręty żelazne upiększały wszystkie siedem szczytów.

Na trójkątnym frontonie skrzydła wychodzącego na ulicę umieszczono tegoż ranka zegar słoneczny; słońce znaczyło na nim pierwszą, jeszcze jasną godzinę historii, której nie było sądzone pozostać tak jasną. Dookoła leżały porozrzucane wióry, trzaski, gonty i połamane cegły. One to, wraz ze świeżo wykopaną ziemią, na której jeszcze trawa nie zdążyła porosnąć, potęgowały osobliwe wrażenie, jakie wywołuje każdy nowy dom, który dopiero zacznie żyć historią swych mieszkańców.

Główne wejście, szerokie niemal jak kościelna brama, umieszczono w załamaniu ścian między dwoma frontowymi skrzydłami, a wchodziło się doń przez otwarty ganek, gdzie pod dachem chroniły się ławy. Pod sklepieniem tego wejścia, drapiąc podszwami o nie wydeptany próg, kroczyli teraz duchowni, starsi miasta, ławnicy, diakoni i cała arystokracja, jaka tylko żyła w mieście i okolicy. Tam też tłoczyły się klasy plebejskie na równi z lepszymi od siebie, lecz w większych ilościach. Tuż za drzwiami jednak stało dwoje służby wskazując drogę jednym gościom do izb sąsiadujących z kuchnią, innych zaś kierując na pokoje bardziej okazałe — z gościnnością dla wszystkich równą, lecz bacząc pilnie na stan każdego. Aksamitne stroje, ciemne, lecz dostatnie, sztywno fałdowane kryzy, wstęgi, haftowane rękawice, czcigodne brody, postawa i miny pełne godności ułatwiały wówczas odróżnienie dostojnego pana od ciężko stąpającego kupca lub robotnika w skórzanym kaftanie, skradającego się ze strachem i czcią do tego domu, który może i jego pracą został wzniesiony.

Pewna tylko okoliczność wzbudziła ledwie że skrywane niezadowolenie w sercach bardziej uważających gości. Założyciel tej pańskiej rezydencji — dżentelmen znany z godnego i grzecznego obejścia — powinien był przecież stać w swym przedsionku i witać po

raz pierwszy wszystkie te dostojne osoby, co stawiły się, by uczcić jego święto. Na razie jednak był niewidzialny. Nie oglądali go najznakomitsi nawet goście. Ta opieszałość pułkownika Pyncheona stała się jeszcze bardziej niezrozumiała, gdy pojawił się drugi dygnitarz tej prowincji — pan wicegubernator — i również nie znalazł godniejszego przyjęcia. Wicegubernator zsiadł z konia, pomógł zejść swojej pani z damskiego siodła i choć jego wizyta przydawała największego blasku uroczystości już i tak świetnej, przekroczył próg domu pułkownika bez innego wyróżnienia jak tylko powitanie kamerdynera.

Ten siwowłosy osobnik, przyjmujący gości ze spokojem i należnym szacunkiem, zmuszony był wyjaśnić, że jego pan pozostaje jeszcze w swoim gabinecie, czyli prywatnym apartamencie; udając się tam przed godziną wyraził życzenie, by mu nie przeszkadzano pod żadnym pozorem.

— Czy nie widzisz, człowieku — rzekł naczelny szeryf okręgu biorąc go na stronę — że to sam wicegubernator? Przywołaj natychmiast pułkownika Pyncheona! Wiem, że otrzymał dziś listy z Anglii i na ich odczytywaniu i przeglądaniu mogła mu zbiec cała godzina, tak że nawet tego nie zauważył. Ale sądzę, że nie będzie zadowolony, gdy pozwolisz, by zaniedbał grzeczności należnej tak wysokiemu dostojnikowi naszego kraju — temu, który pod nieobecność gubernatora reprezentuje samego króla Wilhelma. Wołaj natychmiast swego pana!

— Nie, proszę Waszej Miłości — odparł ów człowiek bardzo zmieszany, ale z ociąganiem się, które wyraźnie wskazywało, jak surowa i twarda była reguła domu pułkownika Pyncheona. — Pan mój wydał rozkaz bardzo ścisły, a jak Waszej Miłości wiadomo, nie dopuszcza on żadnej samowoli w wypełnianiu swych rozkazów. Kto ma chęć, niechaj te drzwi otwiera. Ja

nie śmiem, choćby mi nawet kazał sam gubernator.

— Phi, mości szeryfie — zakrzyknął wicegubernator, który posłyszał tę rozmowę, a czuł się dość wysoko w świecie postawionym, by pozwalać sobie na przekomarzanie się z własną godnością. — Biorę to na siebie. Czas już, aby ten zacny pułkownik wyszedł powitać przyjaciół, bo inaczej pomyślimy, że wypił o jeden łyk za wiele swego kanaryjskiego wina, gdy się zastanawiał, którą beczkę najlepiej rozpocząć na cześć dzisiejszego dnia! Lecz skoro tak się spóźnia, ja sam udzielę mu upomnienia.

I zgodnie z zapowiedzią ruszył do drzwi wskazanych przez służącego tak dudniąc ciężkimi butami, że można go było usłyszeć w najdalszym z siedmiu skrzydeł tego domu. Nowe odrzwia rozbrzmiały głośnym, bezceremonialnym stukaniem, po czym dostojnik spojrzął z uśmiechem wokoło po twarzach patrzących i oczekiwał odpowiedzi. Gdy odpowiedź nie nadchodziła, zastukał znowu, lecz tak samo bez rezultatu jak przedtem. Tu wicegubernator, człowiek o temperamencie nieco cholerycznym, wznosił ciężką ręką szpady, którą zaczął tak bić i łomotać w drzwi, że, jak szeptali stojący, wrzawa ta poruszyć mogła umarłego. Jakkolwiek było, nie wyglądało na to, by miała przebudzić pułkownika Pyncheona. Gdy hałas ucichł, w domu zapadła głęboka, posępna i przytłaczająca cisza, mimo że języki wielu gości rozwiązały się już były pod wpływem wychylonego ukradkiem kielicha wina lub wódki.

— Dziwne zaiste! Bardzo dziwne! — zakrzyknął wicegubernator, a miejsce uśmiechu zajęła zmarszczka na czole. — Lecz skoro nasz gospodarz daje nam dobry przykład, jak się zapomina ceremonii, ja również odrzucę wszelkie ceremonie i pozwolę sobie wtargnąć do jego samotni!

Spróbował drzwi. Ustąpiły pod jego dłonią i otwały



się na oścież od nagłego podmuchu wiatru, który przebiegł jakby z głośnym westchnieniem od zewnętrznego przedsionka przez wszystkie korytarze i pokoje nowego domu. Zaszleścił jedwabiami damskich strojów, zwichrzył długie pukle w perukach panów, wstrząsnął portiery u okien i zasłony w pokojach sypialnych, wnosząc wszędzie szczególne poruszenie, które jednak bardziej było podobne ciszy. I na całe towarzystwo padł, nie wiadomo skąd, cień grozy i trwożnego oczekiwania — nie wiadomo na co.

Cisnęli się jednak do otwartych teraz drzwi i w zapale ciekawości pchali wicegubernatora przed sobą do pokoju. Na pierwszy rzut oka nie ujrzeli nic nadzwyczajnego: ładnie umeblowany pokój, w miarę duży, nieco zaciemniony firankami; książki poukładane na półkach; na ścianie duża mapa i portret pułkownika Pyncheona, pod którym siedział sam pułkownik w dębowym krześle z poręczami, z piórem w ręku. Przed nim na stole leżały listy, pergaminy i czyste kartki papieru. Zdawało się, że patrzy na tłum ciekawskich z wicegubernatorem na czele. Jego ciemna ciężka twarz była surowo zmarszczona jak gdyby urazą za śmiałość, z jaką wdarli się do jego apartamentu.

Mały chłopczyk — wnuk pułkownika i jedyna ludzka istota, która pozwalała sobie czasem na poufałość wobec niego, przedarł się teraz przez tłum gości i podbiegł do siedzącej postaci; wtem zatrzymał się w pół drogi i zaczął krzyczeć ze strachu. Goście, drżąc niby liście wstrząsane jednym powiewem, podsunęli się bliżej i dostrzegli, że w uporczywości wzroku pułkownika Pyncheona kryje się jakieś nienaturalne skrzywienie; na jego kryzie była krew i krwią nasiąkła posiwiała broda. Za późno było udzielać pomocy. Purytanin o żelaznym sercu, bezwzględny, chciwy i nieugięty człowiek nie żył! Skonał w swym nowym domu.

Przechowało się podanie, o którym warto wspomnieć

dlatego tylko, że dodaje zabobonnej grozy scenie i bez tego dość posępnej — że z tłumu gości rozległ się donośny głos, który zabrzmiał jak okrzyk starego Mateusza Maule, straconego czarownika: — Bóg napoił go krwią!

Jak to wcześniej Śmierć — ten jeden, jedyny gość, który i tak z wszelką pewnością trafi prędzej czy później do każdego ludzkiego mieszkania — jak wcześniej Śmierć przekroczyła próg Domu o Siedmiu Szczytach!

Nagły i tajemniczy zgon pułkownika Pyncheona narobił w owym czasie mnóstwo hałasu. Szerzyły się liczne pogłoski, a część z nich przetrwała do dzisiaj. Szeptano, że pozory wskazywały na jakiś czyn gwałtowny; że na szyi pułkownika widniały ślady palców, a na plisowanej kryzie odbicie krwawej ręki; że jego spiczasta broda była potargana, jak gdyby nią ktoś szarpał. Zaręczano też, że okratowane okno koło krzesła pułkownika było otwarte i że na kilka minut przed tym nieszczęsnym wypadkiem widziano mężczyznę przechodzącego przez parkan w ogrodzie na tyłach domu. Lecz byłoby szaleństwem przykładać wagę do tego rodzaju opowieści. Muszą one wyrastać wokół wydarzeń podobnych temu, o którym teraz opowiadamy, i trwają przez całe stulecia, jak muchomory rosnące w miejscu, gdzie zwalony i zakopany pień drzewa od dawna zamienił się w próchno. My dajemy im tak mało wiary jak i tej drugiej plotce o ręce kościotrupa, którą wicegubernator miał ujrzeć u szyi pułkownika, lecz która znikła, gdy wszedł głębiej do pokoju. Jedno jest pewne, że lekarze wiedli długie dysputy i konsultacje nad ciałem zmarłego. Jeden z nich, John Swinnerton, który, zdaje się, był człowiekiem wybitnym w swoim zawodzie, utrzymywał, że zachodzi tu wypadek apopleksji — jeśli zrozumieliśmy trafnie jego lekarską terminologię. Inni lekarze stawiali, każdy z osobna, różne hipotezy mniej lub więcej prawdopo-

dobne, lecz ubrane w zagadkową szatę zawiłych określeń, które, jeśli nawet nie dowodziły dziwnego zamieszania panującego w umysłach tych erudyków medycyny, to na pewno sprawią takie zamieszanie w umyśle nieuczonego człowieka odczytującego ich opinie. Po oględzinach zwłok sędziowie, jako ludzie rozsądni, wydali niezbite orzeczenie „nagłego zejścia”.

Trudno zaiste wyobrazić sobie, by mogło tu zachodzić poważne podejrzenie morderstwa lub by istniały najlżejsze podstawy do skierowania takiego podejrzenia na kogoś określonego. Stanowisko, bogactwo i wybitna pozycja zmarłego na pewno dawały rękojmię, że wszystkie dwuznaczne okoliczności zostaną najściślej zbadane. Ponieważ nic takiego nie zanotowano, najlepiej przyjąć, że nic w tym nie było. Za wszystkie twierdzenia przeciwne ponosi odpowiedzialność ustna tradycja, przynosząca niekiedy prawdę, która wymknęła się historii, lecz najczęściej przekazująca tylko nieskładną gadaninę, jaką niegdyś zabawiano się przy kominkach, a obecnie zamraża się w gazetach.

W mowie pogrzebowej na cześć pułkownika Pyncheona, która została wydrukowana i dotąd się przechowywała, wielebny pastor, pan Higginson, wylicza wśród wielu pomyślnych okoliczności ziemskiego żywota znakomitego parafianina także sposobną chwilę jego śmierci. Po spełnieniu wszystkich obowiązków, po osiągnięciu najwyższej pomyślności, po osadzeniu swego rodu i przyszłych pokoleń na trwałej podstawie, pod dachem tak okazałym, który zapewni im schronienie na długie stulecia — jakież jeszcze krok wzwyż pozostawał temu zacnemu człowiekowi? Tylko krok ostateczny do złotych bram niebieskich! Pobożny pastor na pewno nie wypowiedziałby takich słów, gdyby żywił najlżejsze choćby podejrzenie, iż pułkownik został na tamten świat wypchnięty ręką mordercy za ciśniętą na jego gardle.

Jak się zdawało, rodzina pułkownika Pyncheona w chwili jego śmierci zapewnioną miała dostatnią przyszłość na długie lata, jeśli można być czegoś pewnym na tym naszym niestałym świecie. Należało przewidywać, że upływający czas raczej powiększy i zaokrągli ich dobrobyt, niżby miał go nadwerężyć i zniszczyć, gdyż syn stał się od razu szczęśliwym dziedzicem nie tylko wielkiego majątku ziemskiego, lecz otrzymał w spadku także tytuł własności, nadany Aktem Indyjskim, a potwierdzony następnie specjalnym dokumentem Sądu Generalnego, do ogromnych i jak dotąd nie zbadanych obszarów ziem na wschodzie. Te posiadłości — gdyż tak można je było prawie na pewno nazwać — obejmowały większą część terenów, które znamy obecnie pod nazwą okręgu Waldo w stanie Maine, i były bardziej rozległe niż niejedno księstwo a nawet królestwo na kontynencie europejskim. Po usunięciu niedostępnych lasów, które pokrywały jeszcze to dzikie księstwo — a las musiał ustąpić miejsca złotym łanom zbóż obsiewanych ludzką ręką, choćby się to dokonać miało nawet za paręset lat — ziemie te stałyby się źródłem nieprzeliczonych bogactw dla rodu Pyncheonów. Gdyby pułkownik pożył choćby kilka tygodni dłużej, jego wielkie wpływy polityczne i potężne znajomości w kraju i za granicą dokonałyby prawdopodobnie wszystkiego, co jeszcze było potrzebne, by uprawomocnić ostatecznie tytuł własności. Lecz mimo krasomówczych uniesień zacnego pana Higginsona nad dziełem zmarłego wydawało się, że pułkownik Pyncheon, choć tak przewidujący i roztropny, jedną rzecz pozostawił nieukończoną. Jeśli chodzi o ziemie, które miał na widoku, zmarł niewątpliwie przedwcześnie. Synowi jego brakło nie tylko wybitnej pozycji ojca, lecz także talentu i siły charakteru, aby pozycję taką zdobyć; nie mógł więc nic zdziałać drogą wpływów politycznych, a sama słuszość czy prawo-

mocność nadania okazała się nie tak oczywista po śmierci pułkownika, jak głoszący za jego życia. Jakieś ogniwo zamykające krąg dowodów wyśliznęło się i nie można go było nigdzie odnaleźć.

Co prawda rodzina Pyncheonów robiła starania nie tylko wtenczas, lecz także w różnych okresach czasu przez następnych sto lat, aby zdobyć to, co uparcie nazywała swoją własnością. Lecz z biegiem czasu tereny owe zostały w części nadane osobom pozostającym w większych łaskach, w części zaś zajęli je i zagospodarowali prawdziwi osadnicy. Ci, gdyby nawet słyszeli o tytułach Pyncheonów do owych obszarów, przyjęliby śmiechem myśl, że ktoś na mocy zmurszałych pergaminów z wyblakłymi podpisami gubernatorów i prawodawców dawno zmarłych i zapomnianych rości sobie prawa do ziemi, którą oni lub ich ojcowie wydarli własnym trudem i pracą z dzikich rąk natury. Ta nieuchwytna własność zatem nie wniosła do rodziny nic solidnego i realnego, a tylko nedorzeczne złudzenie rodowej ważności, pielęgnowane z pokolenia na pokolenie. W rezultacie najuboższy członek rodziny czuł się tak, jak gdyby odziedziczył wysoki tytuł rodowy i czekał właśnie tylko na objęcie książęcych dóbr, by ową godność należycie wesprzeć. U szlachetniejszych przedstawicieli rodu osobliwość ta dodawała romantycznego wdzięku twardej prozie ludzkiego życia, nie ujmując nic z jego prawdziwej wartości. U osobników ulepionych z gorszej gliny potęgowała skłonność do lenistwa i bierności i sprawiała, że człowiek, który padł ofiarą tej mglistej nadziei, niechał wszelkich wysiłków czekając spełnienia swych marzeń. Przez długie lata, gdy już wszyscy zapomnieli o roszczeniach protoplasty rodu, Pyncheonowie studiowali jeszcze starą mapę pułkownika sporządzoną w czasach, gdy okręg Waldo pokrywały dzikie bory. Tam, gdzie stary geometra umieścił lasy, jeziora i rze-

ki, oni znaczyli ziemie wykarczowane i uprawne, stawiali punkciki powstających wsi i miast i obliczali wzrastającą wartość terenów, tak jak gdyby istniała jeszcze możliwość, że ostatecznie staną się ich własnością.

Niemniej jednak w każdym prawie pokoleniu trafiał się ktoś obdarzony zdrowym rozsądkiem, sprytem i energią, które to cechy wyróżniały założyciela rodu. Charakter pierwszego z Pyncheonów powtarzał się rzeczywiście w rodzinie tak wyraźnie, jak gdyby sam pułkownik, w nieco złagodzonej postaci, otrzymał w darze przerywaną nieśmiertelność na ziemi. W różnych okresach, gdy ród podupadał, zjawiał się któryś z kolei przedstawiciel dziedzicznych cech pułkownika i wtenczas leciwi plotkarze w mieście szeptali do siebie: „Oto znów ożył stary Pyncheon! Teraz zobaczymy nowy dach na Siedmiu Szczytach!”

Przywiązani do swoich kątów, z ojca na syna trzymali się domu przodków z dziwnym uporem. Z różnych jednak przyczyn i pod wpływem wrażeń często zbyt nieokreślonych, by je przelać na papier, piszący żywi przekonanie, że wielu — jeśli nie większość — kolejnych dziedziców posiadłości dręczyła wątpliwość co do moralnych praw tego posiadania. Jeśli chodzi o rację prawną — była ona niezaprzeczalna; lecz zachodzi obawa, że stary Mateusz Maule wymaszerował z własnej epoki w czasy znacznie późniejsze wyciskając po drodze ślady ciężkich stóp na sumieniu każdego Pyncheona. Jeśli tak było, należałoby się zastanowić i rozstrzygnąć to straszliwe pytanie, czy też każdy dziedzic posiadłości, świadomy krzywdy, a nie czyniący nic dla jej naprawienia, nie popełniał na nowo ciężkiej przewiny swego przodka i nie ponosił całej odpowiedzialności, jaka zaciążyła na pierwszym sprawcy. A jeśli tak było, czyż nie trafniej byśmy się wyrazili

mówiąc, że rodzina Pyncheonów odziedziczyła nie fortunę, lecz nieszczęście?

Powiedzieliśmy już, że celem naszym nie jest spisanie całej historii Pyncheonów związanej z Domem o Siedmiu Szczytach ani też ukazanie, niby w latarni magicznej, jak sam ten czcigodny budynek czerniał i podupadał od starości. Z historią wnętrza domu łączy się legenda, że w jednym z pokoi wisi wielkie przymglone zwierciadło, które skrywa w swej głębi wszystkie kształty, jakie kiedykolwiek w nim się odbiły: samego pułkownika i jego licznych potomków, niektórych w staromodnych sukienkach niemowlęcych, innych w pełni sił męskich lub w rozkwicie kobiecej urody, jeszcze innych w smutnych zmarszczkach sędziwej starości. Gdybyśmy posiadali tajemnicę tego zwierciadła, usiedlibyśmy chętnie przed jego obliczem, a objawione przezeń tajemnice spisali na tych kartach. Jak głosi wieść — choć trudno pojąć, na czym by mogła być oparta — potomkowie Mateusza Maule mieli coś wspólnego z tajemnicą zwierciadła i mocą tego, co dziś wydałoby się nam jakimś procesem mesmerycznym, umieli ożywić jego wnętrza postaciami pomarłych Pyncheonów, ale nie takimi, jakimi widział ich świat, ani też w dobrych i szczęśliwych godzinach ich życia, lecz w momencie spełniania jakiegoś grzesznego czynu lub w najcięższym strapieniu.

Fantazję ludu długo zaprzętała sprawa starego Purytanina Pyncheona i czarownika Maule; przekleństwo, które ten ostatni rzucił z szafotu, dobrze zapamiętano, z tym nader ważnym dodatkiem, że stało się ono dziedzictwem Pyncheonów. Jeśli komuś z rodziny bodaj zabulgotało w gardle, sąsiad szeptał zaraz pół serio, pół żartem: — I ten się poi krwią Maule'a! — Nagły zgon jednego z Pyncheonów przed stu mniej więcej laty, w okolicznościach bardzo podobnych do śmierci pułkownika, uznano za dodatkowe potwierdzenie

nie ustalonej na ten temat opinii. To, że portret pułkownika Pyncheona zgodnie z jego ostatnią wolą pozostawał na ścianie pokoju, w którym zmarł, uważano za okoliczność niewłaściwą i złowróżbną. Te surowe, niczym nie złagodzone rysy zdawały się symbolem złowrogiego wpływu i tak ponury rzucały cień na każdą jasną chwilę, że żadna dobra myśl, żaden szlachetny zamiar nie mógł tu się zrodzić ni rozkwitnąć. Człowiek głębiej myślący nie dojrzy w tym zabobonu, gdy powiemy, oczywiście w przenośni, że duch zmarłego przodka staje się często złym duchem swojego rodu — co jest zapewne i częścią spadłej nań kary.

Na ogół biorąc Pyncheonowie żyli przez dwieście blisko lat mniej na pozór doświadczając od losu niż wiele innych nowoangielskich rodów w tym samym okresie czasu. Mimo pewnych cech odrębnych, sobie tylko właściwych, zachowali jednak ogólny charakter małej społeczności, w której żyli — miasta, którego mieszkańcy znani byli jako ludzie zapobiegliwi i skromni, lubiący uporządkowane i spokojne życie w domowym zaciszu, a także jako ludzie o niezbyt szerokich zainteresowaniach. Pozwolimy sobie jednak zauważyć, że w mieście tym niekiedy trafiają się ludzie i wypadki bardziej osobliwe niż w jakimkolwiek innym zakątku świata.

Podczas rewolucji jeden z Pyncheonów stanął po stronie króla i musiał potem wyemigrować, lecz okazał skruchę i wrócił do miasta w samą porę, by uchronić Dom o Siedmiu Szczytach przed konfiskatą. Na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat najważniejszym wydarzeniem w kronice Pyncheonów a zarazem największym nieszczęściem, jakie może spaść na rodzinę, było zabójstwo, które popełnił jeden z Pyncheonów na swoim krewnym. Pewne okoliczności towarzyszące temu nieszczęśliwemu wypadkowi wskazywały nieodparcie, że zbrodni dokonał bratanek zmarłego Pyn-



eheoria. Młodzieniec stanął przed sądem i został uznany winnym zbrodni; lecz poszlakowy charakter dowodów winy i może też pewne wątpliwości, jakie żywiły władze sądowe, a wreszcie — argument większej wagi w ustroju republikańskim niż za czasów monarchii — stanowisko i wpływy polityczne krewnych skazanego przyczyniły się do złagodzenia jego losu: karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie. Od owej smutnej historii do chwili, w której zaczyna się nasza opowieść, upłynęło około trzydziestu lat. W ostatnich czasach rozeszły się pogłoski, nie interesujące nikogo za wyjątkiem jednej czy dwóch osób, jakoby człowiek ów, od tylu lat żywcem pogrzebany, miał z pewnych względów odzyskać wolność.

Koniecznym jest wspomnieć słów kilka o tym, który padł ofiarą owej dziś już niemal zapomnianej zbrodni. Był starym kawalerem i posiadał wielkie bogactwa nie licząc domu i starych ziem Pyncheonów. Dziwak i melancholik, z zamiłowaniem studiował stare szpargały i wysłuchiwał wszystkich opowieści rodzinnych; po latach doszedł ponoć do wniosku, że czarownik Mateusz Maule został pozbawiony — jeśli nie życia, to na pewno mienia — w sposób nieuczciwy. Gdy tak się rzecz miała, a on, stary kawaler, pozostawał w posiadaniu bogactw zdobytych nieuczciwie i zbrukanych krwią, której woń zdawała się jeszcze unosić nad domem Pyncheonów, czy nie było jego obowiązkiem, chociaż po tylu latach, dokonać restytucji posiadłości na rzecz potomków Mateusza Maule? Dla człowieka tak bardzo żyjącego przeszłością, a tak mało terażniejszością jak ten stary samotnik, oddany swym szpargałom, półtora wieku nie było okresem dość długim, by zbędnym uczynić naprawienie krzywdy. Ci, co go dobrze znali, twierdzili, że istotnie uczyniłby ten krok i oddał -Dom o Siedmiu Szczytach rodzinie Mateusza Maule, gdyby nie to, że pozostała rodzina słysząc o za-

miarach starszego pana podniosła wrzawę nie do opisanania. Ich zabiegi odniosły skutek i projekt uległ zawieszeniu, lecz obawiano się, że po śmierci aktem swej ostatniej woli uczyni to, co z takim trudem udaremnilo mu za życia. Pozostawienie jednak majątku ludziom obcej krwi jest zjawiskiem niezmiernie rzadko spotykanym bez względu na okoliczności, które mogłyby do tego skłaniać. Można kochać innych więcej niż własną rodzinę — można nie lubić swych krewnych a nawet żywić do nich nienawiść, a jednak w obliczu śmierci potężny przesąd węzłów krwi odżywa i zmusza spadkodawcę do pozostawienia majątku zgodnie z obyczajem tak starym, że wydaje się być prawem natury. U wszystkich Pyncheonów uczucie to było silne jak choroba. Było zbyt potężne, by miało nie przewyciężyć skrupułów sumienia starego kawalera; tak więc po jego śmierci rodzinny dom i większa część innych bogactw przeszła w posiadanie najbliższego prawnego spadkobiercy.

Był nim bratanek zmarłego, kuzyn nieszczęsnego młodzieńca skazanego za zabójstwo stryja. Nowy dziedzic aż do chwili objęcia spadku uważany był za utracjusza i nicponia, lecz natychmiast po objęciu schedy ustatkował się i stał się nadzwyczaj czcigodnym obywatelem. W istocie wykazywał on więcej cech Pyncheonów i osiągnął w świecie stanowisko wybitniejsza niż ktokolwiek z rodziny od czasów wielkiego Purytana. We wczesnej młodości studiował prawo, a mając naturalną skłonność do kariery urzędniczej został kiedyś sędzią w jakimś podrzędnym sądzie, co nadało mu na całe życie ten bardzo pożądanym i imponującym tytuł. W późniejszym okresie zajmował się polityką i przez dwie kadencje zasiadał w Kongresie, a poza tym był ważną figurą w obu izbach Stanu. Sędzia Pyncheoni niewątpliwie przynosił zaszczyt swemu rodowi. Wybudował sobie letnią rezydencję o kilka mil od rodzin

nego miasta i spędzał tam czas wolny od służby państwowej roztaczając wszystkie cnoty i zalety, jakie winny cechować clirześci Janina, dobrego obywatela, miłośnika ogrodnictwa i dżentelmena — tak przynajmniej pisał o nim pewien dziennik w przeddzień wyborów.

Pyncheonowie mogli się teraz kąpać w blasku sławy sędziego, lecz niewielu ich pozostało. Pod względem przyrostu naturalnego ród nie był w stanie kwitującym; raczej zdawało się, że wymiera. Przy życiu pozostało zaledwie kilka osób: naprzód sam sędzia i jego jedyny żyjący syn, który odbywał obecnie podróż po Europie, następnie uwięziony od trzydziestu lat kuzyn, o którym już była mowa, i siostra tego ostatniego zamieszkująca w całkowitym osamotnieniu Dom o Siedmiu Szczytach zostawiony jej w dożywocie przez starego kawalera. Jak wiadomo, pozostawała ona w skrajnej biedzie i to z własnego wyboru, gdyż bogaty kuzyn, sędzia, już nieraz chciał jej zapewnić dostatni byt w Domu o Siedmiu Szczytach lub w jego własnej nowej rezydencji. Ostatnią i najmłodszą z rodu Pyncheonów była siedemnastoletnia dziewczyna mieszkająca na wsi, córka kuzyna sędziego, który poślubił kobietę bez nazwiska i majątku i zmarł wcześniej w ciężkich warunkach. Wdowa niedawno wyszła ponownie za mąż.

Rodzina Mateusza Maule, wedle wszelkich przypuszczeń, była już wygasła. Przez długi jednak czas po owej fatalnej egzekucji potomkowie jego żyli w mieście, w którym ich pradziad poniósł niezasażoną śmierć. Wedle wszelkich pozorów byli to spokojni, uczciwi i lojalni ludzie nie żywiący urazy ni do jednostek, ni do społeczeństwa za wyrządzoną im krzywdę; lub też jeśli nawet przy własnym ognisku przekąsy wali sobie z ojca na syna pamięć o losie czarownika straconej ojcowiźnie i żywili jakieś wrogie do ludzi

uczucia, to nigdy pod ich wpływem niczego nie przedsięwzięli ani też nie mówili o tym głośno. Nic by też w tym nie było szczególnego, gdyby zapomnieli, że Dom o Siedmiu Szczytach spoczywa ciężarem swym na fundamentach, które wedle prawa do nich należą. Gdy pozycja i wielkie dostatki wciela się w kształt widomy, wtedy ów kształt ma w sobie taką moc, majestat i niezniszczalność, że samo jego istnienie nadaje mu, zda się, prawo do istnienia a przynajmniej pozór prawa tak doskonały, że niewielu ubogich i małych posiada na tyle siły, by go podać w wątpliwość, nawet w głębi własnej duszy. Tak jest obecnie, już po odrzuceniu wielu starych przesądów, i tak było w znaczniejszym jeszcze stopniu w dobie sprzed rewolucji, kiedy arystokracja śmiała być pyszną, a stan niższy godził się ze swym poniżeniem. Tak więc rodzina Maule'ów skrywała głęboko swe urazy. Żyli oni zazwyczaj w ubóstwie, a zawsze w stanie plebejskim, nikomu nie znani. Przykładali się do swych rzemiosł pilnie, ale im się nie wiodło; ciężko pracowali w portach lub żeglowali po morzach jako prości majtkowie; mieszkali w różnych punktach miasta w wynajętych izbach i kończyli w przytułkach, które były naturalnym domem ich starości. Wreszcie, snując się tak długo na samym brzegu ciemnej wody zapomnienia, pograżyli się w niej ostatecznie, co czeka prędzej czy później każdą rodzinę, książęcą czy plebejską. Od trzydziestu lat ani w archiwach miejskich, ani na cmentarnych nagrobkach czy w spisach ludności, ni w ludzkiej wiedzy i pamięci nie pozostał ślad po potomstwie Mateusza Maule. Może żyli gdzie indziej ludzie jego krwi; tutaj historia Maule'ów skończyła się, choć wąty jej nurt z tak dalekiej płynął przeszłości.

W czasach, gdy jeszcze chodzili po świecie, członkowie tego rodu różnili się od innych ludzi, lecz nie

w jakiś wyraźny i uderzający sposób; różnica ta raczej dawała się wyczuć niż określić, wyrażała się tylko powściągliwszym nieco zachowaniem. Ich towarzysze lub ci, którzy usiłowali się do nich zbliżyć, świadomi byli jakiegoś kręgu, uświęconego czy magicznego, który otaczał rodzinę Maule'ów, i do jego wnętrza nikt nie mógł się dostać mimo pozornej szczerości i dobrych koleżeńskich stosunków. Może ta właśnie nieuchwytna cecha, która trzymała ich w odosobnieniu i pozbawiała oparcia u ludzi, była przyczyną ich niepowodzeń. A już na pewno sprawiła ona, że uczucia odrazy i zabobonnego strachu, z jakim ludzie z miasteczka ciągle jeszcze wspominali znanych czarowników nawet po otrząśnięciu się z tego obłędu, przylgnęły do nich i przetrwały jako jedyne ich dziedzictwo. Płaszcz, a raczej obszarpana sukmana starego Mateusza Maule spadła na jego dzieci. Mieszkańcy miasteczka utrzymywali, że ludzie z tej rodziny dziedziczą tajemnicze zdolności; podobno ich oczy miały dziwną moc. Wśród innych nie przydatnych do niczego właściwości tę jedną specjalnie im przypisywano: zdolność wywierania wpływu na ludzkie sny. Jeśli wierzyć opowiadaniom, Pyncheonowie, choć tak dumnie nosili się za dnia po ulicach rodzinnego miasta, w opętanym królestwie snów byli niewolnikami tych plebejuszy Maule'ów. Może nowoczesna psychologia pokusi się o ujęcie tych rzekomych przejawów czarnej magii w jakiś system naukowy, miast odrzucać je całkowicie jako bajki.

Zakończymy ten wstępny rozdział niedługim opisem Domu o Siedmiu Szczytach, takiego, jak przedstawia się nam obecnie. Ulica, nad którą wznosił swe czcigodne wieżyczki, dawno już przestała należeć do eleganckich dzielnic miasta, toteż otaczające stary budynek domy, choć bardziej nowoczesne, były w większości małe, zbudowane z drzewa i przedstawiały naj-

bardziej prozaiczną codzienność pracowitego życia. Niewątpliwie w każdym z nich kryła się jakaś historia losów człowieka, lecz bez tej zewnętrznej malowniczości, która pociąga wyobraźnię i budzi ochotę ich poznania. Zaś co do starej budowli, wokół której snuje się nasze opowiadanie, to dębowe zręby, drewniane ściany, gonty, kruszący się tynk i nawet ogromny komin pośrodku zdawały się zaledwie najmniejszą i najpośledniejszą częścią jej rzeczywistego życia. Tyle różnych zmian się tu dokonało, tyle się tu kryło cierpień — a także trochę radości — że każdy skrawek domu zdawał się wilgotny jakby od łez. Cały ten dom był jednym wielkim ludzkim sercem, żyjącym własnym życiem i pełnym bogatych i posępnych wspomnień.

Głęboki nawis drugiego piętra nadawał domostwu wyraz takiej zadumy, że nie można było go minąć nie pomyślawszy, iż miał on swoje sekrety, które należała zachować, i swą historię bogatą w wydarzenia, z których wyciągnąć by można niejedną naukę moralną. Przed frontem, tuż na skraju niebrukowanego chodnika rósł wiąz Pyncheonów, który w porównaniu z drzewami, jakie się zazwyczaj spotyka, był olbrzymem. Zasadził go tutaj prawnuk pierwszego Pyncheona i choć wiąz ten liczył sobie teraz lat chyba z osiemdziesiąt, a może i koło setki, był jeszcze w rozłożystej sile wieku, rzucał cień na obie strony ulicy, sięgał nad szczyty siedmiu wieżyczek i omiatał czarny dach wokoło zwisającymi liśćmi. Upiększał stary dom i czynił go częścią natury. Droga została poszerzona blisko czterdzieści lat temu i skrzydło frontowe przytykało teraz do ulicy. Po obu stronach domu biegła drewniana krata płotu, dziś mocno zrujnowana, przez którą widać było trawą zarosnięte podwórze i łopian w kątach budynku tak bujny, że liście jego mierzyły bez przesady dwie albo i trzy stopy długości. Za domem

można było dojrzyć ogród, który był kiedyś rozległy, lecz z czasem wdarły się na jego teren inne opłotki i zamknęły go tyły domów z drugiej ulicy. Byłoby to zaniedbaniem, wprawdzie małym, lecz nie do wybaczenia, gdybyśmy pominęli zielony mech, który od dawna gromadził się nad występem okien i na pochylnościach dachu. Nie omieszkamy też zwrócić uwagi czytelnika na kępę kwiatów, które rosły wysoko w górze w załamaniu ściany, obok komina, w miejscu zetknięcia się dwóch wieżyczek. Zwano je wiązką Alicji. Istniało podanie, że niejaka Alicja Pyncheon rzuciła tam nasiona dla żartu, a kurz z ulicy i próchno dachu stopniowo utworzyły garść sposobnej dla nich gleby, z której wyrosły kwiaty, gdy Alicja już dawno spoczywała w grobie. Jakąkolwiek drogą tam się dostały, słodkim i smutnym zarazem był widok, jak przyroda brała w posiadanie ten opuszczony, walący się, wichrem szarpany i ciemniejący od deszczów stary dom rodu Pyncheonów i jak wiecznie powracające lato usiłowało go opromienić czarem swego piękna, aż znużone tym wysiłkiem samo popadało w melancholię.

Należy wspomnieć jeszcze jedną rzecz, i to bardzo zasadniczą, choć obawiamy się, że może naruszy ona wrażenie uroku i romantyzmu, jakie pragnęliśmy wywołać opisem tego czcigodnego budynku. W części frontowej pod występem piętra wychodziły na ulicę drzwi sklepowe, przedzielone poziomo pośrodku, z oknem w górnej połowie, tak jak to się często widuje w starych mieszkaniach. To właśnie wejście sklepowe było przedmiotem niemałego upokorzenia dla obecnej mieszkanki dostojnego domu Pyncheonów jak również dla niektórych jej przodków. Sprawa jest niezmiernie delikatnej natury, lecz skoro czytelnik koniecznie musi zostać dopuszczony do sekretu, niech łaskawie przyjmie do wiadomości, że mniej więcej sto lat temu głowa rodu Pyncheonów znalazła się w poważnych trud-

nościach finansowych. Jegomość ten, choć zwał się dżentelmenem, nie mógł być niczym innym jak tylko nieprawym intruzem; gdyż zamiast prosić króla lub gubernatora królewskiego o urząd lub zgłaszać dziedziczne pretensje do ziem wschodnich, nie wymyślił nic lepszego dla zdobycia bogactw jak wybicie drzwi sklepowych w ścianie siedziby przodków. Było wówczas zwyczajem kupców przechowywanie towaru i dokonywanie transakcji handlowych we własnym mieszkaniu. Lecz ten stary Pyncheon przeprowadzał handlowe operacje w sposób zaiste niegodny; szeptało, że własnymi rękoma zdobnymi w koronkowe mankiety wydawał reszty z szylinga i każdą półpensówkę obracał w palcach po kilka razy, by upewnić się, czy dobra. Niewątpliwie w żyłach jego musiała płynąć krew nędznych kramarzy, jakkolwiek tam się dostała.

Natychmiast po jego śmierci wejście do sklepu zostało zamknięte na klucz, zaryglowane, założone sztabami i prawdopodobnie aż do czasów naszej opowieści nie było ani razu otwierane. Stary kontuar, półki i inne szczegóły urządzenia małego sklepiku pozostały nietknięte. Opowiadano, że co noc, jak rok okrągły można było oglądać przez szpary w okiennicach zmarłego sklepikarza w białej peruce i wypłowiełym aksamitnym płaszczu, opasanego fartuchem, w koronkowych mankietach starannie odwiniętych, jak przerzucą swoją szufladę lub ślęczy nad brudnymi kartkami księgi rachunkowej. Wyraz nieopisanej boleści na jego twarzy miał świadczyć, że skazany jest spędzić wieczność na próżnych wysiłkach, by mu się rachunki zgodziły.

A teraz — bardzo skromnie, jak się okaże — tozpczynamy naszą opowieść.



## II

### MAŁE SKLEPOWE OKNO

Do wschodu słońca pozostawało jeszcze pół godziny, gdy panna Hepziba Pyncheon — nie powiemy, że się obudziła, gdyż należy wątpić, czy ta biedna dama zmrużyła bodaj oczy podczas owej krótkiej nocy letniej — lecz w każdym razie powstała z samotnego łoża i rozpoczęła to, co nazwać strojeniem się byłoby chyba szyderstwem. Dalecy jesteśmy od nieprzystojnej myśli, by asystować nawet w wyobraźni przy panieńskiej toalecie. Musimy więc czekać na pannę Hepzibę u progu jej komnaty; na razie ośmielimy się tylko podsłuchać kilka ciężkich, głębokich westchnień, które wyrwały się z jej łona. Nie próbowała ich tłumić, bo któż by je mógł usłyszeć? Chyba tylko jakiś bezcielesny słuchacz — jak na przykład my. Stara panna żyła samotnie w starym domu. Samotnie, jeśli pominiemy obecność pewnego przyzwoite

tego i solidnego młodzieńca, artysty w sztuce wyrobienia dagerotypów, który od trzech miesięcy mieszkał jako lokator w odległym skrzydle budynku, stanowiącym właściwie oddzielny dom, do którego wszystkie drzwi i przejścia pozamykano na zamki, rygle i dębowe sztaby. Przeto porywistych westchnień biednej panny Hepziby nikt nie słyszał. Nikt też nie słyszał, jak trzeszczy w stawach jej zeszywniałych kolan, gdy klęka przy łożku. I nikt spośród śmiertelnych nie słyszał również modlitwy pełnej udręki, która była raz szeptem, raz jękiem, to znów rozpaczliwym milczeniem. Słuchano jej za to w najdalszym zakątku nieba z miłością i współczuciem pełnym zrozumienia, tej modlitwy, w której błagała o pomoc Najwyższego w nadchodzącym dniu. Widocznie ma to być dzień cięższych niż zwyczajnie doświadczeń dla panny Hepziby, która przez ćwierć wieku z górami żyła w zupełnym osamotnieniu, nie biorąc udziału w interesach tego świata ani w jego przyjemnościach i nie współżyjąc z jego mieszkańcami. Z taką żarliwością nie modli się zakamieniała samotnica oczekująca zimnej, bezsłonecznej, martwej ciszy dnia, który ma być podobny do nieprzeliczonych „wczoraj”.

Modły starej panny dobiegły końca. Czy ukaże się wreszcie na progu naszej opowieści? Jeszcze nie, dopiero po wielu, wielu chwilach. Wpierw musi otworzyć wszystkie szuflady wysokiego staromodnego biurka, szarpiąc i mocując się z każdą po kolei, potem równie nerwowo wszystkie na powrót zamknąć. Chrzęst sztywnej jedwabnej sukni; kroki po pokoju tam i z powrotem. Podejrzewamy też, że panna Hepziba robi jeden krok wzwyż, a to na krzesło, aby uważnym spojrzeniem ogarnąć ze wszystkich stron całą swą postać w owalnym toaletowym zwierciadle oprawnym w poczerniałe ramy, które wisi u niej nad stołem. Naprawdę! Coś podobnego! Któż by to pomyślał! Czyż

mamy tracić nasz cenny czas na oglądanie upiększających zabiegów porannych osoby w starszym wieku, która nigdy nie wychodzi z domu, której nikt nigdy nie odwiedza, a od której odwrócić oczy w inną stronę byłoby uczynkiem najbardziej miłosiernym po najpomyślniej szych nawet skutkach tych wysiłków przed lustrem?

Już jest prawie gotowa. Darujmy jej jeszcze jedną chwilę, gdyż poświęci ją jednemu uczuciu, które przez smutek i osamotnienie tak się wzmogło i pogłębiło, że stało się najsilniejszą namiętnością jej życia. Usłyszeliśmy zgrzyt kluczyka obróconego w małym zameczku; panna Hepziba otworzyła ukrytą szufladkę sekretarzyka i prawdopodobnie ogląda pewną miniaturę wykonaną w najlepszym stylu sławnego Malbone'a, a ukazującą twarz godną nie mniej doskonałego pędzla. Mieliśmy kiedyś szczęście oglądać ten obrazek. Jest to podobizna młodzieńca w jedwabnym szlafroku staromodnego kroju, który dobrze pasuje do marzycielskiej fizjonomii o pełnym i delikatnym zarysie ust i pięknych oczach wskazujących nie tyle na uzdolnienie umysłu, co na bogactwo uczuć i wrażliwość na rozkosze życia. Słusznym jest, byśmy od posiadacza takiej twarzy nie żądali niczego — chyba tylko, aby brał lekko to nasze brutalne życie i urządził się w nim jak najszczęśliwiej.

Czy był to może dawny kochanek panny Hepziby? Nie. Nigdy nie miała kochanka, jakżeby mogła go mieć, biedna? Ani też nie wiedziała z własnego doświadczenia, co to jest miłość. A jednak jej niewygasła wiara i ufność, żywa pamięć i stałe oddanie, jakim darzyła prygiął tej miniatury, były jedyną strawą jej serca.

Zdaje się, że odłożyła już miniaturę i stoi znowu przed lustrem. Są łzy, które trzeba obetrzeć. Jeszcze kilka kroków tu i tam i oto z ostatnim żalonym

westchnieniem wrywającym się niby podmuch zimnego, mokrego wiatru z ciemnego lochu, którego drzwi, długo zamknięte, przypadkiem otwarły się na oścież, nadchodzi panna Hepziba Pyncheon! Wchodzi w mroczny, pociemniały wiekiem korytarz — wysoka postać odziana w czarne jedwabie, o długiej wyschłej kibici — i jako osoba krótkowzroczna prawie po omacku kieruje się ku schodom.

Tymczasem słońce, choć nie ukazało się jeszcze nad horyzontem, już znacznie się do niego przysunęło. Kilka chmur płynących wysoko w górę pochwyciło najwcześniejszy promień i odrzuciło go na dół złotym odblaskiem na okna wszystkich domów nie zapominając również o Domu o Siedmiu Szczytach, który, choć wiele takich wschodów przeżył, uradował się i tym. Odbite światło ukazało dość wyraźnie wnętrze pokoju, do którego skierowała się Hepziba po zejściu ze schodów. Był to nisko sklepiony pokój z główną belką biegnącą pod sufitem, o ścianach wykładanych ciemnym drzewem, z wielkim kominkiem pokrytym kafelkami malowanymi w obrazki, lecz zasłoniętym teraz żelazną płytą, przez którą przechodził komin nowoczesnego pieca. Na podłodze leżał dywan bogatej niegdyś roboty, lecz tak wytarty i spłowiały, że jego świetny ongi rysunek rozpułynał się zupełnie w jeden nieokreślony cień. Znajdowały się tam dwa stoły; jeden skonstruowany w sposób oszołamiaj ąco zawiły ukazywał tyleż nóg co stonoga; drugi, nadzwyczaj misternej roboty, stał na czterech długich cienkich nóżkach pozornie tak delikatnych, iż było niemal nie do wiary, że od tak dawna utrzymywały na sobie staromodny blat. W pokoju ustawiono sześć krzeseł prostych, sztywnych i tak pomysłowo urządzonych dla niewygody ludzkiego ciała, że sprawiały przykrość samym swym widokiem i nasuwały jak najbrzydsze myśli o poziomie społeczeństwa, któremu takie krzesła

odpowiadały. Jedyny wyjątek stanowiło bardzo stare dębowe krzesło z poręczami, z pracowicie rzeźbionym wysokim oparciem. Między ramionami poręczy otwierała się przestronna głębia, która swym ogromem wynagradzała brak artystycznych krzywizn zdobiących obficie nowoczesne krzesła.

Co do przedmiotów służących ozdobie, pamiętamy tylko dwa — o ile można je tak nazwać. Jednym była mapa terytoriów Pyncheonów na wschodzie, nie sztych owana, lecz ręcznej roboty jakiegoś biegłego starego rysownika, ilustrowana groteskowymi obrazkami, które przedstawiały Indian i dzikie zwierzęta. Wśród nich widniał także lew, jako że historia naturalna tych okolic była równie mało znana jak i geografia, którą fantastycznie przekręcano. Ozdobą drugą był portret starego pułkownika Pyncheona w dwóch trzecich naturalnej wielkości, który ukazywał surowe rysy purytańskiej fizjonomii człowieka w mycce na głowie, z wyszywaną wstęgą i siwą brodą, z Biblią w jednej ręce i z uniesioną żelazną rękojęścią miecza w drugiej. Ten ostatni przedmiot lepiej się udał artyście, przeto bardziej rzucał się w oczy niż święta księga. Po wejściu do pokoju panna Hepziba zatrzymała się przed portretem i przyglądała mu się spod zmrużonych powiek, z dziwnym zmarszczeniem brwi, które nie znający jej ludzie tłumaczyliby sobie jako wyraz goryczy, złości i niechęci. Lecz tak nie było. W istocie czuła ona dla sportretowanej twarzy cześć tak głęboką, do jakiej zdolna być mogła tylko dziewczica posunięta w lecach i z bardzo odległego od pułkownika pokolenia. A ten straszliwy mars na czole był niewinnym owocem krótkowzroczności i dowodził jeno wysiłku, z jakim wyteżała swe oczy, by dojrzeć obraz wyraźny, a nie zamglony.

Musimy zatrzymać się chwilę nad tym niefortunnym wyrazem twarzy biednej Hepziby. Ten paskudny

grymas — złe oko; jak go złośliwie nazywał świat, a przynajmniej ta część świata, której udało się pochwycić w przelocie obraz twarzy starej panny w oknie — ów grymas oddawał pannie Hepzibie jak najgorsze usługi przez to, że wyrobił jej opinię starej złośnicy. Jest także rzeczą prawdopodobną, że oglądając się często w zamglonym lustrze i napotyając ciągle w jego upiornym wnętrzu nasrożoną minę, zaczęła ją sama tłumaczyć równie niesprawiedliwie jak otoczenie. — Ileż w mojej twarzy jest złości — szepotała zapewne często do siebie, aż w końcu i we własnej wyobraźni stała się osobą złą sądząc, że takie widać jest jej nieuniknione przeznaczenie. Lecz jej serce nie marszczyło się nigdy. Było z natury czułe, wrażliwe, pełne delikatnych drgnień i niepokojów. Taiło w sobie wszystkie te słabości, podczas gdy jej twarz stawała się tak przewrotnie surowa, a nawet sroga i okrutna. Nie miała też Hepziba w sobie żadnego męstwa — a jedyną w niej siłą było kochające serce.

Przez cały czas jednak ociągamy się trwożliwie na progu naszej historii. Prawdę mówiąc powstrzymuje nas niechęć do wyjawienia tego, co miała robić panna Hepziba Pyncheon.

Jak już zauważyliśmy, w części parterowej skrzydła wychodzącego frontem na ulicę jeden niegodny pradziad sto lat temu urządził sklep. Otóż od chwili gdy stary pan wycofał się z interesu i zasnął w czterech deskach swej trumny, nie tylko drzwi sklepowe, lecz również urządzenie lokalu pozostało nietknięte. Przez ten czas wiekowy kurz pokrył półki i ladę na grubość cała i wypełnił częściowo szalki starej wagi, zupełnie jakby miał na tyle wartości, by zasługiwać na odważenie. Nagromadził się też w półotwartej szufladce na pieniądze, gdzie poniewierała się jeszcze licha moneta sześciopensowa, tyleż warta, co duma rodowa skalana tą hańbą. Taki był stan małego sklepiku w

dzieciństwie Hepziby, gdy z bratem bawili się w chowanego w tych opustoszałych kątach. Takim pozostał aż do chwili poprzedzającej nasze opowiadanie 0 kilka dni.

Obecnie, choć okno pozostawało szczelnie zasłonięte dla oczu przechodniów, we wnętrzu sklepu zaszły godne uwagi zmiany. Bogate i ciężkie girlandy pajęczyn, utkane pracą całego życia wielu pokoleń pajaków, obmieciono starannie z sufitu. Lada, półki i podłoga zostały wyszorowane, a tę ostatnią posypano świeżym niebieskawym piaskiem. Zadano też sobie najwidoczniej wiele trudu, by odczyścić brązowe szalki ze śniedzi, która niestety wżarła się głęboko w metal. I nie był już mały sklepik pozbawiony towaru. Ciekawskie oko, które by uzyskało prawo przeglądu inwentarza i poszukiwań za kontuarem, odkryłoby beczkę — nie, dwie albo i trzy beczki! Jedna zawierała mąkę, druga jabłka, a trzecia może mączkę kukurydzianą. Stała tam też kwadratowa sosnowa skrzynka pełna sztabek mydła i druga tej samej wielkości z łojowymi świecami, których na funt wchodziło dziesięć. Niewielki zapas brązowego cukru, trochę fasoli i łuskanego grochu oraz nieco innych tanich artykułów pierwszej potrzeby stanowiły podstawę sklepowych zasobów.

Można to było wziąć za widmo źle zaopatrzonych półek starego sklepikarza Pyncheona, gdyby nie to, że pewne artykuły nie były znane za jego czasów. Był tam na przykład szklany słoje od marynat napełniony kawałkami gibraltarskiej skały; oczywiście nie były to odłamki prawdziwego kamienia z fundamentów sławnej fortecy, lecz znakomite cukierki, zawijane w czyściutkie białe skrawki papieru. Obok Jim Crow — murzynek z piernika, wykonywał swój znany na całym świecie taniec. Na jednej półce galopował oddział ołowianych dragonów nowocześnie umundurowanych

i uzbrojonych i stało kilka figurek z cukru niepodobnych do ludzkich postaci z żadnej epoki, lecz przypominających nieco bardziej naszą modę niż tę, według której nosiły się lalki sprzed stu lat. Zjawiskiem jeszcze bardziej nowoczesnym była paczka siarniczek; w dawnych czasach pomyślano by zapewne, że ich płomień, błyskający tak nagle, bierze początek od ognia piekielnego.

By rzecz krótko i dojść od razu do sedna, było rzeczą bezspornie oczywistą, że ktoś objął sklep z przynależnościami pozostały po dawno zmarłym i zapomnianym panu Pyncheonie i zamierza wskrzesić przedsiębiorstwo tej nieżyjącej już znakomitości dla nowej klienteli. Jakiż to śmiałek mógł się porwać na takie ryzyko? I dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrał za teren swych handlowych spekulacji właśnie Dom o Siedmiu Szczytach?

Wróćmy do starej panny. Oderwała ona wreszcie oczy od ciemnej twarzy pułkownika, westchnęła — zaprawdę jej pierś była owego ranka istną grota Eola — i przesunęła się przez pokój na palcach, jak zwykły chodzić starsze kobiety. Przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi prowadzące do sklepu, który opisaliśmy właśnie tak szczegółowo. Wystający żrąb piętra, a bardziej jeszcze gęsty cień padający od wiązu Pyncheonów sprawiały, że półmrok w tym miejscu był równie bliski porankowi jak nocy. I znów ciężkie westchnienie panny Hepziby! A po chwili wahania na progu, mrużąc swoje krótkowzroczne oczy jak przed atakiem na straszliwego wroga, wtargnęła gwałtownie do sklepu. Ten pośpiech, ten jakby galwaniczny odruch mógł naprawdę przestraszyć patrzącego.

Nerwowo, w jakimś nieomal zapamiętaniu zaczęła ustawiać zabawki dziecinne i inne drobiazgi na półkach i na wystawie. Było coś tragicznego w wyglądzie owej



starej, ciemno odzianej bladej damy, coś, co rażąco kłóciło się z tym śmiesznie pospolitym zajęciem. Że ta wychudła posępna postać bierze do ręki zabawkę, zdawało się czymś przeciwnym naturze; że zabawka nie znika pod jej dotknięciem — było cudem; a że dama owa mogła wysilać swój umysł, odrętwiały i ponury, by zwabić do siebie dzieci, zakrawało na pomysł niedorzeczny i z góry chybiony. A jednak to było niewątpliwie jej celem. O, teraz ustawia w oknie słońca z piernika, lecz palce tak jej drżą, że słoń zlatuje na podłogę tracąc trzy nogi i trąbę. Nie ma już słońca — zostało tylko kilka kawałków stęchłego piernika. O, znowu przewróciła słoń kamyczków i wszystkie toczą się w różne strony, a każdy z nich, jakby diabelską kierowany ręką, pędzi w najciemniejszy kącik, jaki tylko potrafi znaleźć. Niech Niebo ma w swej opiece naszą biedną starą Hepzibę i przebaczy nam to, że zabawiliśmy się trochę jej kosztem. Gdy jej sztywna postać zgina się i pełźnie na czworakach w pogoni za umykającymi kamyczkami, czujemy się nawet bardziej skłonni do łez współczucia z tej właśnie przyczyny, że musimy się trochę z niej pośmiać na stojąco. Gdyż tu oto spotykamy się z najprawdziwszą tragedią codziennego życia, zdolną poruszyć rrfelancho-lijne struny wyobraźni i jeśli nie uda nam się obudzić tego wrażenia u czytelnika, będzie to nasza wina, a nie tematu naszej opowieści.

Była to ostateczna agonia wielkopańskich roszczeń starych rodów. Pani karmiąca się od dzieciństwa jałową strawą świetnych wspomnień, dla której dogmatem uświęconym było mniemanie, że praca dla chleba plami na zawsze rękę damy — ta urodzona pani po sześćdziesięciu latach ciągłego ograniczania się zmuszona została do zstąpienia z piedestału swej urojonej wyżyny. Bieda depcząca jej po piętach przez całe ży-

cie dognała ją wreszcie. Musiała zarobić na chleb lub zginąć z głodu. A my zakradliśmy się do samotni panny Hepziby Pyncheon zbyt już bezceremonialnie,, w chwili gdy dama-patrycj uszka ma się przekształcić w kobietę z gminu.

W tym republikańskim kraju wśród ciągłego falowania naszego życia społecznego zawsze się znajdzie ktoś tonący. Tragedia ta powtarza się tak często i regularnie jak przedstawienie dramatu ludowego w dni świąteczne. Niemniej jednak odczuwamy ją równie głęboko, jak odczuwa się upadek człowieka prawdziwie szlacheckiego rodu w krajach, gdzie panuje dawny ład, a nawet może i głębiej. Gdyż u nas wybitna pozycja jest sprawą mniej subtelnej natury — sprawą bogactwa i wysokiego stanowiska w świecie — i nie żyje życiem duchownym po śmierci tych osób, lecz ginie nieodwołalnie wraz z nimi. Tak więc, jeśli już dosyć niefortunnie zaprezentowaliśmy naszą heroinę w niepomysłnej chwili, upraszamy tych, co śledzą jej losy, o zachowanie podniosłego nastroju. Przyjrzyjmy się w osobie biednej Hepziby nieśmiertelnej damie liczącej sobie lat dwieście po tej stronie oceanu, a trzykroć tyle po tamtej; posiadaczce starożytnych portretów, rodowodów, tarcz herbowych, rodzinnych kronik i tradycji, pretendencie (łącznie z innymi spadkobiercami) do tych książęcych włości na wschodzie, gdzie miejsce dawnych lasów zajmują ziemie ludne i żyzne; urodzonej do tego przy ulicy Pyncheonów, w cieniu wiązu Pyncheonów i w rezydencji Pyncheonów,, gdzie spędziła wszystkie swoje dni — i zmuszonej teraz w tymże samym domu do prowadzenia centowego handelku.

Otworzenie małego sklepiku jest jedyną deską ratunku dla kobiet w tych warunkach, w jakich znalazła się nasza samotnica. Z jej słabym wzrokiem, z tym drżeniem rąk, o palcach zbyt delikatnych a zarazem

za mało giętkich nie mogła zostać szwaczką, choć na jej próbnej robótce sprzed pięćdziesięciu lat widniały najbardziej wyszukane wzory ozdobnych haftów. Często przemysliwała też, by otworzyć szkółkę dla małych dzieci i zaczęła nawet powtarzać kurs odbytych niegdyś nauk elementarnych, aby przygotować się do zadań nauczycielki. Lecz serce Hecziby nie było nigdy gorącą miłością do dzieci, a jeśli to uczucie całkiem do tej pory nie wygasło, to ciepła było w nim bardzo niewiele. Obserwując mały ludek z sąsiedztwa przez okno swego pokoju, zaczynała wątpić, czy mogłaby znieść bliższą z nimi znajomość. Poza tym w naszych czasach nawet ABC stało się wiedzą tajemną, zbyt nieościgłą, aby można jej było nauczać przez proste wodzenie szpilką po literach. Nowoczesne dziecko mogło nauczyć starą Heczibę więcej, niż stara Hecziba mogła nauczyć dziecko. Tak więc wreszcie, choć serce jej drżało jak liść, biło na alarm i zastygało w przerażeniu na myśl o ponownym, odrażającym dla niej zetknięciu ze światem, od którego tak długo trzymała idę z dala, a każdy kolejny dzień samotności przywalał nowym kamieniem wejście do tej pustelni — wreszcie biedna przypomniła sobie stare okno sklepowe, zardzewiałą wagę i szufladkę pełną kurzu. Mogła jeszcze trochę to odłożyć; lecz pewna okoliczność, o której dotąd nie wspominaliśmy, przyspieszyła jej decyzję. Poczyniła więc skromne przygotowania i obecnie przedsięwzięcie miało się otworzyć. Nie mogła się też skarżyć, że takie nieszczęście tylko na nią spadło, gdyż w jej rodzinnym mieście moglibyśmy wskazać podobne sklepy; kilka z nich mieści się w domach równie starożytnych jak Dom o Siedmiu Szczytach, a w jednym czy w dwóch za kontuarem stoi zrujnowana dama — obraz rodowej dumy nie mniej ponury niż sama panna Hecziba Pyncheon.

Musimy jednak przyznać, że zachowanie starej pan-

ny, gdy przygotowywała sklep na przyjęcie publiczności, było nadzwyczaj śmieszne. Skradała się do okna na palcach tak ostrożnie, jakby sobie wyobraziła, że jakiś łotr krwiożerczy, skryty za wiązem, czyha na jej życie. Wyciągała długą chudą rękę, kładła kartonik guziczków z perłowej masy, drumlę czy jakiś inny drobiazg na wyznaczonym miejscu i momentalnie znikała znów w mrocznym wnętrzu, jak gdyby świat nie śmiał się spodziewać, że ujrzy ją choćby raz jeszcze\* Można by pomyśleć, że pragnęła służyć potrzebom ludzkości z ukrycia, jak bezcielesne bóstwo lub czarodziejka podająca towary przejętemu czcią i grozą klientowi niewidzialną ręką. Lecz Hepziba tak pięknie o sobie nie marzyła. Wiedziała doskonale, że w końcu musi wystąpić i ukazać się w swej własnej postaci; tylko, podobnie jak wszystkie osoby wrażliwe, nie znosiła, by ją oglądano w czasie przygotowań, i wołała znienacka zabłysnąć przed zdumionym spojrzeniem świata.

Nie można już było dłużej odwlekać nieuniknionej chwili. Słońce podniosło się wyżej, a jego promienie, odbite przez okna domu po drugiej stronie ulicy, przedarły się przez gałęzie starego wiązu oświetlając wnętrze sklepu jaśniej niż dotychczas. Miasto zdawało się budzić. Po ulicy turkotał już wózek piekarza płosząc dysonansowym dźwiękiem swych dzwonek ciszę — ostatni ślad świętości nocy. Mleczarz roznosił bańki od drzwi do drzwi, a z za rogu rozbrzmiewał donośnie ostry dźwięk muszli rybaka. Żaden z tych znaków nie uszedł uwagi Hepziby. Chwila nadeszła. Dalsze zwlekanie przedłużyłoby tylko jej mękę. Nie pozostało już nic, tylko odsunąć sztabę z drzwi i otworzyć tym sposobem wejście do sklepu — nie tylko otworzyć, lecz uczynić je zapraszającym, zachęcającym dla każdego przechodnia zwabionego produktami z wystawy okiennej, tak właśnie, jak się zaprasza i zachęca do wejścia

przyjaciela domu. Tego ostatniego aktu dokonała teraz Hepziba opuszczając sztabę z hałasem, który odbił się ogłuszającym echem na jej napiętych nerwach. Następnie — jakby obaliło to ostatnią barierę dzielącą ją od świata i fatalne skutki jej czynu miały runąć falą przez otwór — uciekła do wewnętrznego pokoju, rzuciła się na krzesło z poręczami i zapłakała.

Biedna stara Hepziba! Dla pisarza, który próbuje ukazać naturę w jej przeróżnych stanach i okolicznościach, odtwarzając ją w możliwie wiernym zarysie i w prawdziwych barwach, jest wielką udręką, że do najczystszej patosu, którego mu życie wszędziedostarcza, dołącza się zawsze tak wiele rzeczy małych i śmiesznych. Ileż tragicznej wzniosłości można by na przykład wpleść w taką scenę! Lecz gdzież się podzieje wzniosłość tej naszej opowieści o karze za grzech niegdyś popełniony, skoro wprowadzimy jako jedną z czołowych postaci — nie piękną i młodą kobietę ani nawet dostojne resztki piękności, którą zniszczyła boleść, lecz starą, wychudłą, pożółkłą dziewicę o zeszywniałych kolanach, w jedwabnej sukni z długim stanikiem i z głową okrytą jakimś strasznydłem w kształcie turbanu! Jej twarz nie jest nawet brzydka. Od nic nie znaczącej przeciętności ratuje ją tylko ściągnięcie brwi w krótkowzroczny grymas. I w końcu najcięższą próbą jej życia wydaje się to, że po sześćdziesięciu latach próżnowania uznała, iż dogadzałoby jej zarabianie na chleb w sposób nie męczący, przez prowadzenie niewielkiego sklepiku.

Niemniej jednak, gdy przyjrzymy się heroicznym dziejom ludzkości, znajdziemy we wszystkich radościach i smutkach ten sam splot rzeczy małych i niskich z tym, co najszlachetniejsze. Życie składa się z marmuru i błota. I bez głębokiej wiary w Opatrzność, która czuwa nad nami, moglibyśmy powziąć podejrzenie, że w kamiennej twarzy losu, zmarszczonej

gniewem, kryje się także ponure szyderstwo. A przecież mianem poetyckiego widzenia określamy ten właśnie dar, który pozwala dostrzec w dziwnej gmatwaniu żywiołów piękno i wzniosłość, wcielone często w nikczemny kształt.

### III

#### PIERWSZY KLIENT

Panna Hepziba Pyncheon ukrywszy twarz w dłoniach siedziała w dębowym krześle z poręczami, dając upust ciężkiej żałości. Wielu ludzi zna to uczucie ogarniające nas u progu jakiegoś ważnego i niepewnego co do wyników przedsięwzięcia. W chwili takiej nawet i nadzieja kładzie się na serce ołowiem. Nagle poderwał ją przeraźliwy dźwięk, wysoki, ostry i urywany — głos małego dzwonka. Stara panna dźwignęła się na nogi, blada jak upiór o pianiu koguta, bo istotnie była zaklętym duchem, a ten głos — znakiem, któremu winna była posłuszeństwo. Ów dzwonek — aby użyć prostszego języka — przytwierdzony był nad wejściem do sklepu i tak pomyślany, że zaczynał drgać od dotknięcia stalowej sprężyny rozgłaszając w ten sposób we wnętrzu domu, że klient przekracza próg. Jego jazgotliwy dźwięk, słyszany

może po raz pierwszy od czasów, gdy peruka starego sklepikarza Pyncheona odeszła w zaświaty, wstrząsnął gwałtownie panną Hepzibą, szarpiąc każdy jej nerw niby struny klawikordu. Nadeszła chwila krytyczna. U drzwi stanął pierwszy klient!

Nie zostawiając sobie ani chwili czasu na dalsze rozmyślanie, wpadła do sklepu, blada, dzika, z rozpaczą w twarzy i w ruchach, groźnie namarszczona, lepiej z pozorów przysposobiona do stoczenia zażartej bójki z włamywaczem niż do zajęcia miejsca za ladą, aby z miłym uśmiechem przystąpić do wymiany drobnych produktów na miedziaki. Każdy zwyczajny klient oczywiście odwróciłby się i umknął. A przecież biedne stare serce Hepziby nie kryło żadnych złych zamiarów; nie żywiła w tej chwili urazy do nikogo: do żadnego mężczyzny i do żadnej kobiety indywidualnie ani do świata w ogólności. Życzyła im wszystkim jak najlepiej. A sama pragnęła tylko tego, by nic już z nimi nie mieć do czynienia i leć spokojnie w grobie.

Tymczasem klient znalazł się we wnętrzu sklepu. Przybywając wprost ze świata opromienionego porannym słońcem zdawał się wnosić do sklepu coś z jego radosnych blasków. Był to wysmukły młody człowiek liczący sobie nie więcej niż dwadzieścia dwa lata; twarz miał nad wiek poważną i zamyśloną, choć cała postać wyrażała energię, sprężystość i siłę. Cechy te widoczne były nie tylko w jego fizycznej postawie, w budowie ciała i w ruchach; czuło się również, że leżą w jego charakterze. Ciemna bujna broda okalała dolną część szczupłej twarzy nie pokrywając jej jeszcze całkowicie; nosił także krótki wąs, a jego wyrazista fizjonomia zyskiwała na tych ozdobach. Ubiór miał nader prosty: letnia bluza z lichego, zwyczajnego materiału, cienkie spodnie w kratkę i słomkowy kapelusz — też w nie najlepszym gatunku. Cały taki strój można było nabyć w tanim składzie z odzie-



żą. Na godność dżentelmena, o ile rościł sobie do niej pretensje, wskazywała głównie nieskazitelna biel i elegancja czystej koszuli.

Zniósł groźne spojrzenie starej Hepziby bez widomych oznak przerażenia, gdyż poznał je już wcześniej i znalazł nieszkodliwym.

— Tak więc, droga panno Pyncheon — rzekł dagerotypista, gdyż on to był, ów drugi samotny mieszkaniec rezydencji o Siedmiu Szczytach — z radością widzę, że nie cofnęła się pani przed wypełnieniem swego zacnego zamiaru. Zajrzałem tylko, aby złożyć pani moje najlepsze życzenia i zapytać, czy mógłbym być jeszcze pomocnym w jej przygotowaniach?

Ludzie zgębieni nieszczęściem lub skłóceniami ze światem zniosą złe traktowanie i może im to nawet dodać siły; jeśli natomiast doznają współczucia, które wyda im się szczere — załamują się. Tak też było z biedną Hepzibą; bo kiedy zobaczyła uśmiech młodzieńca, tym jaśniejszy, że ukazał się na twarzy pełnej zamyślenia, i usłyszała jego przyjazne słowa, wybuchnęła naprzód histerycznym śmiechem, a potem zaczęła łkać.

— Ach, panie Holgrave — wyjąkała, gdy już mogła przemówić. — Ja tego nigdy nie zniosę. Nigdy, przenigdy! Ach, żebym umarła i żebym mogła spocząć w naszym rodzinnym grobie, wśród moich przodków! Z moim ojcem, matką i siostrą. I z bratem lepiej żebyśmy się tam spotkali niż tutaj. Świat jest zbyt zimny i bezlitosny, a ja za stara, za słaba, zbyt wiele po-grzebałam nadziei.

— O, proszę mi wierzyć, panno Hepzibo — rzekł spokojnie młody człowiek — że uczucia takie przestaną zakłócać pani spokój, gdy pani przedsięwzięcie rozwinie się w pełni. Są nieuniknione w chwili, gdy ktoś stanie, tak jak pani, po raz pierwszy wobec ludzi po długim odosobnieniu; świat wtedy roi się od szpet-

nych kształtów, które, jak się pani wkrótce przekona, są równie nierzeczywiste jak olbrzymy i smoki z bajek dla dzieci. Stwierdziłem, że nic nie jest w życiu bardziej zastanawiające niż to, że w chwili, gdy istotnie zaczniemy z czymś walczyć, wszystko inne zdaje się tracić wagę. Podobnie będzie i z tym, co wydaje się pani tak straszne.

— Ależ ja jestem kobietą — powiedziała żałośnie Hepziba. — Chciałam powiedzieć: damą, ale uważam, że to już należy do przeszłości.

— Ano, nic się nie stało, jeśli to należy do przeszłości — odrzekł artysta i ledwie dostrzegalny sarkazm zabrzmiał w jego życzliwych słowach. — Niechże sobie idzie w przeszłość! Będzie pani lepiej bez tego. Mówię szczerze, droga panno Pyncheon, bo czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? Uważam dzień dzisiejszy za jeden ze szczęśliwszych dni w pani życiu. Kończy on pewną epokę i zaczyna nową. Dotychczas krew stygła powoli w pani żyłach, gdy trzymała się pani tak daleko od ludzi, w ciasnym kręgu wspomnień o dawnej świetności, kiedy reszta świata walczyła nieustannie o życie. Odtąd przynajmniej udziałem pani stanie się radość zrodzona z naturalnego i zdrowego wysiłku dla osiągnięcia jakiegoś celu, poczucie, że używa pani swych sił, wielkich czy małych, walczącej ludzkości. Oto sukces — największy, jaki może przypaść człowiekowi!

— To całkiem naturalne, panie Holgrave, że pan wygłasza takie myśli — odrzekła Hepziba prostując swą chudą postać gestem lekko urażonej godności. — Pan jest mężczyzną, młodym mężczyzną, i wychował się pan, jak sądzę, w takich zasadach jak wszyscy obecnie: że każdy sobie zdobywa majątek. Ale ja urodziłam się damą i zawsze żyłam jak dama; niezależnie od tego, jak ograniczone były moje środki — zawsze jak dama!

— Ale ja nie urodziłem się dżentelmenem ani też nie żyłem jak dżentelmen — mówił Holgrave uśmiechając się lekko. — Więc też, droga pani, nie może się pani spodziewać po mnie współczucia dla tego rodzaju wrażliwości, chociaż, o ile się nie mylę, mam niejakię dla niej zrozumienie. Te nazwy — dżentelmena i damy — miały znaczenie w minionej historii świata i nadawały przywileje pożądane lub niepożądane tym, co je nosili. W obecnym, a bardziej jeszcze w przyszłym stanie społeczeństwa oznaczają one nie przywilej, lecz ograniczenie!

— To jakieś nowe poglądy — powiedziała stara dama trzęsąc głową. — Ja ich nigdy nie zrozumiem i nie chcę rozumieć.

— W takim razie przestaniemy o nich mówić — odrzekł artysta z uśmiechem bardziej życzliwym niż przedtem. — I niech pani sama się przekona, czy nie lepiej być prawdziwą kobietą niż damą. Czy przypuszcza pani, panno Hepzibo, że odkąd stoi ten dom, którakolwiek dama z pani rodziny dokonała czynu bardziej bohaterskiego niż pani dzisiaj? Nigdy. I gdyby Pyncheonowie zawsze postępowali tak szlachetnie, wątpię, czy klątwa starego czarownika Maule'a, o której pani mi kiedyś opowiadała, mogła zachować nad nimi tak złowrogą moc w oczach Opatrzności.

— Ach, nie, nie! — rzekła Hepziba, nie bez zadowolenia wysłuchawszy tej aluzji do odziedziczonej klątwy, którą ród Pyncheonów zawsze się chlubił. — Gdyby duch starego Maule'a lub ktoś z jego potomnych mógł mnie oglądać dziś za kontuarem, nasyciłby tym widokiem najgorętsze pragnienie zemsty. Ale dziękuję panu za dobroć, panie Holgrave, i zrobię, co tylko w mojej mocy, aby stać się dobrą sklepikarką.

— Uczyni to pani, proszę — rzekł Holgrave. — I pozwól mi, abym miał tę przyjemność i stał się jej pierwszym klientem. Mam zamiar odbyć przechadzkę

nad morzem, zanim powrócę do mych pokojów, gdzie czynię tak zły użytek z zesłanego przez Niebiosą błogosławieństwa światła słonecznego, utrwalając z jego pomocą rysy ludzkich twarzy. O, kilka tych biszkoptów umaczanych w morskiej wodzie — tego właśnie potrzeba mi na śniadanie. Co kosztuje sześć takich?

— Niech pan mi pozwoli być damą jeszcze przez chwilę — odrzekła Hepziba z gestem pełnym dostojności, któremu melancholijny uśmiech dodał pewnego uroku. Włożyła mu do ręki biszkopty, lecz nie przyjęła zapłaty. Żaden Pyncheon nie przyjąłby pod dachem swych przodków pieniędzy za kawałek chleba od jedyne go przyjaciela.

Holgrave oddalił się i po jego odejściu przygnębienie Hepziby na chwilę ustąpiło. Wkrótce jednak poprzedni nastrój powrócił. Z bijącym sercem nasłuchiwała kroków wczesnych przechodniów, które teraz coraz częściej rozbrzmiewały na ulicy. Raz czy dwa razy kroki zdawały się zwalniać. Nieznajomi lub być może sąsiedzi patrzyli na wystawę zabawek i ładnych towarów w oknie sklepu Hepziby. Było to dla niej podwójną męką: po części gnębiło ją przemożne uczucie wstydu, że obce, nie kochające oczy mają prawo tu patrzeć, a następnie powracająca ze śmieszną uprzczywością myśl, że wystawa nie jest urządzona tak zręcznie i jakby należało i nie wypadła nawet w części tak efektownie, jakby wypaść mogła. Wydawało jej się, że sukces lub niepowodzenie jej sklepika zawisły od ukazania innego zestawienia towarów czy położenia piękniejszego jabłka w miejsce tego, które, zdaje się, miało plamkę. Poczyniła więc te zmiany i od razu wyobraziła sobie, że zepsuła wszystko, nie zgadując, że to tylko jej nerwy, podrażnione ową chwilą, i zwykłe staropanieńskie malkontenctwo winne są urojonej szkody.

Zaraz potem dwóch ludzi spotkało się tuż pod

drzwiami sklepu — dwóch robotników, sądząc z brzmienia szorstkich głosów. Zamienili kilka słów o swoich własnych sprawach, a potem jeden z nich spojrział przypadkiem na okno i zwrócił uwagę drugiego.

— Spójrzyj no tutaj! — zakrzyknął. — Co ty na to? Widzi mi się, że zaczynają się brać do handlu na ulicy Pyncheonów!

— No, no, to ci dopiero widowisko! — zawołał drugi. — W starym domu Pyncheonów i pod więzem Pyncheonów! Kto by to pomyślał? Stara panna Pyncheon zakłada centowy sklepik!

— Czy jej to pójdzie? Jak myślisz, Dixey? — spytał jego kolega. — Ja mówię, że to niedobry punkt. Drugi sklep jest zaraz za rogiem.

— Czy jej to pójdzie! — zakrzyknął Dixey bardzo pogardliwym tonem, jak gdyby sama myśl była nie do pojęcia. — Gdzie tam! Jej twarz, widziałem ją kiedyś, bom jednego roku kopał jej ogród, jej twarz wystarczy, żeby odstraszyć samego diabła, gdyby mu przysłała ochota z nią pohandlować. Ludzie tego nie ścierpią, ja ci to mówię. Zawsze nadęta, trzeba czy nie trzeba, tak już, z czystej złości!

— No, to tak znowu bardzo nie przeszkadza — zauważył drugi mężczyzna. — Tacy ludzie, co mają zły charakter, to najlepsi do interesu i dobrze pilnują swego. Ale, jak powiadasz, i ja też tak myślę, że dużo to ona nie zarobi. Za wiele chętnych do tego interesu, tak jak i do wszystkiego: do handlu i do rzemiosła, i do zwyczajnej roboty. Poznałem to na własnej skórze! Moja żona prowadziła sklep centowy przez trzy miesiące i straciła pięć dolarów z kapitału!

— Marny interes — odpowiedział Dixey takim tonem, jakby potrzasał głową — marny interes!

Z jakiejś trudnej do zanalizowania przyczyny ból, który przeszył serce Hepziby, gdy wysłuchiwała tej roz-

mowy, przewyższył wszystkie cierpienia, jakie do-  
tychczas przeszła z powodu sklepu. Ta opinia doty-  
cząca jej zmarszczonej twarzy była straszliwie ważna.  
Zdradziła jej tajemnicę własnej powierzchowności,  
która się jej przedstawiała może w pochlebniejszym  
świetle, i ten ujawniony obraz był tak ohydny, że nie  
śmiała na niego spojrzeć. Czuła się też w niedorzecz-  
ny sposób urażona tym, że otwarcie przez nią skle-  
pu — wydarzenie niesłychanie interesujące dla niej  
samej — było tak błaha i mało ważne dla publiczno-  
ści reprezentowanej doraźnie przez tych dwóch męż-  
czyzn. Jedno spojrzenie, jedno czy dwa słowa rzuco-  
ne mimochodem, brutalny śmiech; i oto bez wątpienia  
zapomnieli o niej jeszcze przed zakrętem ulicy. Ni-  
czym dla nich była jej godność i jej poniżenie. Tak-  
że przepowiednia bankructwa rzucona z wyżyn do-  
świadczenia opadła na jej zamierającą nadzieję jak  
gruda ziemi na świeżą mogiłę. Żona tego człowieka  
spróbowała już centowego handlu i nie powiodło się  
jej! Jakże mogła urodzona pani, samotnica przez ty-  
le lat, całkiem ze światem nieobyta, w sześćdziesiątym  
roku życia — jak mogła marzyć nawet o powodzeniu,  
kiedy twarda, wulgarna, sprytna, obrotna, nawykła  
do pracy kobieta straciła ze swego małego wkładu  
pięć dolarów! Powodzenie wydawało się niepodobień-  
stwem, a nadzieja na nie — przywidzeniem szaleńca.

Jakiś złośliwy duch, starając się doprowadzić Hepzi-  
bę do obłądu, roztoczył w jej wyobraźni wizję wiel-  
komijskiej ulicy rojnej od tłumy klientów. Jakież  
tam się widziało wspaniałe sklepy i ile ich było! Skle-  
py korzenne, z zabawkami, sklepy towarów łokcio-  
wych; wszędzie olbrzymie szyby z lustrzanego szkła,  
bogate urządzenia, obszerny i kompletny asortyment  
towarów, w które włożono majątek; a te okazałe  
zwierciadła w głębi każdego lokalu sklepowego po-  
mnażające wszystkie bogactwa w gładko wypolero-

wanym blasku łudzącej perspektywy! Po jednej stronie ulicy ów wspaniały bazar z mnogością uperfumowanych i gładkich sprzedawców, służalczo uśmiechniętych, zgiętych w ukłonach przy odmierzaniu towarów. Po drugiej stronie zakurzony wiekowy Dom o Siedmiu Szczytach ze staromodnym oknem sklepowym kryjącym się w cieniu górnego piętra, a za kontuarem sama Hepziba w czarnej zrudziałej sukni, obrzucająca przechodniów groźnym spojrzeniem spod namarszczonych brwi! Ten ogromny kontrast sam się narzucał i uczciwie pokazywał nierówne szanse walki o zdobycie środków egzystencji, walki, która miała się rozpocząć. Powodzenie? Śmieszne! Nigdy już nie pomyśli o tym. Dom ten mógłby równie dobrze tonąć w odwiecznej mgle, gdy wszystkie inne domy pławiły się w słońcu. Gdyż żadna stopa nie przekroczy jego progu, żadna dłoń nie dotknie nawet klamki.

Lecz w tejże chwili dzwonek nad jej głową zadźwięczał, jakby zaczarowany. Serce starej pani było chyba związane z tą stalową sprężyną, gdyż równo z nią przeszło przez wszystkie ostro urywane drgnięcia. Drzwi otworzyły się, choć żaden ludzki kształt nie ukazał się po tamtej stronie. Hepziba jednakże stanęła zwrócona twarzą do wejścia z zaciśniętymi rękoma i z taką miną, jakby wywołała złego ducha i postanowiła, choć z lękiem, wyjść mu na spotkanie.

„Wielkie nieba, pomóżcie mi! — jęknęła w myśli. — Nadeszła godzina próby”.

Drzwi, które poruszały się ciężko na skrzypiących i zardzewiałych zawiasach, otwarto przemocą na oścież i ukazał się w nich mały urwis, krępy i krzepki, z czerwonymi jak jabłko policzkami. Ubrany był dość lichy — jak się zdaje, bardziej wskutek niedbalstwa matki niż ubóstwa ojca — w niebieski fartuszek, bardzo szerokie i krótkie spodenki, buciki, z których wyłaziły palce, i słomkowy podarty kapelus, z któ-

rego sterczały kępki wijących się włosów. Książka i mała tabliczka pod pachą wskazywały, że był w drodze do szkoły. Patrzył przez chwilę na Hepzibę, jakby to prawdopodobnie uczynił i starszy od niego klient, nie zgadując, co by oznaczać mogła tragiczna poza i dziwny mars na czole, spod którego biegło jej spojrzenie.

— No, moje dziecko — przemówiła nabierając odwagi na widok tak mało groźnej osobistości. — No, moje dziecko, czego sobie życzysz?

— Tego murzynka, tam z okna — odpowiedział urwis wyciągając centa i wskazał palcem figurkę z piernika, która przyciągnęła jego uwagę, gdy szedł do szkoły. — Ale nie tego, co ma odłamaną nogę.

Hepziba sięgnęła chudą ręką i biorąc kukiełkę z wystawy wręczyła ją swemu pierwszemu klientowi.

— Mniejsza o pieniądze — powiedziała popychając go lekko ku drzwiom, gdyż jej duma rodowa znów się zjeżyła na widok miedzianej monety, a zresztą zabieranie kieszonkowych groszaków dziecka w zamian za kawałek stęchłego piernika zdawało się bezlitosną chciwością. — Mniejsza o centa. Niech ci murzynek pójdzie na zdrowie.

Chłopaczek wytrzeszczył oczy na ten przykład hojności, zupełnie niespotykanej w jego rozległym doświadczeniu z centowymi sklepikami, wziął kukiełkę z piernika i opuścił lokal. Nim jeszcze mały kanibal znalazł się na chodniku, głowa murzynka zniknęła w jego ustach. Ponieważ nie zamknął za sobą drzwi, musiała to uczynić Hepziba zręcząc coś o wiecznych kłopotach z młodzieżą, a szczególnie z chłopcami. Umieściła właśnie drugi egzemplarz sławetnego murzynka w oknie, gdy dzwonek znów zadźwięczał hałaśliwie i znowu drzwi otwierające się z charakterystycznym zgrzytem i szarpaniem ukazały tegoż samego tęgiego urwisa, który odszedł dokładnie dwie mi-



nuty temu. Dokoła ust widniały bardzo wyraźnie okruchy i smugi pozostałe po ostatniej, ledwie że dokonanej orgii ludożerstwa.

— A teraz czego chcesz, dziecko? — spytała stara panna trochę niecierpliwie. — Czy wróciłeś, żeby zamknąć drzwi?

— Nie — odrzekł urwis pokazując figurkę świeżo wystawioną. — Ja chcę tego drugiego murzynka.

— Proszę — powiedziała Hepziba podając go. Lecz ponieważ czuła, że ten wytrwały klient nie opuści jej w tych warunkach, póki w sklepie pozostanie choćby jedna figurka z piernika, cofnęła nieco wyciągniętą rękę. — A gdzie twój cencik?

Chłopczyk trzymał centa w pogotowiu, lecz jako nieodrodny Jankes wolał zrobić lepszy interes niż gorszy. Ze smutną trochę miną położył monetę na dłoni Hepziby i oddalił się wysyłając natychmiast następnego murzynka na poszukiwanie pierwszego. Nowa kupcowa wrzuciła do szufladki pierwszy konkretny rezultat swego handlowego przedsięwzięcia. Stało się. Szpetna plama tej miedzianej monety nie da się już nigdy zmyć z jej dłoni. Mały uczeń z pomocą diabelskiej figurki murzyńskiego tancerza wyrządził niepowetowaną szkodę. Dawny ład starej arystokracji za jego sprawą legł w gruzach, zupełnie tak, jak gdyby dziecinna rączka rozwaliła dwór o Siedmiu Szczytach! Teraz mogła Hepziba obrócić stare portrety Pyncheonów twarzą do ściany i użyć mapę wschodnich posiadłości do rozpalenia ognia pod kuchnią, a płomień rozdmuchać próżnym już tchnieniem swych rodowych tradycji! Cóż miała wspólnego z puścizną przodków? Nic. Nie więcej niż z życiem przyszłych pokoleń. Już nie pani, lecz po prostu Hepziba Pyncheon, zapomniana, zagubiona w świecie stara panna i właścicielka sklepu centowego!

Niemniej jednak wtedy właśnie, gdy ostentacyjnie

stroiała swą duszę w te myśli, rzecz zdumiewająca — ogarnął ją nagle błogi spokój. Zwątpienie i złe przeczucia, które dręczyły ją we śnie i w melancholijnych marzeniach na jawie, odkąd jej plan zaczął się oblekać w kształt realny, zniknęły teraz zupełnie. Czuła nowość swojej pozycji, lecz już bez lęku i rozterki. Chwilami przenikał ją dreszcz młodzieńczego prawie rozradowania. To był pokrzepiający świeży powiew otwartej przestrzeni po długiej martwocie i monotonnym odosobnieniu jej życia. Jak zdrowy jest taki trud! Jak cudowna siła, której istnienia nawet nie podejrzewamy! Zdrowy napływ energii, największy, jakiego doznała od lat Hecziba, nadszedł teraz, w chwili kryzysu, którego tak się obawiała, kiedy po raz pierwszy podniosła rękę, aby sama na siebie zapracować. Mały krążek uczniowskiego miedziaka — choć taki starty i pozbawiony połysku od służby w różnych miejscach wielkiego świata — okazał się talizmanem rozsiewającym dobro, godnym, by oprawić go w złoto i nosić na sercu. Był tak potężny, a może obdarzony tą samą zdolnością, co galwaniczny pierścień? W każdym razie miała mu wiele do zawdzięczenia i dusza Hecziby, i jej ciało, tym bardziej że natchnął ją energią wystarczającą do przyrządzenia śniadania, podczas którego, aby pobudzić jeszcze bardziej swą odwagę, pozwoliła sobie na naparzenie dodatkowej łyżeczki herbaty.

Jednakże ten pierwszy dzień prowadzenia sklepu nie przeszedł tak gładko, by ów nastrój radosnej siły pozostał nie przerwany; przerywano go wiele razy i to w sposób bardzo dotkliwy. Na ogół Opatrzność rzadko udziela śmiertelnym więcej zachęty, niż jej koniecznie potrzeba na to, by mogli się trudzić dalej wyczerpując swe siły aż do granic zakreślonych zdrowym rozsądkiem. Jeśli chodzi o Heczibę, to gdy jej podniecenie ustąpiło, czuła chwilami groźbę powra-

cającego przygnębienia, w jakim upływało jej całe życie. Wisiało nad nią jak chmury, które zaciemniają niebo i czynią wszędzie szary mrok, i dopiero pod wieczór ustępują na chwilę przebłyskowi słońca. Ale zawsze zawistna chmura stara się znów zasłonić błękit.

Mijały poranne godziny i przychodzili klienci, lecz raczej z rzadka, a w niektórych przypadkach z niewielkim pożytkiem dla siebie i dla panny Hepziby, a także, ogólnie biorąc, bez większego przyczynku do zawartości szufladki. Jedna dziewczynka, posłana przez matkę, by dobrać motek bawełnianej przędzy o specjalnym odcieniu, wzięła ten, który krótkowzroczna starsza pani uznała za nader podobny, lecz wkrótce przybiegła z powrotem oznajmiając krótko i niegrzecznie, że to nie ten kolor, a zresztą nici bardzo liche! Przyszła też jakaś kobieta, blada, z twarzą pooraną cierpieniem, nie stara, lecz wynędzniała, a włosy jej przecinały pasma siwizny jak srebrne wstążki; jedna z tych kobiet delikatnych z natury, po których od razu widać śmiertelne znużenie z winy męża brutala, prawdopodobnie pijaka, i dziewięciorga co najmniej dzieci. Chciała kilka funtów mąki i podała zapłatę, którą zrujnowana dama w milczeniu odsunęła dając biedaczce lepszą wagę, niżby się należało za pieniądze. Wkrótce potem wszedł mężczyzna w niebieskiej bawełnianej bluzie, mocno zabrudzonej, i nabył fajkę napełniając sklepik mocnym zapachem alkoholu, który nie tylko wydobywał się z jego gorącym oddechem, lecz wydzielał się z całej postaci jak gaz. Hepziba umyśliła sobie, że jest to mąż zatroskanej kobiety. Zażądał paczki tytoniu, a ponieważ Hepziba zaniedbała zaopatrzenia się w ten artykuł, jej brutalny klient rzucił świeżo kupioną fajkę i opuścił sklep mamrocząc niezrozumiałe słowa, które brzmiały jak przekleństwa. Na co Hepziba wzniosła oczy ku niebu, nie-

świadomie marszcząc groźnie brew prosto w twarz Opatrzności.

Co najmniej z pięć osób pytało tego ranka o piwo słodowe albo korzenne lub o inne trunki, a nie otrzymawszy ich odchodziło w bardzo złym humorze. Troje z nich zostawiło drzwi otwarte, a dwie pozostałe osoby trzasnęły nimi z taką złością, że mały dzwonek zaczął wygrywać swoją nutę na nerwach Hepziby jak prawdziwy szatan. Okragła, energiczna, zaczerwieniona od ognia gospodyni z sąsiedztwa wpadła zadyszana do sklepu żądając gwałtownie drożdży. A kiedy biedna Hepziba nieśmiało i chłodno jak zazwyczaj dała do zrozumienia swojej rozgorączkowanej klientce, że nie trzyma tego artykułu, znakomita gospodyni przystąpiła do udzielenia jej regularnej nagany.

— Sklep centowy bez drożdży! — zakrzyknęła. — To na nic! Kto to słyszał coś podobnego? Pani chleb nigdy nie wyrośnie, tak jak mój nie wyrośnie dzisiaj. Lepiej by pani od razu sklep zamknęła.

— Ano — powiedziała Hepziba z głębokim westchnieniem — może bym i lepiej zrobiła.

Kilka razy, oprócz przytoczonego wypadku, jej arystokratyczna wrażliwość bardzo ucierpiała od poufatego, jeśli nie wręcz ordynarnego tonu, jakim zwracali się do niej ludzie. Uważali się najwidoczniej nie tylko za równych, lecz za wyższych od niej, za jej patronów. A Hepziba nieświadomie spodziewała się, że wokół jej osoby unosić się będzie aureola czy jakaś jasność, która wzbudzi cześć dla jej nieskalanego szlachectwa lub przynajmniej milczące dla niego uznanie. Z drugiej strony nic nie było dla niej bardziej nieznośne niż uznanie takie, okazane zbyt wyraźnie. Kiedy raz czy dwa razy wyrażono jej współczucie w sposób nieco natrętny, odpowiedziała prawie cierpko. Z przykrością też musimy stwierdzić, że Hepziba wpadła w całkiem niechrześcijańską złość, kiedy powzięła podejrzenie, że

jedną z jej klientek przywiodła do sklepu nie rzecz-wista potrzeba artykułu, o który pytała, lecz tylko chęć popatrzenia na nią. To wulgarne stworzenie postanowiło zobaczyć na własne oczy, jak wygląda za kontuarem ów arystokratyczny badył, który przekwitł i usechł z dala od .świata. Choć groźny mars zjawił się na twarzy Hepziby mimo woli i był zupełnie nie-szkodliwy, w tym szczególnym przypadku oddał jej znakomitą usługę.

— Nigdy w życiu się tak nie wystraszyłam — opo-wiadała potem ciekawa klientka jednej znajomej. — To prawdziwa wiedźma, słowo daję! Mówi mało, to prawda, ale żeby pani zobaczyła tylko, jaką ma złość w oczach!

Ogólnie mówiąc zatem, nowe doświadczenia dopro-wadziły naszą zrujnowaną szlachciankę do bardzo nie-przyjemnych konkluzji co do charakteru i manier tych, których określała jako klasy niższe, a na których spo-głądała dotąd z góry, z łagodną życzliwością i polito-waniem, jako że sama zajmowała pozycję bezspornie wyższą. Lecz na nieszczęście musiała również walczyć z uczuciem goryczy skierowanej w całkiem odwrot-nym kierunku. Była to jadowita złość na próżną arystokrację, do której się tak niedawno z dumą za-liczała. W pewnej chwili na tej zapadłej ulicy zjawiła się przypadkiem jakaś dama w delikatnym i kosztow-nym letnim stroju, z powiewającym na wietrze woalem i wdzięcznie rozkołysanymi fałdami sukni, pły-nąca z tak eteryczną lekkością, że aż kusiło, by spoj-rzeć ukradkiem na wykwintnie obutą nóżkę i przekon-ać się, czy dama stapa po ziemi, czy płynie w po-wietrzu. Zjawisko to pozostawiło po sobie woń subtelną i nieuchwytną, jak gdyby niesiono tędy bukiet róż herbacianych — a także zmarszczkę na czole Hepziby, której nie można by wytłumaczyć wyłącznie krótko-wzrocznością.

„W jakim celu — myślała ulegając zawiści, która jest jedynym prawdziwym poniżeniem biedy wobec bogactwa — w jakim celu mądra Opatrzność każe żyć tej kobiecie? Czy cały świat musi się męczyć po to, by jej dłonie pozostały białe i delikatne?”

Potem, zawstydzona i pełna skruchy, ukryła twarz w dłonie.

— Niech mi Bóg przebaczy! — powiedziała.

Bez wątpienia Bóg jej przebaczył. Lecz rozpamiętując wydarzenia i przeżycia tego dnia Hepziba zaczęła się obawiać, że sklep spowoduje upadek jej moralności i uczuć religijnych nie przynosząc zbyt wielu doczesnych korzyści.

## DZIEŃ ZA KONTUAREM

Około południa Hecziba ujrzała po przeciwnej stronie białej zakurzonej ulicy starszego pana o wyniosłej postaci i ruchach pełnych godności. Gdy znalazł się w cieniu wiązu Pyncheonów, zatrzymał się, zdjął kapelusz i ocierając spocone czoło oglądał uważnie i z zainteresowaniem zniszczony, poczerniały od starości Dom o Siedmiu Szczytach. Ów pan nie mniej zasługiwał na uwagę niż stary dom, choć z powodów zupełnie odmiennych. Mógł on być wzorem człowieka szacownego i trudno by przyszło znaleźć, a i szukać próżno lepszego przedstawiciela i doskonalszego wcielenia owej szacowności, która przez jakieś nieopisane czary wyrażała się nie tylko w wejściu i geście, lecz także w ubraniu. Strój wydawał się tak dopasowany do owej osobistości, jakby był z nią zrosnięty. Choć nie różnił się w sposób uchwytny

od ubrania innych ludzi, to przecież tchnął jakąś dostojną powagą, która leżała zapewne w charakterze właściciela, ponieważ nie można było jej wytłumaczyć ani krojem, ani materiałem. Laska, solidna podpora z ciemnego polerowanego drzewa ze złotą gałką — tyleż samo miała wyrazu i gdyby jej przyszło do głowy wybrać się na spacer samodzielnie, rozpoznano by ją wszędzie jako godną przedstawicielkę swego pana. Ów styl, tak widoczny we wszystkim, co go otaczało, a którego wrażenie staramy się przekazać czytelnikowi, nie dawał zresztą głębszej znajomości charakteru człowieka, określając tylko jego pozycję społeczną, przyzwyczajenia i zewnętrzne warunki życia. Czuło się, że osoba to znaczna i wpływowa; a zwłaszcza z taką pewnością narzucała się myśl, że jest to człowiek zamożny, jak gdyby okazał swoje konto bankowe albo jakby dotykając gałązek wiazu Pyncheonów w naszych oczach przemienił je w złoto niby król Midas.

W młodości uchodził prawdopodobnie za człowieka przystojnego. Obecnie brew była zbyt nawisła, skronie zbyt skąpo porośnięte, nieliczne pozostałe włosy zbyt siwe, oczy za zimno patrzące, a usta zanadto zaciśnięte, żeby mogły mieć coś wspólnego z pięknnością. Nadawałby się doskonale do portretu — dobrego, solidnego portretu, może nawet lepiej teraz niż we wcześniejszych latach swego życia, choć jego fizjonomia przeniesiona na płótno mogłaby się okazać wręcz przykra. Artysta zapragnąłby z pewnością przestudiować jego twarz i pokazać, jak potrafi zmieniać swój wyraz: omroczyć ją namarszczeniem czoła — rozświetlić uśmiechem.

Stojąc tak i patrząc na dom Pyncheonów starszy pan i chmurzył się, i uśmiechał na przemian. Zatrzymał wzrok na wystawie i podnosząc do oczu binokle oprawne w złoto przyjrzał się dokładnie zabawkom



i produktom ułożonym przez Hepzibę. Widok ten — jak się wydaje — początkowo nie sprawił mu przyjemności, lecz raczej najżywszą przykrość; a jednak zaraz w następnej chwili uśmiechnął się. Uśmiech nie zniknął mu jeszcze z twarzy, gdy spojrzenie jego napotkało nagle twarz Hepziby, która mimo woli nachyliła się do okna. Wówczas ten uśmiech, cierpki i nieprzyjemny, zmienił się w wyraz promiennej życzliwości i dobroci. Złożył ukłon, w którym godność i uprzejmość jednoczyły się w szczęśliwej proporcji, i poszedł dalej swoją drogą.

— Otóż i on! — powiedziała do siebie Hepziba tłumiąc westchnienie goryczy, którą usiłowała wpędzić z powrotem do serca, skoro jej się nie mogła pozbyć. — Ciekawam, co o tym myśli? Czy mu się to podoba? Ach, ogląda się!

Odchodzący pan zatrzymał się na ulicy i zrobił pół obrotu do tyłu, oglądając się jeszcze na okno sklepowe. A nawet odwrócił się całkiem i posunął jeden czy dwa kroki, jakby w zamiarze wstąpienia do sklepu; lecz tak się zdarzyło, że jego chęci uprzedził pierwszy klient Hepziby, mały pożeracz murzynków z piernika, który patrząc na wystawę poczuł niepowstrzymany pociąg do piernikowego słonia. Co za wspaniały obzartuch! Dwa murzynki zaraz po śniadaniu, a teraz słoń dla zaostrenia apetytu przed obiadem! Gdy transakcji dokonano, starszy pan, który tymczasem ruszył w drogę, znikł już za rogiem ulicy.

— Myśl teraz, co chcesz, kuzynie Jaffrey! — mruknięta cofając się z powrotem do sklepu stara panna, gdyż zaraz po odejściu chłopca ostrożnie wysunęła głowę przez drzwi i spojrzała w górę i w dół ulicy. — Myśl teraz, co chcesz! Widziałeś moją małą wystawę w oknie? To i dobrze. Cóż mi masz do powiedzenia? Czy dom Pyncheonów nie jest moim, póki żyję?

Po tym zajściu Hepziba cofnęła się do pokoiku za

sklepem, gdzie chwyciła nie dokończoną pończochę i kręcąc drutami szarpała nerwowo nici. Lecz szybko spostrzegła, że nie dojdzie do ładu z oczkami, odrzuciła ją i zaczęła krążyć po pokoju. Wreszcie zatrzymała się przed portretem starego srogiego Purytanina, swego przodka i założyciela domu. Obraz ten właściwie spłowił i skrył się w cieniach starości, lecz Hepzibie zdawało się, że portret od czasów jej dzieciństwa stał się bardziej widoczny i uderzająco wyrazisty. Gdyż w miarę jak czas zacierał rysunek i barwy i skrywał je przed okiem patrzącego, cechy duchowe — hardy, nieustępliwy a zarazem kręty charakter tego człowieka — rysowały się coraz wyraźniej. Tym przemianom ulegają niekiedy bardzo stare portrety. Nabierają one takiego wyglądu, że artyście (jeśli posiadał choć trochę uprzejmości właściwej artystom naszej doby) nie przyszłoby nawet do głowy zaprezentować owego portretu możnemu klientowi jako jego charakterystyczną podobiznę, a jednak rozpoznajemy w nim od razu odbicie prawdy, choć niemiłej, o duszy ludzkiej. W takich wypadkach głębsze wycucie przez malarza cech wewnętrznych modelu przeniknęło istotę obrazu i staje się widoczne wówczas, gdy czas już zatarł powierzchowne barwy.

Patrząc na portret Hepziba zadrżała pod jego spojrzeniem. Odziedziczone poczucie respektu sprawiło, że strach jej było osądzać charakter pradziada tak surowo, jak żądała tego prawda. Lecz patrzyła ciągle, gdyż twarz z obrazu pomagała jej odczytać dokładniej i głębiej twarz widzianą przed chwilą na ulicy — przynajmniej tak sobie Hepziba wyobraziła.

— Ten sam człowiek! — zamruczała do siebie. — Niech się Jaffrey Pyncheon uśmiecha, ile chce, to samo wejrzenie pod uśmiechem! Nałożyć mu taką czapkę, wstęgę i czarny płaszcz, dać Biblię do jednej ręki a miecz do drugiej — a potem niech się Jaffrey

uśmiecha, ile chce — każdy pozna, że oto ożył stary Pyncheon. Przecież dowiódł, że jest właściwym człowiekiem do wzniesienia nowego domu! A może też do ściągnięcia nowego przekleństwa?!

Tak się odurzała stara Hepziba fantazjami z dawnych czasów. Zbyt długo mieszkała sama — i zbyt długo w domu Pyncheonów — aż w końcu jej umysł nasycił się próchnem drewnianych ścian. Przydałby jej się spacer po ulicy w samo południe, żeby mogła odzyskać równowagę ducha.

Prawem kontrastu oczy jej ujrzały inny portret, malowany jej wyobraźnią bardziej pochlebnie, niż ważyłby się na to jakikolwiek artysta, lecz z taką subtelnością, że podobieństwo pozostało wierne. Miniatura Malbone'a, choć ten sam miała model, nie mogła się równać z urojonym obrazem Hepziby, nad którym pracowały pospołu miłość i smutne wspomnienie; delikatna twarz pogrążona w łagodnym zamyśleniu, pełne czerwone usta, na które miał spływać uśmiech zapowiedziany przez pogodne rozbłyśnięcie oczu; delikatne rysy kojarzące się nieodparcie z twarzą; kobiety. Tę cechę posiadała także miniatura w takim stopniu, iż nie można było oprzeć się myśli, że mężczyzna ów podobny był zapewne do swojej matki, a ta musiała być kobietą pełną uroku i bardzo kochaną. Może miała wady, lecz na pewno przydawały jej wdzięku i więcej jeszcze kazały ją kochać.

„Tak — myślała Hepziba z boleścią. — Prześladowali w nim matkę! On nigdy nie był Pyncheonem”. I wezbrana w sercu gorycz napełniła jej oczy łzami.

Zadzwoił sklepowy dzwonek; dźwięk jego przedarł się jakby z wielkiej odległości — tak daleko zapuściła się Hepziba w żałobne głębie swych wspomnień. Wchodząc do sklepu ujrzała tam staruszka, skromnego mieszkańca ulicy Pyncheonów, który od wielu lat był zaufanym w jej domu. To indywiduum żyło od

niepamiętnych czasów i zawsze chyba miało siwą głowę i zmarszczki, a nigdy ponad jeden ząb mieć nie mogło, i to ząb na pół spróchniały, w górnej szczęce na przodzie. Jakkolwiek dobrze posunięta w latach, Hepziba nie pamiętała takich czasów, żeby wujek Venner, jak go wołano w okolicy, nie chodził tędy, nieco przygarbiony, powłócząc ciężko nogami. Lecz miał ciągle jeszcze w sobie tyle siły i energii, że nie tylko się poruszał, lecz z pożytkiem zapełniał miejsce, które bez niego pozostałoby puste w tym pozornie natłoczonym świecie. Chodził na posyłki wolnym powłóczącym krokiem, który budził wątpliwość, czy on w ogóle gdzieś dojdzie; czasem upiłował parę stóp drzewa na opał dla jakiegoś gospodarstwa albo rozbił na kawałki starą beczkę, albo poszczypał na rozpałkę deskę sosnową; w lecie kopał mały ogródek przy domku, w którym siedział za marny czynsz, i owocem tej pracy dzielił się do połowy z właścicielem; w zimie odrzucał łopatą śnieg z chodnika lub odmiatał ścieżki do drewnitni albo koło żerdzi na bieliznę. Oto niektóre z ważniejszych usług oddawanych przez wujka Vennera sąsiednim gospodarstwom. W tym kręgu rościł sobie prawa do tych samych przywilejów i budził prawdopodobnie tyleż ciepłego zainteresowania, co pastor w gromadzie swych parafian. Nie żądał wprawdzie dziesięciny z hodowanej nierogacizny, lecz każdego ranka robił obchód, aby pozbierać okruchy ze stołów i resztki z garnków na pokarm dla swojej własnej świnki.

Za młodszych lat — bo mimo wszystko utrzymywała się mglista tradycja, że był on kiedyś nie młody może, lecz młodszy — wujek Venner uważany był ogólnie za człowieka nieco słabego na umyśle. Rzeczywiście dowiódł słuszności tego zarzutu przez to, że nie dążył nigdy do zdobycia powodzenia w świecie jak inni ludzie i zadowalał się jak najskromniejszą po-

zycją, taką właśnie, jaka należy się owej ułomności. Lecz teraz, w wieku sędziwym, czy to długie i twarde doświadczenie rozjaśniło mu umysł, czy też zaniżająca trafność sądu uczyniła go mniej zdolnym do oceny samego siebie, ten czcigodny człowiek począł uważać się za mędrca i naprawdę cieszył się taką opinią. Odzywała się w nim też czasem jakaś poetycka żyłka, jak gdyby umysł starca, z wolna chylący się do upadku, porastał zielonym mchem, i to nadawało urok jego postaci, być może wulgarnej i pospolitej w młodszych latach. Hepzdba miała dla niego względy, bo nosił nazwisko z dawien dawna znane w mieście, a niegdyś należące do zacnej rodziny. Słuszniejszą jeszcze rację, by darzyć go względami rodzinnej niemal poufałości, stanowił fakt, że wujek Venner był najstarszym na ulicy Pyncheonów zabytkiem wśród ludzi i rzeczy, wyjąwszy Dom o Siedmiu Szczytach i może więz, który go oceniał.

Patriarcha ten ukazał się teraz przed Hepzibą odziany w stary niebieski kabat modnego kroju, który prawdopodobnie pochodził z odrzuconej garderoby jakiegoś urzędnika-eleganta. Spodnie były zgrzebne, miały bardzo krótkie nogawki i wydymały się dziwnie z tyłu, a jednak bardziej do niego pasowały niż górna część garderoby. Kapelusz nie miał nic wspólnego z resztą ubrania i niewiele z głową, która go nosiła. Był więc wujek Venner osobistością złożoną i różnorodną — w części samym sobą, lecz w większej mierze kimś innym; a także łataniną z różnych epok, skróconym przeglądem różnych sezonów i mód.

— A więc pani naprawdę wzięła się do handlu — powiedział — naprawdę wzięła się do handlu. No, no, cieszę się, że to widzę. Młodzi nie powinni próżnować na tym świecie, a starzy też nie, póki ich reumatyzmy nie pokręcą. Ja już miałem ostrzeżenie i za dwa, trzy lata pomyślę nad tym, żeby się wycofać

z interesów i zamieszkać na mojej farmie. To tam, ten duży ceglany dom, wie pani. Ludziska nazywają go przytułkiem. Ale przedtem chcę zrobić, co jest jeszcze do zrobienia, bo tam będę próżnował i używał życia. I bardzo mnie to cieszy, że pani zaczyna swoją pracę, panno H<sup>^</sup>pzibo.

— Dziękuję wam, wujku Venner — powiedziała Hepziba z uśmiechem, bo zawsze czuła sympatię do tego prostego gadatliwego staruszka. Gdyby był kobietą, prawdopodobnie odepchnęłaby poufałość, którą teraz łaskawie przyjmowała. — Zaiste czas już na mnie, żeby zacząć jakąś pracę! Albo raczej, prawdę powiedziawszy, rozpoczęłam ją, kiedy powinna bym już kończyć.

— Och, niech pani tego nigdy nie mówi, panno Hepzibo — odpowiedział staruszek. — Z pani jeszcze młoda kobieta. Jakże to, niedawno temu, a nie uważałem się wtedy za wiele młodszego niż teraz, bawiła się pani przy drzwiach tego domu jako dziecko! Chociaż częściej siadywała pani na progu i patrzyła z powagą na ulicę; bo pani zawsze była poważnym dzieckiem — już wtedy miała pani minę dorosłej osoby, kiedy mi pani ledwie że do kolan sięgała. Jakbym panią widział teraz! I pani dziadka, jak w czerwonym surducie, w białej peruce, w trójkątnym kapeluszu i z laską wychodzi z domu i kroczy po ulicy z pańską miną! O, ci starzy panowie, co się wychowywali przed Rewolucją, z pańska się nosili! Za moich młodych dni takiego wielkiego pana w mieście nazywali królem; a o jego żonie nie mówili, naturalnie, królowa, tylko pani. Dzisiaj żaden człowiek by nie śmiał nazywać się królem; a jeżeli czuje się trochę wyższy nad zwyczajnych ludzi, to tylko niżej im się kłania. Spotkałem teraz pana sędziego, pani kuzyna, będzie temu z dziesięć minut, i pan sędzia (tak mi się zdaje) uchylił przede mną kapelusza — jak mnie pani tu widzi w moich sta-

rych zgrzebnych portkach! W każdym razie kiwnął głową i uśmiechnął się!

— Tak — rzekła Hepziba, a do jej tonu wkradła się bezwiedna gorycz. — Ludzie uważają, że mój kuzyn Jaffrey ma bardzo miły uśmiech!

— I ma rzeczywiście — odrzekł wujek Venner. — A to rzecz godna uwagi u Pyncheona, bo z przeproszeniem pani, panno Hepzibo, Pyncheonowie nie należeli nigdy do ludzi miłych i łatwych w pożyciu. Nie można się było do nich zbliżyć. Ale teraz, panno Hepzibo, jeżeli wolno spytać staremu człowiekowi, czemu to sędzia Pyncheon, taki zamożny człowiek, nie przyjdzie i nie powie swojej krewniaczce, żeby zaraz zamknęła sklep? To dobrze świadczy o pani, że pani coś robi. Ale niedobrze o sędzim, że pani na to pozwala.

— O tym nie będziemy mówili, wujku Venner — rzekła zimno Hepziba. — Muszę jednak powiedzieć, że jeśli zdecydowałam się zarabiać sama na chleb dla siebie, to nie z winy sędziego Pyncheona. I nie on zasłużył na naganę — dodała łagodniej, wspomniawszy na prawa, jakie dawał wujkowi Vennerowi wiek i dawna jej znajomość z tym skromnym człowiekiem — jeśli okaże się dla mnie dogodnym zamieszkać wraz z wami na waszej farmie.

— Wcale niezłe miejsce ta moja farma! — zakrzyknął starzec radośnie, jakby w tej perspektywie kryło się coś wręcz przyjemnego. — Niezłe to miejsce ten duży murowany dom, zwłaszcza dla tych, co znajdują w nim wiele starych kompanów, jak ja na przykład. Bardzo mi tęskno do nich nieraz w zimowe wieczory; bo to i smutno dla starego samotnika kiwać się godzinami na stołku bez innej kompanii poza własnym żelaznym piecykiem. Latem czy zimą ta moja farma ma swoje korzyści. A weźmy jesień — co może być miłszego, jak przesiedzieć cały dzień na słoneczku pod

stodołą albo pod sągiem drzewa i pogadać sobie z kimś tak samo starym jak ja; albo próżniaczyć się z głup-takiem, co już się taki urodził i tak się potrafi wał-konić, że nawet nasi zapobiegliwi Jankesi nie znaleźli sposobu, żeby mieć z niego jakiś pożytek. Daję pani słowo, panno Hepzibo, nie wiem, czy było mi kiedyś tak dobrze, jak będzie wtedy, kiedy się urządzę na mojej farmie, którą ludziska zwą przytułkiem. Ale pani — z pani jeszcze młoda kobieta — pani tam nie będzie nigdy potrzebowała zamieszkać. Dla pani nadarzy się jeszcze coś lepszego. Jestem tego pewny!

Hepziba wyobraziła sobie, że w spojrzeniu i w gło-sie zacnego przyjaciela kryje się coś szczególnego, tak dalece, że przyjrzała się jego twarzy z wielką powa-gą, starając się odgadnąć, jakie to ukryte znaczenie — jeśli takie istniało — zawierają jego słowa. Osoby, które znalazły się w rozpaczliwej sytuacji, prawie zawsze żywią w sercu nadzieje nieokreślonej świetnej przyszłości, tym wspanialszej, im mniej mają realne-go materiału, na którym budować można słuszne i u-miarkowane przewidywania korzystnej odmiany. Tak też i Hepziba przez cały czas przygotowań do urucho-mienia swego sklepu żywiła w sercu głęboko skrywaną nadzieję, że jakaś fantastyczna odmiana losu przybę-dzie jej z pomocą. Na przykład stryj, który popłynął do Indii przed pięćdziesięciu laty i słuch o nim za-ginał, mógł wrócić jeszcze i zaadoptować ją, aby mu była pociechą w zgrzybiałej starości, ustroić ją w per-ły, diamenty, wschodnie szale i turbany i uczynić c-statecznie dziedziczką swych nieprzeliczonych bogactw. Lub też mógł ją zaprosić do swej rezydencji w An-glii ów znamienity Pyncheon, członek parlamentu an-gielskiego i głowa angielskiej gałęzi rodu, z którą Pyncheonowie po tej stronie Atlantyku od dwóch stu-letci prawie wcale nie utrzymywali stosunków. Z pew-nych jednak względów Hepziba stanowczo nie mogła



przyjąć tego zaproszenia. Było więc bardziej prawdopodobne, że potomkowie jednego z Pyncheonów, który wyemigrował ongiś do stanu Wirginia i dorobił się tam wielkich plantacji, słysząc o ubóstwie Hepziby i powodowani hojnością, którą zaszczerpiła w ich nowoangielskim charakterze domieszka wirginijskiej krwi, prześlą jej sumę tysiąca dolarów wraz z obietnicą powtarzania tego daru co rok. I wreszcie — rzecz, która nie mogła przecież wykraczać poza granice rozsądnych przewidywań — roszczenia do dziedzictwa w okręgu Waldo rozstrzygnąć się mogły ostatecznie na korzyść Pyncheonów; tak że zamiast prowadzenia sklepiku centowego Hepziba zbudowałaby pałac i patrzyłaby z najwyższej jego wieży na pagórki, doliny, lasy, pola i miasto jako na swoje dziedziczne włości.

Oto fantazje, którymi od dawna karmiła się wyobraźnia Hepziby. Przypadkowa próba dodania jej otuchy przez wujka Vennera rozkołysała te marzenia na nowo i rozjaśniła biedne, puste, melancholijne zakamarki jej mózgu, tak jakby zapalono w nich nagle gazowe światło. Lecz albo wuj Venner nie wiedział nic o jej zamkach na lodzie — a skądże by mógł o nich wiedzieć? — lub też myśli jego zmacił surowy mars na jej czole, który mógłby zmacić myśli bardziej odważnego człowieka — bo zamiast prowadzić dalej ów wzniosły temat, zadowolił się udzieleniem Hepzibie kilku mądrych rad, pożytecznych dla sklepiarki.

— Żadnego kredytu — tak brzmiały jego złote maksymy — nigdy nie brać pieniędzy papierowych! Uważać przy wydawaniu reszty! Każdą srebrną monetę stuknąć o ciężarek czterofuntowy! Nie przyjmować angielskich półpensówek i nielegalnych miedziaków, których pełno w mieście! W wolnych chwilach robić na drutach pończoszki dziecinne i rękawice! Samej warzyć drożdże i piwo!

I kiedy Hecziba wysilała się, aby dobrze rozgryźć małe twarde pigułki tych mądrości, wujek Venner wyłożył swoją ostatnią, i jak twierdził, najważniejszą radę w sposób następujący:

— Pokazywać klientom wesołą twarz i uśmiechać się miło podając to, o co proszą! Nawet spleśniały piernik osłodzony miłym, życzliwym uśmiechem pójdzie łatwiej niż świeży, nad którym marszczy się twarz.

Na tę ostatnią maksymę biedna Hecziba odpowiedziała westchnieniem tak głębokim i ciężkim, że wuj Yenner omal nie został zmieciony jak zwiędły liść jesiennym wichrem — a podobny był do zwiędłego liścia. Odzyskał jednak równowagę i pochylając się ku niej ze szczerym wzruszeniem na starej twarzy skinął, aby się przybliżyła.

— Kiedy się go pani spodziewa w domu? — wyszeptał.

— O kim myślicie? — spytała blednąc Hecziba.

— Ach! Nie lubi pani o tym mówić — powiedział wujek Venner. — No, to już nic nie mówmy, choć gadają o tym po całym mieście. Pamiętam go, panno Heczibo, jak jeszcze sam chodzić nie umiał!

Przez pozostałą część dnia biedna Hecziba wywiązywała się ze swoich obowiązków kupcowej jeszcze mniej zaszczytnie niż przedtem. Poruszała się jak we śnie, a raczej życie jej wyobraźni tak się wzmogło, że wszystko, co się działo wokoło niej, zdawało się nie-realne niby natrętne widziadła oglądane w półśnie. Zjawiała się posłusznie na częste wezwania dzwonka, kręciła się po sklepie i wypatrywała swe nieprzytomne oczy w poszukiwaniu żądanych towarów podsuwając klientom jeden artykuł po drugim, a odkładając na bok — jak wielu sądziło, z czystej przewrotności — to właśnie, czego chcieli.

Smutne zaiste powstaje zamieszanie, kiedy duch

ucieka w przeszłość albo w bardziej jeszcze groźną przyszłość lub w jakikolwiek sposób przekroczy nieuchwytną granicę między życiem własnym i rzeczywistym światem, a ciało — zdane na siebie — rządzi się jak może, niewiele lepiej niż mechanizm życia zwierzęcego. Jest to niby śmierć, lecz bez wolności od trosk doczesnych — tego niosącego spokój przywileju śmierci. A najgorsze ze wszystkiego, kiedy bieżące obowiązki składają się z małych pospolitych czynności jak te, które nękały teraz pogrążoną w zamyśleniu duszę starej damy. Złośliwość losu chciała, że godziny popołudniowe przyniosły duży ruch w interesie. Hecziba błąkała się tam i z powrotem po swym małym sklepiku popełniając błędy po prostu niesłychane: dawała raz dwanaście, raz siedem łojowych świeczek zamiast dziesięciu na funt: sprzedawała pierniki zamiast szkockiej tabaki, szpilki zamiast igieł i igły zamiast szpilek; źle wydawała reszty, czasem na niekorzyść publiczności, ale częściej na swoją. I tak ciągnęła dalej, robiąc co się dało, aby przywrócić światu pierwotny chaos, aż pod koniec pracy całego dnia, ku swemu niewypowiedzianemu zdumieniu, znalazła szufladę niemal zupełnie ogołoconą z pieniędzy. Po długim i uciążliwym dniu cały utarg wyniósł może pół tuzina miedziaków i wątpliwą dziewięciopensówkę, która ostatecznie okazała się również monetą miedzianą.

Za tę i za każdą cenę cieszyłaby się, że dzień dobiegł końca. Nigdy przedtem nie czuła, jak nieznośnie dłuży się czas między świtem i zachodem słońca i jaką udręką jest to, że się coś robić musi, kiedy wiadomo, że lepiej by było lec natychmiast rezygnując ze wszystkiego i pozwolić, by życie, jego trudy i strapienia deptały do woli leżące ciało!

Końcową transakcję przeprowadziła Hecziba z małym pożeraczem murzynka i słonia, który teraz wy-

raził chęć zjedzenia wielbłąda. W swym oszołomieniu zaofiarowała mu najpierw drewnianego smoka, potem garść kamyczków do gry, a ponieważ żaden z tych artykułów nie nadawał się do zaspokojenia jego skądinąd wszystkożernego apetytu, wyciągnęła pośpiesznie cały pozostający jej zapas historii naturalnej z piernika i wypchnęła małego klienta ze sklepu. Następnie stłumiła dzwonek kawałkiem nie dokończony pończochy i założyła dębową sztabę na drzwi.

Podczas tej ostatniej czynności pod gałęziami wiązu zatrzymał się omnibus. Serce Hepziby podeszło do gardła. Daleka i mroczna była kraina przeszłości, z której miał przybyć jedyny gość, którego czekała, a droga do tej krainy — zupełnie pozbawiona słońca. Czyżby miała go ujrzeć teraz?

W każdym razie widać było, że ktoś przesuwa się z najdalszego kąta omnibusu ku wyjściu. Wysiadł jakiś pan, ale tylko po to, by podać rękę młodej, zgrabnej dziewczynie, która bynajmniej pomocy takiej nie potrzebowała; dziewczyna lekko zeszła ze stopni, a z ostatniego zeskoczyła zwinnie na chodnik. Wynagrodziła swego rycerza uśmiechem, który odbił się łuną radości na twarzy młodego człowieka wsiadającego z powrotem do wehikułu, a potem zwróciła się ku Domowi o Siedmiu Szczytach, gdzie koło drzwi — nie drzwi sklepiku, lecz przy antycznym portalu głównego wejścia posługacz z omnibusu złożył już kuferek i łubiane pudło. Uderzył ostro w starą żelazną kołatkę i, pozostawiając swoją pasażerkę wraz z bagażem na progu, odjechał.

„Któż to może być? — myślała Hepziba zmuszając swoje oczy do największego wysiłku, do jakiego były zdolne. — Dziewczyna musiała pomylić drzwi!”

Przekradła się szybko do hallu i sama niewidoczna patrzyła przez zapadające w mrok boczne okienka portalu na młodą, kwitnącą i pełną radości twarz dziewcz-

częcia, które czekało na wpuszczenie do starego, po-sepnego dworu. Była to twarz, przed którą każde in-ne drzwi same by się chyba otworzyły.

Młoda dziewczyna, świeża i swobodna, a jednak, to się dawało od razu zauważyć — wzrosła w zasadach karność i posłuszeństwa dla dobrych obyczajów, w tej chwili stanowiła żywy kontrast ze wszystkim, co ją otaczało. Bezładny, dziki gąszcz olbrzymich chwastów rosnących w załamaniu domu, ciężki nawis piętra rzucający na nią cień i zmurszała od starości framuga drzwi — żadna z tych rzeczy z nią nie harmonizowała. Lecz jak promień słońca padający na najpo-sepniejsze nawet miejsce natychmiast stworzy rację swe-go istnienia, tak i teraz wydało się rzeczą zupełnie odpowiednią, że dziewczyna stała tu na progu. Niemniej oczywiste było to, że drzwi muszą się otworzyć na oścież, aby ją wpuścić. Sama stara panna, choć na początku żywiła srodze niegościnne zamiary, poczuła wkrótce, iż musi otworzyć drzwi i przekręcić, choć niechętnie, zardzewiały klucz w zamku.

„Czyżby to była Febe? — zapytywała samej siebie. — Tak, to musi być mała Febe, bo nikt inny być nie może. I widać w niej podobieństwo do ojca. Ale czego ona tu chce? I jakie to podobne do krewnej ze wsi! Spada komuś na głowę bez uprzedzenia choćby dzień naprzód, bez pytania, czy będzie mile widziana! No cóż, tę noc musi tu pewnie przespać, ale jutro niech wraca do matki!”

Febe, trzeba to wiedzieć, była ową latoroślą rasy Pyncheonów, o której już wspominaliśmy, a pochodziła z wiejskich okolic Nowej Anglii, gdzie stare obyczaje i stosunki pokrewieństwa dotąd jeszcze w części się przechowały. W tej sferze nie uważano wcale za rzecz niewłaściwą odwiedzać się w rodzinie bez zaproszenia lub wstępnego ceremonialnego uprzedzenia. Jednakże szanując samotniczy tryb życia panny

Hepziby tym razem napisano i wysłano list donoszący o projektowanych odwiedzinach Febe. Epistoła ta od kilku dni leżała w kieszeni listonosza, który, nie mając nic innego do załatwienia na ulicy Pyncheonow, nie znalazł jeszcze sposobności, by odwiedzić Dom o Siedmiu Szczytach.

— Nie! Ona może zostać tylko jedną noc — powiedziała sobie Hepziba odryglowując drzwi. — Gdyby Clifford ją zastał, mogłoby mu to przeszkadzać!

Pierwszą noc po przyjeździe Febe Pyncheon spała w pokoju, którego okna wychodziły na ogród starego domu. Było to od wschodu, tak że o bardzo wczesnej godzinie łuna purpurowego światła zalała okna i skąpała ciemny sufit i tapety w czerwieni. Nad łóżkiem Febe wisały zasłony; ciemny antyczny baldachim i ciężkie draperie, bogate, a nawet wspinałe w swoim czasie, rozpościerały się teraz nad dziewczyną niby chmura i przedłużały noc w jednym kącie, gdy w całym pokoju zaczynało już dzień. Jednakże poranne światło wkrótce przekradło się przez szparę w spłowiełej kotarze. Znalazło tam nowego gościa, którego policzki kwitły jak zorze, a ciało poruszał łagodnym tchnieniem odlatujący sen, jak poranna bryza porusza liście. Zdziwiony promień ucałował czoło śpiącej. Była to zwykła pieszczota, którą wonna

od rosy dusza poranku darzy swą uśpioną siostrę, ze szczerą miłości, a także jako upomnienie, że czas już otworzyć oczy.

Ucałowana przez słońce Febe przebudziła się spokojnie i przez chwilę nie rozumiała, gdzie się znajduje i w jaki sposób zawisły nad nią tę ciężkie zasłony. Prawdę mówiąc nic nie przedstawiało się jej jasno za wyjątkiem tego, że był wczesny ranek i że wprawdzie należało wstać z łóżka i odmówić pacierz, wszystko jedno, co się stanie potem. Do pobożności skłaniał ją jeszcze bardziej ponury wygląd pokoju i mebli, a zwłaszcza wysokich sztywnych krzesel; jedno z nich stało tuż przy jej łożu i wyglądało tak, jakby przez całą noc siedziało na nim jakaś zjawa i pierzchnęła dopiero teraz, aby skryć się przed ludzkim okiem.

Gdy Febe była już całkiem ubrana, wyjrzała oknem i zobaczyła w ogrodzie krzak róży. Bardzo wysoki i rozłożysty, wsparty był o ścianę domu i gęsto pokryty białym kwiatem pięknej i rzadkiej odmiany. Większość tych kwiatów, jak przekonała się później Febe, miała serce przeżarte rdzą, lecz z daleka cały krzak wyglądał niby żywcem przeniesiony z Rajskiego Ogrodu tegoż lata, wraz z ziemią, z której wyrastał. W rzeczywistości został tu posadzony przez Alicję Pyncheon, cioteczną praprababkę Febe, w ziemi uprawianej niegdyś jako ogród, a teraz użyźnionej próchnem roślinności rozkładającej się tutaj od dwustu prawie lat. Wyrastające z tej starej ziemi kwiaty wysyłały jeszcze miłą i świeżą woń ku swemu Stwórcy. Spiesząc po nie okrytych dywanem skrzypiących schodach Febe znalazła drogę do ogrodu, zerwała kilka najpiękniejszych róż i przyniosła je do swego pokoju.

Należała ona do tych osób, których jedynym dziedzictwem jest dar praktycznego urządzania życia. Jest



to rodzaj przyrodzonej magii, która sprawia, że ci wybrańcy losu potrafią wydobyć ukryte możliwości z otaczających przedmiotów, a szczególnie nadać przytulny i zamieszkały wygląd każdemu miejscu, które stanie się ich domem na krótki choćby przeciąg czasu. Dziki szałas z gałęzi sklecony przez podróżnych w pierwotnym lesie, gdyby w nim zamieszkała taka kobieta choćby na jedną noc, przybrałby wygląd domowego zacisza i zatrzymałby go na długo po jej odejściu. Niemałej porcji tej mocy czarodziejskiej było potrzeba, by odmienić pokój, w którym zatrzymała się Febe — duży, ciemny, nieprzytulny, od lat zamieszkały jedynie przez pająki, szczury, myszy i duchy; wiało od niego pustką i zniszczeniem, które tylko czychają, by unicestwić wszelki ślad szczęśliwszych chwil człowieka. Na czym polegały zabiegi Febe — trudno powiedzieć. Na pewno nie działała według powziętego z góry planu, ot po prostu tu czegoś dotknęła, tam coś zmieniła; wysunęła jakiś mebel na światło, inny ukryła w cieniu; podniosła albo opuściła jakąś firankę; i po upływie pół godziny pokój stał się miły, jasny, uśmiechnięty. Nie dalej jak wczoraj wieczór podobny był sercu starej panny, gdyż i w jednym, i w drugim brakło słońca i domowego ciepła, a prócz upiórów i upiornych wspomnień żaden gość od wielu lat nie przekroczył jego progu.

W tym uroku jeszcze coś się kryło osobliwego. Sympialnia bez wątpienia była miejscem, któremu życie nie szczędziło licznych i rozmaitych doświadczeń. Tu się tajiła radość poślubnych nocy, tutaj nieśmiertelne dusze oblekały się w nowonarodzone ciała i tu umierali starcy. Lecz czy to dzięki białym różom, czy przez inne subtelne wpływy osoba wrażliwa poznałaby natchmiast, że był to teraz pokój młodej dziewczyny, oczyszczony z minionych smutków i zła jej słodkim tchnieniem i radosnymi myślami. Pogodne dziewczę-

ce sny wyгнаły stąd posępne wspomnienia i wypełniły radością każdy kąt pokoju.

Gdy już Febe urządziła wszystko wedle swej myśli, wyszła znów z pokoju z zamiarem zejścia do ogrodu. Koło krzaku róży zauważyła przedtem kilka innych gatunków kwiatów rosnących całkiem dziko i w zaniedbaniu, hamujących wzajemnie swój rozwój w bezładnej gmatwaninie, jak to się często zdarza i wśród ludzi. Na schodach jednakże spotkała kuzynkę. Ponieważ pora była jeszcze wczesna, Hepziba zaprosiła ją do pokoju, który prawdopodobnie nazwałaby swoim buduaem, gdyby jej wykształcenie objęło to francuskie słowo. Było tam kilka starych książek, koszyk do robót i zakurzone biurko; po jednej stronie stał duży czarny mebel o bardzo dziwnym wyglądzie — stara dama objaśniła Febe, że jest to klawikord. Ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej przypominał trumnę i w istocie nikt na nim nie grał ani go nie otwierał od tylu lat, że w jego wnętrzu musiało się nagromadzić wiele umarłej muzyki — umarłej z braku powietrza. Palce ludzkie nie dotknęły jego strun od czasów Alicji Pyncheon, która nauczyła się tej słodkiej sztuki w Europie.

Hepziba prosiła młodego gościa, by zechciał spocząć, i zajmując miejsce obok popatrzyła na zgrabną postać Febe tak poważnie, jak gdyby chciała przeniknąć jej ukryte myśli i pobudki.

— Kuzynko Febe — powiedziała wreszcie. — Naprawdę nie widzę sposobu, żeby cię przy sobie zatrzymać.

Słowa te jednak nie miały niegościnniej szorstkości, która mogłaby tu uderzyć czytelnika, gdyż dwie krewne we wczorajszej wieczornej rozmowie doszły do pewnego porozumienia. Hepziba dowiedziała się dostatecznie dużo, aby uznać, że na skutek pewnych okoliczności z powtórным małżeństwem matki, Febe po-

winna zamieszkać w innym domu. Nie myliła się też w ocenie charakteru dziewczyny. Widziała, ile w niej było zdrowej żywotności i energii, tych cennych zalet prawdziwej kobiety nowoangielskiej, które kazały jej nie tylko wyruszyć samej w świat na spotkanie swego losu, lecz także być wszędzie pożyteczną, by nie stać się ciężarem dla tych, od których spodziewała się pomocy. Naturalnie zwróciła się do Hepziby jako do najbliższej krewnej, ale nie pragnęła narzucać się opiece kuzynki; przybyła tylko w odwiedzin, na tydzień lub dwa, a gdyby ten pobyt przyniósł im obu zadowolenie, można go było przedłużyć na czas nieokreślony.

Na prostoduszną uwagę Hepziby odpowiedziała więc równie szczerze, lecz bardziej pogodnie:

— Droga kuzynko, nie mogę powiedzieć, jak to będzie — rzekła. — Ale naprawdę sędzę, że może przypadniemy sobie do serca bardziej, niż myślisz.

— Jesteś miłą dziewczyną, widzę to dobrze — ciągnęła Hepziba. — I moje wahanie nie pochodzi z jakiegokolwiek co do tego wątpliwości. Ale ten mój dom, Febe, jest smutnym miejscem dla młodej osoby. Wiatr i deszcze trafiają do niego i śnieg także w zimie, na poddasze i do górnych pokojów. Ale słońce — nigdy! A co do mnie — widzisz, czym jestem — nieszczęśliwa samotna stara kobieta, bo zaczynam już zwać się starą, Febe, mój charakter nie jest łatwy, a humor — najgorszy, jak być może. Nie potrafię umilić ci życia, kuzynko Febe, a nawet chleba dać ci nie jestem w stanie.

— Zobaczysz, jakie ze mnie wesołe stworzenie — odpowiedziała Febe uśmiechając się, a jednak z pewną godnością. — Na chleb dla siebie chcę zarobić. Wiesz, że nie wychowano mnie tak, jak wychowuje się Pyncheonów. U nas na wsi, w Nowej Anglii, dziewczyna musi umieć wiele rzeczy.

— Ach, Febe — rzekła z westchnieniem Hepziba. —

**Twoja wiedza** nie **na** wiele ci się tu przyda! I nie-szczęśliwa to myśl, żebyś marnowała swoją młodość w takim miejscu. Te policzki po miesiącu czy dwóch stracą swój rumieniec. Spójrz na moją twarz! — I rzeczywiście kontrast był uderzający. — Widzisz, jak jestem blada! Według mego zdania kurz i zgnilizna w tych starych domach są niezdrowe dla płuc.

— Jest przecież ogród, kwiaty, którymi trzeba się zająć — zauważyła Febe. — Zachowam swoje zdrowie pracą na świeżym powietrzu.

— A wreszcie, moje dziecko — wykrzyknęła Hepziba wstając nagle, jak gdyby chciała zakończyć tę rozmowę — nie do mnie należy postanowienie, kto ma być gościem lub mieszkańcem starego domu Pyncheonów. Jego pan powraca.

— Czy masz na myśli sędziego Pyncheona? — spytała Febe ze zdziwieniem.

— Sędziego Pyncheona! — odpowiedziała gniewnie jej krewna. — On nie przekroczy progu naszego domu, póki ja żyję! Nie, nie! Ale zaraz zobaczysz, Febe, twarz tego, o którym mówię.

Wyszła i wróciła po chwili niosąc w ręku miniaturę, którą już opisywaliśmy. Podając ją Febe obserwowała bacznie twarz dziewczyny śledząc jakby z zazdrością, jakie wrażenie zrobi na niej podobizna.

— Jak ci się podoba ta twarz? — spytała.

— Piękna, bardzo piękna! — powiedziała Febe z zachwytem. — Jest tak wdzięczna, jak tylko wdzięczną być może twarz mężczyzny. Ma w sobie coś z wyrazu dziecka — a jednak nie jest dziecinna, tylko tyle wzbudza czułości! Taki człowiek nie powinien nigdy zaznać cierpienia. Wiele by się zniosło, żeby jemu oszczędzić trudu lub zmartwień. Kto to taki, kuzynko Hepzibo?

— Czy nigdy nie słyszałaś — wyszeptwała Hepziba pochylając się ku niej — o Cliffordzie Pyncheonie?

— Nigdy! Myślałam, że nie ma już Pyncheonów oprócz ciebie i naszego kuzyna Jaffreya — odrzekła Febe. — A jednak, chyba słyszałam imię Clifforda Pyncheona. Tak! Od mojego ojca albo od matki, ależ on chyba od dawna nie żyje?

— Ach, moje dziecko, może i nie żyje! — Hepziba zaśmiała się gorzko. — Ale wiesz, w takich starych domach umarli czasem powracają. Zobaczymy. A teraz, kuzynko Febe, jeśli po wszystkim, co ci powiedziałam, nie opuściła cię odwaga, to nie rozstaniemy się szybko. Na razie zapraszam cię, drogie dziecko, do mojego domu, takiego, jaki twoja krewna może ci zaofiarować.

Z tym powściągliwym, lecz nie całkiem zimnym zapewnieniem o swych gościnnych zamiarach Hepziba ucałowała jej policzek.

Zeszyły teraz na dół, gdzie Febe grała pierwsze skrzypce w przygotowywaniu śniadania — nie tyle przez przywłaszczenie sobie tego urzędu, ile przyciągając go do siebie magnetyczną siłą wrodzonych zdolności. W czasie tych przygotowań pani domu stała przeważnie na uboczu, jak to czynią zwykle osoby o usposobieniu sztywnym, nie umiejące się dostosować do sytuacji; chętna do pomocy, ale rozumiejąca, że jej przyrodzona niezręczność może raczej przeszkodzić niż pomóc. Febe była równie jasna, wesoła i zręczna w pracy, jak ogień buzujący pod kociołkiem. Nieruchawa Hepziba spoglądała ku nim jak z innego świata; jej ospałość pochodziła z nawyku długotrwałej samotności. Interesowała ją wszakże, a nawet bawiła łatwość, z jaką nowa mieszkanka przystosowała się do okoliczności, a zarazem potrafiła przystosować dom i jego stare urządzenia do swoich celów. I wszystko robiła lekko, bez świadomego wysiłku, a często z piosenką na ustach, której słuchało się z przyjemnością. Piosenka tak swobodnie płynęła z ust dziewczyny, że

Febe zdawała się ptaszkiem na gałęzi; ta piosenka zdradzała, że strumień życia płynie żwawo przez jej serce, jak wesoły potok przez zaciszną dolinkę. Mówiła o wesołym, czynnym usposobieniu, które znajduje radość w pracy, a pracę opromienia radością. Była to cecha znamienne dla Nowej Anglii — dobra stara krew nieugiętych purytanów z domieszką szczerego złota.

Hepziba wyjęła stare srebrne łyżeczki z herbem rodzinnym i zastawę do herbaty z chińskiej porcelany malowanej w groteskowe figurki ludzi, ptaków i zwierząt na równie groteskowym krajobrazie. Ci malowani ludkowie byli bardzo weseli w swym jasnym, lśnią-cym świecie barw ciągle jeszcze nie spłowiałych, choć imbryczek do herbaty i małe filiżanki były tak starożytnie jak sam zwyczaj picia herbaty.

— Twoja praprababka dostała te filiżanki, jak wychodziła za mąż — powiedziała Hepziba do Febe. — Była z domu Davenport, z dobrej rodziny. To chyba pierwsze filiżanki do herbaty, jakie widziało się w kolonii; i gdyby któraś z nich miała się stłuc, moje serce pękłoby wraz z nią. Ale to bez sensu tak mówić o kruchej filiżance, kiedy sobie przypomnę, ile wytrzymało moje serce i nie pękło wcale.

Na filiżankach, nie używanych może od czasów młodości Hepziby, nagromadził się niemały zapas kurzu, który Febe zmyła tak starannie i delikatnie, że nawet właścicielka tej bezcennej porcelany była zadowolona.

— Jaka z ciebie urocza i miła gosposia! — wykrzyknęła Hepziba uśmiechając się, a zarazem tak niemiłosiernie zmarszczyła czoło, że uśmiech jej był niby światło słońca spod chmury gradowej. — Czy inne rzeczy też tak dobrze robisz? Czy jesteś taka zręczna do książki jak do zmywania filiżanek?

— Obawiam się, że nie — powiedziała Febe śmie-

jąc się. — Ale zeszłego **lata** byłam nauczycielką w szkółce dla małych dzieci naszej gminy i mogłabym nią być nadal.

— Ach, to wszystko bardzo ładnie — zauważyła stara panna prostując się — ale te zalety odziedziczyłaś chyba po swojej matce. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś z Pyncheonów miał do takich rzeczy jakiegokolwiek zdolności.

Dziwne to, lecz niemniej prawdziwe, że ludzie są zwykle tak samo, a nawet więcej dumni ze swych ułomności niż z zalet, które posiadają. Tak i Hepziba była dumna z wrodzonej nieudolności Pyncheonów do użytecznej pracy. Uważała to za cechę dziedziczną i może była ona dziedzictwem, lecz niestety dziedzictwem smutnym, jakie lęgnie się często w rodzinach, które przez długi czas wynoszą się ponad społeczeństwo.

Nim odeszły od stołu, dzwonek sklepowy zadźwięczał ostro i Hepziba odstawiła filiżankę nie dopitej herbaty z wyrazem tak bezdennej rozpacz, że aż litość brała patrzeć na nią. Gdy musimy spełniać jakieś zajęcia, których nienawidzimy, drugi dzień przeważnie jest gorszy niż pierwszy. Powraca się na miejsce tortur z ciałem obolałym jeszcze od przeżytych katuszy. W każdym razie Hepziba była całkowicie przekonana, że nigdy się nie przyzwyczai do tego wrzaskliwego, natrętnego dzwonka, choćby się nie wiem jak często odzywał; ten dźwięk zawsze brutalnie i niespodzianie raził jej nerwy. A zwłaszcza teraz, kiedy pochyłona nad starożytną porcelaną i łyżeczkami z herbem snuła przyjemne myśli o szlachectwie, spotkanie z klientem budziło w niej niewypowiedzianą odrazę.

— Nie trudź się, kochana kuzynko! — zawołała Febbe zrywając się z krzesła. — Dziś ja jestem sklepiarką.

— Ty! Dziecko! — wykrzyknęła Hepziba. — Co może wiedzieć o tych sprawach młoda wiejska dziewczyna?

— Och, ja zawsze robiłam zakupy dla całej rodziny w naszym wiejskim sklepiku — rzekła Febe. — I miałam stolik z galanterią na jarmarku, i sprzedawałam lepiej niż inni. Tych rzeczy nie można się nauczyć; do tego trzeba mieć spryt, który, przypuszczam — dodała z uśmiechem — trzeba odziedziczyć po matce. Zobaczysz, że ze mnie kupcowa równie dobra jak i gosposia.

Stara dama, skradając się na palcach, weszła za nią w korytarzyk i stamtąd podpatrywała, jak też poradzi sobie Febe. Był to przypadek dość skomplikowany. Zjawiała się jakaś kobieta w bardzo podeszłym wieku, odziana w białą krótką suknię z wystającą zieloną halką, ze sznurem złotych paciorków na szyi, a w ręku trzymała coś, co wyglądało na nocny czepek. Okazało się, że przyniosła przedzę, którą chciała wymienić na produkty ze sklepiku. Była prawdopodobnie ostatnią osobą w mieście, która przedła jeszcze na starodawnym kołowrotku. Warto było słyszeć, jak z bezdźwięcznego, skrzekliwego głosu staruszki i z przyjemnego głosiku Febe snuła się jedna nić rozmowy; a jeszcze przyjemniej było patrzeć na nie: jedna lekka i kwitnąca, druga zgrzybiała i pochylona; dzieliła je lada sklepowa — i sześćdziesiąt lat. W ich targu chytrość i przebiegłość starości walczyła o lepsze z wrodzoną bystrością i rzetelnością.

— Czy źle to załatwiłam? — spytała Febe ze śmiechem, kiedy klientka odeszła.

— Ślicznie, dziecko, ślicznie! — odrzekła Hepziba. — nie umiałabym tego załatwić ani w połowie tak dobrze. Jak powiadasz, musi to być umiejętność, którą dziedziczysz po matce.

Podziw, jakim ludzie zbyt lękliwi lub niezręczni, aby



brać udział w czynnym życiu, darzą rzeczywistych aktorów na ruchliwej scenie świata, jest bardzo szczerzy; tak szczerzy zaiste, że osoby te, aby ratować swą miłość własną, tłumaczą sobie, że ta siła i zdolność działania nie dadzą się pogodzić z innymi właściwościami, które uważać by radzi za ważniejsze i bardziej wzniosłe. Dlatego też Hepziba bez przykrości uznała wyższość talentów kupieckich Febe. Chętnym uchem wysłuchiwała jej pomysłów, w jaki sposób zwiększyć ruch w sklepie i podnieść zyski bez ryzykownych wkładów kapitału. Zgodziła się na to, że gość ze wsi wyrabiać będzie drożdże, zarówno płynne jak i w kostkach; że będzie warzyć piwo specjalnego gatunku, wyborne w smaku i zbawienne dla dobrego trawienia; że ponadto będzie wypiekać na sprzedaż ciasteczka korzenne takiej dobroci, że kto raz ich spróbuje, musi do nich powrócić. Wszystkie te dowody bystrości i zręczności w robocie były wysoce pożądane dla arystokratycznej kupcowej, póki mogła mrużyć do siebie z ponurym uśmiechem, z trochę obłudnym westchnieniem i z mieszanym uczuciem podziwu, politowania i wzrastającej czułości:

— Jaka to miła dziewczuszka! Gdybyż do tego mogła być jeszcze damą! Ale to niemożliwe! Febe nie ma nic z Pyncheonów. Wszystko po matce.

Czy Febe była, czy nie była damą, to trudne do rozstrzygnięcia; ale zagadnienie takie nie powstałoby nawet w umyśle człowieka o jasnym i zdrowym poglądzie na świat. Trudno by było spotkać poza terytorium Nowej Anglii osobę jednoczącą w sobie tyle cech prawdziwej damy z tyloma innymi, które dla typu damy nie były konieczne, lecz nie pozostawały z nim w żadnej sprzeczności. Febe nie raziła w niczym dobrego smaku, doskonale władała sobą i umiała dostroić się do każdej sytuacji. Jej figurka, tak drobna, że wyglądała prawie na dziecięcą, i tak giętka, że ruch

zdawał się dla niej równie łatwy lub łatwiejszy jeszcze od spoczynku, nie bardzo odpowiadała, to pewne, naszym wyobrażeniom o kształtach hrabiny. Ani też jej twarzyczka okolona z obu stron puklami ciemnych włosów, ciekawy nosek, lekko ogorzała, kwitnąca zdrowiem cera i kilka piegów — pamiątka przyjaźni z kwietniowym słońcem i bryzą — nie dawały nam prawa do nazywania jej piękną. Ale jej oczy lśniły blaskiem i kryły głębię. Była bardzo ładna, miała wdzięk ptaszka; tak miła w domowym zaciszu jak promień słońca padający na podłogę przez migoczące liście lub odbłask ognia na kominku tańczący po ścianie o wieczornym zmierzchu. Zamiast spierać się o to, czy Febe mogła zostać zaliczona w poczet wielkich dam, lepiej by było popatrzeć na nią jako na wcielenie kobiecego uroku, a zarazem przydatności w społeczeństwie, w którym nie ma wielkich dam, o ile taka społeczność istnieje. Tam zadaniem kobiety byłoby życie w kręgu spraw praktycznych i wytwarzanie wśród każdej, najprostszej nawet czynności atmosfery jasnej i pogodnej, choćby to było szorowanie garnków i kociołków. To był świat Febe. A jeśli chodzi o wzór prawdziwej damy, nie trzeba go daleko szukać. Jest nim Hepziba, nasza nieszczęsna stara panna w swoich szeleszczących i zrudziałych jedwabiach, z pietyzmem przechowująca pamięć o starożytnym pochodzeniu swego rodu i o mglistych roszczeniach do książęcych posiadłości. Arystokratyczna zaś jej edukacja nie sięgała dalej niż wspomnienia o tym, jak niegdyś bębniła w struny klawikordu, tańczyła menueta i wyszywała staromodnym perskim ściegiem próbne wzorki. Oto uczciwie przeprowadzona paralela między nowym światem plebejskim i dawnym wielkopaństwem.

Wydawało się naprawdę, że zniszczona fasada Domu o Siedmiu Szczytach, choć dalej czarna i nasepio-na, rozjaśniała się w oczach świata jakimś nowym

ciepłym blaskiem bijącym przez zmatowiałe okna, gdy za nimi przesuwiała się Febe. Niepodobna inaczej sobie wytłumaczyć tego, że ludzie z sąsiedztwa tak prędko zwiedzieli się o obecności dziewczyny. Zaczął się wielki napływ klienteli gdzieś od godziny dziesiątej i wzrastał stale aż do południa, zmniejszył się nieco w porze obiadowej, by znów wzrosnąć po południu, a ustawać zaczął dopiero na jakieś pół godziny przed zmierzchem długiego dnia. Najwytrwałe popierał interesy sklepu mały Ned Higgins, pożeracz murzynka i słonia, który dzisiaj objawił swą wszechkożerną dzielność połknięciem dwóch dromaderów i lokomotywy. Febe śmiała się sumując na tabliczce pozycje sprzedaży, podczas gdy Hepziba, nałożywszy jedwabne rękawiczki, zabierała się do liczenia stosu brudnych miedziaków. Nie brakło tu i srebrnych monet, które wpadały z brzękiem do szufladki.

— Musimy uzupełnić nasze zapasy, kuzynko Hepzibo! — zawołała mała kupcowa. — Figurki z piernika wyszły wszystkie, tak samo drewniane holenderskie dójki i większość innych zabawek. Stale pytano o tanie rodzynki, upominają się bardzo o gwizdki i trąbki, i drumle. Chyba z dziesięciu chłopców pytało o cukierki z melasy. I musimy się postarać przynajmniej o metr wczesnych jabłek, choć już się sezon kończy. Ależ, droga kuzynko, co za olbrzymi stos miedziaków! Po prostu miedziana góra!

— Dobra robota! Dobra robota! Dobra robota! — chwalił wuj Venner, który zachodził do sklepu kilka razy w ciągu dnia. — Oto dziewczyna, która na pewno nie zakończy życia na mojej farmie. No, no, patrzcie tylko, jaka to bystra panienczka!

— Tak, Febe to miła dziewczyna — rzekła Hepziba marsząc brwi z groźną aprobatą. — Ale, wujku Venner, znacie naszą rodzinę od wielu lat. Powiedzcie mi, jest ona podobna do kogoś z rodziny Pyncheonów?

— Ja takiego nie znałem — odpowiedział zacny starszek. — W każdym razie nie miałem szczęścia oglądać podobnych do niej ani między Pyncheonami, ani też, prawdę mówiąc, nigdzie indziej. Widziałem kawał świata, nie zawsze siedziałem w kuchniach i na podwórkach, bywało się i w mieście, i na przystaniach, i w innych miejscach, gdzie miałem interesy. I powiem prawdę, że nigdy nie widziałem człowieka, żeby pracował jak anioł Boży, tak jak pracuje to dziecko.

Pochwała wujka Vennera, choć mogłaby się wydawać zbyt wyszukana w tej sytuacji, zawierała dużo subtelności i prawdy. Praca Febe miała w sobie coś uduchowionego. Ten długi, pracowity dzień spędzony wśród zajęć, które łątko mogłyby się stać nędzne i brzydkie, był przyjemny, a nawet piękny. Sprawił to urok Febe, która spełniała te zwykłe obowiązki z takim wdziękiem i prostotą. Cokolwiek robiła, zdawało się wykwitać z jej duszy jak kwiat, tak że praca, póki ona się nią zajmowała, miała kapryśny urok zabawy. Aniołowie nie trudzą się, lecz pozwalają dobrym uczynkom wyrastać z siebie. Podobnie było i z Febe.

Obie krewne — młoda i stara panna — znalazły dość czasu przed zapadnięciem nocy, w chwilach wolnych od sprzedawania, by lepiej się poznać. Wzajemna miłość i zaufanie robiły szybkie postępy. Samotnicy tacy jak Hepziba, gdy konieczność zmusi ich do osobistego zetknięcia się z ludźmi, okazują zwykle zadziwiającą szczerłość i uprzejmość, przynajmniej przez pewien czas, podobni aniołowi, z którym walczył Jakub — gotowi błogosławić zwycięzcę, gdy zostaną pokonani.

Stara dama z posępną dumą i z zadowoleniem pomieszanym z goryczą prowadziła Febe od pokoju do pokoju i powtarzała rodowe legendy, którymi były

nasycone stare ściany niby barwami ponurych fresków. Pokazała ślady gubernatorskiego miecza na drzwiach apartamentu, w którym stary pułkownik Pyncheon, martwy gospodarz, przyjął przerażonych gości upiornym wejrzeniem. Podobno, tak przynajmniej twierdziła Hecziba, groźny cień tego wejrzenia ciągle jeszcze mroczy korytarz. Poleciała Febe wejść na jedno z wysokich krzeseł i obejrzeć starożytną mapę wschodnich terytoriów majątności Pyncheonów. W tym miejscu (tu dotknęła palcem mapy) znajdowała się kopalnia srebra, której położenie oznaczył dokładnie sam pułkownik Pyncheon w swych zapiskach, lecz zabronił ujawnienia tego, póki roszczenia rodzinne nie będą uznane przez rząd. Było więc w interesie całej Nowej Anglii, żeby Pyncheonowie otrzymali, co im się sprawiedliwie należy. Opowiadała też Hecziba, że gdzieś w domu lub w piwnicach a może i w ogrodzie ukryty jest niewątpliwie ogromny skarb — stos angielskich gwinei.

— Gdybyś przypadkiem go znalazła, Febe — mówiła Hecziba spoglądając na nią z boku z posępnym, ale życzliwym uśmiechem — zawiązałybyśmy dzwonek sklepowy raz na zawsze.

— Tak, kochana kuzynko — odrzekła Febe. — Ale na razie słyszę, że dzwoni.

Po odejściu klientki Hecziba opowiadała dość mgliście i bardzo rozwlekle o pewnej Alicji Pyncheon, która za życia, to jest sto lat temu, była nadzwyczaj piękna i wykształcona. Wspomnienie tej uroczej postaci przenikało jeszcze ściany, wśród których żyła, jak zeschnięty pączek róży napełnia swą wonią szufladę, w której zwiądnął i zmarniał. Tę wdzięczną Alicję spotkało jakieś tajemnicze nieszczęście, od którego coraz bardziej mizerniała i bladła, aż zeszała z tego świata. Lecz nawet teraz jeszcze jej cień, jak mówiono, nawiedza Dom o Siedmiu Szczytach i wiele razy sły-

szano, jak wygrywa piękne smutne melodie na swym klawikordzie, zwłaszcza wtedy, gdy śmierć ma zabrać któregoś z Pyncheonów. Jedną z tych melodii utrwalił w nutach jakiś muzyk-amator, tak jak ją usłyszał płynącą spod bezcielesnych palców ducha Alicji; była to cudna piosenka, lecz tak przejmująco żałosna, że do dnia dzisiejszego nikt nie może znieść jej dźwięków i tylko ci, których serce wypełnia bezbrzeżny smutek, mogą w niej znaleźć słodycz i ukojenie.

— Czy to ten sam klawikord, który mi pokazywałaś, kuzynko? — pytała Febe.

— Tenże sam — powiedziała Hepziba. — To jest klawikord Alicji Pyncheon. Gdy uczyłam się muzyki, mój ojciec nie pozwalał mi go nigdy otwierać. Dlatego też, mogąc grać tylko na instrumencie nauczycielki, dawno już zapomniałam moich muzycznych umiejętności.

Pozostawiając te dawne tematy stara dama poruszyła sprawę dagerotypisty, któremu pozwoliła zamieszkać w jednym z siedmiu skrzydeł domu, jako że wydawał się młodzieńcem poważnym i solidnym, a niezbyt zamożnym. Ale gdy zaczęła częściej widywać pana Holgrave — nie wiedziała, co o nim sądzić. Miał najdziwniejszych towarzyszy, jakich można sobie wyobrazić: długobrodych mężczyzn odzianych w płócienne bluzy i inne nowomodne, źle uszyte ubrania; reformatorów, mówców towarzystw wstrzeźliwości i rozmaitych filantropów o gniewnych twarzach; furierystów, i zwolenników strajkowania — zdaniem Hepziby, byli to ludzie, którzy nie uznawali żadnego prawa i nie jedli przyzwoitych posiłków, żyli tylko zapachami z cudzych kuchni i gardzili pozywieniem. A o dagerotypiście czytała w pensowym dzienniku; oskarżano go tam o wygłoszenie mowy wywrotowej na zebraniu podobnych mu rozbójników. Co do niej, to miała powody przypuszczać, że Holgrave

praktykuje magentyzm zwierzęcy, i byłaby skłonna go posądzić, że w tym samotnym pokoju na górze studiuje czarną magię, gdyby te rzeczy były dziś modne.

— Ależ, droga kuzynko! — rzekła Febe. — Jeżeli ten młody człowiek jest tak niebezpieczny, dlaczego pozwalasz mu tu mieszkać? Gotów podpalić dom albo frobić jeszcze coś gorszego!

— Tak, tak — odpowiedziała Hepziba. — Czasami zastanawiałam się poważnie, czy nie powinnam mu wymówić domu. Ale mimo swych dziwactw jest to spokojny młodzieniec i tak jakoś potrafi ująć człowieka, że choć nie powiem, abym go lubiła — bo na to za mało go znam — byłoby mi przykro stracić go zupełnie z oczu. Kobieta, która żyje samotnie tak jak ja, lgnie do przygodnych znajomości.

— Ale jeżeli pan Holgrave jest w niezgodzie z prawem! — upomniała ją Febe, dla której posłuszeństwo prawom było drugą naturą.

— Och! — odrzekła niedbale Hepziba, gdyż, choć była w życiu formalistką, stworzone przez ludzi prawa dobrze jej się już dały we znaki. — Przypuszczam, że kieruje się własnymi prawami!

## STUDNIA MAULETA

Po wczesnym podwieczorku Febe wyszła do ogrodu. Jego teren, kiedyś bardzo rozległy, skurczył się teraz do niewielkiej przestrzeni zamkniętej wokoło przez wysokie drewniane płoty i zabudowania gospodarskie z sąsiedniej ulicy. W środku leżał skrawek trawnika otaczający ruiny małej budowli, która zachowała na tyle pierwotnego kształtu, że można było w niej poznać starą altanę. Piał się po niej chmiel wystrzelający z zeszłorocznych korzeni, ale wiele jeszcze brakowało, żeby okrył dach altany zielonym płaszczem. Trzy spośród siedmiu szczytów domu wychodziły na ogród frontem lub bokiem i patrzyły nań dumnie z tej dostojnej wysokości.

Czarna bogata gleba żywiła się próchnicą nagromadzoną przez długie lata z opadłych liści, kwiatów oraz łodyg i nasion dziko rosnącego zielska, bardziej



użytecznego po śmierci niż wtenczas, gdy dumnie pła-  
wiło się w słońcu. Dawne zło powróciłoby tu na nowo  
w postaci chwastów panoszących się zawsze tam, gdzie  
zamieszka człowiek, niby symbol ciągle odnawiających  
się wśród ludzi występków, Febe jednak zauważyła, że  
ktoś się tu zajmuje ich tępieniem, systematycznie,  
dzień po dniu. Rozłożysty krzak białej róży został wi-  
docznie niedawno, z początkiem lata, oparty o ścia-  
nę domu, a na jednej gruszy i trzech śliwach dama-  
sceńskich, które, nie licząc rzędu porzeczek, stanowiły  
jedyne tu odmiany owocu, widniały ślady świeżo ob-  
ciętych gałęzi, widocznie połamanych lub niepotrzeb-  
nych. Rosło tu też trochę kwiatów, posadzonych wi-  
kłać bardzo dawno, lichych, lecz starannie opielonych,  
jak gdyby ktoś z zamiłowania lub przez ciekawość  
zabiegał o to, by doprowadzić je do takiego rozkwi-  
tu, do jakiego jeszcze były zdolne. W pozostałej czę-  
ści ogrodu rosły potrzebne w gospodarstwie domo-  
wym, starannie uprawione warzywa: dynie prawie  
już pokryte złotym kwieciem; ogórki, które zaczynały  
właśnie schodzić z grędy gotując się do dalekiej wę-  
drówki; kilka rzędów fasoli szparagowej, która pięła  
«ę już na tyki. Pomidory zajmowały miejsce osłonię-  
te i tak słoneczne, że wybijały już wysoko i obiec-  
wały obfity i wczesny plon.

Febe zastanawiała się, czym to staraniem i pracą  
rosły te warzywa, a ziemia utrzymana była tak czy-  
sto i porządnie. Na pewno nie kuzynki Hepziby, która  
nie lubiła się zajmować hodowaniem kwiatów, co by-  
ło zajęciem dozwolonym dla dam, a już trudno przy-  
puścić, by przy swym samotniczym usposobieniu  
i skłonności do chowania się w posępnym cieniu sta-  
rego domu wychodziła kopać i plewić pod otwartym  
niebem, wśród bractwa fasoli i dyni.

Był to pierwszy dzień Febe spędzony w zupełnym  
oddaleniu od wiejskich widoków i dziewczyna głębo-

ko odczuła niespodziewany urok tego zakątka pełnego trawy, liści, arystokratycznych kwiatów i plebejskich warzyw. Zdawało się, że oko Niebios spogląda nań mile, z uśmiechem, jakby radując się, że natura, tłumiona i wypędzana z okrytego kurzem miasta, znalazła tu miejsce, by odetchnąć swobodnie. Miejsce to nabrało większego jeszcze i trochę dzikiego uroku, a zarazem przytulności przez to, że para raszek uwiła sobie gniazdko na gruszy i napełniała ciemny gąszcz krzotaniną i radosnym ćwierkaniem. Także pszczoły, rzecz dziwna, uznały, że warto tu przylatywać z ulów stojących w jakiejś gospodarskiej zagrodzie, odległej być może o wiele mil. Jakież przestrzenie musiały przebywać krążąc tak od świtu do zachodu między tym ogródkiem i ulem. Nawet teraz, choć było już późno, z kwiatów dyni dochodziło przyjemne brzęczenie żłocistego mozołu kilku zapóźnionych pszczół. W tym ogrodzie pozostawała jeszcze jedna bezsporna własność natury, mimo wysiłków człowieka, żeby ją sobie przywłaszczyć. Było to źródło. Stare omszałe kamienie otaczały je kręgiem, a dno wyłożone było mozaiką kolorowych kamyczków. Rozedrgana bijącym źródłem powierzchnia wody mieniła się na tym różnobarwnym tle niby magiczne zwierciadło tworząc ciągle zmienne zjawy przedziwnych figur, zbyt szybko znikających, by można było uchwycić ich kształt. Przelewająca się przez omszałe kamienie woda odpływała pod płótem przez coś, co musimy z żalem nazwać ściekiem raczej niż strumykiem.

Nie możemy też zapominać o kojcu dla kur, bardzo czcigodnym i starożytnym, który stał w dalszym kącie ogrodu, niedaleko od źródła. Dawał on w tej chwili schronienie jedynie kogutowi, dwóm jego żonom i samotnemu kurczęciu. To stadko było pozostałością rasy, która należała do dziedzicznych ruchomych dóbr Pyncheonów i podobno w czasach rozkwitu wydawała oka-

zy o rozmiarach niemal indyjskich, a pod względem delikatności mięsa godnych książęcego stołu. Na dowód, że sława ta była zasłużona, Hepziba mogłaby pokazać skorupkę wielkiego jaja, jakiego nie powstydziliby się nawet struś. Jak było, to było, ale obecnie kury wzrostem nie przenosiły gołębi i miały wygląd zwiędły i pożółkły, reumatyczny chód, a przez wszystkie odmiany ich gdakania i kwokania przebiegała nuta sennej melancholii. Było faktem oczywistym, że rasa uległa degeneracji, co spotkało już niejedną szlachetną rasę wskutek zbytnej troski o jej czystość. Ów skrzydlaty ludek zbyt długo żył w odosobnieniu, a jego obecni przedstawiciele sądząc z ich żalosnego zachowania byli, zdaje się, tego świadomi. Niewątpliwie utrzymywali się przy życiu i od czasu do czasu kurze damy znosiły jajko lub wysiadywały kurczę, lecz nie dla własnej przyjemności, a tylko po to, żeby nie zaginął całkowicie gatunek, który niegdyś stanowił tak wyjątkową ozdobę kurzego rodzaju. Obecnie osobliwością tej rasy były liche, pożałowania godne grzebienie, tak jakoś dziwnie i złośliwie przypominające turban Hepziby, że Febe, choć z wielkimi wyrzutami sumienia, nie mogła się powstrzymać od wyobrażenia sobie, że jakieś ogólne podobieństwo łączy te zapomniane dwunożne stwory z jej szacowną kuzynką.

Dziewczyna pobiegła do domu, żeby przynieść trochę skórek od chleba, gotowanych kartofli i innych okruczeń odpowiednich dla niewybrednego apetytu ptactwa. Wracając do ogrodu wydała specjalny okrzyk; kury jak się zdaje, poznały go. Kurczę przecisnęło się przez paliki kojca i podbiegło, dość nawet zważowo, do jej stóp, a kogut i jego panie obrzuciły ją z ukosa dziwnym spojrzeniem, a potem zaskrzeczały coś między sobą, jakby udzielając sobie nawzajem mądrych uwag co do jej osoby. Miały wygląd tak do-

stojny i antyczny, że budziło się podejrzenie, iż nie tylko były potomkami szlachetnej starej rasy, lecz że same istniały od czasu wzniesienia Domu o Siedmiu Szczytach i dzieliły w jakiś sposób jego losy. Były to duchy opiekuńcze a może smutne Banshee — duchy ostrzegające o nieszczęściu — choć skrzydła i upierzenie miały inne niż aniołowie.

— Masz, ty dziwaczne kurczątko — mówiła Febe — te smaczne okruszynki są dla ciebie!

A kurczę, choć prawie tak czcigodnie wyglądało jak jego mama — zaprawdę, posiadało w miniaturze wszystkie cechy swych starożytnych przodków — zdobyło się na tyle energii, że pofrunęło wprost na ramię Febe.

— To kurczątko wyraziło pani najwyższy komplement! — powiedział jakiś głos za plecami Febe.

Odwróciła się szybko i zdziwiła widząc przed sobą młodego człowieka. Ów młodzieniec dostał się tutaj przez drzwi prowadzące do innej części domu niż ta, skąd wyszła Febe. Trzymał w ręku motykę — wszedł do ogrodu w tym czasie, gdy Febe szukała okruszyn, a teraz okopywał pomidory.

— To kurczę naprawdę traktuje panią jak starą znajomą — ciągnął dalej spokojnym głosem, a uśmiech uczynił jego twarz miłszą, niż wydała się Febe na początku. — Te czcigodne osobistości w kojcu zdają się być bardzo łaskawie usposobione. Ma pani szczęście: tak prędko zdobyła sobie pani ich względy. Mnie znają o wiele dawniej, ale nie zaszczyliły mnie nigdy żadną poufałością, choć prawie nie ma dnia, żebym nie przyniósł im czegoś do zjedzenia. Panna Hepziba zapewne osądzi, iż bractwo poznało w pani członka rodu Pyncheonów, i włączy ten fakt do rodzinnych tradycji.

— Nauczyłam się rozmawiać z kurami i kurczętami — rzekła Febe z uśmiechem. — W tym cały sekret.

— Ach, ale te kury — odpowiedział młodzieniec — te kury z arystokratycznego rodu nie poniżyłyby się do rozumienia wulgarnej mowy podwórzowego ptactwa. Wolę już myśleć — a panna Hepziba w tym by się ze mną zgodziła — że poznały rodzinny głos. Gdyż pani należy zapewne do rodziny Pyncheonów?

— Nazywam się Febe Pyncheon — rzekła dziewczyna z pewną powściągliwością, gdyż pojęła, że jej nowy znajomy nie mógł być nikim innym jak dagerotypistą, owym młodzieńcem o wywrotowych skłonnościach. — Nie wiedziałam, że ogród mojej kuzynki Hepziby znajduje się pod czyjąś opieką.

— Tak — powiedział Holgrave — to ja kopię i plewię w tej starej ziemi, by stać się bardziej prostym i naturalnym, choć niewiele z natury pozostało w tym miejscu, gdzie ludzie od tak dawna siali i zbierali plony. Obracam te skiby dla rozrywki. A w moim prawdziwym zawodzie, jeśli go posiadam, mam do czynienia z materiałem bardziej lotnym. Krótko mówiąc robię obrazki z promieni słońca, a żeby nie olśnił mnie zbyt-  
nio mój zawód, skłoniłem pannę Hepzibę, żeby mi pozwoliła zamieszkać w jednej z tych mrocznych wieżyczek. Gdy się tam wchodzi, to tak, jakby się założyło opaskę na oczy. Ale może zechciałaby pani obejrzeć jakieś moje dzieło?

— To znaczy dagerotypową podobiznę? — spytała Febe mniej już powściągliwie, bo mimo uprzedzenia, sama młoda, lgnęła do młodości. — Nie bardzo lubię tego rodzaju obrazki — są takie sztywne i surowe. I wyglądają tak, jakby chciały uniknąć naszego wzroku. Myślę, że wiedzą o tym, że są niemiłe i dlatego nie chcą, aby je oglądano.

— Gdyby mi pani pozwoliła — rzekł artysta spoglądając na Febe — chciałbym spróbować, czy dagerotyp potrafi ukazać nieprzyjemne rysy w tak miłej twarzy. Ale zapewne w tym, co pani powiedziała, jest

wiele prawdy. Większość moich podobizn nie wygląda sympatycznie; lecz wydaje mi się, że wystarczającym powodem jest to, że ich oryginały są nieprzyjemne. Proste, a wszyszkowidzące światło słońca niebieskiego jest cudownie przenikliwe. Gdy przypisujemy mu tylko umiejętność malowania powierzchni, ono wydobywa na jaw tajemnicę charakteru człowieka tak śmiało, jak nie odważyłby się żaden malarz, nawet gdyby ją wykrył. W mojej skromnej sztuce nie ma przynajmniej pochlebstwa. Oto podobizna, którą wykonywałem wiele razy i ciągle z tym samym przykrym rezultatem; a jednak dla zwykłego oka twarz oryginału ma zupełnie inny wyraz. Byłbym pani wdzięczny, gdyby zechciała pani wydać sąd o tym charakterze.

Pokazał miniaturę dagerotypu w skórzanym pudełeczku. Febe spojrzała tylko i oddała ją artyście.

— Znam tę twarz — odrzekła — jej surowe spojrzenie prześladowuje mnie przez cały dzień. To mój purytański pradziad, który wisi tam w bawialnym pokoju. Z pewnością odnalazł pan jakiś sposób, żeby skopiować portret bez czarnej aksamitnej czapki i siwej brody, i dał mu pan nowoczesny żakiet i jedwabny krawat zamiast płaszcza i wstęgi. Nie sądzę, żeby te zmiany go upiększyły.

— Dostrzegłaby pani i inne różnice, gdyby pani popatrzała nieco dłużej — powiedział Holgrave śmiejąc się, lecz mocno zdziwiony. — Mogę panią zapewnić, że to jest twarz z naszych czasów, i to twarz, z którą pani na pewno się spotka. Otóż zadziwiające jest to, że oryginał podobizny ma dla świata — a o ile mi wiadomo i dla najbliższych przyjaciół — oblicze nadzwyczaj przyjemne, świadczące o życzliwości, otwartym sercu, pogodnym usposobieniu i innych chwalebnych zaletach tego rodzaju. Słońce, jak pani widzi, mówi co innego i nie da się uprosić o zmianę

sądu nawet po wielu cierpliwych próbach z mojej strony. Tu oto mamy człowieka, który jest chytry, wyrachowany, twardy, władczy, a do tego zimny jak lód. Niech pani spojrzy na te oczy! Czy chciałaby pani być zdana na ich łaskę? A te usta! Czy zdolne są do uśmiechu? A przecież, gdyby pani tylko mogła zobaczyć dobrotny uśmiech tego człowieka! Tym bardziej niefortunnie się składa, że jest to człowiek wybitny w służbie publicznej, i podobizna miała być sztychowana.

— Wcale nie pragnę jej więcej oglądać — zauważyła Febe odwracając oczy. — Naprawdę jest bardzo podobna do tego starego portretu. Ale kuzynka Hepziba ma inny obrazek: miniaturę. Jeżeli człowiek z tamtej miniaturowej jest jeszcze na tym świecie, myślę, że mógłby wyzwąć słońce, by spróbowało uczynić jego twarz surową i twardą!

— A więc widziała pani ten obrazek! — wykrzyknął artysta z wielkim zainteresowaniem. — Ja go nigdy nie widziałem, ale mam wielką ochotę zobaczyć. I pani podoba się ta twarz?

— Nie widziałam nigdy bardziej uroczej twarzy — odrzekła Febe. — Jestomalże za miękka i za łagodna jak na twarz mężczyzny.

— I nie spostrzegła pani wcale dzikości wejrzenia? — ciągnął Holgrave tak poważnie, że zmieszało to Febe. Czowała się także zakłopotana spokojnym, swobodnym zachowaniem się artysty mimo ich świeżej znajomości. — Czy nie ma w nim nic ponurego i złowrogięgo? Czy mogłaby pani wyobrazić sobie, że popełnił wielką zbrodnię?

— Nie ma sensu — powiedziała Febe trochę niecierpliwie — żebyśmy mówili o portrecie, którego pan nigdy nie widział. Mówi pan na pewno o kimś innym. Zbrodnię, coś podobnego! Jeżeli pan jest przyjacielem kuzynki Hepziby, powinien pan ją poprosić o pokazanie portretu.

— Dla moich celów jeszcze lepiej będzie zobaczyć samego człowieka — odrzekł chłodno dagerotypista. — Co do jego charakteru nie mamy potrzeby spierać się; ocenił go już kompetentny trybunał lub taki, który uchodzi za kompetentny. Ale chwileczkę! Niech pani jeszcze nie odchodzi! Chcę pani uczynić pewną propozycję.

Febe, która zamierzała już odejść, odwróciła się trochę niepewnie; nie mogła zrozumieć jego sposobu zachowania, choć przy bliższej obserwacji wydawało się, że jest to raczej naturalność i prostota niż lekceważenie i umyślna niegrzeczność. I teraz zwrócił się do niej z propozycją, która brzmiała jak zaproszenie gospodarza, a nie gościa, który uzyskał wstęp do ogrodu jedynie dzięki uprzejmości Hepziby.

— Jeśli to pani sprawi przyjemność — zauważył — byłoby mi miło przekazać te kwiatki i to starożytne czcigodne ptactwo pani opiece. Przybywając wprost ze wsi i od wiejskich zajęć zatęskni pani wkrótce za pracą na świeżym powietrzu. Kwiaty nie są moją specjalnością. Może więc pani zająć się nimi i ścinać je do woli; ja poproszę tylko o jakiś mały kwiatek od czasu do czasu, w zamian za te wszystkie poczciwe kuchenne warzywa, które ofiaruję dla urozmaicenia stołu panny Hepziby. Będziemy więc towarzyszami pracy, trochę jak na zasadach wspólnoty.

W milczeniu i nieco zdziwiona własną uległością Febe wzięła się do plewienia grządki z kwiatami, ale bardziej jeszcze pochłoneńy ją rozmyślania na temat tego młodego człowieka, z którym tak niespodzianie połączyła ją znajomość podobna nawet zażyłości. Nie czuła do niego zbytnej sympatii. Młodej wiejskiej dziewczynie jego charakter wydawał się zagadkowy i mógłby się wydać takim również dla oczu bardziej doświadczonych; gdyż mimo że ton jego rozmowy był zazwyczaj żartobliwy, pozostawiał wrażenie powagi,



a nawet surowości, którą łagodził nieco jego młodzieńczy wiek. Febe buntowała się przeciw jakiemuś magnetycznemu wpływowi, jaki wywierał na nią artysta, zapewne nieświadomie.

Po niedługiej chwili zmierzch pogłębiany cieniami drzew owocowych i budynków zasnuł ogród.

— Czas już skończyć pracę — powiedział Holgrave. — Moje ostatnie uderzenie motyką odcięło pęd fasoli. Dobranoc, panno Febe Pyncheon! Któregoś jasnego dnia, jeśli pani włoży jeden z tych pączków róży we włosy i przyjdzie do mego pokoju przy ulicy Centralnej, pochwyć najczystszy promień słońca i zrobię portrecik kwiatu i jego właścicielki.

Skierował się do swego samotnego mieszkania, lecz przy drzwiach odwrócił głowę i zawołał do Febe tonem, w którym na pewno dźwięczał śmiech, a jednak brzmiało to prawie poważnie:

— Proszę pamiętać, że nie wolno pić wody ze studni Maule'a! Niech pani z niej nie pije i nie myje w niej twarzy!

— Studnia Maule'a! — odpowiedziała Febe. — Czy to ta obłożona kamieniami? Nie myślę z niej pić, ale dlaczego nie wolno?

— O! — odrzekł dagerotypista — dlatego, że ta woda jest zaczarowana!

Znikł za drzwiami i Febe, która pozostała jeszcze przez chwilę, zobaczyła błysk, a potem światło palącej się lampy w jego pokoju. Gdy wróciła do części domu zajmowanej przez Hepzibę, nisko belkowana sala bawialna wydała się dziewczęciu tak ciemna i mroczna, że oczy nie mogły przeniknąć jej wnętrza. Dostrzegła niewyraźnie chudą postać starej panny; Hepziba siedziała na jednym z krzeseł o wysokim oparciu, z twarzą zwróconą w jeden kąt pokoju, odsunięta nieco od okna, z którego padał słaby odblask na białą plamę policzka.

— Czy mam zapalić lampę, kuzynko Hepzibo? — spytała.

— Rób, jak chcesz, moje drogie dziecko — odrzekli Hepziba. — Ale postaw ją na stole w kącie korytarza. Moje oczy są bardzo słabe i źle znoszą światła lampy.

Jakim czułym instrumentem jest ludzki głos! Jak cudownie oddaje każde drgnienie duszy! Głos Hepziby był w tej chwili głęboki i nabrzmiały uczuciem, jak gdyby te zwyczajne słowa wynurzyły się z ciepła jej serca. Po chwili, gdy Febe zapalała lampę w kuchni, wydało się jej, że krewna coś do niej mówi.

— Zaraz, kuzynko! — odpowiedziała. — Te zapałki iskrzą się tylko i gasną.

Lecz zamiast odpowiedzi Hepziby usłyszała coś niby szmer nieznanego głosu. Był on jednak dziwnie niewyraźny — nie słyhać było słów, lecz jakiś bezkształtny nieartykułowany dźwięk podobny raczej westchnieniu, które jest mową uczuć, niż słowom, które wyrażają myśli; tak nieuchwytny, że w pamięci Febe nie pozostawił nawet echa. Sądziła, że widocznie wzięła jakiś szmer za ludzki głos lub też, że powstał on tylko w jej wyobraźni.

Postawiła zapaloną lampę w korytarzyku i znów weszła do bawialni. Postać Hepziby, choć czarna jej sylwetka roztapiała się w mroku, była teraz bardziej widoczna. Lecz w głębi pokoju, którego ściany źle odbijały światło, panowała ta sama niemal ciemność, co przedtem.

— Kuzynko — rzekła Febe — czy mówiłaś coś do mnie przed chwilą?

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała Hepziba,

Jeszcze mniej słów niż przedtem, ale ten sam tajemniczy pogłos: miękki, melancholijny, a jednak nie ponury, zdawał się płynąć z głębin serca Hepziby, jakby skąpany w jej najgłębszych uczuciach. Było

w nim też drzenie, które udzieliło się i Febe, jako że wszelkie silne uczucia mają własności magnetyczne. Przez chwilę dziewczyna siedziała w milczeniu. Lecz wkrótce jej czujne ucho pochwyciło szmer nierównego oddechu w ciemnym kącie pokoju. Febe była naturą zdrową, lecz niezmiernie wrażliwą, odczuła więc czyjaś obecność tak wyraźnie, jakby dano jej tajemniczy znak.

— Kochana kuzynko — spytała przewyciężając nieokreśloną niechęć. — Czy jest tu ktoś jeszcze w pokoju?

— Moja kochana Febe — rzekła Hepziba po chwili milczenia — wstałaś tak wcześnie rano i krzątałaś się przez cały dzień. Proszę cię, idź na spoczynek. Jestem pewna, że go potrzebujesz. Ja posiedzę chwilę w bawialni: chcę pozbierać myśli. Taki mam zwyczaj już od dawna, dłużej, niż ty żyjesz na świecie!

Odprawiając ją w ten sposób stara panna podeszła, ucałowała Febe i przycisnęła ją do wezbranego serca, które biło przy sercu dziewczyny mocno i niespokojnie. Skąd brało się tyle uczucia w tym starym samotnym sercu, że tak się rozgrzało?

— Dobranoc, kuzynko — rzekła Febe, dziwnie poruszona zachowaniem Hepziby. — Cieszę się, że zaczynasz mnie kochać!

Udała się do swego pokoju, lecz nieprędko zasnęła i sen jej nie był głęboki. O jakiejś nieokreślonej porze nocy, jakby przez cienką zasłonę snu, usłyszała kroki wstępujące po schodach, ciężkie, lecz słabe, chwiejne i niezdecydowane. Przyciszony głos Hepziby posuwał się równo z tymi krokami; i znów w odpowiedzi na głos kuzynki Febe usłyszała ten nieuchwytny dziwny szmer, który można było porównać do niewyraźnego widma mowy ludzkiej.

## VII

### GOSC

Gdy Febe obudziła się o wczesnym ćwierkaniu małżeńskiej pary raszek w gałęziach gruszy, usłyszała na dole ruch i schodząc spiesznie, znalazła Hepzibę już w kuchni. Stara panna stała przy oknie trzymając w ręku książkę, po której wodziła nosem, jak gdyby chciała się węchem zapoznać z jej treścią, której nie mogły odczytać słabe oczy. Jeśli jakakolwiek księga mogła objawić swą mądrość przez nos, to na pewno ta, którą dzierżyła w ręku Hepziba; a gdyby tak się stało, kuchnia napełniłaby się bezzwłocznie wonią dziczyzny, indyków, kapłonów, okładanych słoninką kuropatw, puddingów, ciast i mazurków świątecznych, przyrządzanych na przeróżne sposoby i w różnych zestawieniach. Był to bowiem książka kucharska, pełna niezliczonych starych przepisów na angielskie potrawy, ilustrowana

sztynchami, które przedstawiały zastawę na bankietach, jakie przystałoby wydawać udziałnemu panu w wielkiej zamkowej sali. A wśród tych bogatych i posilnych wymysłów sztuki kulinarnej (żaden z nich zapewne nie był próbowany już nawet za pamięci naszych dziadków) biedna Hepziba szukała jakiegoś prostego smakołyku, który by mogła z tą umiejętnością, jaką posiadała, i z produktów znajdujących się pod ręką upitrasić na śniadanie.

Wkrótce odłożyła z westchnieniem smakowitą księgę i spytała Febe, czy stara Siemieniatka, jak nazywała jedną z kur, zniosła jajko poprzedniego dnia. Febe pobiegła zobaczyć, lecz wróciła bez spodziewanego skarbu. W tej chwili wszakże na ulicy rozległo się trąbienie w muszlę oznajmiające, że zbliża się handlarz ryb. Hepziba przywołała go energicznym pukaniem w szybę i zakupiła od niego makrełę, którą słaWił jako najpiękniejszą ze wszystkich ryb na wózku i najtłuszczej, jaką macały jego palce o tak wczesnej porze roku. Stara panna poleciła Febe upalić kawę dodając, że to prawdziwa mocca i tak długo przechowywana, że każde ziarnko jest na wagę złota, po czym nałożyła drew na obszerne palenisko staroświeckiego komina w takich ilościach, że wkrótce mrok zalegający jeszcze kuchnię zniknął zupełnie. Febe, pragnąc przyjść z pomocą w miarę swych umiejętności, ofiarowała się upiec indiański placek według specjalnego przepisu swojej matki. Był on łatwy do zrobienia i, jak zaręczała Febe, co do pożywności i delikatności smaku (jeśli go przyrządzono należycie) nie miał sobie równych wśród placków wypiekanych na śniadanie. Hepziba zgodziła się chętnie i kuchnia wkrótce ożywiła się wonnymi przygotowaniami. Stary komin dymił obficie, a z kłębów tego dymu (który jest przyrodzonym żywiołem duchów) lub spoza ogromnej rury od pieca patrzyły może zdumione wid-

ma pomarłych kucharek pełne pogardy dla prostego posiłku, który się tu szykował, lecz i z daremną tęsknotą, by przyłożyć ręki do rozpoczętej roboty. A już na pewno widać było wygłodzone szczury, które wysuwały się ze swych kryjówek i siadały na tylnych łapkach węsząc wśród dymu i w zamyśleniu czekając sposobności, aby coś uszczknąć.

Hepziba nie miała wrodzonych zdolności do gotowania i, prawdę mówiąc, sama zawiniła swej obecnej chudości, gdyż często wolała obejść się bez obiadu niż pilnować obracającego się różna lub kipiącego garnka. Jej gorliwość przy kuchni świadczyła zatem o heroicznych uczuciach. Był to widok wzruszający po prostu do łez (gdyby Febe, jedyny świadek prócz wyżej wspomnianych szczurów i duchów, nie miała lepszego zajęcia niż wylewanie łez), jak Hepziba formowała korytko ze świeżych i rozżarzonych węgla i zabierała się do pieczenia makreli. Jej policzki, blade zazwyczaj, płonęły od gorąca i pośpiechu. Przyglądała się rybie z taką troską, tak czule i z tak wyteżoną uwagą, jak gdyby — nie wiemy, jak to inaczej określić — jak gdyby jej własne serce smażyło się na ruszcie, a jej szczęście wieczne zawisło od właściwego przyrządzenia tej potrawy!

Życie domowe mało ma większych przyjemności niż ładnie i obficie zastawiony stół przy śniadaniu. Zasiadamy do niego z miłym uczuciem zupełnej świeżości, o wonnym od rosy zaraniu dnia, kiedy nasze pierwiastki duchowe i cielesne lepiej są zestrojone niż o późniejszej porze, tak że możemy w pełni przeżywać rozkosze porannego posiłku bez przykrych wyrzutów sumienia lub żołądka, które mogłyby nas przesładować później za troszkę choćby nadmierne ustępstwo na rzecz zwierzęcej strony naszej natury. Także i myśli obiegające krąg domowników zebranych przy stole są swobodne, radosne, mają urok szczerości

i prawdy, która nie zawsze trafia do bardziej wyszukanych rozmów, jakie prowadzi się podczas obiadu. Mały antyczny stolik Hepziby, wsparty na smukłych wdzięcznych nóżkach i przykryty obrusem z najprzedniejszego adamaszku, godny był stać się sceną i ośrodkiem najbardziej radosnego posiłku. Opary pieczonej ryby wznosiły się niby dym kadzideł w świątyni barbarzyńskiego bóstwa, a woń kawy uradowała by nosy opiekuńczych Larów czy innych potęg sprawujących władzę nad porannym stołem. Indiańskie placki Febe były najśłodszą obiata, a ich kolor — godny leśnych ołtarzy niewinnego złotego wieku; lub też porównać by je można do chleba, co zmienił się w lśniące złoto, gdy dotknął go król Midas — tak były złociście żółte. Nie należy zapominać o maśle, które Febe zrobiła własnoręcznie na wsi i przywiozła kuzynce jako przebłagalny dar — masło pachnące kwiatem koniczyny, roztaczające urok sielskich zakątków w wykładanej ciemnym drzewem bawialni. To wszystko, łącznie ze starym chińskim serwisem, dziwnym i wspaniałym, z łyżeczkami zdobnymi w herby i srebrnym dzbankiem do śmietanki (jedyne w posiadaniu Hepziby srebro i to o kształtach ordynarnego garnka), wszystko to składało się na stół, przy którym najmożliwszy z gości starego pułkownika Pyncheona nie powstydziliby się zająć miejsca. Lecz twarz Purytanina patrzyła groźnie na ten obrazek, jak gdyby nie z owego stołu nie mogło zadowolić jego apetytu.

By upiększyć zastawę, Febe zerwała kilka róż i najpiękniejszych kwiatów i ułożyła je w szklanym dzbanku, który dawno już stracił ucho i tym lepiej nadawał się na wazon. Poranne słońce, świeże jak to, które zaglądało do rajskiej altany, gdy Adam i Ewa jedli śniadanie, przeświecało przez gałęzie gruszy i padało na stół. Wszystko było teraz gotowe. Nakryć i krzesła dano na trzy osoby: krzesło i talerz dla Hepziby, to

samo dla Febe — ale jakiego to jeszcze gościa spodziewała się jej kuzynka?

Przez cały czas tych przygotowań postać Hepziby przenikało drżenie; była tak mocno poruszona, że Febe widziała dygotanie jej chudego cienia, który w kuchni rzucały na ścianę blaski ognia, a w bawialni słońce. Objawy tego wzruszenia były tak różne i tak ze sobą niezgodne, że dziewczyna nic z tego nie mogła pojąć. Chwilami Hepziba zdawała się w ekstazie szczęścia i radości. Wtedy wyciągała ramiona, obejmowała Febe i całowała jej policzki tkliwie jak rodzona matka; czyniła to impulsywnie, jak gdyby jej łono przepełniało tyle czułości, że musiała zrzucić ten nadmiar, by móc swobodnie oddychać. Ale już w następnej minucie, bez widocznego powodu, ta niezwykła radość cofała się niby przerażona i odziewała się w żałobę lub biegła skryć się w otchłani jej serca, gdzie tak długo leżała spętana; wtedy upiorny smutek zajmował miejsce uwiecznionej radości, która lękała się własnego wyzwolenia — smutek tak czarny, jak jasna była radość. Coraz to wybuchała nerwowym, histerycznym śmiechem, bardziej wzruszającym od łez. I zaraz, jakby dla przekonania się, co było naprawdę bardziej wzruszające, tryskały łzy. Lub też łzy i śmiech przychodziły naraz i otaczały naszą biedną Hepzibę niby bladym zamglonym łukiem tęczy. Dla Febe była, jak już wspomnieliśmy, serdeczna, o wiele bardziej serdeczna niż poprzednio, przez cały czas ich krótkiej znajomości (pomijając ten jeden pocałunek zeszłego wieczoru), a jednak ciągle irytowała się i zrzędziła. Przemawiała do niej ostro, a zaraz potem odrzucając zwykłą swoją powściągliwość i sztywność prosiła o przebaczenie, a za chwilę znów obrażała w ten sam sposób.

Wreszcie, gdy ich wspólna praca dobiegła końca, ujęła rękę Febe w swą drżącą dłoń.



— Bądź dla mnie wyrozumiała, drogie dziecko — przemówiła — bo serce moje pełne jest po brzegi! Bądź cierpliwa, bo ja cię kocham, Febe, choć przemawiam tak szorstko! Nie zważaj na to, kochane dziecko! Wkrótce będę dobra i tylko dobra!

— Moja kochana kuzynko, czy nie możesz mi powiedzieć, co się stało? — pytała współczująco Febe wśród łez i uśmiechów. — Co cię tak poruszyło?

— Cicho, sza! On już nadchodzi! — wyszeptwała Hepziba z pośpiechem wycierając oczy. — Niech ujrzy naprzód ciebie, bo jesteś młoda i różowa i uśmiech mimo woli wykwita na twojej twarzączce. On zawsze lubił wesołe twarze! A moja jest teraz stara i łyż zaledwie na niej obeschły. On nie znosił łez. O, zaciągnij trochę firankę, tak żeby po jego stronie stołu był cień. Ale niech będzie dużo słońca. On nigdy nie lubił mroku, jak niektórzy ludzie. A tak mało miał słońca w życiu, biedny Clifford — tylko cień, jakiś czarny cień! Biedny, biedny Clifford!

Mrucząc tak półgłosem, jakby przemawiała bardziej do swego serca niż do Febe, stara pani wysunęła się na palcach z pokoju; wyglądało to, jakby się gotowała na nadejście jakiejś krytycznej, przełomowej chwili.

Tymczasem w korytarzu na piętrze rozległo się stąpanie. Febe poznała, że były to te same kroki, które słyszała w nocy jakby przez sen. Tajemniczy gość przystanął na chwilę tuż przy schodach; przystanął raz czy dwa razy schodząc ze schodów; i po zejściu na dół znów się zatrzymał. Za każdym razem przystawanie to zdawało się bezcelowe, wynikało jak gdyby z chwilowego zapomnienia o zamiarze, który kierował jego krokami, lub jakby nogi tego kogoś zatrzymywały się mimo woli, ponieważ poruszająca nimi siła była zbyt mała, by utrzymać je w ruchu.

— Droga kuzynko Hepzibo, nie patrz tak, proszę! — powiedziała Febe drżąc, gdyż wzruszenie Hepziby

i ten tajemniczy wahający się krok przejęły ją takim lękiem, jakby do pokoju miał wstąpić upiór. — Przerazasz mnie, naprawdę! Czy ma się stać coś straszego?

— Szs... — wyszeptała Hepziba. — Bądź wesoła! Cokolwiek się stanie, bądź wesoła!

Ostatnia przerwa tuż za progiem pokoju trwała tak długo, że Hepziba, nie mogąc znieść tego napięcia, rzuciła się naprzód, otworzyła drzwi, ujęła rękę przybysza i wprowadziła go do wnętrza. W pierwszej chwili Febe ujrzała starszego mężczyznę w staromodnym szlafroku ze spłowiałego adamaszku, o siwych włosach niezwyklej długości. Włosy te zasłaniały mu czoło — odrzucił je w tył i rozglądał się niepewnie po pokoju. Wystarczyło tylko przyjrzeć się przez krótką chwilę jego twarzy, by pojąć z łatwością, że kroki tego człowieka musiały być właśnie takie — kroki, które przywiodły go tutaj z wolna i niby bez określonego celu, jak pierwsze kroki dziecka błądzącego po podłodze. A jednak nic nie wskazywało na to, by brakło mu sił fizycznych, które dają swobodę i pewność ruchów. To dusza tego człowieka nie umiała stawiać kroków. Twarz jego, pozbawiona niemal wyrazu, zapalała się na chwilę niepewnym, wahającym przebłyskiem świadomości, to znów zamierała i słabo, niechętnie wracała do życia. Była jak błądzący płomień migoczący w na pół wygasłych popiołach. Taki płomyk bardziej przykuwa nasze spojrzenie niż ten, co pali się pełnym blaskiem; przyglądamy mu się uważnie, lecz z pewną niecierpliwością, jakby domagając się by wreszcie zapłonął jasno lub zgasł zupełnie.

Po wejściu do pokoju gość stał przez chwilę nieruchomo trzymając rękę Hepziby — instynktownie, jak dziecko trzyma rękę prowadzącej go osoby dorosłej. Dojrzał jednak Febe i twarz mu się rozjaśniła na widok młodzieńczej urody dziewczęcia, od której stara

bawialnią poweselała jak od świetlnego kręgu, rzuca-  
nego na obrus przez słońce załamujące swe promienie  
w szklanym wazonie pełnym kwiatów. Gość uczynił  
znak powitania albo też, aby być bliższym prawdy, ja-  
kąś nieokreśloną, nieudałą próbę uprzejmego gestu.  
Jakkolwiek niedoskonały, ruch ten miał w sobie nie-  
opisany wdzięk, którego niepodobna wyuczyć się  
przez długie nawet ćwiczenia w sztuce dobrych ma-  
nier. Zbyt przelotna była to chwila, by owo wraże-  
nie sobie uprzytomnić; lecz później, gdy wracała we  
wspomnieniu, widziało się, że przeistoczyła zupełnie  
wygląd tego człowieka.

— Drogi Cliffordzie — powiedziała Hepziba tonem,  
jakim uspokaja się wylęknione dziecko. — To nasza  
kuzynka, Febe. Mała Febe Pyncheon, wiesz?. Jedyne  
dziecko Artura. Przybyła ze wsi, by u nas przez ja-  
kiś czas zamieszkać, bo nasz stary dom jest bardzo  
samotny!

— Febe? Febe Pyncheon? Febe? — powtarzał gość  
wymawiając słowa dziwacznie, niewyraźnie, jakby le-  
niwie. — Dziecko Artura! Ach, nie pamiętam. To nic!  
Witamy ją serdecznie!

— Pójdź tutaj, kochany Cliffordzie, usiądź na tym  
krześle — rzekła Hepziba prowadząc go na miejsce. —  
Proszę cię, Febe, opuść jeszcze trochę firankę. A te-  
raz zaczynamy śniadanie.

Gość usiadł na miejscu dla niego przeznaczonym  
i rozglądał się oszołomiony. Widocznie starał się u-  
chwycić sens tej sceny, lepiej ją sobie uświadomić  
i pojąć. A przynajmniej pragnął się upewnić, że znaj-  
duje się tutaj, w tej nisko sklepionej, poprzecznie bel-  
kowanej, wyłożonej dębową boazerią sali, a nie w ja-  
kimś innym miejscu, które utrwaliło się w jego pa-  
mięci. Lecz wysiłek był dla niego zbyt wielki, by mógł  
trwać długo, udawało mu się to tylko chwilami. Cią-  
głe, jeśli możemy tak się wyrazić, oddalał się z tego

miejsca. Inaczej mówiąc oddalał się jego umysł i świadomość pozostawiając zniszczoną, szarą i melancholijną postać — ucieleśnioną nicość lub zmaterializowane widmo zajmujące miejsce u stołu. I znów po chwili takiej nieobecności w jego źrenicach zapalał się migoczący nikły odblask, niby płomyk woskowej świecy, który świadczył, że dusza powróciła do ciała i usiłuje rozniecić ogień w sercu i światło w umyśle — w tym ciemnym zrujnowanym domostwie, w którym sądzone jej było żyć w opuszczeniu.

W jednej z takich chwil ożywienia, które nie było zupełne, lecz przemagało jego zwykłą otepiałość, Febe uwierzyła ostatecznie w to, co początkowo odrzucała jako myśl niepokojącą i niedorzeczną. Zrozumiała, że człowiek siedzący przed nią jest oryginałem pięknej miniatury będącej w posiadaniu Hepziby. Z iście kobiecą spostrzegawczością w sprawach ubrania rozpoznała od razu adamszkowy szlafrok, który go okrywał i którego kształt, materiał i fason były identyczne ze szlafrokiem odmalowanym tak szczegółowo na obrazku. Zdawało się, że ta suknia, świetna przed laty, dziś stara i spłowieła, w jakiś dziwny sposób tłumaczy tajemnicze nieszczęście właściciela i odsłania je spojrzeniu widza. To wierzchnie odzienie pokazywało dobitnie, jak postarzała i zniszczona jest owa szata okrywająca bezpośrednio duszę człowieka: ciało i fizjonomia, które niegdyś tyle zdobiło piękna i wdzięku, że z trudem mógł im sprostać talent najznakomitszego artysty. Widziało się tym lepiej, że dusza tego człowieka doznała jakiejś straszliwej krzywdy w życiu ziemskim. Oto siedział oddzielony od świata mglistą zasłoną rozkładu i zniszczenia, przez którą chwilami rozbłyskiwała subtelna i lotna wyobraźnia, którą Malbone oddał w miniaturze jednym szczęśliwym pociągnięciem pędzla, w pełnej napięcia chwili. Ów wyraz tak był charakterystyczny, takgłę-

boko tkwił w jego naturze, że wszystkie te mroczne lata i przytłaczający ciężar nieszczęścia nie wystarczyły, by go zniszczyć.

Hepziba nalała filiżankę rozkosznie wonnej kawy i podała ją gościowi. Gdy spotkały się ich oczy, wydał się pomieszany i zaniepokojony.

— Czyż to ty jesteś, Hepzibo? — westchnął smutnie, a potem szeptał, bardziej do siebie, nieświadomy mpże, że go ktoś słucha: — Jakaż zmieniona! Jak zmieniona! Czy się na mnie gniewa? Dlaczego tak marszczy czoło?

Biedna Hepziba! Był to ów nieszczęsny grymas, który czas, krótkowzroczność i ukryte cierpienie uczyniły nawykiem tak dalece, że wywoływało go każde gwałtowniejsze wzruszenie. Lecz na te niewyraźne słowa cała jej twarz wypiękniała czułą, smutną miłością, a ostrość rysów zniknęła niby za łuną przymgłego ciepła.

— Ja się gniewam? — powtórzyła. — Gniewam się na ciebie, Cliffordzie?

Okrzyk jej drżał nutą żalu i tkliwości, lecz ta nie stłumiła całkowicie czegoś, co niezbyt wrażliwemu słuchaczowi mogło się wydać szorstkością. Zabrzmiało to tak, jakby znakomity muzyk wydobył ton niewysokiej słodyczy z pękniętego instrumentu, którego skaza mąci niebiańską harmonię; tak głębokie było uczucie, które znalazło sobie instrument w głowie Hepziby!

— Nie ma tu nic prócz miłości, Cliffordzie — dodała — nic prócz miłości! Jesteś w domu!

Gość odpowiedział uśmiechem, który ledwie że rozjaśnił mu twarz. Uśmiech, choć tak słaby i uleciał od razu, miał w sobie niezwykły urok. Jego miejsce zajął wyraz nieco wulgarny lub też może takim się wydał na pięknie modelowanych rysach tej twarzy, gdyż nie było w niej żadnego błysku inteligencji, aby

go złagodzić. Był to wyraz łakomstwa. Clifford pochłaniał jedzenie niemal żarłocznie; zdawał się niepomny siebie, Hepziby, młodej dziewczyny i wszystkiego, co było dookoła, w zadowoleniu zmysłów, jakie mu dawał pięknie zastawiony stół. W jego naturze, choć była tak subtelna i wytwornie ukształtowana, tkwiła prawdopodobnie przyrodzona wrażliwość na rozkosze podniebienia. Gdyby subtelniejsze cechy charakteru Clifforda zachowały swą moc, potrafiłyby zapanować nad tą skłonnością lub może przemienić ją w artyzm, w jeden z tysiąca przejawów kultury intelektualnej. Lecz w stanie obecnym wrażenie było tak przykre, że Febe spuściła oczy.

Po niedługiej chwili gość poczuł woń kawy, której dotychczas nie kosztował. Wypił ją chciwie. Subtelny napój podziałał nań jak zaczarowany trunek i sprawił, że światło duszy przedarło się przez cielesną substancję i zajaśniało czystym blaskiem.

— Jeszcze, jeszcze! — zawołał z nerwowym pośpiechem, jakby pragnąc zatrzymać w swej władzy coś, co mu się wymykało. — Tego mi potrzeba! Daj mi jeszcze!

Pod subtelnym i potężnym działaniem kawy wyprostował się na krześle i spojrzał oczami, które zaczęły widzieć to, na co patrzyły. I nie to było najważniejsze, że wyraz jego twarzy stał się bardziej rozumny; miało to pewne znaczenie, lecz nie stanowiło istoty owej szczególnej metamorfozy. Ani też nie wysunęły się w nim na plan pierwszy uczucia, stanowiące o życiu moralnym człowieka. W całej pełni, choć w sposób nie całkiem jeszcze doskonały wystąpiły te cechy jego istoty, których funkcją było przeżywanie piękna i radości. Gdyby cechy te stanowiły główny przymiot charakteru jakiegoś człowieka, obdarzyłyby go wytwornym smakiem i godną pozazdroszczenia zdolnością odczuwania szczęścia. Życiem takie-

go człowieka byłoby piękno; wszystkie jego dążenia skupiłyby się na pięknie; i gdyby jego władze fizyczne działały harmonijnie, rozwój ducha byłby również pięknem. Człowiek taki nie powinien zaznać żadnego smutku, żadnych walk, żadnego męczeństwa, które czeka w nieskończonej różnorodności kształtów na tych, co mają serce, wolę i sumienie, by toczyć bój ze światem. Dla tych heroicznym temperamentów męczeństwo jest najbogatszą nagrodą, jaką świat może ich obdarzyć. Dla człowieka, który siedzi przed nami, mogło być tylko boleścią, tym większą, im sroższe narzucono mu cierpienie. Nie miał prawa być męczennikiem. A człowiek szlachetny i wielkiego ducha, widząc go tak sposobnym do szczęścia, a tak niezdatnym do wszelkich innych zadań, gotów byłby poświęcić, jak mi się zdaje, tę odrobinę radości, jaką przeznaczył dla siebie; odrzuciłby nadzieję, lichą dla takich jak on strawę, gdyby przez to wichry miotające naszym surowym światem miały oszczędzić tamtego.

Nie będą to słowa wyrzutu i pogardy, jeśli powiemy, że Clifford był z natury sybarytą. To było widać nawet teraz, w ciemnej starej bawialni, gdy oczy jego, jakby przyciągane siłą magnetyczną, zwracały się tam, gdzie grały drżące światełka słońca padającego przez gęstwinę liści. I było to widoczne, gdy z cichą radością patrzył na wazon z kwiatami, gdy wdychał ich woń z uniesieniem właściwym ludziom, u których ciało jest tak wysubtelnione, że samo zdaje się być duszą. Zdradzał to nieświadomy uśmiech, z jakim spoglądał na Febe, której świeża dziewczęca postać była podobna i słońcu, i kwiatom — istocie kwiatów ujawnionej w kształcie od nich piękniejszym i miłszym. Niemniej widoczne było jego ukochanie piękna w instynktownej ostrożności, z jaką już teraz odwracały się jego oczy od pani domu, błędząc we wszystkich innych kierunkach raczej, niżby miały do niej powrócić. Było

to nieszczęściem Hepziby, nie winą Cliff orda. Była taka żółta, taka pomarszczona, tak smutną miała twarz — i ten dziwaczny obrzydliwy turban na głowie, i ten jakże złośliwy grymas, który wykrzywiał jej czoło — czyż on mógł patrzeć na nią z upodobaniem? Lecz czy nie był jej winien miłości za tę miłość, jaką go darzyła w milczeniu? Nic jej nie był winien. Ludzie tacy jak Clifford nie mogą zaciągać długów tego rodzaju. Ich natura — powiadamy to bez przygany, nie umniejszając słuszności, z jaką domaga się ona uznania faktu, że z innej została ulepiona gliny — natura taka jest zawsze samolubna w swej istocie. I musimy jej pozwolić, by taką pozostała, i kochać ją tym więcej, uczuciem bohaterskim i bezinteresownym, bez żadnej zapłaty. Biedna Hepziba znała tę prawdę lub przynajmniej instynktownie na niej opierała swe postępowanie. Clifford tak długo był pozbawiony wszystkiego, co piękne, że cieszyła się — choć z tłumionym na razie westchnieniem, odkładając w cichości wylewanie łez do chwili, gdy znajdzie się w swoim pokoju — cieszyła się z tego, że ma weselsze dla jego oczu obrazy niż własną starość i nieurodziwą fizjonomię. Rysy jej nigdy nie miały wdzięku, a gdyby go posiadały, stoczyłby go już dawno robak boleści nad losem brata.

Gość rozsiadł się głębiej w krześle. Na jego twarzy pomieszany z rozmarzonym zachwytem zjawiał się wyraz niepokoju i wysiłku. Starał się nasycić w pełni swą świadomość tym, co go otaczało, lub może bał się, że wszystko okaże się snem,? grą wyobraźni, i tę piękną chwilę zakłócało mu pragnienie, by uczynić ją jeszcze piękniejszą i trwalszą, choćby była tylko złudzeniem.

— Jak miło! Jak rozkosznie! — mówił półgłosem nie zwracając się do nikogo. — Czy to będzie trwało długo? Jakie balsamiczne powietrze płynie z otwarte-



go okna. Otwarte okno! Jak piękna jest gra światła słonecznych promieni! A te kwiaty jakie wonne! Twarz młodej dziewczyny, pogodna, kwitnąca! Jak kwiat operlony rosą z promieniem słońca igrającym w jej kroplach! Ach, to wszystko sen. Sen! Ale przykrył zupełnie te cztery kamienne ściany!

Po czym twarz mu ściemniała, jakby padł na nią cień jaskini albo lochu; nie więcej na niej było światła, niż spłynąć by mogło przez żelazne kraty więziennego okna, i światło to przygasało jeszcze, jak gdyby zapadał się coraz głębiej. Febe — zawsze ruchliwa, czynna, chętna i do pracy, i do rozmowy, a w jednym i drugim pomocna — zapragnęła teraz przemówić do nieznanego.

— Oto nowy gatunek róży, którą znalazłam dziś rano w ogrodzie — powiedziała wybierając małą karmazynową różyczkę spośród kwiatów w wazonie. — Będzie tylko z pięć albo sześć kwiatów na krzaku tego lata. Ta jest najpiękniejsza z nich; ani śladu plamki czy rdzy. A jak słodko pachnie — jak żadna inna róża. Niepodobna zapomnieć tego zapachu!

— Ach, niechże ją zobaczę! Daj mi ją do ręki! — zakrzyknął gość chwytając żarliwie kwiat, który swym zapachem obudził w nim niezliczone wspomnienia. — Dziękuję! O, jak mi dobrze! Pamiętam, jak lubiłem ten kwiat... dawno temu, chyba bardzo dawno temu. A może to było wczoraj? Czuję się znów młodym! Czy jestem młody? Albo to wspomnienie jest dziwnie wyraźne, albo moje myśli tak się zaćmiły. Jaka dobra jest ta piękna dziewczyna! Dziękuję ci! Dziękuję!

Ten miły stan podniecenia, który zawdzięczał małej karmazynowej róży, był najjaśniejszą chwilą dla Cliforda przy śniadaniu. Mogła ona przeciągnąć się dłużej, gdyby nie to, że wkrótce potem jego oczy padły przypadkiem na twarz starego Purytanina, który pa-

trzał na pokój ze swych ciemnych ram i zmatowiałego płótna jak upiór zły i nieprzyjazny. Gość uczynił ręką niecierpliwy gest i zwrócił się do Hepziby podrażnionym tonem rozpieszczonego dziecka, któremu wszystko wolno.

— Hepzibo! Hepzibo! — zakrzyknął głośno i wyraźnie. — Dlaczego trzymasz ten wstrętny obraz na ścianie? Tak, tak, oto właśnie twój gust! Mówiłem ci tysiąc razy, że on jest złym duchem naszego domu! A specjalnie moim złym duchem! Zdejmij go zaraz!

— Drogi Cliffordzie — rzekła smutnie Hepziba — wiesz, że to być nie może!

— W takim razie — ciągnął jeszcze z pewną energią — przynajmniej przykryj go, proszę, karmazynowa zasłona, dość szeroka, by można ją było ułożyć w fałdy, obrzeżoną złotem i frędzlą. Nie mogę go znieść! Nie wolno mu patrzeć mi w twarz!

— Tak, kochany Cliffordzie, obraz zostanie przykryty — powiedziała Hepziba kojąco. — Jest taka karmazynowa zasłona w kufrze na górze. Obawiam się, że będzie trochę spłowiała i zjedzona przez mole, ale razem z Febe dokonamy na niej cudów.

— Zaraz dzisiaj, pamiętaj! — powiedział; a potem dodał cichym, poufnym tonem: — Dlaczego mamy w ogóle mieszkać w tym ponurym domu? Czemu nie pojedziemy na południe Francji? Do Włoch? Do Paryża, Neapolu, Wenecji, Rzymu? Hepziba powie, że nie mamy środków. Co za śmieszna myśl!

Uśmiechnął się do siebie i rzucił Hepzibie spojrzenie wyrażające subtelną ironię.

Różne nastroje, jakim ulegał Clifford w przeciągu tego krótkiego czasu, choć ujawniane tak słabo, zmęczyły go widocznie. Przyzwyczał się zapewne do smutnej monotonii życia, które nie płynęło leniwą nawet strugą, lecz trwało w miejscu u jego stóp jak stojąca woda sadzawki. Senność zasnuła mu twarz

i wywołała taki efekt, jak rzucona na krajobraz szara mgła bez odrobiny słońca. Rysy mu zgrubiały, stały się niemal tępe. Jeśli dotychczas w jego postaci dostrzec było można coś interesującego, jakieś piękno lub choćby resztki piękności, patrzący mógł teraz zważyć o tym i oskarżyć swą wyobraźnię, że go łądziła ukazując przelotny wdzięk tej twarzy, cudowne błyski przemykające po tych zamglonych oczach.

Zanim wszakże zapadł całkowicie w sen, ostry jazgotliwy dźwięk sklepowego dzwonka dobiegł do uszu siedzących. Uderzył tak niemile w organ słuchowy gościa i w jego delikatne nerwy, że zerwał się z krzesła.

— Wielkie nieba, Heczibo! Cóż to za straszliwy hałas zakłóca spokój naszego domu? — krzyknął wywierając złość (jak to zazwyczaj i z dawna bywa) na jedynej osobie na świecie, która go kochała. — Nigdy jeszcze nie słyszałem tak ohydneho hałasu! Czemu na to pozwalasz? Na wszystkie dysonanse świata, cóż to być może?

Rzecz godna uwagi, jak przez tę drobną przykrość charakter Clifforda wyraźnie się uwydatnił, zupełnie jakby zamglony obraz wystąpił nagle ostro i jasno na płótnie. Tajemnica leżała w tym, że do człowieka tego typu trafić można było łatwiej działając na jego zmysł piękna i harmonii, niż odwołując się do serca. Jest nawet możliwe — gdyż podobne wypadki zdarzały się — że gdyby Clifford w minionym życiu miał sposobność pielęgnowania swych upodobań aż do ich najwyższego wydoskonalenia, mogłyby one do tego czasu całkowicie przetrwać i zniszczyć w nim uczucia. Czy więc odważymy się może wydać sąd, że jego ogromne i ponure nieszczęście przynajmniej od tego go uchroniło?

— Drogi Cliffordzie, pragnęłabym ustrzec twoje uszy od tych dźwięków — rzekła Hecziba cierpliwie, lecz

oblewając się bolesnym rumieńcem wstydu. — Są one bardzo nieprzyjemne nawet i dla mnie. Ale czy wiesz, Cliffordzie, muszę ci coś powiedzieć. Ten brzydki hałas... proszę cię, Febe, pobiegnij i zobacz, kto tam jest!... Ten niedobry hałas to nic innego, tylko nasz dzwonek sklepowy.

— Dzwonek sklepowy! — powtórzył Clifford spoglądając osłupiałym wzrokiem.

— Tak, nasz dzwonek sklepowy — powiedziała Hepziba, a wrodzona godność mieszała się z głębokim wzruszeniem, które teraz przeważało w jej zachowaniu. — Gdyż musisz wiedzieć, Cliffordzie, że jesteśmy bardzo biedni. I nie było innej rady, mogłam albo przyjąć pomoc z ręki, z której nie przyjąłabym chleba, choćbym nawet umierała z głodu — i ty też byś nie przyjął — poza tym żadnej znikąd pomocy, tylko od niego! Albo też trzeba było zarobić na nasze utrzymanie własnymi rękoma. Samotna, zgodziłabym się umrzeć z głodu. Ale ty miałeś mi zostać przywrócony! Czy myślisz więc, drogi Cliffordzie — dodała z bolesnym uśmiechem — że ściągnęłam nieodwołalną hańbę na nasz stary dom otwierając mały sklepik we frontowym skrzydle? Nasz pradziad uczynił to samo, choć znacznie mniej tego potrzebował! Czy wstydzisz się mnie?

— Wstyd! Hańba! I to do mnie mówisz takie słowa? — powiedział Clifford, lecz bez gniewu; gdyż kiedy duch człowieka zostanie zdruzgotany, mogą go irytować drobne przewinienia, lecz nigdy nie będzie miał urazy o wielkie. Mówił więc tylko ze smutnym wzruszeniem: — Niedobra jesteś, Hepzibo, mówiąc mi takie rzeczy! Jakież jeszcze wstyd może spaść na mnie teraz?

I w najwyższym zdenerwowaniu ten, co stworzony był do radości, a tak smutnie przeżył swe życie, wybuchnął kobiecymi łzami. Trwało to wszakże krótko

i pozostawiło po sobie, jak można było wnosić z jego twarzy, ciszę rezygnacji, która nie była dla niego zbyt przykra. I z tego nastroju dźwignął się po chwili i spojrział na Hepzibę z uśmiechem, którego na pół kpiący wyraz był dla niej zagadką.

— Aż tak jesteśmy biedni, Hepzibo? — zapytał.

Na koniec, wtulony w głęboki fotel wysłany miętko poduszkami, Clifford zapadł w sen. Słyszając bardziej regularny oddech, który nawet teraz nie był głęboki i pełny, lecz taki jak stan jego duszy — słaby i drżący — Hepziba poznała, że zasnął wreszcie, i skorzystała z owej chwili, by bliżej przyjrzeć się twarzy brata, niż śmiała to przedtem uczynić. Serce jej rozplynęło się we łzach. Z najskrytszej głębi jej duszy dobywał się jęk cichy, łagodny i niewypowiedzianie smutny. W tej otchłani bólu i litości czuła, że nie ubliża mu patrzeniem na jego zmienioną, postarzałą, zniszczoną twarz. Lecz gdy doznała tylko trochę ulgi, sumienie zganiło ją za to, że podgląda z ciekawością te smutne zmienione rysy, i odwracając się spieszenie zapuściła firankę na osłonecznione okno i pozwoliła mu spokojnie drzemać.

## VIII

### NIEODRODNY PYNCHION

Wchodząc do sklepu Febe spostrzegła tam znaną już twarz małego pożeracza murzynka, słonia, wielbłąda, dromaderów i lokomotywy — jeśli dobrze policzyliśmy jego wyczyny. Wyczerpawszy swój prywatny majątek w ciągu dwóch poprzednich dni na zakup tych niesłychanych smakołyków, przyszedł teraz wysłany przez matkę po trzy jajka i pół funta rodzynek. Febe podała żądane artykuły, a na znak wdzięczności za poparcie małego klienta i jako dodatkowy kąsek po śniadaniu włożyła mu w rękę także wieloryba! Ogromna ryba, odwrotnie niż doświadczył na sobie prorok Niniwy, natychmiast powędrowała w otchłań czerwonym szlakiem przeznaczenia, tym samym, po którym przejechała się przed nim cała karawana. Ten godny podziwu urwis był prawdziwie symbolem starego Czasu nie tylko ze względu na

zachłanny apetyt na ludzi i rzeczy, lecz także dlatego, że zarówno on jak i Praojciec-Czas po wchłonięciu tyłu stworzeń wyglądali tak młodzieńczo, jakby zostali w tej chwili stworzeni. Nim zdążył zamknąć za sobą drzwi, dzieciak odwrócił się i mruknął do Febe coś, czego nie mogła zrozumieć, ponieważ rozprawa z wielorybem nie dobiegła jeszcze końca.

— Co mówisz, chłopczyku? — spytała.

— Matka chce wiedzieć — powtórzył mały Ned Higgins wyraźniej — jak się miewa brat starej panny Pyncheon? Ludzie mówią, że wrócił do domu.

— Brat mojej kuzynki Hepziby! — zawołała Febe zdumiona nagłym wyjaśnieniem, jakie więzy łączą Hepzibę z jej gościem. — Jej brat! A gdzież on był przedtem?

Chłopczyk przytknął tylko wielki palec do nosa z chytrą miną, jakiej szybko nabiera dziecko spędzające wiele czasu na ulicy, choćby twarz sama w sobie była mało inteligentna. Potem, gdy Febe wciąż patrzyła na niego nie odpowiadając na pytanie przesłane przez jego matkę, odwrócił się i odszedł.

Schodząc ze schodków mały urwis minął jakiegoś pana, który wszedł do sklepu. Był to mężczyzna mocno posunięty w latach, odziany w czarne ubranie z cienkiego sukna w najprzedniejszym gatunku. Wyglądał godnie, a gdyby ozdabiał go wzrost nieco wyższy, można by rzec: dostojnie. Laska ze złotą gałką, wykonana z rzadkiego egzotycznego drzewa, jak również biały krawat śnieżystej czystości i starannie wypolerowane buciki przydawały majestatu jego postaci. Ciemna kwadratowa twarz, krzaczaste brwi robiły silne wrażenie; byłoby to oblicze surowe, gdyby jego właściciel nie starał się złagodzić ostrego wyrazu miną nadzwyczaj pogodną i dobrotliwą. Jednakże szczęki i broda były nieco zbyt masywne i miały w sobie coś zwierzęcego, dlatego też twarz wyrażała raczej na-

maszczenie niż pogodę ducha, a całość była nieprzyjemnie mięsista i lśniąca, efekt więc nie był tak całkiem korzystny, jak tego sobie bez wątpienia ów pan życzył. Wrażliwy obserwator w każdym razie mógłby uznać, że ta twarz nie świadczy o szczerzej dobroci charakteru, którą ma wyrażać. A gdyby przypadkiem obserwator w dodatku do swej wrażliwości i bystrości okazał się złośliwy, podejrzewałby pewnie, że uśmiech na twarzy tego pana jest podobny do połysku jego butów i że zarówno czyścibut, jak i pan, ciężką mieli pracę, by doprowadzić każdy swoje dzieło do tak lśniącej doskonałości i w tym stanie je utrzymywać.

Gdy nieznajomy wchodził do sklepiku, gdzie nawir; piętra i gąszcz liści wiazu, jak również towary ułożone w oknie rzucały na wszystko szary cień, uśmiech jego nabrał takiej mocy, jak gdyby przybyły uparł się, żeby blaskiem swej fizjonomii przewyciężyć panujące tutaj mroki, które wzmagala zapewne ponura obecność Hepziby i jej współmieszkańców. Gdy ujrział zamiast chudej starej panny młode dziewczę kwitnące jak pączek róży, na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Najpierw ściągnął brwi, a potem uśmiechnął się z jeszcze większą dobrocią i namaszczeniem niż przedtem.

— A, już rozumiem! — powiedział głębokim głosem, który wydałby się burkliwy, gdyby wyszedł z ust ezłowieka prostego, lecz przez ciągłe staranne ćwiczenie stał się dość przyjemny. — Nie było mi wiadomym, że panna Hepziba Pyncheon rozpoczęła handel w tak pomyślnych okolicznościach. Pani jesteś zapewne jej pomocnicą?

— Oczywiście, jestem jej pomocnicą — odpowiedziała Febe i dodała przybierając minkę wielkiej damy (gdyż pan ten, choć grzeczny, widocznie brał ją za młodą osobę pracującą za pieniądze): — Jestem kuzynką panny Hepziby. Przyjechałam ją odwiedzić.



— Jej kuzynką? I ze wsi? Proszę mi zatem wybaczyć — rzekł pan z ukłonem i uśmiechem, jakim jeszcze nikt dotąd nie zaszczyił Febe. — W takim razie musimy zapoznać się bliżej, gdyż, o ile się nie mylę, pani jest również i moją kuzynką. Zaraz, zaraz — Maria? — Dolly? — Febe? Tak, Febe. Czyż to możliwe, że to ty jesteś Febe Pyncheon, jedyne dziecko mego drogiego kuzyna i kolegi ze szkolnej ławy, Artura? Ach, teraz widzę podobieństwo do twojego ojca, w ustach! Tak, tak! Musimy zapoznać się bliżej. Jestem twoim krewnym, drogie dziecko. Z pewnością słyszałaś o sędzim Pyncheonie?

Gdy Febe w odpowiedzi dygnęła, sędzia pochylił się z wybaczalnym, a nawet chwalebny, zważywszy na bliskość pokrewieństwa i różnicą wieku, zamiarem złożenia na policzku swej młodej krewmaczki pocałunku uznania krewieństwa i rodzinnego sentymentu. Niestety w krytycznym momencie Febe (bezwiednie lub z nieświadomym tylko zamiarem, który nie opowiada się umysłowi) cofnęła się tak, że jej wysoce czcigodny krewny z ciałem przechylnym przez kontuar i z wyciągniętymi ustami znalazł się w dosyć niedorzecznej sytuacji całującego powietrze. Była to nowoczesna paralela do przygody Iksjona całującego chmurę i tym bardziej śmieszna, że sędzia szczyił się swą pogardą dla rzeczy niematerialnych i nigdy nie brał cienia za rzeczywistość. Prawdą było i to jest jedynym usprawiedliwieniem Febe, że choć promieniejąca dobrotliwość sędziego Pyncheona mogła nie być niemiła dla kobiecego oka na odległość ulicy lub nawet pokoju normalnej wielkości, to jednak stawała się zbyt jaskrawa, kiedy ta ciemna, dobrze odżywiona twarz (o zaroście tak twardym, że nie mogła go całkowicie usunąć żadna brzytwa) zbliżała się, by dotknąć przedmiotu swych względów. Mężczyzna, płęć narzucały się w jakiś sposób zbyt silnie w takiej demonstracji czułości sędziego.

Febe spuściła oczy i, nie wiedząc sama dlaczego, poczuła, że się mocno czerwieni pod jego spojrzeniem. Całowało ją już bez żadnej obrazy kilku różnych kuzynów młodszych i starszych od tego ciemnobrewego, otulonego w śnieżny fontaż, dobrodusznie namaszczonego sędziego z siwą brodą. Więc dlaczego nie on?

Podnosząc oczy Febe przeraziła się zmianą na twarzy sędziego Pyncheona. Była to zmiana tak uderzająca, jak między krajobrazem w pełnym słońcu i tymże krajobrazem tuż przed burzą; nie było tam wszakże żywiołowego napięcia, jakie panuje przed burzą; twarz owa była zimna, twarda, nieubłagana, jak chmura wisząca przez cały dzień.

„Mój Boże! Cóż ja teraz pocznę? — pomyślała dziewczyna. — Wygląda tak, jakby był twardy jak skała i surowy jak wschodni wiatr! Nie chciałam zrobić nic złego! Skoro jest naprawdę moim kuzynem, powinnam była pozwolić mu się pocałować. Gdybym to mogła!”

Potem niespodzianie przyszło jej do głowy, że sędzia Pyncheon był oryginałem miniatury, którą pokazywał jej w ogrodzie dagerotypista, i że ów twardy, surowy, nieugięty wyraz, widoczny teraz na jego twarzy, był właśnie tym, który słońce tak uparcie wywoływało. Byłżeby to zatem nie nastrój przejściowy, lecz stałe usposobienie całego życia, zrećźnie ukrywane? I nie tylko to: usposobienie takie było może u niego rodzinne, przekazywane jak drogocenne dziedzictwo od czasów tego pradziada z brodą na portrecie, na którym zarówno wyraz jak i rysy obecnego sędziego zostały utrwalone niby w proroczej wizji? Głębszy niż Febe filozof mógłby dostrzec w tej myśli coś groźnego. Oznaczałoby to, że słabości i wady, złe namiętności, podłość i niedostatek uczuć moralnych, prowadzący do zbrodni, przechodzą z pokolenia na pokolenie bardziej niezawodnie niż obwarowane prawami dziedziczenia

bogactwa i zaszczyty, które pragnie się przekazać potomności.

Lecz zaledwie oczy Febe spoczęły ponownie na twarzy sędziego, cała brzydota i srogość z niej zniknęły, a Febe owiał po prostu upał, duszna kanikuła serdeczności, jaką ten znakomity człowiek wyrzucał z głębi swego wielkiego serca bardzo podobnie do węża, który magnetyzując ofiarę napełnia uprzednio powietrze szczególną wonią.

— To lubię, kuzynko Febe! — zakrzyknął kiwając głową z najwyższą aprobatą. — Bardzo mi się to podoba, moja kuzyneczko! Jesteś dobrym dzieckiem i umiesz uważać na siebie. Młoda dziewczyna, a zwłaszcza ładna dziewczyna nigdy nie zgrzeszy nadmiarem ostrożności w udzielaniu swoich ust.

— Naprawdę, panie — rzekła Febe chcąc obrócić całą sprawę w śmiech — nie chciałam być niegrzeczna.

Niemniej, czy to wskutek niefortunnnych początków ich znajomości, czy też z innej przyczyny, zachowanie Febe było ciągle jeszcze powściągliwe, chociaż cecha ta nie leżała w jej szczerzej i zdrowej naturze. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że do sklepu wkroczył stary Purytanin, o którym słyszała tyle ponurych opowieści — ojciec całego rodu Pyncheonów Nowej Anglii, założyciel Domu o Siedmiu Szczytach, zmarły w tym domu w tak dziwnych okolicznościach. Teraz, gdy łatwo było nabyć gotowe ubranie, sprawę tę dałoby się przeprowadzić bez trudu. Przybyłemu z tamtego świata pułkownikowi wystarczyło spędzić kwadrans u balwierza, który przystrzygłby mu brodę zostawiając tylko posiwiałe baki; potem odwiedzić magazyn ubiorów gotowych, gdzie zmieniłby aksamitny kaftan i sobolowy płaszcz z bogato haftowaną wstęgą u szyi na biały kołnierz i krawat, surdut, kamizelkę i spodnie; wreszcie odłożyć miecz ze stalową rękojeścią i wziąć laskę ze złotą gałką — i oto pułkownik Pyncheon

sprzed lat dwustu ukazuje się jako sędzia żyjący w obecnej chwili!

Oczywiście Febe była zbyt rozsądną dziewczyną, by przyjąć taką myśl inaczej jak uśmiechem. Jest też możliwe, że gdyby obie te osobistości stanęły przed nią równocześnie, mogłaby dostrzec wiele różnic, a podobieństwo tylko ogólne. Długie lata, które upłynęły Pyncheonom w klimacie tak odmiennym od tego, w jakim wychował się ich angielski protoplasta, musiały niezawodnie wprowadzić poważne zmiany w fizycznej organizacji jego potomnych. Mięśnie sędziego na pewno nie dorównywały muskułom pułkownika; niewątpliwie był fizycznie słabszy. Choć współcześni uważali go za tęgiego mężczyznę o postawie odpowiedniej do ławy sędziowskiej, możemy sobie wyobrazić, że gdyby sędziego i pułkownika posadzić na szalach jednej wagi, to dla zrównoważenia jej trzeba by przyrzucić z pół worka mąki po stronie sędziego.

Poza tym oblicze sędziego straciło angielski rumieniec, który ożywiał ogorzałą twarz pułkownika, i przybrało odcień żółtawy, właściwy cerze jego ziomków. Jeśli się nie mylimy, to jeszcze do tego trzeba by dodać pewną dozę nerwowości, widoczną nawet w tak solidnym egzemplarzu purytańskiego chowu jak nasz sędzia. Skutkiem tej nerwowości była większa ruchliwość fizjonomii niż u starego Anglika, większe ożywienie i bystrość nabyte kosztem krzepkiej siły, na którą te bardziej lotne przymioty zdawały się działać niczym rozpuszczający kwas. Kto wie? Może ten proces wynika z prawa postępu ludzkości, wedle którego z każdym krokiem naprzód, w miarę zmniejszania się potrzeby zwierzęcej siły, stajemy się coraz to bardziej uduchowieni, zatracając grube, prymitywne cechy naszego ciała. Jeśli tak jest, to sędzia Pyncheon, jak i wielu innych, mógłby śmiało wytrzymać jeszcze ze sto czy dwieście lat działania tych wysubtelniających sił.

Duchowe podobieństwo sędziego i jego przodka było, jak się zdaje, równie silne jak podobieństwo postaci i rysów. W mowie pogrzebowej na śmierć starego pułkownika pastor Higginson całkowicie kanonizował swego zmarłego parafianina; otworzył najpierw dach kościelny, później uchylił zasłony firmamentu i ukazał go siedzącego przy harfie wśród uwiecznionych chórzystów Niebieskiego Świata. Napis na jego grobowcu jest również wielce pochwalny; także historia, tam gdzie trafił na jej karty, nie podaje w wątpliwość stałości i prawości jego charakteru. Podobnie i z sędzią Pyncheonem: ni duchowny, ni prawnik, ani twórca napisów na nagrobkach, ani historyk spisujący dzieje polityki lokalnej i ogólnej nie śmiałyby wątpić o tym, że jest to szczerzy chrześcijanin, zacny człowiek, nieskazitelny jako sędzia, odważny i lojalny jako wielokrotnie wypróbowany przedstawiciel swej partii politycznej. Lecz prócz tych zimnych, formalnych, pustych słów ryjącego dłuta, przemawiającego głosu i pióra piszącego dla oczu publiczności i przyszłych pokoleń, które to słowa na pewno tracą wiele na prawdzie i szczerości przez fatalną świadomość swego przeznaczenia — krążyły prywatne plotki i o ojcu rodu, i o sędzim, uderzająco zgodne w swym świadectwie, Nie bez znaczenia jest też i opinia kobiety, opinia prywatna i domowa o działaczu publicznym. Nie ma nic bardziej interesującego nad rozbieżność między podobizną przeznaczoną na widok publiczny a ołówkowym szkicem krążącym z ręki do ręki za plecami oryginału.

Na przykład tradycja utrzymywała, że Purytanin był chciwy na pieniądze; także sędzia mimo pozorów hojnej dłoni umiał tę dłoń ponoć tak mocno zaciskać, jakby była z żelaza. Ojciec rodu przybierał pozę chmurnej dobroci, gburowatej serdeczności w mowie i obejściu, które większość ludzi brała za rzeczywistą do-

broć serca przebijającą się przez grubą, twardą skorupę męskiego hartu. Jego potomek, zgodnie z wymogami delikatniejszej epoki, wysubtelnił tę szorstką dobroduszną zamieniając ją na życzliwy uśmiech, który promieniał z jego oblicza na całą długość ulicy lub ogrzewał niby ogień na kominku salony jego znajomych. Purytanin — jeśli nie kłamią pewne historyjki, nawet za jego życia opowiadane tylko na ucho — popełniał pewne wykroczenia, do jakich ludzie o silnej konstytucji cielesnej są zawsze skłonni niezależnie od swej wiary i zasad, a pozbywają się nieczystości dopiero z przyziemną, doczesną substancją, która do niej ciągnęła. Nie uchodzi nam plamić tych kart powtarzaniem skandalicznych plotek, jakie opowiadali sobie może na ucho współcześni o panu sędzim. Purytanin, udzielny władca w swym domu, przeżył trzy żony wysyłając je kolejno na tamten świat ze złamanym sercem, tak twardy i nieubłagany miał charakter w małżeńskim pożyciu. Tutaj paralela nieco zawodzi. Sędzia poślubił jedną tylko żonę i stracił ją w trzecim czy czwartym roku małżeństwa. Krążyła bajka — bo za taką pragniemy ją uważać, choć może byłaby typowa dla postępowania sędziego jako małżonka — że pani otrzymała już w miodowym miesiącu cios, który zgasił jej uśmiech na zawsze, gdyż mąż zmusił ją do podawania sobie co rano kawy do łóżka, jako wyraz hołdu lennego dla pana i władcy.

Lecz temat dziedzicznego podobieństwa zbyt jest rozległy; trudno wytłumaczyć fakt częstego pojawiania się cech podobnych w linii prostej rodu zważywszy, jak wielu przodków składa się na dziedzictwo charakteru każdego człowieka na przestrzeni jednego lub dwóch stuleci. Dodamy więc tylko, że Purytanin — tak przynajmniej powiada tradycja gawęd przy kominku, która często przekazuje rysy charakteru z cudowną wiernością — był 'śmieły, władczy, nieugięty

i przebiegły. Wyznaczał sobie cele rozległe i ambitne i dążył do nich z wytrwałością i uporem, które nie znały spoczynku ni przeszkód sumienia; depcząc słabych, a w potrzebie dokładając starań do zwyciężenia silnych. Czy sędzia był do niego w jakiejś mierze podobny, okaże dalszy rozwój naszego opowiadania.

Żadne chyba z tych szczegółów przeprowadzonej tu paraleli nie powstały w umyśle Febe, która — jako urodzona i przebywająca dotąd na wsi — pozostawała w zupełnej nieświadomości rodzinnych tradycji zalegających niby pajęczyny i smugi sadzy pokoje i kąty przy kominach Domu o Siedmiu Szczytach. A jednak pewna okoliczność, nic nie znacząca sama w sobie, wzbudziła w niej dziwną grozę. Febe słyszała o przekleństwie, jakie Maułe, stracony czarownik, rzucił na pułkownika Pyncheona i jego potomnych: że Bóg ich napoi krwią. Wierzono też, że można było czasem usłyszeć tę zaczarowaną krew bulgoczącą w ich gardłach. Tę ostatnią plotkę Febe uznała — jak przystało osobie rozsądnej i będącej jeszcze do tego członkiem rodziny Pyncheonów — za głupstwo, czym niewątpliwie była. Lecz starodawne przesady, gdy ogrzeją się ciepłem serc, wcielą w ludzkie tchnienie i przejdą wiele razy z ust do ust przez szereg pokoleń, nasycają się prawdą. Przenika je na wskroś woń dymu domowych kominów. Przekazywane długo na równi z drobnymi wydarzeniami życia codziennego muszą się do nich upodobnić i zadomowić, tak że wpływ ich bywa zazwyczaj większy, niż przypuszczamy. Dlatego też, gdy Febe usłyszała jakiś dźwięk dobywający się z gardła sędziego Pyncheona — dźwięk, który stał się u niego przyzwyczajeniem nie całkiem umyślnym, lecz oznaczał co najwyżej lekką dolegliwość oskrzeli lub, jak uważali niektórzy, skłonności apoplektyczne — gdy dziewczyna usłyszała to dziwne i nieprzyjemne bulgotanie, którego autor nie słyszał nigdy i dlatego nie

potrafi opisać, wzdrygnęła się niemądrze i zacisnęła dłoń.

Oczywiście było to nader śmieszne ze strony Febe, żeby się mieszać z powodu takiej drobnostki, a tym bardziej było nie do wybaczenia, że okazała swe mieszanie osobie z tym związanej. Lecz wypadek ów dziwnie zbiegał się z jej fantastycznym przewidzeniem dotyczącym pułkownika i sędziego, więc przez chwilę ich tożsamość pomieszała się w umyśle dziewczyny.

— Co się z tobą dzieje, młoda kobieto? — spytał sędzia Pyncheon rzucając jej ostre spojrzenie. — Czy cię coś przeraziło?

— Och, nic, proszę pana, nic mnie nie przeraziło! — odpowiedziała Febe ze śmiechem, zła na siebie samą. — Lecz może życzy pan sobie rozmawiać z moją kuzynką Hepzibą? Czy mam ją zawołać?

— Wstrzymaj się chwilę, proszę — powiedział sędzia znów uśmiechnięty jak słońce. — Zdaje mi się, że jesteś dziś nieco zdenerwowana. Miejskie powietrze nie służy ci, kuzynko Febe. Nawykłaś do zdrowej atmosfery naszej wsi. A może coś się zdarzyło, co zakłóca ci spokój? Coś nadzwyczajnego zaszło w rodzinie kuzynki Hepziby? Czyjś przyjazd — co? Tak myślałem! Nic dziwnego, że czujesz się niezbyt dobrze, kuzyneczko. Znaleźć się pod jednym dachem z takim gościem — to może przerazić niewinną młodą dziewczkę!

— Pan mnie zadziwia — odrzekła Febe patrząc na sędziego pytająco. — Nie ma żadnego straszego gościa w naszym domu. Jest tylko biedny, łagodny, zdzieciniałły człowiek, zdaje mi się, że brat kuzynki Hepziby. Obawiam się, lecz pan to będzie wiedział lepiej ode mnie, że jest nie całkiem przy zdrowych zmysłach, wydaje się jednak tak łagodny i spokojny, że matka mogłaby mu powierzyć bez obawy swoje dziecko, myślę, że bawiłby się z nim, jakby sam był niewiele



starszy. On by mnie miał przerażać? Och, na pewno nie!

— Cieszę się słysząc tak życzliwy i pełen czarującej niewinności sąd o charakterze mego kuzyna, Clifforda — powiedział ten zacny sędzia. — Wiele lat temu, gdy byliśmy młodzi, żywiłem dla niego wiele uczucia i jeszcze teraz serdecznie interesuję się wszystkim, co go dotyczy. Powiadasz, kuzynko Febe, że wydaje się być słabym na umyśle? Niechże mu Niebiosa ześlą tyle choć rozumu, by mógł żałować za swoje grzechy!

— Nikt chyba — zauważyła Febe — nie może mieć mniej grzechów na sumieniu.

— Ach, czyż to możliwe, moja droga — odparł sędzia ogarniając ją współczującym spojrzeniem — byś nigdy nie słyszała o Cliffordzie Pyncheonie? Byś nie знаła wcale jego historii? No, no, to bardzo dobrze, twoja matka miała bardzo słuszny wzgląd na dobre imię rodziny, z którą się połączyła. Miej jak najlepszą wiarę w dobroć tego nieszczęśliwego człowieka i spodziewaj się najlepszego! Jest to reguła, której chrześcijanie winni zawsze przestrzegać w swych sądach o bliźnich; a zwłaszcza jest to mądre i słuszne wśród najbliższych krewnych, których charaktery są w pewnym stopniu od siebie zależne. Ale czy Clifford jest w bawialni? Wstąpię tam i zobaczę.

— Może, proszę pana, lepiej zawołam kuzynkę Hepzibę — rzekła Febe nie będąc pewna, czy należało bronić wstępu do prywatnych apartamentów tak kochającemu krewnemu. — Jej brat, zdaje się, zasnął po śniadaniu, jestem pewna, że nie życzyłaby sobie, by mu przeszkadzano. Proszę, niech mi pan pozwoli ją uprzedzić!

Lecz sędzia był widać szczególnie zdecydowany wejść bez oznajmienia; i skoro Febe, z żywością osoby, której ruchy są nieświadomie posłuszne myślom, podbiegła do drzwi, odepchnął ją bez ceremonii.

— Nie, nie, panno Febe! — mówił głosem głębokim jak pomruk grzmotu, marszcząc się groźnie jak chmura, z której wypada grzmot. — Pozostań tutaj! Znam ten dom i znam kuzynkę Hepzibę, a także jej brata Clifforda. Nasza wiejska kuzyneczka nie potrzebuje się, trudzić, by oznajmiać moje przybycie! — Te ostatnie słowa były już inaczej powiedzane: od nagłej szorstkości sędziego powrócił do poprzedniego życzliwego tonu. — Jestem tu u siebie w domu, Febe, musisz o tym pamiętać, a ty jesteś gościem. Wejść i sam zobaczę, jak się miewa Clifford, i zapewnię go, a także Hepzibę o mych najczulszych uczuciach i najlepszych życzeniach. W takiej chwili oboje powinni usłyszeć z moich własnych ust, jak pragnę im służyć. Ha! Otóż i Hepziba we własnej osobie!

Tak też było. Głos sędziego dobiegł do uszu starej panny, która siedziała w bawialni ze spuszczoną głową, pilnując snu brata. Wsunęła się teraz, by bronić wstępu, a wyglądała, musimy to koniecznie powiedzieć, zdumiewająco podobnie do smoka, co strzeże w baśniach zaklętej piękności. Zwykłe u niej zmarszczenie brwi było niezaprzeczenie zbyt groźne w tej chwili, aby pójść mogło na karb niewinnej krótkowzroczności. To groźne wejrzenie uderzyło w sędziego Pyncheona w taki sposób, że wydał się, jeśli nie przerażony, to mocno pomieszany — tak wielka była moc zastarzałej nienawiści. Hepziba zrobiła odpychający ruch ręką i stała — istny obraz archanioła z mieczem ognistym — wyprostowana w ciemnej framudze drzwi. Lecz musimy zdradzić tajemnicę Hepziby i wyznać, że wrodzona lękliwość jej charakteru odezwała się nawet teraz drżeniem wewnętrznym, które tak ją rozdygotało, że zdawało jej się, iż drgają wszystkie cząstki jej ciała i to w różnych kierunkach, zupełnie ze sobą skłócone.

Możliwe, że sędzia świadom był tego, jak mało prawdziwego męstwa kryje się za groźną postawą Hepziby,

W każdym bądź razie, jako człowiek o spokojnych nerwach, szybko przyszedł do siebie i nie omieszkał zbliżyć się do swej kuzynki z wyciągniętą ręką. Jednak rozsądnie zachował środki ostrożności pokrywając swe posunięcie uśmiechem tak promiennym i gorącym, że starczyłoby połowy tego ciepła, by zrumienić całą •ścianę winogron niby upalnym tchnieniem lata. Może rzeczywiście zamierzał roztopić na miejscu biedną Hepzibę, jak gdyby była woskową lalką?

— Hepzibo, moja ukochana kuzynko, jakże się cieszę! — wykrzyknął sędzia z emfazą. — Teraz wreszcie masz coś, dla czego warto żyć. Tak, i my wszyscy, pozwól mi to sobie powiedzieć, twoi przyjaciele i krewni, wszyscy mamy po co żyć — dziś więcej niż wczoraj. Nie tracąc czasu śpieszę ofiarować wam wszystko, co w mojej mocy, by ulżyć doli biednego Clifforda. On należy do nas wszystkich. Wiem, jak wiele starań wymaga, jak wiele potrzebował dawniej z tym swoim subtelnym smakiem, ze swym umiłowaniem piękna. Co tylko znajduje się w moim domu — obrazy, książki, wino, rozkosze stołu — jest na jego rozkazy! Byłbym zadowolony, gdybym go mógł zobaczyć! Czy mogę wejść zaraz, w tej chwili?

— Nie — odpowiedziała Hepziba głosem, który drżał zbyt boleśnie, by pozwolić jej na wiele słów. — Clif ford nie przyjmuje gości!

— Gości? Moja droga kuzynko! I ty mnie tak nazywasz? — wykrzyknął sędzia, którego wrażliwość, jak się zdaje, zranił chłód tego określenia. — Ach, nie, pozwól mi więc, bym się stał dla Clifforda gospodarzem, a także dla ciebie. Przybywajcie natychmiast do niego domu. Wiejskie powietrze i wszelkie wygody — mógłbym rzec: luksusy, jakimi się otoczyłem, cudownie mu zrobią. A ty i ja, droga Hepzibo, będziemy się wspólnie naradzać i wspólnie patrzeć, i pracować nad tym, by uczynić naszego drogiego Clifforda szczęśli-

wym. Pójdźcie! Po cóż tracić więcej słów na to, co jest dla mnie i obowiązkiem, i przyjemnością? Pójdźcie do mnie zaraz!

Słyszając tak gościnne zaproszenie i szlachetne uznanie obowiązków, jakie nakłada pokrewieństwo, Febe uczuła wielką ochotę, by podbiec do sędziego Pyncheona i obdarzyć go z własnej woli całusem, od którego uchylała się niedawno. Czegoś wręcz przeciwnego doznała Hepziba: uśmiech sędziego zdawał się działać na gorycz jej serca jak słońce na ocet — czyniąc go dziesięć razy kwaśniejszym.

— Clifford — rzekła, zbyt jeszcze poruszona, by wypowiedzieć coś więcej ponad krótkie zdanie. — Clifford ma tutaj dom!

— Niechże ci Nieba przebaczą, Hepzibo — powiedział sędzia Pyncheon wznosząc oczy ze czcią ku wysokiemu trybunałowi sprawiedliwości, do którego się odwoływał — jeśli dopuszczasz, by jakieś dawne uprzedzenia lub gniewy miały zaważyć w tej sprawie! Oto przychodzę z otwartym sercem, chętny i spragniony przyjęcia doń ciebie i Clifforda. Nie odrzucaj mojej ofiary, moich propozycji mających na celu wasze dobro! Są takie, jakie godzi się czynić bliskiemu krewnemu. Bierzesz na siebie ciężką odpowiedzialność, kuzynko, zmuszając swego brata do pozostawania w tym ponurym, dusznym domu, gdy wygodny mojej wiejskiej rezydencji są na jego rozkazy.

— Clifford nigdy nie zgodziłby się na to — rzekła Hepziba równie krótko jak przedtem.

— Kobieto! — wybuchnął sędzia nie panując już nad gniewem. — Co to wszystko znaczy? Czy masz jakie inne środki? Nie. Tak podejrzewałem. Strzeż się, Hepzibo, strzeż się! Clifford stoi wobec groźby zniszczenia tak straszliwego, jakiego jeszcze nie zaznał! Ale po cóż rozmawiam z tobą, z kobietą? Ustąp z drogi! Muszę się widzieć z Cliffordem!

Hepziba rozpostarła się w drzwiach szerzej swym wychudłym ciałem, jej postać zdawała się rosnąć i pęcznieć; wyglądała jeszcze groźniej przez to, że w sercu jej kryło się tyle wzburzenia i strachu. Sędzia widocznie zamierzał wedrzeć się do pokoju siłą, lecz w tejże chwili odezwał się z wnętrza głos: słaby, drżący, żałosny głos zdradzający bezradność i przestрах, z nie większą do obrony energią niż u przelęknionego dziecka.

— Hepzibo! Hepzibo! — wołał głos. — Upadnij przed nim na kolana! Ucałuj mu stopy! Ubłagaj go, żeby nie wchodził! Och, niechże ma litość nade mną! Litości! Litości!

Przez chwilę się zdawało, że sędzia waha się, czy nie odtrącić Hepziby i nie przekroczyć progu pokoju, skąd dobywało się rozpaczliwe, żałosne błaganie o litość. Nie litość go wstrzymała, gdyż na pierwszy dźwięk tego słabego głosu w oczach jego zapłonął krwawy ogień; zrobił szybko krok naprzód, a z całej jego postaci wypełzło czarnym cieniem coś dzikiego i ponurego. By poznać sędziego Pyncheona, trzeba go było widzieć w tej chwili. Po takim odkryciu niechby się uśmiechał jak najgoręcej, prędzej by zrumienił winogrona lub ozłocił dynie, niż zniszczył wrażenie, które niby żelazem wypaliło ten obraz w pamięci patrzącego. I wygląd jego był jeszcze bardziej przerażający przez to, że nie objawiał gniewu i nienawiści, lecz tylko zaciekłość w dążeniu do jakiegoś okrutnego celu, która wszystko łamie.

A jednak czyż nie rzucamy potwarzy na zacnego i miłego człowieka? Spójrzcie na sędziego teraz! Widocznie świadom jest, że pobłądził narzucając pomoc miłującego serca zbyt energicznie osobom, które nie są zdolne jej ocenić. Będzie więc trwał w gotowości wspomnienia ich, czekając na bardziej sprzyjający nastrój. Gdy cofa się od drzwi, z twarzy jego promie-

nieje wszystko ogarniająca życzliwość, która wskazuje, że przyjmuje Hepzibę, małą Febe, niewidzialnego Clifforda i cały świat do swego ogromnego serca i pozwala im skapać się w ciepłym nurcie bijących z niego uczuć.

— Wyrządzasz mi wielką krzywdę, droga kuzynko Hepzibo! — rzecze wyciągając do niej najpierw uprzejmie dłoń, a potem wkładając rękawiczkę przed odejściem. — Bardzo wielką krzywdę! Ale wybaczam ci i postaram się, byś lepiej o mnie myślała. Oczywiście, jeśli nasz biedny Clifford jest w tak nieszczęśliwym stanie umysłu, nie mogę myśleć o tym, by pomagać się teraz widzenia z nim. Lecz będę czuwał nad jego pomyślnością, jakby był mi własnym, ukochanym bratem; nie tracę też nadziei, droga moja kuzynko, że zmuszę i jego, i ciebie do przyznania, że jesteście dla mnie niesprawiedliwi. Gdy to się zdarzy, nie chcę innej zemsty, jak tylko byście przyjęli usługi, które pragnę wam oddać.

Z ukłonem w stronę Hepziby i pożegnalnym skinieniem głowy, w którym zawarł ojcowskie uczucia dla Febe, sędzia opuścił sklep i szedł ulicą uśmiechnięty. Jak to bywa u bogaczy, kiedy dążą do zaszczytów w państwie republikańskim, zdawał się przeproszać ludzi za swe bogactwo, powodzenie i wysokie stanowisko obejściem prostym i serdecznym z wszystkimi, którzy go znali. Miał też zwyczaj kłaniać się tym uprzejmiej, im skromniejszej kondycji był człowiek, którego pozdrawiał, i w ten sposób okazywał wyniosłą świadomość swej przewagi tak niezbitcie, jakby poprzedzała go cała sfera lokajów torujących mu drogę. A szczególnie tego ranka ciepło bijące od dobrotliwej twarzy sędziego do tego stopnia było upalne, że trzeba było — tak przynajmniej mówiono w mieście — wypuścić więcej beczkowsów, by skropić kurz powstały z dodatkowej porcji słońca!

Ledwie sędzia zniknął, Hepziba zbladła jak śmierć

i chwiejnym krokiem podeszła do Febe. Głowa jej opadła na ramię młodej dziewczyny.

— O, Febe — wyjąkała. — Ten człowiek jest zmorą mego życia! Czyż nigdy, nigdy nie zdobędę się na odwagę... czy mój głos nie przestanie drżeć przynajmniej na tyle, abym mogła mu powiedzieć, kim jest naprawdę?

— Czy tak bardzo jest zły? — spytała Febe. — Przecież jego propozycje są naprawdę zacne!

— Nie mów mi o nich. Ten człowiek ma serce z kamienia! — odrzekła Hepziba. — Pójdź teraz, porozmawiaj z Cliffordem! Zabaw go i uspokój! Żle by to na niego podziałało, gdyby mnie zobaczył tak poruszoną. No, no, idź, moje kochane dziecko, a ja postaram się dopilnować sklepu.

Poszła więc Febe, lecz dręczyło ją pytanie, co mogła oznaczać scena, której była przed chwilą świadkiem, a także, czy jest możliwe, by sędzia, duchowny czy ktokolwiek inny dzierżący urząd tak wybitny mógł naprawdę, choćby w jednym, jedynym wypadku nie okazać się człowiekiem sprawiedliwym i prawym. Wątpliwości tej natury są bardzo niebezpieczne dla spokoju ducha i jeśli okażą się słuszne, wywierają straszne i wstrząsające wrażenie na umysłach ludzi kochających umiar, ład i określone granice życia — a do tej klasy ludzi należała nasza mała wieśniaczka. Umysły śmielsze, spekulatywne mogą w tym znaleźć pewne zadowolenie, gdy odkrywają, że skoro i tak musi być zło na tym świecie, człowiek wysoko postawiony tak samo ma w nim swój udział jak ludzie niskiej kondycji. Ktoś o szerszych horyzontach i głębiej patrzący może dostrzec, że stanowisko, godności i pozycja łądzą nas tylko swym roszczeniem do oddawania im czci, a jednak nie dozna on uczucia, że wszechświat runie z tego powodu i zmieni się w chaos. Lecz Febe, żeby utrzymać swój wszechświat na dawnym miejscu,

rada była zagłuszyć nieco złe przeczucia co do charakteru sędziego Pyncheona. Rozważając potępiające go słowa Hecziby doszła do przekonania, że sąd kuzynki pozostawał pod wpływem rozgoryczenia płynącego z rodzinnych waśni, w których nienawiść staje się bardziej jeszcze śmiertelna przez to, że do jej zwykłego jadu dołącza się zamarła i wynaturzona miłość.



Naprawdę było coś wzniosłego, wielkodusznego i szlachetnego w naturze naszej biednej starej Hecziby. Lub też — i to jest całkiem prawdopodobne — dusza jej wzbogaciła się ubóstwem, rozwinęła się w smutku, umocniła potężnym, jedynym uczuciem całego jej życia i w ten sposób stała się heroiczną, do czego nie doszłoby zapewne w pomyślnych — jak to określają — okolicznościach. Przez te wszystkie posępne lata Hecziba tęskniła do sytuacji, w jakiej się teraz znalazła; przeważnie żyła w zupełnym zwątpieniu, bez cienia nadziei, lecz zawsze z uczuciem, że byłoby to największym szczęściem, jakie mogło ją spotkać. O nic nie prosiła Opatrzności, tylko o to, by mogła poświęcić swe życie dla brata, którego tak kochała i uwielbiała za to, czym był lub mógłby się stać — któremu dochowała wiary, sama jedna na

f  
całym świecie, całkowicie, bez wahań, w każdej chwili i przez całe życie. I oto utracony powrócił u schyłku swoich dni z długiej i niepojętej katorgi i zdany był na jej starania nie tylko w potrzebie chleba, którym się żywiło jego ciało, lecz we wszystkim, czym żyła dusza. Pośpieszyła na wezwanie. Pospieszyła nasza biedna wychudła Hepziba w swych zrudziałych jedwabiach, z zeszywniałymi stawami i ze smutną uporczywością groźnej zmarszczki — gotowa zrobić wszystko, co leżało w jej mocy, i z wystarczającym zapasem uczucia, ażeby zrobić stokroć więcej — gdyby do tego wystarczyło samo uczucie. Nie było chyba widoku bardziej żałosnego i niech nam Niebo przebaczy, jeśli uśmiech miesza się uporczywie do naszego opisu — bardziej żałosnego i patetycznego niż ten, jaki przedstawiała Hepziba owego pierwszego popołudnia.

Jak cierpliwie starała się ogarnąć Clifforda swą wielką ciepłą miłością i stworzyć mu z niej cały świat, aby nie ostało się w nim żadne wspomnienie posepnego zimna, które panowało poza jej kręgiem! Te drobne wysiłki, by go zabawić! Jakże były żałosne, a przecież jak wielkoduszne!

Pamiętając jego dawne umiłowanie poezji odemknęła biblioteczkę i wydobyła kilka książek, które swego czasu tak dobrze się czytało. Był tam jeden tom Pope'a z „Puklem porwanym” i rocznik *Tatlera*, i jeden z serii „Utworów różnych” Drydena, a we wszystkich zszarzałe złoto na okładkach i zszarzały blask myśli w środku. Nie znalazły one uznania w oczach Clifforda. Tacy autorzy, piszący o wytwornym towarzystwie, których dzieła, póki nowe, olśniewają jak bogate barwy świeżo utkanych kohierców, muszą się z tym pogodzić, że ich czar maleje w oczach czytelnika po kilku wiekach, a już trudno przypuścić, by dzieła te zatrzymały choćby cząstkę swego uroku dla umysłu, który utracił całkowicie zainteresowanie modą i swia-

tem pięknych manier. Hepziba wzięła następnie Ras-selasa i zaczęła czytać o Szczęśliwej Dolinie z nie-określoną nadzieją, że znajdzie w niej jakiś sekret szczęścia, który mógłby może przydać się Cliffordowi i jej samej, choćby na ten jeden dzień. Lecz nad Szczęśliwą Doliną wisała chmura. Poza tym Hepziba irytowała swego słuchacza niewłaściwym akcentowaniem, co doskonale wyczuwał, choć nie zwracał uwagi na znaczenie zdań. Widocznie też nie zważał wcale na sens tego, co czytała, i nudził się. Ponadto głos jego siostry, szorstki z natury, nabrał w ciągu jej smutnego życia skrzekliwego tonu, który gdy raz trafi człowiekowi do gardła, staje się nie do usunięcia jak grzech. Niekiedy taka zastarzała skrzekliwość, która odzywa się z każdym słowem radości czy smutku, jest jednym z objawów zadawnionej melancholii i gdziekolwiek się wydobędzie, opowiada całą historię nieszczęścia w jednym małym zgrzycie. Wydaje się, że głos taki został pomalowany na czarno. Lub też — jeśli użyjemy porównania bardziej umiarkowanego — ten nieszczęsny zgrzyt, biegnący przez wszystkie załamania głosu, jest jak czarna jedwabna nić, na którą nanizane są paciorki słów i od niej biorą swój odcień. Takie głosy przywdziały żałobę po zmarłych nadziejach i same winny umrzeć i zejść do grobu wraz z nimi.

Widząc, że jej wysiłki, by zabawić Clifforda, nie udają się, Hepziba zaczęła się rozglądać po domu za jakąś lepszą rozrywką. W pewnej chwili oczy jej spoczęły na klawikordzie Alicji Pyncheon. Był to moment bardzo niebezpieczny, gdyż mimo tradycyjnej grozy, jaka otaczała ten instrument muzyczny, i pogrzebowych pieśni, które wygrywały ponoć na nim palce ducha, oddana siostra poważnie zamierzała zabrać się do bębnienia w jego struny dla przyjemności Clifforda, pomagając sobie śpiewem. Biedny Clifford! Biedna Hepziba! Biedny klawikord! Wszyscy troje by-

liby nieszczęśliwi. Jakieś dobroczynne natchnienie — może niedostrzegalna interwencja samej od dawna pogrzebanej Alicji — odwróciło tę groźbę.

Lecz najgorszym ze wszystkiego i najcięższym ciosem dla Hepziby, a może też i dla Clifforda, była jego nieprzewyciężona niechęć do jej powierzchowności. Rysy Hepziby, które nigdy nie były zbyt powabne, a teraz stały się przykre wskutek starości, cierpienia i urazy do świata za tragedię Clifforda; jej odzież, a zwłaszcza turban; dziwaczne maniery, jakich nieświadomie nabrała w samotności — to wszystko składało się na nieszczęsny wygląd biednej szlachcianki i nic w tym nie było dziwnego, choć smutne to i godne ubolewania, że miłośnik piękna instynktownie odwracał od niej oczy. Nie było na to rady. Ten instykt mógł w nim zagasnąć dopiero ze śmiercią. W swej ostatniej chwili, ze słabnącym oddechem ulatującego życia, uściskałby na pewno rękę Hepziby w gorącym uznaniu jej hojnej miłości i zamknąłby oczy, może nawet nie po to, aby umrzeć, lecz by więcej nie patrzeć na jej twarz! Biedna Hepziba! Zachodziła w głowę, co by tu zrobić, i myślała o przyozdobieniu turbanu wstążkami; lecz natychmiast rzuciło się kilku aniołów stróżów i powstrzymało ją od eksperymentu, który mógł się okazać bardziej jeszcze fatalny dla ukochanego przedmiotu jej niepokojów.

Aby ten opis zakończyć, dodamy, że nie tylko wygląd Hepziby był przykry dla oka. Wszystko, co robiła, robiła jakoś niezręcznie; było w niej coś niezdar nego, coś, co nie obiecywało wielkiego z niej pożytku, a już zupełnie nie przydawało jej uroku. Widok jej sprawiał Cliffordowi przykrość i Hepziba wiedziała o tym. W strapieniu swoim zwróciła się do Febe. W sercu jej nie było zazdrości. Gdyby podobało się Niebiosom uwieńczyć bohaterską wierność jej życia czyniąc ją osobiście źródłem przyjemności Clifforda, wynagro-

dziłoby to Hepzibie całą przeszłość, i dałoby jej szczęście, ciche wprawdzie, lecz głębokie, warte tysiąca radosnych uniesień. Lecz to być nie mogło. Zwróciła się więc do Febe i złożyła swe zadanie w ręce dziewczyny. Febe podjęła je pogodnie, tak jak robiła wszystko, lecz bez poczucia misji do spełnienia, i dzięki tej prostocie tym lepiej się jej powiodło.

Mimo woli, za sprawą zdrowego, miłego usposobienia dziewczyna wkrótce stała się niezbędna, jeśli nie do życia codziennego swych dwojga zagubionych towarzyszy, to dla ich" codziennego szczęścia. Nędza i brud Domu o Siedmiu Szczytach zniknęły, gdy zjawiała się w nim Febe. Drewniane belki przestały butwieć; kurz nie sypał się tak gęsto ze starych sufitów na podłogi i meble; a może ta mała gosposia, krzątająca się lekko jak wietrzyk omiatający ogrodowe aleje, usuwała go stamtąd? Cienie ponurych wydarzeń pełzające w samotnych i opustoszałych apartamentach, duszący ciężki zapach, jaki w sypialniach pozostawiała za sobą śmierć unosząca się tam od wieków — ustępowały pod ożywczym tchnieniem młodości i zdrowia. Febe nie miała w sobie nic chorobliwego; gdyby tak było, stary dom Pyncheonów stanowił odpowiednie miejsce, by skłonność ta rozwinęła się w nieuleczalną chorobę. Lecz w chwili obecnej dusza jej miała taką moc jak kilka kropli esencji różanej w jednym z olbrzymich, żelazem okutych kufrów Hepziby, w którym woń róż przenikała bieliznę, koronki, chustki, czepki, pończochy, suknie, rękawiczki i inne skarby tam złożone. Tak jak każda rzecz w wielkim kufrze tchnęła zapachem róży, tak wszystkie myśli i uczucia Hepziby i Clifforda, choć smutne, zabarwiały się subtelną iskrą szczęścia, gdy była z nimi Febe. Ciało, umysł i serce Febe były zawsze czynne, ożywione chęcią działania. Dlatego ciągle spełniała drobne praktyczne czynności, każda jej myśl wiązała się z po-

trzeba bieżącej chwili, a serce współczuło z posępnym niepokojem Hepziby lub z tajemniczym cierpieniem jej brata. Współczucie to okazywała czasem wesołym szczebiotem raszki w gałęziach gruszy, kiedy indziej głębokim zrozumieniem. Ta łatwość przystosowania się była objawem kwitnącego zdrowia, a zarazem najlepszym środkiem zachowania go.

Natura taka jak Febe wywiera zawsze swój wpływ, lecz rzadko bywa należycie oceniana. Najlepszą miarą jej siły duchowej jest fakt, że zdołała ustalić swą pozycję w bardzo trudnych okolicznościach, w jakich znalazła się pani domu; a także to, że wywarła wpływ na osobę o charakterze bardziej od niej sztywnym i opornym na wpływy. Bowiem chudy, kościsty korpus i członki starej panny w porównaniu z drobną, lekką figurką Febe wyrażały może trafnie duchową ociążałość kobiety z jednej strony, z drugiej — lotność dziewczyny.

Dla gościa — brata Hepziby lub kuzyna Clifforda, jak go zaczęła teraz nazywać, stała się szczególnie potrzebna. Nie widać było, aby z nią rozmawiał lub by zdradzał w jakiś inny określony sposób, że znajduje przyjemność w jej towarzystwie. Lecz jeśli była dłużej nieobecna, zaczynał się irytować, był zdenerwowany, nie mógł usiedzieć na miejscu, chodził tam i z powrotem po pokoju chwiejnym krokiem tak dla niego charakterystycznym lub też siedział zamyślony na wielkim krześle, z głową wspartą na rękach, i tylko oznaki złego humoru biegnące ku Hepzibie niby iskry elektryczne, ilekroć próbowała go zagadnąć, świadczyły, że żyje. Bliskość Febe i blask jej młodości w jego zrujnowanym życiu to było zazwyczaj wszystko, czego wówczas żądał. Wrodzona żywość Febe tryskała strumieniem tak radosnym, że jej krzątanina i wesoły szczebiot prawie nie ustawały, podobnie jak źródło, które pieni się wiecznie i szemrze. Umiała pięk-

nie śpiewać i to również było u niej tak naturalne, że nikomu by nie przyszło na myśl, aby ją pytać, skąd to umie i jaki mistrz ją uczył, tak jak nikt nie pyta o to ptaków, w których śpiewie słyszymy głos Stwórcy równie wyraźnie jak w huku bijącego gromu. Póki śpiewała, mogła chodzić po pokojach do woli. Clifford był zadowolony, wszystko jedno czy słodkie, zwiewne, swojskie tony jej piosenki płynęły z górnych pokojów, czy dochodziły ze sklepiku przez korytarz, czy przedostawały się do wnętrza z głębi ogrodu przez liście gruszy wraz z migoczącym blaskiem słońca. Siedział wówczas spokojnie, z twarzą opromienioną łagodnym zadowoleniem, to świecącym jaśniej, to znów przygasającym, w miarę jak piosenka zbliżała się lub oddalała. Wszakże najbardziej lubił, gdy siedziała na małym stołeczku u jego kolan.

Gdy się pomyśli o pogodnym temperamencie Febe, wyda się rzeczą godną uwagi, że wybierała ona melodie owiane smętkiem chętniej niż wesołe. Lecz ludzie młodzi i szczęśliwi nie stronią od tego, by przysłonić swą radość jakimś delikatnym cieniem. Zresztą największy nawet smutek głosu i pieśni Febe płynął niby przesiany przez złote sito pogody i tak był przesycony jej światłem, że łzy, które wyciskał, przynosiły ulgę sercu. Hałaśliwa wesołość w obecności świętego nieszczęścia byłaby ostrym i nieprzystojnym zgrzytem w uroczystej symfonii smutku, cicho opływającej życie Hepziby i jej brata. Dobrze się więc składało, że Febe tak często wybierała smutne piosenki, a i w tym nie było nic złego, że w jej śpiewie przestawały być smutne.

Gdy Clifford przywykł do towarzystwa Febe, okazało się, jak jego natura z przyrodzenia łatwo chłonęła przyjemne barwy i radosne światła bez względu na ich źródło. Gdy Febe siedziała przy nim, stawał się młody. Twarz jego nawiedzało czasem i rozświecła -

ło piękno, nie całkiem wyraźne nawet w największym swym natężeniu, piękno, którego malarz szukałby długo, a może i próżno, by je pochwycić i uwiecznić na płótnie. Niemniej jednak nie było ono złudzeniem. Nie tylko rozświetlało jego twarz, lecz ją przeistaczało, nadając mu wyraz, który można było tłumaczyć tylko jako odbłask duszy wytwornej i stworzonej do szczęścia. Siwe włosy, bruzdy głęboko wryte na czole opowieścią o nieskończonych smutkach i tak kurzowo zaciśnięte, jakby próżnym wysiłkiem, by zmieścić w nich tę całą historię, że aż owo pismo stawało się nieczytelne — wszystko to znikało na chwilę. Oko czułe i bystre zarazem mogło dostrzec w nim cień tego człowieka, jakim mógł być się stać. A gdy starość znowu wpełzała na jego twarz jak smutny zmierzch, czułeś pokusę, aby wszcząć spór z Przeznaczeniem i dowodzić, że albo człowiek ów nie powinien znaleźć się wśród śmiertelnych lub też bieg życia doczesnego należało kierować zgodnie z cechami jego charakteru. Nie było żadnej konieczności, by znalazł się na świecie — świat nigdy go nie potrzebował — lecz skoro dano mu życie, winien był z niego korzystać w najłagodniejszej, balsamicznej aurze lata. To samo zagadnienie prześladowuje nas zawsze, gdy zetknemy się z człowiekiem, którego natura dąży do tego, by karmić się wyłącznie pięknem, choćby ziemski los był dla niego najłaskawszy.

Febe prawdopodobnie nie miała większego zrozumienia dla charakteru kuzyna, na którego rzuciła tak zbawienny urok. I nie było to wcale potrzebne. Ogień na kominku może rozradować cały krąg otaczających go twarzy nie znając ani jednej z kryjących się za nimi indywidualności. Bo naprawdę w rysach Clifford'a kryło się coś nazbyt subtelnego i delikatnego, żeby mógł to ocenić ten, kto pozostawał tak dalece w sferze rzeczy konkretnych jak Febe. Dla Clifforda jednak



największy urok *miała* prostota i swojskość natury dziewczęcia. Chociaż piękność, i to piękność niemal doskonała w swoim stylu, była niezbędna; gdyby Febe miała grube rysy, niezgrabne kształty, chropawy głos i nieokrzesane maniery, to choćby pod taką nieszczęsną powierzchownością kryło się całe bogactwo doskonałych przymiotów, jako kobieta raziłaby Cliforda i przygnębiała go brakiem urody. Lecz nigdy nic piękniejszego niż Febe, a przynajmniej nic ładniejszego nie zostało stworzone. I dlatego w oczach mężczyzny, którego uboga i złudna radość istnienia była, póki serce i wyobraźnia w nim nie zamarły, tylko snem; mężczyzny, dla którego wyobrażenie kobiety traciło stopniowo ciepło i treść, aż zlodowaciało w mroźny ideał piękna jak obrazy odwracających się od życia artystów — dla niego ta mała figurka, obrazek pogodnego zacisza domowego, była właśnie tym, czego potrzebował, by wrócić do świata żyjących. Ludzie, którzy się zabłąkali lub zostali wygnani ze zwyczajnych ścieżek życia, choćby nawet w lepszy od naszego świat, niczego nie pragną tak mocno jak powrotu. Drżą z zimna w swej samotni czy to na szczycie góry, czy na dnie lochu. Otóż obecność Febe stwarzała wokół niej ciepło domu, tę właśnie rzeczywistość, do której wyrzutek społeczeństwa, więzień czy potentat — nieszczęśnik stojący poniżej ludzkiej społeczności, poza nią lub nad nią — instynktownie tęskni. Dom! Ona była czymś rzeczywistym. Trzymając jej rękę, czuło się coś tkliwego, jakąś treść realną i ciepłą, i póki trwał jej uścisk, choć bardzo delikatny, czułeś się pewny, że masz jakieś miejsce w łańcuchu czujących istnień ludzkich. Świat nie był już złudzeniem.

Rozwijając tę myśl moglibyśmy podać wyjaśnienie często poruszanej zagadki, dlaczego poeci skłonni są dobierać sobie towarzyszek nie dla podobnych poe-

tyckich uzdolnień, lecz dla innych zalet, które mogą obdarzyć szczęściem najprostszego rzemieślnika zarówno jak i najsubtelniejszych rzeźbiarzy ducha. Otóż dlatego prawdopodobnie, że na swych najwznioślejszych wyżynach poeta nie potrzebuje towarzystwa ludzi, lecz gdy z nich zejdzie, przeraża go samotność.

Było coś bardzo pięknego w stosunku tych dwojga, tak ściśle teraz związanych, a tak rozdzielonych szeregiem zmarnowanych lat, ponurych i tajemniczych, jakie upłynęły między ich narodzinami. Ze swej strony Clifford darzył ją uczuciem mężczyzny, który wziął od natury najwyższą wrażliwość na wdzięk kobiety, mężczyzny, który jednak nigdy nie wychylił kielicha namiętnej miłości i wiedział, że teraz jest za późno. Mówił mu o tym jego subtelny instynkt, który przeżył rozkład intelektu. Tak więc jego sentyment dla Febe, nie będąc uczuciem ojcowskim, stał się równie czysty, jak gdyby była jego córką. Był mężczyzną, to prawda, i uznawał w niej kobietę. Była dla niego jedyną przedstawicielką kobiecości. Dostrzegał niechybnie każdy urok jej płci, widział dojrzałość jej ust i jej dziewicze kształty. Wszystkie miłe kobiece minki i sztuczki, które zdawały się wyrastać z niej jak pączki kwiatów na młodym drzewku, robiły na nim wrażenie i niekiedy przenikały jego serce rozkoszą. W takich chwilach — gdyż wrażenie rzadko trwało dłużej niż chwilę — przez żyły na pół odrętwiałego człowieka przepływał strumień harmonijnej pełni życia, podobnie jak od dawna milcząca harfa napełnia się dźwiękiem, gdy przebiegną po niej palce muzyka. Lecz mimo wszystko było to raczej postrzeganie i doznanie niż określone uczucie. Czytał Febe jak miłą, prostą opowieść, słuchał jej niby wiersza o urokach domowego życia, który Bóg w nagrodę za jego straszny, ponury los dozwolił litościwemu aniołowi szeptać po pokojach. Nie była dla niego czymś realnym, lecz

wcieleniem wszystkiego, czego mu brakło na ziemi, przenikającym swym ciepłem jego umysł; tak że symbol czy obraz stał się dla niego krzepiącą rzeczywistością.

Lecz na próżno staramy się wcielić tę myśl w słowa. Nie potrafimy wyrazić, jak głębokie wzruszenie budzi w nas piękność. Ów człowiek, stworzony tylko do szczęścia, a dotąd jakże tragicznie przez szczęście pomijany, o skłonnościach tak brutalnie zwichniętych, że już dawno, nie wiadomo kiedy, delikatne sprężyny ducha, które nigdy ani moralnie, ani umysłowo mocnymi nie były, zerwały się pozostawiając duszę idioty — ten biedny zagubiony wędrowiec z Wysp Błogosławionych, błądzący po burzliwych morzach w wątej łódce, rzucony został ostatnią falą swego rozbitego życia do cichej przystani. I gdy leżał na brzegu prawie martwy, woń ziemskiego pączka róży przeniknęła niespodziewanie jego zmysły i obudziła wspomnienia lub wizje żywego piękna, które winno być stać się jego domem. Z wrodzoną wrażliwością wchłania rozkosz tej woni całą duszą i kończy życie.

A jak patrzyła na Clifforda Febe? Nie należała ona do tych, którym się podobają dziwne i wyjątkowe cechy charakteru. Droga, która by jej najbardziej odpowiadała, to udeptana ścieżka zwyczajnego życia; najmiłszymi dla niej towarzyszami byłiby ludzie tacy, jakich się spotyka na każdym kroku. Tajemnica otaczająca Clifforda, o ile w ogóle robiła na niej wrażenie, to raczej przykre, pozbawione uroku sensacji, jaki mogło w nim znaleźć wiele kobiet. Jednak jej wrodzona dobroć odezwała się — nie pod wpływem ponurej malowniczości tej sytuacji ani nawet delikatnego uroku indywidualności Clifforda, lecz na proste wołanie ciężko strapionego serca, które zbudziło jej współczucie. Darzyła go współczuciem, bo potrzebował tyle miłości, a zdawało się, że otrzymał jej tak mało.

Zawsze usłużna, pełna taktu, co wypływało u niej z czynnego usposobienia i zdrowej wrażliwości, odgadywała, co będzie dla niego dobre, i robiła to. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co było w nim i w jego życiu chorobliwe, i dlatego była tak swobodna, może nawet nierozważna, lecz dzięki temu przyjaźń ich rozkwitła prosta i zdrowa. Widocznie kierowały nią dobre duchy. Ludzie o chorym umyśle i ciele stają się jeszcze bardziej beznadziejnie chorzy i posępni, gdy ich choroba odbija się w zachowaniu otoczenia; to ich zmusza do wchłaniania ciągle do nich powracającej trucizny własnego oddechu. Lecz Febe stworzyła czystą atmosferę dla swego biednego pacjenta. Przesyciła ją nie wonią dzikiego kwiecica, bo w jej naturze nie było dzikości, lecz zapachem ogrodowych róż, goździków i wszystkich kwiatów, które hodują wspólnie i zgodnie natura i człowiek przez lata i całe stulecia. Takim kwiatem była Febe dla Clifforda i tą wonią się poił.

Jednak należy przyznać, że płatki owego kwiatu wędły niekiedy w tej ciężkiej atmosferze. Febe stała się bardziej zamyślona niż przedtem. Patrząc z boku na twarz Clifforda i widząc zatarty, przygasły wdzięk i zupełnie niemal zamroczenie umysłu zadawała sobie pytanie, czym było jego życie. Czy zawsze był taki? Czy ta zasłona okrywała go od urodzenia? Ta zasłona, za którą najczęściej chował się jego duch, przez którą dostrzegał świat rzeczywisty tak nieudolnie — czy też jej szarą sieć utkało jakieś wielkie nieszczęście? Febe nie kochała zagadek i z chęcią unikałaby tej niepewności. Niemniej o tyle dobre były skutki medytacji nad charakterem Clifforda, że gdy własne, mimowolne domysły łącząc się z każdą nową i dziwną dla niej okolicznością, która rzucała nowe światło, stopniowo odkrywały jej prawdę, nie wywarło to na niej wstrząsającego wrażenia. Niechże *ba-*

dzie — świat wyrządził mu krzywdę tak okropną, jak tylko potrafił, lecz — ona znała lub myślała, że zna kuzyna Clifforda — Ayt dobrze, aby miała drżeć przy dotknięciu jego szczupłych, delikatnych palców.

Po kilku dniach, które upłynęły od zjawienia się tego dziwnego mieszkańca, rytm codziennego życia w starym domu, o którym mówi nasza opowieść, ułożył się dość jednostajnie. Rankiem, zaraz po śniadaniu, Cliford usypiał w swym fotelu. Czasem zapadał w głęboki sen, czasem tylko drzemał, lecz nie budził się aż do południa — chyba że mu ktoś przypadkowo spoczynek zakłócił. Te godziny były dla starej pani porą czuwania nad bratem, a Febe w tym czasie zajmowała się sklepem. Układ taki odgadła szybko publiczność i okazywała swe upodobanie młodszej kupcowej odwiedzając tłumnie sklepik podczas jej urzędowania. Po obiedzie Hepziba brała swą robotę na drutach — długą pończochę z szarej przędzy, którą szykowała dla brata na zimę — wzdychała, spoglądała tkliwie na Clifforda spod zmarszczonych brwi i gestem polecając Febe pilnowanie go, szła zająć miejsce za kontuarem. Teraz była kolej na dziewczynę, aby pełnić funkcję — mniejsza o to, jak ją nazwiemy: pielęgniarki, niańki lub towarzyszki zabaw tego siwowłosego mężczyzny-dziecka.

## OGRÓD PYNCHÉONÓW

Gdyby nie ożywcza obecność Febe i jej zabiegi, Clifford poddałby się odrętwieniu i siedziałby w fotelu od rana do wieczora. Lecz dziewczyna nigdy nie pomijała żadnej sposobności, by zaproponować spacer do ogrodu, gdzie wuj Venner z dagerotypistą naprawili dach zrujnowanej altany, który dawał teraz wystarczające schronienie od słońca i przelotnych deszczów. Także chmiel zaczął się rozrastać obficie po ścianach małego domku czyniąc z niego zaciszne zielone schronienie o niezliczonych migotliwych szpareczkach i okienkach, przez które można było zaglądać do dzikiej samotni ogrodu.

Tu niekiedy, w tym zielonym zakątku tańczącego światła, Febe czytała Cliffordowi. Jej nowy znajomy, artysta, który miał, zdaje się, upodobanie do literatury, dostarczył jej powieści w wydaniach broszurowych

i kilku tomów poezji w stylu i smaku całkowicie odmiennym od książek wybranych przez Hepzibę dla rozrywki brata. Jeśli jednak czytanie Febe miało większe powodzenie niż wysiłki jej starszej kuzynki, nie wynikało to z wyboru książek. Głos Febe był zawsze melodyjny i potrafił ożywić Clifforda swym pogodnym brzmieniem lub ukoić go płynącą niby po kamyczkach strumienia kaskadą rytmów. Lecz same powieści, które naszą wieśniaczkę, niezwykłą takich dzieł, częstokroć głęboko absorbowały, jej dziwnego słuchacza zajmowały bardzo niewiele lub nic zgoła. Obrazki z życia, sceny namiętności i sentymentu, dowcipu, humoru czy tragedii były stracone lub gorzej niż stracone dla Clifforda, może dlatego, że nie miał doświadczenia, które dałoby mu miarę ich prawdy, lub też probierzem rzeczywistości były dla niego jego własne cierpienia, z którymi niewiele wymyślnych nieszczęść mogło się mierzyć. Gdy Febe wybuchła śmiechem przy jakiejś wesołej scenie, Clif ford czasem śmiał się dla towarzystwa, lecz często rzucał jedynie niepewne, pytające spojrzenia. Jeśli pogodna, dziewicza łza wyciśnięta zmyślnym cierpieniem spadała na jakąś melancholijną stronicę, Clif ford uważał to za dowód rzeczywistego nieszczęścia lub poczynał się irytować i gniewnym skinieniem nakazywał jej zaniknąć książkę. I mądrze robił! Czyż świat nie jest dość smutny w rzeczywistości, by jeszcze czynić sobie rozrywkę z udanych smutków?

Lepiej się wiodło z poezją. Cieszyło go wzbieranie i opadanie rytmu i dźwięczne, powracające rymy. Nie był też Clifford niezdolny do odczuwania poezji — rozumiał ją doskonale, może nie tam, gdzie jej uczucie sięgało wyżyn lub głębi, lecz gdzie wzbijało się lekko, niby na skrzydłach. Niepodobna było przewidzieć, który wiersz utajonym czarem rozbudzi jego uwagę; lecz bywało, iż Febe wznosząc oczy znad książ-

ki uświadamiała sobie, widząc rozjaśnioną twarz Clifforda, że inteligencja subtelniejsza od jej własnej pochwyciła przelotny płomyk z tego, co czytała. Jednakże taka chwila zachwytu często zasnuwała mu twarz cieniem na wiele godzin. Gdyż z ustępującą jasnością Clifford stawał się świadomy braków swego umysłu, tego, że dusza jego straciła czucie i moc, i szukał ich po omacku, jak ślepiec szukający utraconego wzroku.

Bardziej mu się podobało i lepiej wpływało na jego humor, gdy Febe opowiadała o sprawach codziennego życia. Takie historie umysł jego pojmował łatwiej. Życie ogrodu dostarczało dość tematów do tego rodzaju rozmów i to najlepiej odpowiadało Cliffordowi. Nie omieszkał nigdy zapytać, jakie kwiaty zakwitły od wczoraj. Żywił do kwiatów subtelny sentyment, który był u niego nie tyle kwestią smaku, co uczucia. Lubił siedzieć z kwiatem w ręku, przypatrując mu się uważnie, i przenosił spojrzenie z jego płatków na twarz Febe, jakby róża z ogródka była jej siostrą. Nie tylko znajdował upodobanie w woni kwiatu, w jego pięknej formie, w delikatnych lub żywych barwach; do przyjemności tej dołączało się zrozumienie życia, charakteru i indywidualności tych roślin i kazało mu je kochać, jakby były obdarzone rozumem i uczuciem. Takie uczucia dla kwiatów bywają prawie wyłącznie cechą kobiety. Mężczyzna, jeśli ma je z natury, wkrótce ten zmysł traci, zapomina i uczy się nim pogardzać, gdy zetknie się ze sprawami bardziej brutalnymi. Clifford również zapomniał o nim od dawna, lecz znów go odnalazł, gdy dźwigał się powoli z odrętwienia.

Rzecz godna podziwu, jak wiele przyjemnych wydarzeń przesunęło się przez ten odosobniony skrawek ogrodu, skoro Febe zabrała się do ich wyszukiwania. W pierwszy dzień, gdy zawarła znajomość z tym miejscem, usłyszała tam pszczołę. I często właściwie



prawie ciągle od tego czasu, przylatywały pszczoły, Bóg wie po co i jakim wiedzione pragnieniem zakosztowania wyszukanych słodyczy, gdy bez wątpienia bliżej domu miały rozległe pola koniczyny i wszelkiego rodzaju kwiaty. Jakkolwiek było, tam przylatywały i zanurzały się w kwiaty dyni, jakby już nigdzie dyni nie było na tych rozległych przestrzeniach lotu lub jak gdyby gleba ogrodu Hepziby dawała swym produktom tę właśnie jakość, której potrzebowały małe czarodziejki, aby nasycić wonią hymetyjskich nektarów miód wszystkich nowoangielskich uli. Gdy Clifford słyszał ich słoneczny brzęk w kielichach wielkich żółtych kwiatów, rozglądał się wokoło radośnie chłonąc błogosławieństwo ciepła, błękitnego nieba, zielonej trawy i powietrza, które z łaski Boga wypełnia całą przestrzeń między niebem a ziemią. Wreszcie nie potrzebujemy trapić się pytaniem, dlaczego pszczoły przylatywały do tego jedyne go zielone go zakątka w zakurzone m mieście. Bóg je tam zesłał, by rozweselić naszego biednego Clifforda. Przynosiły bogactwo lata w zamian za odrobinę miodu.

Gdy pnącza fasoli zakwitły na tykach, znalazła się wśród nich specjalna odmiana o jaskrawoszkarłatnych kwiatach. Dagerotypista odkrył garść tej fasoli na poddaszu, w jednej z siedmiu wieżyczek, złożoną na dnie starej komody w minionej przeszłości przez jakiegoś zamiłowanego w ogrodnictwie Pyncheona; z pewnością zamierzał ją zasadzić następnego lata, lecz wprzód jego samego Śmierć zasadziła na swej grzędzie. Chcąc się przekonać, czy w tak starych nasionach przetrwało jeszcze życie, artysta rzucił w ziemię kilka ziaren, a owocem tego eksperymentu stał się rząd wspaniałej fasoli pnącej się wcześniej na całą wysokość tyczek i strojącej je od czubka do ziemi spiralną girlandą czerwone go kwiecia. A odkąd rozwinął się pierwszy pączek, nadciągały tam chmury kolibrów.

Chwilami zdawało się, że na każdy kwiat przypada jeden z tych ptaszków, najmniejszych, jakie latają w powietrzu; kłębuszki lśniącego upierzenia, nie większe od kciuka, krążyły i drgały nad tyczkami z fasolą. Clifford przypatrywał się kolibrom z nieopisanym zainteresowaniem i z dziecięcą radością. Wystawiał ostrożnie głowę z altanki, by im się lepiej przyjrzeć; a przez cały czas kiwał na Febe, żeby siedziała cicho, i podpatrywał uśmiechy na jej twarzy, by pomnożyć swą radość o jej zrozumienie. Stawał się wówczas nie tylko młody — był znowu dzieckiem.

Ilekcóż Hepziba była świadkiem takiego wybuchu entuzjazmu w miniaturze, z melancholijną radością trzęsła głową, jak matka i siostra w jednej osobie. Mówiła, że zawsze tak było z Cliffordem, gdy przylatywały kolibry — zawsze, od dzieciństwa, i że zachwyty nad nimi był jednym z najwcześniejszych znaków zapowiadających jego ukochanie piękna. To cudowny zbieg okoliczności, myślała ta zacna pani, że artysta zasadził ową szkarłatnie kwitnącą fasolę akurat tego lata, gdy powrócił Clifford, fasolę, do której kolibry ciągnęły z tak daleka, a która nie rosła w ogrodzie Pyncheonów od lat czterdziestu.

Potem łązy stawały w oczach biednej Hepziby lub zalewały twarz obfitym strumieniem, tak że szybko chowała się w jakiś kąt, by Clifford nie dojrzał jej wzruszenia. Zaprawdę, wszystkie radości tego okresu pobudzały do łez. Zjawiały się tak późno — niby babie lato z mgłą wiszącą w najrozkoszniejszym ciepłe słońca, w którym czaił się już chłód śmierci wsączający się w najweselsze chwile. Im bardziej Clifford oddawał się dziecinnej radości, tym smutniejszą wydawała się jego postać. Z cieniem tajemniczej ponurej przeszłości, która unicestwiła w nim pamięć, i z pustką przyszłości, która go czekała, posiadał tylko to ułudne, nieuchwytnie teraz, które, jeśli mu się do-

brze przyjrzeć, jest niczym. On sam, jak było widać z wielu oznak, ukrywał się posępnie za światłem swych drobnych przyjemności i wiedział, że to tylko dziecinna zabawa, że można tak igrać, lecz naprawdę uwierzyć — nie sposób. Cliff ord uświadamiał sobie może w głębi duszy, że jest przedstawicielem tej wielkiej klasy ludzi, którym niepojęta Opatrzność ustawicznie każe pozostawać w niezrozumiałym skłóceniu ze światem, łamiąc wszystko, co zdaje się jej obietnicą w ich naturze, odmawiając im stosownej dla nich strawy i dając im truciznę, by się nią karmili; i tym sposobem, gdy pozornie tak łatwo mogłoby się stać inaczej, czyni ich żywot błakaniem, samotnością i męką. Przez całe życie Clifford uczył się być nieszczęśliwym, tak jak się uczymy obcej mowy; a teraz, gdy jego serce pojęło tę naukę całkowicie, trudno mu było zrozumieć tę odrobinę przelotnego szczęścia. Często w jego oczach zjawiał się cień niedowierzania. — Weź moją rękę, Febe — mówił — i uszczypnij ją mocno paluszkami! Podaj mi różę, żebym mógł ścisnąć jej kolce i poznać, że nie śnię, skoro poczuję ostry ból! — Widocznie pragnął drobnego cierpienia, aby się upewnić przez to uczucie (które, jak dobrze wiedział, jest najbardziej realne), że ogród i siedem poczerniałych wieżyczek, zmarszczka Hepziby i uśmiech Febe — to także rzeczywistość. Bez tego świadectwa zmysłów nie mógłby uwierzyć, że są bardziej rzeczywiste niż próżna płatanina wymaginowanych scen, którymi sycił swą duszę przez tyle lat, póki nie wyczerpała się nawet i ta strawa.

Autor musi pokładać wielką wiarę w rozumieniu i odczuciu czytelnika; inaczej zawahałby się, czy przytaczać te drobne szczegóły i zdarzenia, pozornie tak niewiele znaczące, o których koniecznie trzeba wspomnieć, aby dać pojęcie owego życia w ogrodzie. Był to Rajski Ogród dla rozbitka, który schronił się tu

w ucieczce z posępnej i pełnej niebezpieczeństw głuszy, takiej samej jak ta, w którą wygnano ongiś Adama,

Jednym z dostępnych środków zabawienia Clifforda (Febe korzystała z niego najczęściej) była skrzydlata gromadka kur. Ich hodowla, jak już się rzekło, stanowiła od niepamiętnych czasów dziedzictwo rodziny Pyncheonów. By zaspokoić kaprys Clifforda, któremu sprawiało przykrość oglądanie ich w zamknięciu, wypuszczono je na wolność i chodziły teraz swobodnie po ogrodzie. Robiły trochę szkody, lecz uciec nie mogły, gdyż przeszkadzały im z trzech stron budynki, a z czwartej ostre deski drewnianego płotu. Wiele wolnego czasu — a miały go w nadmiarze — spędzały nad brzegiem studni Maule'a, w której żył pewien gatunek ślimaka stanowiący widocznie przysmak dla ich podniebienia; a słonawa woda, choć wstrętna dla reszty świata, w tak wielkiej była cenie u tych ptaków, że smakowały ją unosząc łebki i mlaskając dziobami, zupełnie jak bibosze nad beczką wina próbujący jego smaku. Ich spokojne, niekiedy ożywione i zawsze urozmaicone rozmowy, a czasem monologi, prowadzone podczas wygrzebywania robaczków z bogatej czarnej ziemi lub dziobania roślinek, które im specjalnie smakowały, brzmiały tak swojsko, iż dziwne było, że nie mogłeś z nimi nawiązać regularnej wymiany zdań na tematy gospodarskie — ludzkie i kurze. Wszystkie kury warte są studiów z uwagi na wielce urozmaicony i przyjemnie pobudzający sposób bycia; ale kur o tak dziwnym wyglądzie i zachowaniu jak te dziedziczne kury na pewno nigdy nie było i być nie mogło. Prawdopodobnie wcielały one tradycyjne osobliwości całej galerii przodków przekazane nieprzerwaną linią jajek; lub też ten kogut i jego dwie żony stały się oryginałami i to trochę zwariowanymi przez samotne życie i z sympatii dla Hepziby, swojej pani.

Dziwacznie zaiste wyglądały! Sam kogut, choć stąpał na swych szczudłowatych nogach z godnością niezliczonych pokoleń w każdym ruchu, nie przerastał kuropatwy; jego dwie małżonki nie różniły się wielkością od przepiórek; co do kurczątka, to było ono tak malutkie, że mogłoby śmiało tkwić jeszcze w jajku, a równocześnie zdawało się dostatecznie stare, zwiędłe, wychudłe i doświadczone, by stać się założycielem starożytnego rodu. Zamiast mieć wygląd najmłodszego z rodziny, wchłonęło, sądząc z pozoru, lata nie tylko żyjących okazów swej rasy, lecz wszystkich pradziadów i prababek, których zjednoczone doskonałości i dziwactwa wcisnęły się w ten drobny kształt. Jego matka uważała go widocznie za jedyne kurczę na świecie, niezbędne dla trwania tego świata, a w każdym razie dla utrzymania obecnego stanu równowagi w sprawach Kościoła i państwa. Żadne skromniejsze mniemanie o ważności nieletniego ptaka nie mogłoby usprawiedliwić, nawet u matki, wytrwałości, z jaką czuwała nad jego bezpieczeństwem pusząc się, aż jej drobna postać stawała się dwukrotnie większa, i rzucając się na każdego, kto bodaj tylko spojrział na jej obiecującego potomka. Żadne skromniejsze mniemanie nie mogłoby okupić niezmordowanego zapachu, z jakim rozgrzebywała ziemię, i braku skrupułów w wykopywaniu najprzedniejszych kwiatów i warzyw dla zdobycia tłustego robaka spod ich korzeni. Nerwowe gdakanie, gdy kurczę skryło się w wysokiej trawie lub pod liśćmi dyni, łagodne zadowolone gruchanie, gdy tuliło się bezpiecznie pod jej skrzydłem, nuta źle ukrytego strachu lub wrzaskliwego wyzwania w głosie na widok arcywroga — kota z sąsiedztwa, gdy zjawiał się na płocie — któryś z tych dźwięków słyszało się o każdej niemal porze dnia. Stopniowo obserwator poczynał się interesować tym kurczę-

ciem znamienitego rodu prawie tak samo jak kurza matka.

Gdy Febe zaznajomiła się już dobrze ze starą kwoką, wolno jej było czasem wziąć kurczątko do ręki i dłoń jej z łatwością obejmowała ten jeden czy dwa całe sześciennie małego ciała. Podczas gdy z zainteresowaniem oglądała cechy dziedziczne kurczaka — charakterystyczne cętkowane upierzenie, śmieszny czub na łebku i ostrogi na nóżkach — mały dwunogi stwór ciągle, jak zapewniała, mrugał na nią przemądrzale. Dagerotypista kiedyś szepnął jej, że te znamiona wyrażały dziwactwa rodziny Pyncheonów i że samo kurczę jest symbolem życia starego domu oraz wcieloną interpretacją tego życia, choć trudną do odczytania, jak to zwykle bywa we wszystkich tajemnicach. Była to upierzona zagadka; tajemnica wykluta z jajka i tak niejasna, jak gdyby jajko było już zupełnie zmętniałe.

Druga z żon koguta pozostawała od przybycia Febe w ciężkim strapieniu spowodowanym, jak się później okazało, niemożnością zniesienia jajka. Pewnego dnia jednakże stało się oczywiste z oznak takich jak chód pełen dostojeństwa, głowa zadarta i przekrzywiona w bok, dumne wejrzenie oka, gdy buszowała to tu, to tam po ogrodzie gdacząc do siebie przez cały czas z niewysłowionym zadowoleniem, że ta oto kura, jakkolwiek nie doceniana przez ludzkość, nosi się z czymś, czego wartość przewyższa złoto i drogie kamienie. Wkrótce po tym rozległo się ogromne gdakanie i gratulacje koguta z całą rodziną, łącznie z wysuszonym kurczątkiem, które zdawało się rozumieć tę sprawę równie dobrze jak jego rodzic, matka i ciotka. Tego popołudnia Febe znalazła maleńkie jajeczko. Nie w regularnym gnieździe — było ono zbyt cenne, żeby je tam zostawić — lecz ukryte chytrze pod krzakami porzeczek na zeschniętej zesłorocznej trawie. Dowie-

dziawszy się o tym Hepziba zagarnęła jajko i przeznaczyła je dla Clifforda na śniadanie ze względu na szczególnie delikatny smak, z którego, jak twierdziła, te jajka zawsze słynęły. W ten sposób stara dama poświęciła bez skrpułów przyszłość starożytnego piezastego rodu po to tylko, by dostarczyć swemu bratu smakołyku, który mieścił się bez trudu w łyżeczce od herbaty! I prawdopodobnie w związku z tą zniewagą kogut w towarzystwie pokrzywdzonej matki zjawił się następnego dnia przed Febe i Cliffordem i wygłosił mowę, która mogłaby się okazać tak długą jak rodowód jego przodków, gdyby Febe nie przerwała mu wybuchem śmiechu. Na co obrażony ptak oddalił się na swych szcudłowatych nogach i zupełnie przestał zwracać uwagę na Febe i cały rodzaj ludzki, aż zawarła z nim pokój częstując go okruchami korzennego ciasta, które po ślimakach było najmilszym specjałem jego arystokratycznego podniebienia.

Bez wątpienia ociągamy się zbyt długo przy tej małej strudze życia płynącej przez ogród domu Pyncheonów. Lecz sądzimy, że czytelnik nam wybaczy notowanie tych drobnych wydarzeń i skromnych radości, ponieważ uczyniły one tak wiele dla dobra Clifforda. Miały w sobie woń ziemi i przywracały mu zdrowie i siły. Niektóre z jego zajęć oddziaływały nań mniej korzystnie. Szczególnie lubił się pochyłać nad studnią Maule'a i patrzeć na zmienną grę widziadeł tworzących się przy poruszeniach wody na tle kolorowej mozaiki kamyczków. Powiadał, że patrzą stamtąd na niego twarze — piękne twarze, strojne w czarujące uśmiechy — każda ulatująca twarz tak cudna i różowa, każdy uśmiech tak słoneczny, że czuł się skrzywdzony, gdy znikają, póki czarodziejskie migotanie nie stworzyło nowej. Lecz czasem wydawał nagły okrzyk: — Och, jaka ponura twarz na mnie patrzy! — i potem był nieszczęśliwy przez cały dzień.

Gdy Febe pochylała się razem z Cliffordem nad źródłem, nie widziała tego wszystkiego — ani piękna, ani brzydoty, tylko kolorowe kamyczki, które wyglądały tak, jakby płynąca woda przesuwiała je i mieszała. A ciemna twarz nękająca Cliffora była tylko cieniem rzucanym przez gałąź damasceńskiej śliwy, załamującym światło w studni Maule'a. Rzecz w tym, że fantazja Clifforda, odżywająca szybciej niż wola i myśl i zawsze od nich silniejsza, tworzyła urocze kształty, które były symbolem jego wrodzonego upodobania, a niekiedy kształty straszliwe i groźne — obraz jego losu.

W niedzielę, po powrocie Febe z kościoła — gdyż sumienie dziewczyny nakazywało jej tam uczęszczać i czułaby się nieswojo, gdyby opuściła modlitwę, śpiewanie hymnów, kazanie lub błogosławieństwo — po powrocie z kościoła urządzano skromną uroczystość w ogrodzie. Oprócz Clifforda, Hecziby i Febe w skład towarzystwa wchodziło dwóch gości. Jednym był artysta Holgrave, który, mimo swych konfidencji z bracią reformatorów i innych dziwacznych i podejrzanych figur, cieszył się wielkim poważaniem i względami Hecziby. Drugim, wstyd nam prawie wyznać, był czcigodny wujek Venner w czystej koszuli i sukienym surducie, bardziej eleganckim niż jego codzienna odzież, gdyż był starannie wyłatany na obu łokciach i mógłby się zwać strojem całkowitym, gdyby nie to, że poły były trochę nierówne. Clifford zdawał się znajdować przyjemność w rozmowie z tym starcem, który trzymał się czerstwo i działał orzeźwiająco jak wonne zmarzniete jabłko znalezione pod drzewem w grudniu. Z człowiekiem stojącym na najniższym szczeblu społecznej drabiny łatwiej było i przyjemniej się stykać upadłemu panu niż z osobą stanu pośredniego. Ponadto Clifford, który boleśnie odczuwał utraconą młodość, w towarzystwie leciwego patriarchy, wujka



Vennera, widział się młodszym i miłe mu było to uczucie. Rzeczywiście można było czasem zauważyć, jak Clifford na wpół rozmyślnie skrywał sam przed sobą świadomość swego podeszłego wieku i pielęgnował w sercu wizje przyszłości, jak gdyby życie stało jeszcze przed nim otworem. Wizje te były jednak zbyt mgliste, by mogły pociągnąć za sobą rozczarowanie, chociaż w chwilę po tym popadał w ponury nastrój, gdy jakieś przypadkowe zdarzenie lub wspomnienie uświadomiło mu, że jest stary jak zwiędły liść.

Tak więc owo małe, dziwnie dobrane towarzystwo zbierało się w cieniu zrujnowanej altany. Hepziba jak zawsze z dostojeństwem w sercu, z nieustającymi pretensjami do szlachectwa i tym bardziej na nie pamiętna, że pozwalały jej okazywać drugim iście książęcą łaskawość — przyjmowała towarzystwo bardzo gościnnie. Rozmawiała uprzejmie z artystą, choć był dla niej tylko nieznanym włóczęgą, i naradzała się — ona, taka wielka pani — z filozofem w łatach, prostaczkiem spełniającym w miasteczku najniższe posługi. A wujek Venner, który studiował świat na skrzyżowaniach ulic i w innych miejscach nadających się do czynienia stosownych obserwacji, udzielał swej mądrości tak ochoczo, jak miejska pompa udziela wody.

— Panno Hepzibo, proszę pani — powiedział pewnego razu, gdy wesoło zabawiali się rozmową. • — Naprawdę sprawiają mi radość te spokojne małe zebrania w świąteczne popołudnia. Zupełnie tak samo sobie wyobrażałem odpoczynek na mojej farmie!

— Wujek Venner — zauważył Clifford sennym, stłumionym głosem — zawsze mówi o swojej farmie. Ale ja mam lepszy dla niego projekt, jak się z czasem okaże. Zobaczymy!

— Ach, panie Cliffordzie Pyncheon! — odrzekł starszek. — Może pan wymyślać dla mnie plany, ile się tylko panu podoba. Ale ja nie rzucę tego jedne-

go, com dla siebie umyślił, nawet gdyby tak było sądzone, że z tego nic nie wyjdzie. Bo naprawdę widzi mi się, że ludzie głupio robią, kiedy gromadzą wielkie majątki. Gdybym ja to robił, zaraz by mi się wydało, że Opatrzność nie potrzebuje już się o mnie troszczyć; a w każdym razie nie musiałyby już o mnie myśleć miasto. Ja jestem z tych, co uważają, że nieskończoności starczy dla nas wszystkich, a wieczności mamy aż nadto!

— Ależ tak, wujku Venner — zauważyła Febe po pewnej chwili, gdyż usiłowała zgłębić mądrość i trafność tej końcowej maksymy. — Tylko że na to nasze krótkie życie chciałoby się mieć własny domek z niewielkim ogródkiem.

— Zdaje mi się — powiedział z uśmiechem dagerotypista — że wujek Venner wyznaje w głębi ducha zasady Fouriera; tylko że w jego umyśle nie są one tak wyraźnie określone jak u tego systematycznego Francuza.

— Pójdź, Febe — rzekła Hepziba. — Czas przynieść porzeczeki.

I gdy żółte bogactwo zachodzącego słońca padało jeszcze na otwartą przestrzeń ogrodu, Febe przyniosła bochenek chleba i porcelanowy dzban porzeczek świeżo zebranych z krzaka i roztartych z cukrem. To było całe przyjęcie, a do picia stała woda, ale nie z zatrutego źródła, które biło tak blisko.

Tymczasem Holgrave starał się nawiązać rozmowę z Cliffordem, powodowany, jak się zdawało, wyłącznie chęcią, aby obecna godzina stała się weselszą niż większość godzin, które przeżył lub miał jeszcze przeżyć biedny samotnik. Niemniej jednak z głębokich, myślących, wszystko dostrzegających oczach artysty zjawił się od czasu do czasu wyraz jeśli nie złowrogi, to zagadkowy; tak jakby kierowały nim jakieś ubocz-

ne względy budzące w nim głębsze zainteresowanie tym, co widział, niż mógł odczuwać obcy, młody i nie związany z nimi poszukiwacz przygód. Lecz umiając łatwo zmieniać nastrój, przynajmniej pozornie, Holgrave zabrał się do rozweselania towarzystwa i to t takim powodzeniem, że nawet ponura Hepziba zrzuciła jedną warstewkę ciemnej melancholii i porozsuwała, jak mogła, pozostałe. Febe mówiła sobie: — Jaki on potrafi być miły! — A wujek Venner zgodził się chętnie w dowód przyjaźni i aprobaty ofiarować swą fizjonomię dla reklamy jego zawodu, pozwalając, aby dagerotyp jego twarzy, tak dobrze w mieście znanej, zawisł przy wejściu do studia Holgrave'a.

Gdy tak całe towarzystwo zabawiało się na tym małym bankiecie, Clifford prześcignął wszystkich w wesołości. Był to albo nagły odruch, jakim ulegają z łatwością anormalne umysły lub też artysta umiejętnie dotknął jakiejś struny, która odezwała się melodią. Zresztą było to może naturalne, że w przyjemny letni wieczór, wśród małego grona życzliwych i zacnych ludzi człowiek o duszy tak wrażliwej jak Clifford ożywił się i okazywał gotowość reagowania na to, co się mówiło wokół niego. Lecz wypowiadał także i swoje myśli z żalem i polotem bogatej fantazji i myśli te napełniały altankę niby światłem ulatującym przez szparki między liśćmi. Niewątpliwie bywał równie wesoły w towarzystwie samej Febe, lecz nigdy jeszcze nie zabłysnął tak bystrą, choć jednostronną inteligencją.

Ale gdy słońce zagasło na szczytach siedmiu wieżeczek, wraz z nim zgasła wesołość w oczach Clifforda. Rozglądał się żałośnie i niepewnie, jak gdyby utracił coś cennego i odczuwał ów brak tym dotkliwiej, że nie wiedział, co to było.

— Chcę mego szczęścia! — zamruczał ochryple i niewyraźnie, zaledwie wymawiając słowa. — Cze-

kałem na nie wiele, wiele lat! Teraz już późno! Już późno! Chcę mego szczęścia!

Biedny Cliffordzie, niestety! Jesteś stary i zniszczony troskami, które nie powinny były spaść na ciebie. Jesteś w części obłąkany, w części zdziecinniały; ruina, zniszczenie — oto czym jesteś, jak każdy niemal człowiek — może tylko bardziej widocznie. Los nie gotuje ci szczęścia; chyba że twoje spokojne życie w starym rodzinnym domu z wierną Hepzibą, długie letnie popołudniowe godziny z Febe i te niedzielne zebrania w towarzystwie wujka Yennera i dagerotypisty zasługują na to, by zwać je szczęściem. A dlaczego nie? Jeśli nie są szczęściem, to przecież zdumiewająco do szczęścia podobne, tym bardziej że jest ono tak ułudne i nieuchwytnie, że znika, skoro zacznie się je bliżej rozważać. Bierz je zatem, póki możesz, bez pytań, bez narzekań, bierz wszystko, co ci daje los.

W takim półśnie lub, żeby inaczej to określić, w wegetacji opisanej na poprzednich stronach, Clifford mógłby przetrwać czas bliżej nie określony, a na pewno do końca lata. Jednak Febe wyobraziła sobie, że byłoby dla niego z korzyścią odmienić nieco tryb życia i podsuwała mu czasem myśl, by wyrzął na ulicę. W tym celu wstępowali razem po schodach na drugie piętro, gdzie w szczycie obszernej sali mieściło się wielkie sklepienie okno przysłonięte portierą. Wychodziło ono na ulicę ponad ganikiem i kiedyś był tam balkon, lecz balustrada dawno spróchniała i została usunięta. Sklepienie okno otwierano i Clifford skryty w cieniu portiery miał możliwość obserwowania ruchu wielkiego świata — tyle, ile można go było zobaczyć na bocznej ulicy niezbyt ludnego miasta. Lecz razem z Febe tworzyli obraz bar-

dziej godny oglądania niż inne widoki w tym mieście. Błady, siwowłosa mężczyzna, dziecinny i zgrzybiały, melancholijny, lecz często pogodny, a czasem błyskający subtelną inteligencją, wyglądał spoza spłowiałego karmazynu zasłony obserwując monotonne codzienne życie ulicy z nieuzasadnionym zainteresowaniem i powagą, a przy każdym doznany wrażeń szukał zrozumienia w oczach pięknej młodej dziewczyny.

Kiedy już zasiadł przy oknie, nawet ulica Pyncheonów nie była tak nudna i opustoszała, *bygdzieś* na jej szlaku Clifford nie mógł odkryć czegoś, co przyciągało jego wzrok i pobudzało uwagę, jeśli nie pochłaniało jej całkowicie. Rzeczy dobrze znane nawet małemu dziecku, które zaczyna dopiero poznawać świat, jemu wydawały się dziwne. Dorożka, omnibus wypełniony ludźmi, gubiący tu i ówdzie któregoś z pasażerów a zabierający innego, podobny w tym wielkiemu, toczącemu się pojazdowi świata, który ma kres podróży wszędzie i nigdzie; za tymi rzeczami wodził żarliwie okiem, lecz zapominał o nich, nim jeszcze kurz, wzbijający się pod dotknięciem kół i kopyt końskich, osiadł na drodze. W stosunku do nowości (do których zaliczały się dorożki i omnibusy) umysł Clifforda zatracił umiejętność chwytania i zatrzymywania ich obrazu. Na przykład w czasie upałów koło domu Pyncheonów przejeżdżał raz czy dwa razy w ciągu dnia beczkowóz pozostawiając za sobą ślad zwilżonej ziemi w miejsce białego kurzu wznoszącego się za najłżejszym dotknięciem kobiecej stopy. Był to niby rześisty letni deszcz, schwytny i oswojony przez władze miejskie, które zmusiły go do służby powszednim zabiegom o ich wygody. Clifford nie mógł się nigdy zżyć z beczkowozem; zawsze przejmował go tym samym zdumieniem, co na początku. Jego umysł widocznie odbierał silne wrażenie, lecz jeszcze przed następnym pojawieniem się beczkowozu zapominał o tym

wędrującym deszczu tak gruntownie jak sama ulica, którą upał szybko znów pokrywał białym pyłem. Tak samo było z koleją żelazną. Clifford słyszał przeraźliwe wycie parowego diabła, a wychyliwszy się nieco z okna mógł dostrzec łańcuch wagonów mknący krótkim przejazdem przy końcu ulicy. Narzucona mu w ten sposób świadomość straszliwej energii była dla niego ciągle nowa i uderzała go równie niemile, i zdumiewała tak samo zjawiając się po raz setny, co za pierwszym razem.

Nic nie daje tak smutnego świadectwa rozkładu umysłu jak owa utrata lub zawieszenie władzy pojmowania rzeczy niezwykłych, nienadążanie za chyżością zmiennej chwili. Może to być jedynie zawieszenie przejściowe; bo gdyby ta władza miała naprawdę zaniknąć, po cóż by wtedy istniała nieśmiertelność? Gdy spadnie na nas takie nieszczęście, nie więcej mamy znaczenia od upiórów.

Clifford był zaiste najbardziej zatwardziałym konserwatystą. Cokolwiek starego ukazywało się na ulicy, było mu drogie; nawet to, co swą wulgarnością raziłoby normalnie jego wybredny smak. Kochał hałaśliwe, turkoczące po kamieniach wozy, których obraz odkrywał jeszcze w dawno pogrzebanych wspomnieniach, jak współcześni znajdują ślady kół starożytnych pojazdów w Herculaneum. Wóz rzeźnika pokryty śnieżnym baldachimem znajdował uznanie w jego oczach, tak samo wóz z rybami oznajmiający swe przybycie trąbieniem w muszlę, także i furka wieśniacza naładowana warzywem, wlokąca się od drzwi do drzwi z długimi postojami cierplivej szkapy, gdy jej właściciel sprzedawał gospodyniom z sąsiedztwa rzepę, marchew, dynię, fasolkę szparagową, młode kartofle i groszek. Wóz piekarza miło uderzał uszy Clifforda ostrym brzękiem dzwonków, gdyż, jak mało innych odgłosów, dźwięczał tym samym co niegdyś dysonansem.

Pewnego popołudnia pod więzaniem Pyncheonów, tuż naprzeciw sklepionego okna, ustawił swą maszynę szlifierz. Zbiegały się dzieci przynosząc matczyne nożyczki, nóż do pieczeni lub ojcowską brzytwę — wszystko, co się stępiło (za wyjątkiem rozumu biednego Clifforda), po to, by szlifierz przyłożył ten przedmiot do swego magicznego koła i zwrócił go jak nowy. Kręciła się w kółko szybko obracająca się maszyna utrzymywana w ruchu nogą szlifierza i ścierała twardą stałą o twarde kamień, a dobywał się z niej mocny i złośliwie przedłużający się syk, srogi jak głosy wydawane przez gromadę diabłów w Pandemonium, choć mniej donośny. Był to najbardziej zjadliwy, brzydki, syczący dźwięk ze wszystkich dźwięków, jakie niepokoją ludzkie ucho. Lecz Clifford słuchał go w uniesieniu. Dźwięk, choć przykry, miał w sobie żywe ciepło i wraz z kręgiem dzieci, ciekawie przypatrujących się obrotom koła, dawał mu silniejsze poczucie czynnego i radosnego życia niż dotychczasowe zajęcia. Niemniej główny urok tego głosu zawdzięczał przeszłości; bowiem tarcza szlifierza syczała niegdyś w uszach dziecka.

Czasami skarżył się żałośnie, że nie było teraz karetek pocztowych. I zapytywał urażonym tonem, co się też stało z tymi powozami o kwadratowym daszku, z wystającymi po bokach skrzydłami, które ciągnął koń od pługą, a powoziły gospodarskie żony i córki sprzedające po mieście borówki i jeżyny. Ich zniknięcie nasuwało mu wątpliwości, czy rosną jeszcze te jagody znajdujące na rozległych pastwiskach i przy wiejskich ścieżkach.

Lecz wszystko, co przemawiało do jego zmysłu piękna, choćby najskromniej, nie wymagało odwoływania się do dawnych wspomnień. Okazało się to, gdy jeden z małych Włochów (którzy są raczej zjawiskiem nowoczesnym na naszych ulicach) przywędrował z kata-



rynka i zatrzymał się w rozłożystym chłodnym cieniu wiązu, Z profesjonalną bystrością dostrzegając od razu dwie twarze patrzące nań ze sklepionego okna, otworzył swój instrument i zaczął rozsiewać melodie. Miał na ramieniu małą przyodzianą w ubranko w szkocką kratę; a do kompletu wspaniałych atrakcji, z jakimi prezentowali się publiczności, dochodziła gromadka małych figurek, które mieszkały w mahoniowym pudle katarynki, a żyły muzyką nakręcaną przez małego Włocha. To szczęśliwe małe towarzystwo, przy swych różnorodnych zajęciach — szewczyk, kowal, żołnierz, pani z wachlarzem, pijak z butelką, dójka siedząca przy swojej krowie — cieszyło się zaprawdę harmonijną egzystencją i w dosłownym znaczeniu robiło taniec z życia. Włoch zakręcił korwą. I oto spójrzcie! Każda z tych małych figurek zaczęła się poruszać. Szewczyk szył buty; kowal kuł żelazo; żołnierz wymachiwał błyszczącą szablą; pani leciutko powiewała wachlarzem; wesoły pijak ochoczo pociągał z butelki; uczony otworzył księgę spragniony wiedzy i obracał głowę w górę i w dół wodząc oczami po jej stronicach; dójka energicznie doiła krowę; a skąpiec liczył złoto i wrzucał do żelaznej kasetki. I wszystko za jednym obrotem korby. Tak! I tym samym impulsem wiedziony kochanek całował usta swej kochanki. Być może jakiś cynik, z poczuciem humoru a pełen gorzkości, zapragnął taki nadać sens tej scenie pantomimicznej, że my śmiertelni tańczymy wszyscy na jedną nutę niezależnie od tego, czy zajmujemy się sprawami poważnymi, czy błażymi, czy oddajemy się rozrywkom — i mimo naszej śmiesznej zapobiegliwości nie doprowadzamy niczego do końca. Gdyż rzeczą najbardziej godną uwagi w owej sprawie było to, że z chwilą ustania muzyki wszyscy kamienieli przechodząc naraz z szaleńczego życia do martwej drętwy. Ani but szewczyka nie został skończony, ani żelazo

kowała wykute; nie ubyło ani kropli wódki z butli pijaka, nie przybyło ani kropli w ceberku dójki, a uczony nie przeczytał ani jednej stronicy. Wszyscy znajdowali się w tej samej dokładnie pozycji co przedtem, nim zdążyli się ośmieszyć swym pośpiechem do pracy, do zabawy, do gromadzenia złota i do zdobywania mądrości. Najsmutniejsze to, że kochanek nie był wcale szczęśliwy po ucałowaniu ust dziewczyny! Ach, jeśli mamy przełknąć tę ostatnią gorzką pigułkę, raczej odrzucmy cały morał tego widowiska!

Tymczasem małpka z grubym i nedorzecznie długim ogonem wysuwającym się spod spódniczek zajęła swe miejsce u stóp Włocha. Zwracała pomarszczoną szkaradną twarzyczkę do każdego przechodnia, do stojących kręgiem dzieci, które się wkrótce tam zebrały, do drzwi sklepiku Hepziby i w górę do sklepionego okna, skąd patrzyli Febe i Clifford. Co chwila zdejmowała szkocką czapczkę i kłaniała się. Czasami też zwracała się z osobistą prośbą do pewnych osób, wyciągając małą czarną dłoń i dając jasno do zrozumienia, że pożąda pieniędzy, niechby i brudnych, jeśli tylko są one w czyjejkolwiek kieszeni. Wulgarny i popolity, lecz dziwnie męski wyraz tej mizernej fizjonomii; wścibskie, przebiegłe spojrzenia, które okazywały, że małpizson gotów pochwycić każdą sumę, nawet naj nędzniej szą; olbrzymi ogon, zbyt olbrzymi, by go ukryć przystojnie pod wełną spódniczki, świadczący o diabelskiej naturze — słowem idealny obraz Mamony, boga miedziaków, symbolu najwulgarniejszej formy miłości pieniądza. Nie było też sposobu zaspokojenia pożądliwego diabełka. Febe rzuciła całą garść centów, które małpka pozbierała z bezradosną gorliwością i natychmiast rozpoczęła serię niemych próśb o jeszcze.

Bez wątpienia niejedyn obywatel Nowej Anglii (lub jakiegokolwiek kraju) przechodząc koło takiej małpy

rzucał na nią okiem i szedł dalej nie wyobrażając sobie, jak wierną miał przed sobą ilustrację własnego stanu moralnego. Clifford jednak był człowiekiem innego pokroju. Cieszył się muzyką jak dziecko i uśmiechał do figurek poruszanych jej dźwiękami. Lecz patrząc przez chwilę na ogoniastego chochlika doznał takiego wstrząsu na widok jego straszliwej brzydoty duchowej i fizycznej, że zaczął po prostu ronić łzy; słabość, której ludzie wrażliwi i delikatni, a pozbawieni ostrzejszej, głębszej i bardziej tragicznej zdolności śmiechu nie mogą uniknąć, gdy stawi im się przed oczy najgorsze i najnikczemniejsze strony życia.

Ulica Pyncheonów ożywiała się czasem widowiskami bardziej doniosłymi, które gromadziły tłumy. Clifford, choć drżał z odrazy na myśl o osobistym zetknięciu ze światem, ulegał jednak uniesieniu, gdy ruch i gwar ludzkiej rzeszy docierał do jego uszu. Tak się stało pewnego dnia, kiedy z jakiejś okazji politycznej pochód z setkami powiewających sztandarów, z hukiem bębnow, piszczałek, cymbałów i trąb maszerował przez całe miasto i przeciągał z tupotem nóg i niespotykaną wrzawą przed spokojnym zazwyczaj Domem o Siedmiu Szczytach. Taki pochód oglądany z bliska, gdy sunie wąskimi ulicami, bynajmniej nie jest efektowny, a nawet przeciwnie, trudno sobie wyobrazić widok mniej malowniczy. Gdy oglądamy nudną popolitość twarzy, spoconych, zmęczonych i z ważnymi minami, krój spodni, sztywne lub rozluźnione kołnierzyki, kurz na plecach czarnych surdutów, czujemy, że to zabawa głupców. Aby pochód nabrał wyglądu dostojnego, trzeba z korzystniejszej pozycji spojrzeć nań, jak toczy z wolna swoje szyki środkiem szerokiej doliny lub najwspanialszego placu w mieście. Wówczas, gdy patrzymy z dala, wszystkie mizerne indywidua, z których się składa tłum, roztapiają się w jednej wielkiej masie ludzkiej, w jednym życiu, w jednym

zbiorowym ciele ożywionym jednym potężnym duchem. Lecz z drugiej strony, gdyby osoba wrażliwa, stojąca samotnie tuż na brzegu pochodu, ujrzała go nie jako zbiór jednostek, lecz jako całość, potężny nurt życia płynący wielką falą, tajemniczo czarny i ze swej głębi wołający do bratniej głębi jego duszy — wtedy bliskość mogłaby spotęgować wrażenie i tak owego człowieka oczarować, że z trudem przyszyłoby go powstrzymać od zanurzenia się w rozkołysany prąd ludzkich serc.

Tak się stało z Cliffordem. Zadrżał, zbladł, rzucił błagalne spojrzenie Hepzibie i Febe, które stały z nim przy oknie. Nie rozumiały jego uczuć i przypuszczały, że oszołomił go niezwykajny tumult. Wreszcie, cały drżący, powstał, postawił stopę na oknie i za chwilę znalazłby się na nie chronionym poręczu balkonie. I teraz wszyscy w pochodzie mogli go widzieć — dziką, obłąkaną postać z siwymi lokami rozwianymi na wietrze, który kołysał ich sztandary; samotną istotę, odsuniętą od bliźnich, która poczuła się teraz na nowo człowiekiem dzięki niepowstrzymanej fali uczuć, jaka nią owładnęła. Gdyby Clifford wydostał się na balkon, skoczyłby pewnie na ulicę, może pędzony strachem, jaki czasem popycha ofiarę ku przepaści, przed którą się wzdraga, lub też siłą magnetyzmu, co go ciągnęła do ludzi — niełatwo rozstrzygnąć. Może oba te impulsy działały równocześnie.

Lecz jego towarzyszki, przerażone tym gestem, który był gestem człowieka gnanego wbrew swej woli — pochwyciły suknie Clifforda i powstrzymały go. Hepziba krzyknęła. Febe, która lękała się wszelkich ekstrawagancji, wybuchnęła płaczem.

— Cliffordzie, Cliffordzie! Czyś oszalał! — krzychała siostra.

— Sam nie wiem, Hepzibo! — odrzekł Clifford od-

dychając głęboko. — Nie bój się, już przeszło. Ale gdybym tam skoczył i przeżył ten skok, zdaje mi się, że uczyniłoby to ze mnie innego człowieka!

Możliwe, że w pewnym sensie Clifford miał rację. Potrzebował jakiegoś wstrząsu lub może pragnął zanurzyć się w oceanie życia i zniknąć w jego głębi, by wynurzyć się jako człowiek otrzeźwiony, z odzyskanymi siłami, przywrócony światu i sobie. Może też niczego nie było mu tak potrzeba jak ostatniego wielkiego lekarstwa — śmierci.

Podobną tęsknotę do odnowienia zerwanych więzów braterstwa z rodzajem ludzkim okazywał czasem w łagodniejszej formie; a pewnego razu przyłączyły się do niej głęboko w nim tkwiące uczucia religijne, które ją uszlachetniły. W zdarzeniu, które teraz opowiemy, wyszło u Clifforda na jaw wruszające odczucie opieki i miłości Bożej dla niego, dla tego biednego opuszczonego człowieka. Jeśli jakikolwiek śmiertelnik mógł się domagać przebaczenia za myśl, że Bóg go odrzucił, zapomniał o nim i pozostawił igraszkom szatana, który się nim bawił w ekstazie zła, to właśnie Clifford.

Był to niedzielny poranek, jeden z tych jasnych, spokojnych, niedzielnych poranków owianych świętością, gdy Niebo zda się pochylać nad powierzchnią ziemi z poważnym, słodkim i uroczystym uśmiechem. W taki świąteczny poranek, gdyby czystość naszych dusz była tego godna, odczulibyśmy cześć oddawaną Bogu przez całą przyrodę, cześć, która wznosi się za naszym pośrednictwem z każdego miejsca, gdzie stanęła ludzka stopa. Dzwony kościelne wołały i odpowiadały sobie na różne tony, lecz zespolone w jednej harmonii: „Dziś święto! Święto! Oto święto!” I tak po całym mieście rozsiewały błogostawione dźwięki, to z wolna, to znów żywiej i radośniej, raz jeden dzwon tylko, potem wszystkie dzwony na raz, głosząc po-

ważnie: „Dziś święto!”, wysyłając swe tony w dal, by rozplýwały się w przestworzach i przepoiły je świętym słowem. Powietrze, rozjaśnione najtkliwszym, najłagodniejszym blaskiem. Bożego słońca, godne było, by ludzie czerpali je w swoje serca i wdychali słowami modlitwy.

Clifford siedział przy oknie z Hepzibą patrząc na sąsiadów wychodzących na ulicę. Wszyscy, jakkolwiek mało okazujący uduchowienia w dni powszednie, przestoczyli się pod wpływem niedzielnego święta, tak że nawet ich odzież — czy to odświętny surdut starca, wyszczotkowany do czysta po raz tysięczny, czy pierwsze ubranko chłopięce, wykończone wczoraj matczyną igłą — miały w sobie coś z szat Wniebowstąpienia. Z bramy starego domu wynurzyła się Febe otwierając małą zieloną parasolkę i śląc spojrzenie i pożegnalny uśmiech ku twarzom widniejącym w sklepionym oknie. Biła z niej jakaś swojska pogoda, świętość, z którą mogłeś się poufalić zachowując dla niej zupełny szacunek. Była jak modlitwa ofiarowana w bliskiej sercu i pięknej mowie ojczystej. I jak świeżo wyglądała Febe, lekka i słodka w swym stroju. Jakby nie z tego, co miała na sobie, ani sukienka, ani mały słomkowy kapelusik, ani chusteczka czy śnieżnobiałe pończoszki nie były jeszcze nigdy noszone; lub też stawały się w noszeniu jeszcze świeższe i wonne, jakby spoczywały wśród pączków róży.

Dziewczyna skinęła ręką Hepzibie i Cliffordowi i odeszła w górę ulicy, wcielona religia — ciepła, prosta, prawdziwa, z ciałem, które umiało kroczyć po ziemi, i z duchem zdolnym ulecieć w niebo.

— Hepzibo — spytał Clifford odprowadziwszy dziewczynę wzrokiem aż do rogu ulicy. — Czy ty nigdy nie chodzisz do kościoła?

— Nie, Cliffordzie! — odparła. — Nie chodzę od wielu, wielu lat!

— Gdybym ja tam był, zdaje mi się, że odnalazłbym słowa modlitwy na nowo, gdyby tyle dusz ludzkich modliło się koło mnie!

Spojrzała na niego i zobaczyła twarz pełną łagodnej miłości, gdyż jego serce tryskało czcią dla Boga i ukochaniem ludzi. Uczucia te udzieliły się Hepzibie. Zapragnęła ująć go za rękę, pójść z nim i uklęknąć we dwoje — dwoje ludzi tak długo pozostających z dala od świata i — jak teraz pojęła — z dala od Tego na wysokościach; uklęknąć wśród ludzi i pojednać się od razu z Bogiem i z człowiekiem.

— Drogi bracie — rzekła z powagą — pójdźmy! Nie należymy nigdzie. W żadnym kościele nie mamy miejsce na tyle nawet, by na nim uklęknąć. Lecz chodźmy do jakiegokolwiek domu modlitwy, choćby przyszło nam stać w przejściu. Choć jesteśmy tak biedni i opuszczeni, przecież otworzy się dla nas jakaś ławka!

Tak więc Hepziba i jej brat przysposobili się, jak mogli — przybrali się w najlepsze ze swych staromodnych sukni, które wisały na kołkach lub spoczywały w kufrach tak długo, że nasiąkły wilgocią i stęchlizną przeszłości — przybrali się, w co mieli najlepszego, by pójść do kościoła. Zeszli razem po schodach — wychudła, pożółkła Hepziba i blady, zbiedzony, postarzały Clifford. Otwarli drzwi frontowe, przeszli przez próg, oboje doznali uczucia, jakby stali wobec całego świata, a oczy całej ludzkości, wielkie i straszliwe, na nich tylko były zwrócone. Za to oczy Ojca Niebieskiego jakby się od nich odwróciły, gdyż nie natchnęły ich odwagą. Ciepła, słoneczna atmosfera ulicy przejęła ich drżeniem. Serca w nich zadygotały na myśl uczynienia choćby jednego kroku.

— To być nie może, Hepzibo! Za późno! — wyrzekł Clifford z głębokim smutkiem. — Jesteśmy upiorami! Nie mamy prawa przebywać wśród istot ludzkich, nie

mamy prawa nigdzie poza tym starym domem, nad którym wisi przekleństwo, i dlatego jest naszym przeznaczeniem straszyć pod jego dachem. A poza tym — ciągnął okazując subtelną wrażliwość, nieodłączną od jego natury — nie byłoby to stosowne ni piękne, żebyśmy tam szli! To szpetna myśl: być straszycielem dla bliźnich; na mój widok dzieci będą się kryć w suknie matek!

Cofnęli się z powrotem w mroki korytarza i zamknęli drzwi. Lecz gdy szli na górę, wewnątrz domu wydało im się stokroć bardziej ponure, a powietrze bardziej duszne po tej chwili wolności, ledwie że zaczerpniętej. Nie mogli uciec; ich niewidzialny strażnik otworzył tylko drzwi na drwinę i stał za nimi patrząc, jak się wykradają. Na progu poczuli jego bezlitosną dłoń. Bo jakież loch więzienny jest tak ciemny jak serce skażenka? Jaki kat bardziej nieubłagany od własnej duszy?

Lecz nie byłby to sprawiedliwy obraz stanu duchowego Clifforda, gdybyśmy utrzymywali, że by<sup>ł</sup> on stale nieszczęśliwy. Przeciwnie, ośmielimy się twierdzić, że nie było w mieście człowieka o połowę nawet młodszego od Clifforda, który by tyle co on korzystał z jasnych i beztroskich chwil. Nie miał żadnych ciężarów i obowiązków. Nie miał problemów i trosk o przyszłość, które nękają ludzi i sprawiają, że życie staje się niewiele warte przez to, że muszą ciężko walczyć, by je podtrzymać! Pod tym względem pozostał dzieckiem przez cały długi czy krótki okres swego żywota. Prawdę mówiąc jego życie zatrzymało się na okresie niewiele późniejszym od dzieciństwa i wszystkie wspomnienia tyczyły się tego okresu, zupełnie tak, jak u człowieka, który otrzymał mocny cios i odzyskując przytomność powraca świadomością do chwili znacznie poprzedzającej wypadek, który go ogłuszył. Opowiadał czasem Febe i Hepzibie swoje sny, w których nie-



zmiernie grał rolę dziecka lub młodzieńca. Malowały się one tak żywo w jego opowiadaniach, że kiedyś począł się spierać z siostrą o wzór na perkalowym stroju porannym, w którym widział we śnie swoją matkę. Hepziba, zapewniając chełpliwie o bardziej akuranej w tych sprawach pamięci kobiet, twierdziła, że wzór ten różnił się nieco od opisanego przez Clifforda; lecz gdy odnalazła ową suknię w starym kufrze, okazało się, że odpowiada on dokładnie wspomnieniom brata. Gdyby Clifford, budząc się ze swych snów wyrazistych jak życie, przechodził mękę przemiany z chłopca w załamane go starca, codziennie powracający wstrząs byłby nie do zniesienia. Cierpienie dręczyłoby go od świtu do wieczora, a nawet w senne wizje młodości wsączałby się wówczas tępy, niewytłumaczony ból i mgliste przeczucie nieszczęścia. Lecz księżycowy blask nocy spletał się z poranną mgłą i spowijał Clifforda niby szatą, którą się otulał i bronił wstępu rzeczywistości; nieczęsto bywał całkowicie rozbudzony, zazwyczaj śnił na jawie i może roiło mu się, że rzeczywistość jest snem.

Pozostając tak blisko swego dzieciństwa czuł sympatię do dzieci i serce jego zachowywało przez to świeżość, jak sadzawka, do której z pobliskiego źródła sączą się stale strugi wody. Choć subtelne poczucie niestosowności powstrzymywało go od rozmowy z nimi, niewiele rzeczy tyle mu sprawiało radości, co przyglądanie się z okna małej dziewczynce toczącej po chodniku obręcz lub chłopcom grającym w piłkę. Przyjemnie mu też było słuchać ich głosów z daleka, zgiełkliwych, pomieszanych jak brzęczenie much w słonecznym pokoju.

Clifford byłby na pewno rad dzielić ich zabawy. Pewnego popołudnia porwała go nieodparta chęć, by puszczać bańki mydlane. Zabawa ta, jak zwierzyła się Hepziba małej Febe, należała do jego najulubieńszych,

gdy byli jeszcze dziećmi. Otóż i on przy sklepionym oknie, z glinianą rurką w ustach! Otóż on, z siwym włosom, ze słabym nieprzytomnym uśmiechem na twarzy, na której błąka się jeszcze wdzięk, który — przyzna to nawet najgorszy wróg — rodzić się musi z nieśmiertelnego ducha, skoro przetrwał tak długo! Patrzenie, jak rozsiewa zwiewne światy po ulicy! Tak, to były małe niedotykalne światy, te bańki mydlane malujące wielki świat barwami tęczowymi jak wyobrażenia na nicości swej powierzchni. Ciekawie wyglądało, jak przechodnie patrzyli na te błyskotliwe fantazyjki, gdy spływały w dół barwiąc pięknem urojenia nudną atmosferę ulicy. Niektórzy zatrzymywali się, aby popatrzeć, i może unosili ze sobą przyjemne wspomnienie baniek — aż do rogu ulicy. Inni spoglądali w górę gniewnie, jak gdyby Clifford wyrządzał im krzywdę wysyłając szybujący obraz piękna tak blisko ich zakurzonych ścieżek. Wielu z nich wysuwało palce lub laski, by ich dotknąć, czując zapewne przewrotną radość, gdy bańka z obrazkiem nieba i ziemi zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

W końcu, kiedy pod oknem przechodził starszy pan o bardzo godnym wyglądzie, wielka bańka spłynęła w dół majestatycznie i pękła akurat na jego nosie! Spojrzał — najpierw wzrokiem ostrym, surowym, który przeniknął od razu w głąb ciemności sklepionego okna, potem z uśmiechem, który mógłby rozżarzyć przestrzeń kilku jardów.

— Aha, kuzyn Clifford! — zakrzyknął sędzia Pyncheon. — Cóż to! Ciagle puszcza bańki mydlane?

Głos miał być łagodny i kojący, lecz krył w sobie okrutny sarkazm. Co do Clifforda — to po prostu sparaliżował go strach. Niezależnie od jakiegokolwiek określonej przyczyny tego strachu, która mogła kryć się w przeszłości, odczuwał on lęk wrodzony przed tym zacnym człowiekiem, właściwy naturze słabej,

delikatnej i wyczulonej wobec brutalnej siły. Siła jest dla słabości czymś niepojętym i tym bardziej straszliwym; nie ma większego postrachu dla członków rodziny niż krewny o silnej woli.

Nie należy przypuszczać, że życie osoby tak czynnej jak Febe mogło się zamykać w ścianach domu Pyncheonów. Opieka nad Cliffordem, zajmująca jej czas w owe długie dni, kończyła się znacznie przed zachodem słońca. Choć zdawałoby się, że Clifford prowadzi życie tak spokojne, wyczerpywało ono całkowicie jego siły. Nie fizyczny wysiłek go męczył; gdyż, wyjąwszy odrobinę pracy motyką i spacer po ogrodzie, a w dni deszczowe po dużej pustej sali, skłonny był do pozostawania w zbytnim nawet spokoju, jeśli chodzi o pracę mięśni. Lecz albo w jego wnętrzu tlił się jakiś ogień zużywający siły żywotne, lub też monotonia, która kogoś innego pograżyłaby w odrętwieniu, dla Clifforda nie była monotonią. Może znajdował się<sup>1</sup> w stanie powtórnego rozwoju i powrotu do zdrowia i gromadził pożywienie dla duszy i umysłu

z widoków, dźwięków i drobnych zdarzeń, które nie miały znaczenia dla ludzi bardziej ze światem obytych? Tak jak wszystko jest nowością i wydarzeniem dla świeżego umysłu dziecka, podobnie zdarzyć się mogło z umysłem, który został jak gdyby na nowo stworzony po długim niebycie.

Z tej czy z innej przyczyny Clifford zazwyczaj udawał się na spoczynek całkowicie wyczerpany, gdy jeszcze promienie słońca roztopiały się w zasłonach okien lub kładły się ostatnim blaskiem na ścianę pokoju. A gdy zasypiał tak wcześnie jak dzieci i śnił o dzieciństwie, Febe była wolna i mogła robić, co jej się podobało, przez resztę dnia i wieczoru.

Te chwile swobody były konieczne dla utrzymania zdrowia nawet u osoby tak mało podatnej z natury na chorobliwe wpływy jak Febe. Ściany starego domu, jak to już mówiliśmy, tchnęły próchnem i zgnilizną; niedobrze było oddychać stale takim tylko powietrzem. Hepziba, choć wady jej okupywało wiele cennych zalet, była trochę zwariowana od długoletniego zamknięcia się w tych murach niby w więzieniu bez żadnego towarzystwa prócz swych myśli, ciągle jednych i tych samych, jednej miłości i jednego gorzkiego poczucia krzywdy. Clifford, jak może sobie czytelnik wyobrazić, zbyt wiele miał bezwładu, by oddziaływać duchowo na swoje otoczenie, jakkolwiek bliskie łączyłyby ich więzy. Lecz magnetyczne związki sympatii wśród ludzkich istot są bardziej subtelne i powszechne, niż nam się zdaje; istnieją one zresztą w całej naturze i łączą różne jej twory. Kwiaty na przykład, jak zauważyła sama Febe, więdły zawsze szybciej w rękach Clifforda czy Hepziby niż w jej rękach. I na mocy tego samego prawa kwitnące dziewczę, poświęcające całe dni na to, by poić swą wonią kwiatu dwie chore dusze, musi niechybnie zniszczyć i zwiędnąć szybciej niż przy sercu młodszym i szczęśliwszym. Lecz Febe

ratował instynkt życia. Ulegając jego impulsom szła czasem na przechadzkę, by odetchnąć świeżym powietrzem za miastem lub nad brzegiem morza; niekiedy ciągnęło ją (skłonność wrodzona u dziewcząt Nowej Anglii), by pójść na odczyt na tematy filozoficzne lub religijne albo obejrzeć panoramę rozciągającą się na siedem mil, posłuchać koncertu, iść do miasta na zakupy i przerzuciwszy cały skład towarów przynieść do domu wstążkę. Poświęcała nieco czasu na czytanie Biblii w swoim pokoju, a jeszcze więcej na rozmyślania o matce i rodzinnych stronach. Gdyby nie te moralne lekarstwa, wkrótce byśmy zobaczyli, jak nasza biedna Febe chudnie i nabiera bladej niezdrowej cery, staje się lękliwa i dziwaczne — zapowiedź staropanieństwa i bezradosnej przyszłości.

Nawet w tych okolicznościach zaszła w niej widoczna zmiana, która mogła budzić żal, choć ujmując jednych uroków dała jej inne, bardziej może cenne. Nie była już stale wesoła, miewała nastroje zamyślenia, które Clifford na ogół wolał od jej poprzedniej fazy niezmaconej wesołości, gdyż teraz rozumiała go lepiej i subtelniej, a czasem nawet pomagała mu w rozumieniu samego siebie. Oczy jej zdawały się większe, ciemniejsze i głębsze; tak głębokie, że w niektórych chwilach milczenia były niby studnie artezyjskie sięgające w głąb, w nieskończoność. Była mniej dziewczęca niż wówczas, gdy ujrzelśmy ją po raz pierwszy wysiadającą z omnibusu; mniej dziewczęca, lecz bardziej kobieta.

Jedynym młodym człowiekiem, z którym Febe miała sposobność często przestawać, był dagerotypista. W tym odosobnieniu było nieuniknione, że przywykli do pewnej poufałości. Gdyby się spotkali w innych okolicznościach, żadne z tych młodych nie poświęciłoby zapewne wiele uwagi drugiemu, chyba że ich krajowa odmienność stałaby się zasadą wzajemnego przy-

ciągania. To prawda, że oboje byli typowymi dziećmi Nowej Anglii, posiadali zatem jednakie warunki rozwoju zewnętrznego; lecz wewnętrzne ich życie tak było różne, jakby wzrosli w klimacie dwóch przeciwnych krańców świata. Na początku ich znajomości Febe odpowiadała na życzliwość Holgrave'a, niezbyt zresztą wyraźną, w sposób powściągliwy — bardziej powściągliwy, niż było w zwyczaju tej dziewczyny szczerej i prostej. Nie była też jeszcze pewna, czy go dobrze poznała, choć spotykali się prawie co dzień i rozmawiali ze sobą uprzejmie, przyjaźnie i, zdawałoby się, z pewną zażyłością.

Artysta opowiedział Febe urywkami coś niecoś z historii swego życia. Choć młody, przez życie jego dość przeszło wydarzeń, by odpowiednio zapełnić obszerny tom autobiografii, gdyby nawet kariera jego zakończyła się już teraz. Romans na skalę Idziego Blasa prae-niesiony na teren amerykańskiego społeczeństwa i obyczajów przestałby być romanssem. Przeżycia wielu spośród nas, którzy nie sądzą, by warto było o nich mówić, dorównałyby przygodom młodzieńczej ery Hiszpana; a cele, ku jakim dążą, okazałyby się może nieporównanie wyższe od tych, jakie zdolny jest wymyślić dla swego bohatera powieściopisarz. Holgrave, jak wyznał z niejaką dumą Febe, nie mógł poszczycić się swym pochodzeniem — chyba że szczyciłby się, iż było tak skromne; ani też edukacją, chyba że za zasługę poczytałby, że tak była szczupła; zdobył ją w ciągu kilku miesięcy uczęszczania do okręgowej szkoły. Wcześniej zdany na własne siły zaczął życie samodzielne jeszcze jako chłopiec i ten stan rzeczy dobrze odpowiadał jego wrodzonej sile charakteru. Choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata (bez kilku miesięcy, które w takim życiu liczą się za lata), był już nauczycielem na wsi, potem sprzedawcą w wiejskim sklepiku i w tym czasie lub później redaktorem działu politycz-

nego w prowincjonalnym dzienniku. Następnie podróżował po Nowej Anglii i Stanach Środkowych jako wędrowny agent wytwórni wody kolońskiej i olejków w Connecticut. Dorywczo uczył się i praktykował jako dentysta i to z wielkim powodzeniem, zwłaszcza w miastach fabrycznych nad rzekami płynącymi w głębi kraju. Jako nadetatowy urzędnik na statku pocztowym zwiedził Europę i znalazł środki, by obejrzeć Włochy, kawał Francji i Niemiec. Później spędził kilka miesięcy w gminie fourierystów. Jeszcze później prowadził publiczne odczyty na temat mesmeryzmu, do której to dyscypliny miał nadzwyczajny talent, jak zapewnił Febe, i dał tego wystarczający dowód usypiając koguta, który akurat rozgrzebywał ziemię w pobliżu.

Obecny zawód Holgrave'a, dagerotypia, nie miał w jego oczach większego znaczenia i nic nie zapowiadało, że będzie trwał dłużej niż poprzednie. Podjął go z bez troską pochopnością awanturnika, który musi zarabiać na chleb. Porzuciłby go tak samo bez trosko, gdyby zechciał zarabiać innym, równie przygodnym sposobem. Lecz co było najbardziej godne uwagi i wskazywało może na niezwykle zrównoważenie młodzieńca, to okoliczność, że wśród tych wszystkich odmian losu nie zatracił nigdy swej indywidualności i nie przestał być sobą. Bezdomny, ciągle zmieniający warunki życia, a zatem bez odpowiedzialności wobec opinii ogółu i jednostek, odrzucający jedną postać i sięgający po drugą, aby za chwilę wymienić ją na trzecią — nigdy nie zaparł się swojego ja. Niepodobna było znać Holgrave'a i nie zauważyć tego. Widziała to Hepziba. Febe też to wkrótce spostrzegła i obdarzyła go zaufaniem, jakie budzi tego rodzaju pewność. I jeżeli coś w nim przerażało Febe, a czasem ją odpychało, nie była to wątpliwość o jego wierności prawom, jakie głosił, lecz poczucie, że jego prawo różniło się od jej prawa. Niepokoił ją i wprowadzał zamieszanie w



jej świat swym brakiem szacunku dla tego, co ustalone, jeśli nie mogło natychmiast udowodnić słuszności swego panowania.

Ponadto posądzała go o niedostatek uczucia. Był zbyt spokojnym, zbyt chłodnym obserwatorem. Febe często czuła jego wzrok; rzadko lub nigdy — serce. Objawiał pewne zainteresowanie Hepzibą i jej bratem, a także samą Febe. Studiował uważnie ich charaktery i nie dopuszczał, by mu się wymknął najmniejszy szczegół określający ich indywidualność. Gotów był wyświadczyć im tyle dobrego, ile mógł; lecz ostatecznie nigdy nie uważał się za jednego z nich ani nie okazywał, że lubi ich bardziej, w miarę jak ich poznaje. W swym obcowaniu z nimi zdawał się szukać stawy dla umysłu, nie dla serca. Febe nie mogła pojąć, co go tak zaciekawia w niej samej i u jej krewnych, skoro zupełnie nie darzy ich sympatią.

Zawsze w rozmowach z Febe artysta dopytywał się specjalnie o stan Clifforda, którego, wyjąwszy niedzielne przyjęcia, rzadko widywał.

— Czy wydaje się jeszcze szczęśliwy? — spytał pewnego dnia.

— Szczęśliwy jak dziecko — odrzekła Febe. • — Lecz podobnie jak dziecko łatwo traci równowagę.

— Z jakiej przyczyny traci równowagę? — pytał Holgrave. — Z przyczyn zewnętrznych czy wskutek swych myśli?

— Nie mogę znać jego myśli! Skądże bym mogła? — odpowiedziała Febe z niewinną przebiegłością. — Bardzo często humor mu się odmienia bez żadnego powodu, który by można odgadnąć, ot, jakby chmura zasłała na słońce. Ostatnio, gdy go lepiej poznaję, czuję, że nie trzeba zbyt pilnie wglądać w jego nastroje. Przeżył tak wiele nieszczęścia, że serce jego stało się miejscem poświęconym. Gdy jest pogodny, gdy słońce

świeci w jego myślach, wtedy odważam się patrzeć w niego tak głęboko, jak sięga to światło, lecz nie dalej. Miejsce, na które pada cień, jest święte!

— Jak ładnie pani wyraziła to uczucie! — rzekł artysta. — Potrafię je zrozumieć, choć go nie podzielim. Gdybym miał takie jak pani możliwości, żadne skrupuły nie przeszkodziłyby mi zbadać serca Clifforda na całą głębokość sondy.

— Dziwne, że pan sobie tego życzy! — zauważyła Febe mimo woli. — Czym jest dla pana kuzyn Clifford?

— Och, niczym oczywiście, niczym! — odrzekł z uśmiechem Holgrave. — Tylko ten świat jest taki dziwny i niezrozumiały! Im więcej mu się przyglądam, tym większą jest dla mnie zagadką; i zaczynam podejrzewać, że stopień zdziwienia człowieka jest miarą jego mądrości. Mężczyźni, kobiety a także dzieci to tak niezgłębione istoty, że nigdy nie można być pewnym, iż się je naprawdę poznało; niepodobna nawet odgadnąć, czym byli, widząc, czym są teraz. Sędzia Pyncheon! Clifford! Jakaż oni przedstawiają skomplikowaną zagadkę! Same komplikacje! Tu trzeba przyjaznej intuicji młodej dziewczyny do rozwiązania zagadki. Prosty obserwator jak ja, który nigdy przeczuć nie miewam i jestem w najlepszym razie tylko przenikliwy i bystry, na pewno pobłądzi.

Artysta skierował teraz rozmowę na tematy mniej tajemnicze od tych, które poruszyli. I Febe, i on byli młodzi; Holgrave w przedwczesnie doznanych przygodach swego życia nie zatracił całkowicie tego pięknego zapału młodości, który, tryskając z jednego serca i wyobraźni, może ogarnąć cały świat i uczynić go tak jasnym jak w pierwszy dzień stworzenia. Młodość człowieka jest młodością świata, a przynajmniej człowiek w ten sposób czuje i wyobraża sobie, że granitowa skorupa ziemi nie jest tak zatwardziała, by jej.

nie mógł ukształtować wedle swych chęci. Podobnie było z Holgrave'em. Mógł sobie mądrze opowiadać o starości świata, lecz w istocie nie wierzył w to, co mówił. Był jeszcze młodzieńcem i dlatego patrzył na świat — na tego siwobrodego zbereźnika, zgrzybiałego, lecz nie zasługującego na szacunek — jak na nieletniego młodzieńca, którego można przerobić, by stał się takim jak należy, choć jak dotąd nie okazywał do tego najlżejszej skłonności. Miał Holgrave to poczucie czy wewnętrzną proroczą pewność — bez której człowiek młody lepiej by się nie rodził, a dojrzały niech raczej umiera, niżby miał się jej całkiem wyrzec — że nie jesteśmy skazani na to, by wiecznie pełzać w starych błędach, że teraz właśnie nadciągają zwiastuny złotej ery, która się urzeczywistni za naszego jeszcze życia. Zdawało się artyście, jak bez wątpienia wszystkim ludziom pełnym nadziei w każdym stuleciu od czasów wnucząt Adama — że teraz właśnie, bardziej niż kiedykolwiek, omszała i zgniła Przeszłość zostanie zburzona, martwe instytucje uprzątnięte, ich zwłoki pogrzebane i wszystko zacznie się od nowa.

Co do punktu głównego — co do lepszych czasów, które nadejdą, artysta miał z pewnością rację (obyśmy nie dożyli momentu, gdy o tym zwątpimy!). Mylił się przypuszczając, że przeznaczeniem tej epoki, bardziej niż innych, przeszłych i przyszłych, jest ujrzeć, jak stargane szaty starego świata opadają nagle czyniąc miejsce nowym, zamiast odradzać się stopniowo cierpliwą łataniną. Mylił się przykładając miarę własnego krótkiego żywota do nie kończących się osiągnięć; a nade wszystko wyobrażając sobie, że dla tego wielkiego celu ma jakiegokolwiek znaczenie fakt, czy on sam stanie do walki po tej czy po przeciwnej stronie. Jednak dobrze było, że tak myślał. Ten entuzjazm, zaprawiony spokojem jego usposobienia i przybierający dlatego pozór zrównoważonej dojrzałej myśli i mądrości,

winien posłużyć mu, by zachował młodość czystą i wzniosłe dążenia. A z latami, gdy poczuje ich ciężar, a wiarę jego przytłumi nieuniknione doświadczenie, nie wywoła to wstrząsającego i nagłego przewrotu w jego uczuciach. Zachowa ufność w poprawę doli człowieka i pokocha go tym więcej, poznawszy jego bezradność w kierowaniu własnym losem. Zaś dumna wiara, z jaką rozpoczął życie, dobrą uczyni przemianę stając się pod koniec bardziej pokorną i poznając, że najszlachetniejsze wysiłki człowieka prowadzą do marzeń tylko, a Bóg jest jedynym sprawcą rzeczywistości.

Holgrave czytał bardzo niewiele, i to dorywczo, wśród wielkich dróg życia, gdzie mistyczna mowa ksiąg mieszała się z paplaniną tłumów, tak że i jedno, i drugie z łatwością traciło wszelki sens sobie właściwy. Uważał się za myśliciela i z pewnością był człowiekiem myślącym, lecz skazany na odkrywanie samemu swych ścieżek nie dotarł może jeszcze do tego punktu, w którym człowiek wykształcony zaczyna myśleć. Prawdziwa wartość jego charakteru leżała w głębokiej świadomości własnej siły wewnętrznej, która sprawiała, że wszystkie odmiany losu, jakie przeszedł, zdawały się mu jakby zmianą ubrania; tkwiła w tym zapale, tak spokojnym, że nie wiedział prawie o jego istnieniu, lecz zagrzewającym wszystko, do czego przyłożył rękę; w ambicji osobistej, ukrytej przed jego własnymi oczyma i przed oczyma drugich; w szlachetniejszych impulsach jego natury i w sprawności praktycznej, która mogła z teoretyka zrobić szermierza jakiejś możliwej do przeprowadzenia sprawy. Jego kultura i jego brak kultury, surowa, dzika, mętna filozofia i praktyka doświadczenia życiowego, która tej filozofii częściowo przeciwdziałała, wielkoduszne pragnienie dobra człowieka i lekceważenie tego, co dla dobra ludzkości nagromadziły wieki; jego wiara i niewiara; to, co posiadał, i to, czego mu brakło — wszyst-

kie te cechy czyniły z artysty przedstawiciela bardzo licznej klasy ludzi spośród jego ziomków.

Trudno by było wyobrazić sobie jego przyszłą karierę. Posiadał pewne zalety, z którymi w kraju, gdzie wszystko jest dostępne dla ręki umiejacej chwycić, nie powinien był chybić tego, co świat mieni zdobyczą. Lecz te sprawy są tak zdumiewająco niepewne. W życiu spotykamy na każdym kroku młodych ludzi w wieku Holgrave'a, po których spodziewamy się wspaniałych rzeczy, a później, mimo starannych rozpatrywali, nie słyszymy o nich ani słowa. Burząca się młodość i namiętność, świeżość umysłu i wyobraźni stroją ich fałszywym blaskiem, który wywodzi w pole ich samych i innych ludzi. Podobnie pewne gatunki perkalu i płótna wyglądają pięknie, póki nowe, lecz nie znoszą ni słońca, ni deszczu, a już po praniu stają się nader skromne.

Lecz nam trzeba się zająć Holgrave'em takira, jakim go widzimy dzisiejszego popołudnia w altanie ogrodu Pyncheonów. Trzeba przyznać, że przyjemny widok przedstawiał ów młody człowiek z wielką wiarą w siebie i obdarzony pięknie się zapowiadającymi i godnymi podziwu uzdolnieniami, który wyszedł nienaruszony z wielu prób życia; przyjemnie było patrzeć, jak rozmawia uprzejmie z Febe. Posadzenie go o chłód nie było sprawiedliwe lub też, jeśli tak było przedtem, to teraz jego serce nieco się rozgrzało. Bez żadnych starań z jej strony i bez jego świadomości Febe sprawiła, że Dom o Siedmiu Szczytach stał się dla niego domem, a ogród swojskim zakątkiem. Sądził, iż dzięki przenikliwości, którą się szczycił, może odgadnąć Febe i wszystko wokół niej i odczytać ją jak książkę z bajkami dla dzieci. Lecz te przejrzyste natury zwodzą nas czasem co do swej głębi; te kamyczki na dnie źródła dalej są od nas, niż myślimy. Tak więc artysta, cokolwiek sądził o jej zdolności

pojmwania, pociągnięty jakimś cichym urokiem Febe rozpowiadał swobodnie o tym, co zamarzył uczynić dla świata. Zwierzał się tak jak przed samym sobą. Bardzo możliwe, że zapomniał o Febe mówiąc do niej i że popychał go tylko niepowstrzymany napór myśli dążących pod wpływem entuzjazmu i wzruszenia do pierwszego bezpiecznego ujścia, jakie napotykają na drodze. Lecz gdybyś zaglądnął przez szpary płotu w ogrodzie, powaga młodzieńca i rumieniec na jego twarzy kazałyby ci przypuścić, że zaleca się do młodej dziewczyny!

Wreszcie jakieś zdanie Holgrave'a dało Febe stosowną okazję do zapytania, jak się zaczęła jego znajomość z jej kuzynką Hepzibą i dlaczego wybrał sobie na mieszkanie ten ponury dom Pyncheonów. Nie odpowiadając wprost, odwrócił się od Przyszłości, która dotąd była tematem jego rozmowy, i zaczął mówić o wpływach Przeszłości. Jeden temat zresztą jest odbiciem drugiego.

— Czyż nigdy, nigdy nie pozbędziemy się Przeszłości? — zapytał utrzymując poważny ton poprzedniej rozmowy. — Przygniata ona Przyszłość jak trup olbrzyma! Naprawdę tak wygląda, jakby młody olbrzym musiał marnować swe siły niosąc ciało starego olbrzyma, swego dziada, który zmarł od dawna i potrzebny mu jest tylko przyzwoity pochówek. Niech pani się zastanowi przez chwilę, a przerazi się pani ujrawszy, jakimi jesteśmy niewolnikami czasów minionych. Śmierci, jeśli temu damy właściwą nazwę!

— Ależ ja tego nie widzę — zauważyła Febe.

— A więc na przykład — ciągnął Holgrave — umarły, jeśli przypadkiem sporządzi swą ostatnią wolę, rozporządza majątkiem, który nie jest już jego własnością; lub też, jeśli umrze bez testamentu, majątek zostanie rozdzielony według pojęć ludzi zmarłych o wiele dawniej od niego. Umarły zasiada w naszych wszystkich

sądach, a żyjący sędziowie wyszukują tylko i powtarzają jego decyzje. Czytamy książki umarłych! Śmiejemy się z żartów umarłych, płaczemy nad smutkiem umarłych! Chorujemy na choroby fizyczne i moralne ludzi zmarłych i umieramy od tych samych leków, którymi zmarli lekarze zabijali swych pacjentów. Czciemy żywego Boga według formułek i wierzeń zmarłych! Cokolwiek staramy się zrobić z naszej własnej wolnej woli, hamuje nas lodowata dłoń umarłego! Zwróćmy oczy, gdzie chcemy — wszędzie napotkamy białą, nieubłaganą twarz zmarłego, która zmrozi nasze serce! I sami musimy umrzeć, żeby uzyskać wpływ na nasz własny świat, który wówczas nie będzie już naszym światem, lecz światem innego pokolenia, do którego wtrącać się nie mamy prawa. Powiniennem być też powiedzieć, że żyjemy w domach zmarłych; jak na przykład w tym, o Siedmiu Szczytach.

— A dlaczegóż nie — rzekła Febe — jeśli nam jest w nich wygodnie?

— Lecz wierzę, że dożyjemy takiego dnia — ciągnął artysta — kiedy żaden człowiek nie będzie budował domu dla potomności. Czemuż by miał to robić? Mógłby równie dobrze zamówić trwałe ubranie — ze skóry czy z gutaperki, czy co tam może przetrwać dłużej — tak, by jego prawnuki mogły z niego korzystać i wyglądać równie śmiesznie jak on. Gdyby każda generacja mogła i musiała budować swoje własne domy, ta prosta zmiana, nieważna sama przez się, pociągnęłaby za sobą wszelkie reformy, do których dąży dziś społeczeństwo. Wątpię nawet, czy nasze publiczne budowle — pałace Kongresu, budynki rządowe, sądowe gmachy, ratusze i kościoły — winny być budowane z materiałów tak trwałych jak kamień lub cegła. Lepiej by było, gdyby waliły się w ruinę co dwadzieścia lat mniej więcej, jako wskazówka dla ludzi, że powinni zbadać i zreformować instytucje, które symbolizują.

— Jak pan nienawidzi wszystkiego, co stare'. — rzekła Febe przeleşniona. — Mnie się w głowie kręci, gdy pomyślę o takim zmiennym świecie!

— Oczywiście nie lubię nic zbutwiałego — odpowiedział Holgrave. — Na przykład ten stary dom Pyncheonów! Z poczerniałą dachówką porośniętą zielonym mchem świadczącym o wilgoci, czy to zdrowe miejsce zamieszkania? Te ciemne, nisko belkowane pokoje? Pługawy brud, który osiadł na ścianach z oddechów ludzi udręczonych i nieszczęśliwych? Dom trzeba oczyścić ogniem — oczyścić, aż zostanie z niego tylko popiół!

— W takim razie czemu pan w nim mieszka? — spytała Febe nieco dotknięta.

— Och, odbywam tu moje studia, lecz nie z książek — odrzekł Holgrave. — Dom w moim pojęciu wyraża tę nienawistną, wstrętną Przeszłość z jej wszystkimi złymi wpływami, przeciw którym właśnie przed chwilą przemawiałem. Zamieszkałem w nim na krótki czas, bym się mógł nauczyć lepiej go nienawidzieć. Ale, ale, czy słyszała pani historię Maule'a czarownika i tego, co zaszło między nim i pani praprapradziadem?

— Tak, oczywiście — rzekła Febe. — Słyszałam ją dawno temu od mojego ojca i dwa czy trzy razy od kuzynki Hecziby przez ten miesiąc, co tu jestem. Zdaje się, że ona uważa, iż wszystkie nieszczęścia Pyncheonów poczęły się od tej kłótni z czarownikiem, jak go pan nazywa. A pan, panie Holgrave, też, zdaje się, tak myśli! Jakie to dziwne, że wierzy pan w coś tak niedorzecznego, a odrzuca pan wiele rzeczy znacznie bardziej na wiarę zasługujących!

— Wierzę w to — rzekł artysta poważnie — i nie uważam tego za przesadę, lecz za rzecz realną, dowiedzoną przez bezsporne fakty i ilustrującą swym przykładem pewną teorię. Niech pani pomyśli: pod dachem tych Siedmiu Szczytów, na które teraz patrzymy,



a które postawił pułkownik Pyncheon, aby były domem dla jego potomnych żyjących w szczęściu i powodzeniu aż do jakiejś epoki bardziej odległej niż nasza obecna, pod tym dachem przez lat trzysta mieszkał wyrzut sumienia, ustawicznie zawiedzione nadzieje, niesnaski rodzinne, różne nieszczęścia i haniebne czyny. A wszystkie te klęski — mogą tego dowieść — wynikły z gwałtownych pragnień starego Purytanina, by założyć ród opływający w bogactwa. Założyć ród! Ten pomysł spoczywa u podstaw większości krzywd i zła, jakie czynią ludzie. A prawdą jest, że co najmniej raz na pół wieku każda rodzina powinna się zmieszać z wielką nieznaną ludzką zbiorowością i zapomnieć o wszystkim, co dotyczy jej przodków.. Krew ludzka, jeśli ma być świeża, winna płynąć ukrytym strumieniem jak woda dostarczana podziemnymi rurami. W życiu rodu Pyncheonów na przykład — pani mi wybaczy, Febe, lecz nie potrafię myśleć o pani jako o jednej z nich — w ich krótkim życiu jako rodziny na terenie Nowej Anglii było dość czasu, by wpadli we wszelkie rodzaje obłądu!

— Pan mówi o moich krewnych bardzo bezceremonialnie — rzekła Febe zadając sobie pytanie, czy powinna się obrazić.

— Mówię prawdę do osoby kochającej prawdę! — odpowiedział Holgrave z zapalczywością, której Febe nigdy przedtem u niego nie widziała. — Prawda jest taka, jak mówię! Co więcej, pierwszy przestępca i ojciec całego tego zła zdaje się odradzać i jeszcze chodzi po ulicach miasta — a przynajmniej chodzi tam wierny obraz jego umysłu i ciała — mając wszelkie widoki przekazania potomności dziedzictwa równie bogatego i nieszczęsnego jak to, które otrzymał! Czy pamięta pani dagerotyp i jego podobieństwo do starego portretu?

— Z jaką dziwną powagą pan przemawia! — wy-

krzyknęła Febe patrząc nań ze zdumieniem i pomieszaniem, na pół wylękła, a trochę rozśmieszona. — Mówi pan o szaleństwie Pyncheonów — czyżby było ono zaraźliwe?

— Rozumiem panią! — rzekł artysta rumieniając się, ze śmiechem. — Myślę, że jestem trochę szalony. Te sprawy opanowały mój umysł z dziwnym uporem, odkąd zamieszkałem w tym starym domu. Jako sposób pozbycia się ich opisałem pewne zdarzenie z rodzinnej historii Pyncheonów, które przypadkiem poznałem, w formie legendy i chcę je ogłosić w czasopiśmie.

— To pan pisuje do czasopism? — spytała Febe.

— Czy to możliwe, by pani o tym nie słyszała? — zawołał Holgrave. — Cóż, taka jest sława pisarza! Tak, panno Febe Pyncheon, wśród mych rozlicznych talentów posiadam także dar pisania opowieści i moje nazwisko widniało, mogę panią zapewnić, na okładce Grahama i Godeya i wyglądało według mnie tak samo czcigodnie jak wszystkie inne sławy, które na niej mieszkały. W dziedzinie humoru powiadają że wywiązuję się bardzo ładnie; a w miejscach patetycznych wyciskam łzy niczym cebula. Ale czy mogę pani odczytać tę historię?

— Tak, jeśli nie bardzo długa — rzekła Febe dodając ze śmiechem: — I nie bardzo nudna.

Ponieważ o tym ostatnim punkcie dagerotypista nie mógł sam wyrokować, wyciągnął zwitek manuskryptu i w świetle ostatnich promieni słońca, ozłacających siedem szczytów, rozpoczął czytanie.

### XIII

#### ALICJA PYNCHÉON

Pewnego dnia przyniesiono młodemu cieśli, Mateuszowi Maule, od wielmożnego Gerwazego Pyncheona wiadomość, że ma się stawić bez zwłoki w Domu o Siedmiu Szczytach.

— A czego sobie życzy ode mnie wasz pan? — spytał cieśla czarnego służącego pana Pyncheona. — Czy dom potrzebuje jakiejś naprawy? Ano, to być może, po tylu latach, i nie trzeba za to ganić mojego ojca, który go budował. Czytałem nagrobek starego pułkownika Pyncheona nie dalej jak zeszłej niedzieli i wedle tej daty licząc dom stoi od trzydziestu i siedmiu lat. Nie dziw, gdyby była jakaś robota w dachu.

— Nie wiem, czego chciała mój pan — odpowiedział Scypion. — Dom była bardzo dobra. A stara pułkownik też myśli. Bo po co w nim tak straszy, a najbardziej biednego Murzyna.

— Dobrze, dobrze, przyjacielu Scypionie; powiedz swojemu panu, że przyjdę — powiedział śmiejąc się cieśla. • — Już jak idzie o uczciwą rzemieślniczą robotę, na mnie się nie poskarży. A więc w domu straszy, co? Tutaj by już trzeba lepszego robotnika ode mnie, żeby przepędzić upiora. Nawet gdyby pułkownik się wyniósł — dodał półgłosem do siebie — mój stary dziadek czarownik na pewno nie odczepi się od Pyncheonów, póki stoją mury tego domu.

— Co wy tam mrucała do siebie, Mateuszu Maule? — spytał Scypion. — I czemu robiła na mnie złe oko, czarne oko?

— Nic nie szkodzi, czarnuchu! — powiedział cieśla. — Czy myślisz, że nikt oprócz ciebie nie może czarno wyglądać? Idź, powiedz swemu panu, że zaraz przyjdę, a jeśli zobaczysz jaśnie wielmożną pannę Alicję, jego córkę, oddaj jej pokorne uszanowanie od Mateusza Maule. Piękna wróciła z Włoch Alicja Pyncheon. Piękna twarz, łagodna i dumna!

— On mówiła o paniencie Alicji! — wykrzyknął Scypion wracając do domu z poselstwa. — Ta cieśla niskiego stanu! Niech nic nie gadała, tylko patrzyła na nią z bardzo daleka!

Ow młody Mateusz Maule, trzeba wiedzieć, był człowiekiem, którego mało kto rozumiał i lubił w rodzinnym mieście. Nie można było mu nic zarzucić pod względem uczciwości, umiejętności lub pilności w rzemiośle, jakie wykonywał. Przyczyna niechęci (można się tak słusznie wyrazić), z jaką patrzyło nań wielu, leżała w jego własnym charakterze i obejściu a także w przeszłości.

Był wnukiem starego Mateusza Maule, jednego z pierwszych osadników w mieście, a w swoim czasie sławnego i straszliwego czarownika. Tenże stary niegodziwiec znalazł się wśród tych, co odcierpieli swe

winy, gdy Cotton Mather i jego bracia-duchowni wespół z uczonymi sędziami i innymi mądrymi ludźmi, łącznie z Sir Williamem Phippsem, zapobiegliwym gubernatorem, poczynili tak chwalebne wysiłki dla osłabienia wielkiego wroga dusz wysyłając rzesze jego zwolenników na skalistą drogę Wzgórza Szubienicy. W czasach późniejszych zrodziło się podejrzenie, że wskutek niefortunnej przesady w spełnianiu tego obowiązku, który sam w sobie wart był pochwały, sądy nad czarownikami okazały się mniej godne uznania Dobrotliwego Ojca, a bardziej po myśli tegoż właśnie arcywroga, którego zamierzały zgnębić i pokonać. Niemniej pewne jest, że pamięć tych, co zginęli za straszliwą zbrodnię czarów, otaczała groza. Ich groby w rozpadlinach skalnych nie mogły ponoć utrzymać w swym wnętrzu mieszkańców wrzucanych tam w pośpiechu. Zwłaszcza stary Mateusz Maule, jak wiadomo, nie więcej okazywał wahań i nie większą miał trudność w powstawaniu ze swego grobu niż zwyczajny człowiek podnoszący się z łóżka, i często widziano go o północy tak wyraźnie, jak żyjących widzi się w południe. Ten przeklęty czarownik (którego słuszna kara, jak widać, nie nawróciła na drogę poprawy) miał zwyczaj nawiedzania pewnego dworku, zwanego Domem o Siedmiu Szczytach, którego właściciel, jak twierdził uparcie zmarły Maule, winien mu był czynsz dzierżawny od gruntu, na którym zbudowano dom. Podobno duch z uporem, który cechował go już za życia, utrzymywał, że on jest prawnym właścicielem ziemi, na której stoi dom. Żądał, aby zapłacono wymieniony czynsz od dnia, w którym zaczęto kopać piwnice, lub też by mu zwrócono posiadłość. W przeciwnym razie on, upiorny wierzyciel, będzie maczał palce w sprawach Pyncheonów i przyczyni się do tego, że wszystko będzie im szło na opak, choćby i w tysiąc lat po jego śmierci. Szalona to była może opowieść, lecz nie wydawała się tak

całkiem niewiarygodna tym, co pamiętali, jak upartym starcem był ów czarownik Maule.

Otóż wnuka czarownika, młodego Mateusza Maule z naszej opowieści, pomawiano powszechnie o dziedziczenie niektórych podejrzanych cech swego dziada. Tak nadzwyczajne, jak nedorzeczne wieści szerzyły się o tym młodym człowieku. Mówili na przykład, że miał dziwną moc wkradania się w ludzkie sny i układania sennych widziadeł wedle swej fantazji, podobnie jak to czyni reżyser w teatrze. Dużo się opowiadało wśród sąsiadów, zwłaszcza sąsiadów w spódnicach, o tym, co nazywano czarodziejską siłą wzroku Maule'a. Twierdzili niektórzy, że umiał czytać w myślach; inni, że tajemną mocą swego spojrzenia wciągał ludzi do swych własnych myśli lub wysyłał ich, jeśli mu się podobało, do dziadka na tamten świat, by załatwiali jego zlecenia. Jeszcze inni mówili, że miał tak zwane złe oko i posiadał cenne zdolności zsyłania zarazy na zboże i wysuszania dzieci na mumie przez wypalanie im serc. Lecz mimo wszystko tym, co najwięcej przemawiało na niekorzyść młodego cieśla, była powściągliwość i surowość jego natury oraz fakt, iż nie przyjmował komunii świętej i podejrzewano, że w sprawach religii i polityki wyznawał zasady heretyckie.

Po otrzymaniu wezwania pana Pyncheona cieśla zabawił chwilę jeszcze wykańczając drobną robotę, którą był właśnie zajęty, a potem udał się drogą ku Domowi o Siedmiu Szczytach. Ten sławetny budynek, choć jego styl może zaczynał wychodzić trochę z mody, ciągle jeszcze zajmował wybitne miejsce wśród rodowych rezydencji miejskich dostojników. Obecny właściciel, Gerwazy Pyncheon, powziął ponoć niechęć do tego domu wskutek wstrząsu przeżytego we wczesnym dzieciństwie a wywołanego nagłą śmiercią jego dziadka. Gdy jako młody chłopiec biegł, by wdrapać się na jego kolana, spostrzegł nagle, że stary Pu-

rytanin nie żyje. Po dojściu do lat męskich pan Pyncheon odwiedził Anglię, gdzie poślubił damę wielkiej fortuny, a następnie spędził wiele lat częściowo w kraju macierzystym, po części zaś w różnych miastach kontynentu europejskiego. Na ten czas rodzinny dwór został powierzony opiece krewnego, któremu pozwolono tam zamieszkać zważywszy na konieczność utrzymania domu w dobrym stanie. Kontraktu krewny dopełnił tak wiernie, że teraz, gdy cieśla zbliżał się do domu, jego wprawne oko nie mogło nic tu spostrzec, co by wymagało naprawy. Szczyty siedmiu skrzydeł wystrzelały ostro w górę, dach, gontem kryty, zdawał się nigdzie nie przepuszczać wody, a lśniący tynk pokrywał całkowicie zewnętrzne mury i błyszczał w październikowym słońcu, jakby go położono przed tygodniem.

Dom miał przyjemnie zamieszkały wygląd — można by go przyrównać do wyrazu ludzkiej twarzy, na której maluje się spokojna pracowitość. Na pierwszy rzut oka widać, że tętni tam życie licznej rodziny. Przez bramę ogrodu przejeżdżał wóz naładowany drzewem dębowym kierując się ku zabudowaniom gospodarskim w oficynach; gruba kucharka, a może gospodyni, stała w bocznych drzwiach targując parę indyków i kilka sztuk drobiu, które przyniósł na sprzedaż wieśniak. Od czasu do czasu schludnie ubrana pokojówka, to znów czarna twarz niewolnika migały w oknie dolnej części domu. W otwartym oknie na drugim piętrze, pochylona nad doniczkami pięknych i delikatnych kwiatów, które pochodziły z egzotycznych krain, lecz pewnie nie zaznały rozkoszniejszego słońca niż jesienne słońce Nowej Anglii — widniała sylwetka młodej damy, egzotyczna jak owe kwiaty, piękna i delikatna jak one. Jej obecność roztaczała nad domem subtelną mgłę zaklętego dworu. Był to pod każdym względem dostatni, wesoły dwór, odpowiedni na

rezydencję patriarchy, który mógłby założyć kwaterę główną we frontowym skrzydle, a pozostałe przydzielić po jednym swoim sześciorgu dzieciom; zaś wielki komin w środku mógł być symbolem gościnnego serca sędziwego gospodarza, które ogrzewa wszystko i z siedmiu części czyni jedną całość.

We frontowym szczycie mieścił się zegar słoneczny i cieśla przechodząc pod nim spojrział w górę.

— Trzecia godzina! — powiedział do siebie. — Mój ojciec opowiadał, że zegar założono na godzinę przed śmiercią pułkownika. Jak dokładnie wskazuje czas od trzydziestu siedmiu lat! Cień pełza i pełza, i zawsze zagląda słońcu przez ramię!

Mateusz Maule winien był, gdy go wzywano do domu państwa, skierować się do wejścia od tyłu, gdzie zwykle puszczano służbę i robotników, lub w najlepszym razie do drzwi bocznych, do których zgłaszali się kupcy wyższego od nich stanu. Lecz cieśla miał w swej naturze wiele dumy, a do tego w chwili obecnej serce jego pełne było goryczy przypomnieniem dziedzicznej krzywdy, gdyż uważał, że dom Pyncheonów stoi na ziemi, która była jego własnością. Na tym samym miejscu, przy źródle dającym wyborną wodę, jego dziadek ściał sosny i zbudował chatę, w której urodziły mu się dzieci; a pułkownik Pyncheon wydarł akt własności dopiero z zeszywniałych palców zmarłego. Więc młody Maule poszedł wprost do głównego wejścia osłoniętego portalem z rzeźbionego dębu i tak rozklekotał żelazną kołatkę, że można było pomyśleć, iż stary srogi czarownik stanął na progu we własnej osobie.

Czarny Scypion otworzył drzwi z wielkim pośpiechem, lecz widząc cieślę przewrócił białkami ze zdumienia.

— Panie, zmiłuj się! Jaka wielka człowiek, ten cie-



śła! — mrucał pod nosem. — Waliła w te drzwi, jakby swoim największym młotem!

— Jestem — rzekł surowo Maule. — Prowadź mnie do pana!

Gdy wszedł do wnętrza, tony słodkiej i melancholijnej muzyki płynące z górnych pokojów przeniknęły do korytarza i drżały wzdłuż jego ścian. Był to klawikord, który Alicja Pyncheon przywiozła z za morza. Piękna Alicja poświęcała najwięcej wolnego czasu, którego wiele mają młode dziewice, na muzykę i pielęgnację kwiatów, choć kwiaty jej szybko więdły, a melodie często były smutne. Miała zagraniczną edukację i nie mogła przywyknąć do nowoangielskich obyczajów, w których jeszcze nic pięknego nie było.

Ponieważ pan Pyncheon z niecierpliwością oczekiwał przybycia Maule'a, czarny Scypion oczywiście nie tracił czasu i zaraz prowadził cieślę przed oblicze pana. Ten siedział w niewielkim salonie z oknami wychodzącymi na ogród i częściowo ocienionymi przez gałęzie drzew owocowych. Był to osobisty apartament pana Pyncheona, umeblowany stylowo, elegancko i kosztownie, przeważnie meblami przywiezionymi z Paryża. Podłogę okrywał dywan (rzecz wówczas niecodzienna) utkany tak zręcznie i bogato, że zdawał się jaśnieć żywymi kwiatami. W rogu stał posąg kobiety z marmuru, której jedynym okryciem była własna piękność. Na ścianie wisiało kilka obrazów, widocznie starych, owianych jakby żółtawą mgłą przenikającą ich kunsztowny blask. Obok kominka stała duża i bardzo piękna hebanowa szafka inkrustowana kością słoniową. Ten starożytny mebel pan Pyncheon zakupił w Wenecji i używał go jako skarbcza do przechowywania medałów, starożytnych monet i innych wartościowych drobnych osobliwości, które zebrał podczas swych podróży. Spoza tych różnorodnych dekoracji pokój ukazywał jednak swe oryginalne oblicze — niski strop, poprzecz-

ne belkowanie, kominek okładany staromodnymi duńskimi kaflami. Mógł być symbolem umysłu, który pracowicie zapełniono cudzoziemskimi ideami i ogładzono w sposób sztucznie wyrafinowany, przez co wszakże nie stał się ani większy, ani też bardziej wytworny niż przedtem.

Dwa przedmioty zdawały się nie na miejscu w tym ładnie umeblowanym pokoju. Jednym była duża mapa pewnego obszaru lub plan geometry, który tak wyglądał, jakby nakreślono go wiele lat temu, a teraz był ciemny od dymu i miejscami poplamiony śladami palców. Drugim przedmiotem był portret surowego starca w purytańskiej odzieży, który, choć malowany grubymi pociągnięciami pędzla, robił silne wrażenie i doskonale wyrażał charakter oblicza.

Przy małym stoliku, przed kominkiem, na którym płonęły węgle przywiezione z Anglii, siedział pan Pyncheon popijając kawę, do której przywykł we Francji. Był to mężczyzna w średnim wieku, bardzo urodziwy, w peruce spływającej puklami na ramiona; frak z błękitnego aksamitu obszyty był koronką na brzegach i wkoło dziurek od guzików; blask ognia odbijał się w okazałym przodzie kamizelki haftowanym w złote kwiaty. Gdy Scypion wprowadził cieślę, pan Pyncheon odwrócił się nieco, lecz zaraz przyjął z powrotem poprzednią pozycję i powoli kończył kawę nie zwracając bezpośrednio uwagi na gościa, którego zawezwał przed swoje oblicze. Nie miał zamiaru okazywać niegrzeczności lub niestosownego lekceważenia i gdyby poczuł się winnym w tym względzie, twarz jego okryłaby się rumieńcem wstydu. Lecz nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że osoba tego stanu, co Maule mogłaby się domagać dla siebie uprzejmości lub że mogła do tego jakkolwiek przykładać wagę.

Wszakże cieśla podszedł od razu do kominka i ob-

rócił się w ten sposób, aby spojrzeć panu Pyncheon o-  
wi prosto w twarz.

— Pan po mnie posyłał — rzekł. — Proszę łaskawie  
powiedzieć, jaką pan ma do mnie sprawę, abym mógł  
wrócić do mojej pracy.

— Ach, wybacz mi — powiedział spokojnie pan  
Pyncheon. — Nie zamierzam zabierać ci czasu bez  
zapłaty. Nazywasz się Maule, jak mi się zdaje, Tomasz  
lub Mateusz Maule, i jesteś synem lub wnukiem bu-  
downiczego tego domu?

— Mateusz Maule — odrzekł cieśla. — Syn tego,  
który budował dom, wnuk prawego właściciela tej  
ziemi.

— Znany mi jest spór, do którego odnoszą się two-  
je słowa — zauważył pan Pyncheon z niezmaconym  
spokojem. — Wiem dobrze, że mój dziad zmuszony  
był uciec się do procesu sądowego, aby udowodnić swe  
prawo własności do miejsca, na którym stoi ten bu-  
dynek. Pozwolisz, że nie będziemy odnawiać tamtych  
sporów. Sprawa została w swoim czasie załatwiona  
przez kompetentne władze, należy przypuszczać, że  
sprawiedliwie, a w każdym razie nieodwołalnie. Lecz,  
szczególnym trafem, dotyka to materii, o której chcia-  
łem z tobą pomówić. I te zadawnione pretensje — wy-  
bacz mi, nie zamierzam przez to nic złego powie-  
dzieć — uraza, jaką okazałeś przed chwilą, nie cał-  
kiem są obce tej sprawie.

— Jeśli pan znajdzie jakiś dla siebie pożytek — po-  
wiedział cieśla — w zrozumiałym żalu człowieka za  
krzywdy wyrządzone jego rodzinie, to bardzo proszę.

— Biorę cię za słowo, gospodarzu Maule — rzekł  
z uśmiechem właściciel Siedmiu Szczytów — i zaraz  
przystąpię do wyjaśnienia, w jaki sposób dziedziczne  
wasze pretensje, słuszne czy niesłuszne, mogły wpły-  
nąć na moje sprawy. Słyszałeś, jak przypuszczam, że  
rodzina Pyncheonów od czasów mego dziadka docho-

dzi swych praw do bardzo rozległych terenów na wschodzie?

— Słyszałem to często — odrzekł Maule i opowiadają, że na jego twarzy pojawił się uśmiech — bardzo często od mego ojca!

— Te roszczenia — ciągnął pan Pyncheon, który zamilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, co mógłby oznaczać uśmiech cieśli — zdawały się niemalże załatwione całkowitym przyznaniem nam tych praw w chwili śmierci mego dziadka. Jego zaufanym było wiadomo, że nie przewidywał żadnych trudności ani zwłoki. Otóż pułkownik Pyncheon, nie potrzebuję nawet tego wspominać, był człowiekiem praktycznym, dobrze obznajmionym ze sprawami publicznymi i z dziedziną interesów prywatnych, i bynajmniej nie należał do osób, które żywią nieuzasadnione nadzieje lub próbują urzeczywistnić nieosiągalne plany. Wniosek zatem oczywisty, że miał powody, nie znane jego spadkobiercom, by spodziewać się pomyślnego załatwienia sprawy wschodnich majątności. Słowem, jestem pewien, a moi doradcy prawni wiarę tę podziеляją, że mój dziad był w posiadaniu jakiegoś tytułu własności lub innego dokumentu niezbędnego do ostatecznej legalizacji roszczeń, lecz który to dowód zaginął bez śladu.

— To bardzo możliwe — powiedział Mateusz Maule i znów, jak powiadają, mroczny uśmiech zawitał na jego twarzy. :— Lecz cóż ma wspólnego ubogi cieśla z wielkimi sprawami rodu Pyncheonów?

— Może nic — odparł pan Pyncheon — a może dużo!

Nastąpiła długa wymiana słów między Mateuszem Maule i właścicielem Siedmiu Szczytów na temat poruszony przez tego ostatniego, Jak się zdaje (wprawdzie pan Pyncheon z pewnym wahaniem powoływał się na te opowieści, brzmiące tak bardzo niedorzecz-

nie), powszechne mniemanie wskazywało na istnienie jakichś tajemnych związków i zależności między rodziną Maule'ów i wielką, nie potwierdzoną prawem majątnością Pyncheonów. Mówiono, że stary czarownik, choć zawisł na szubienicy, wziął górę w tym sporze nad pułkownikiem Pyncheonem o tyle, że zawładnął prawem do wielkich wschodnich posiadłości w zamian za jeden czy dwa akry ogrodu. Pewna bardzo sędziwa staruszka, niedawno zmarła, używała często takiej metafory w swoich opowiadaniach przy kominku, że „na grób Maule'a sypały się całe mile ziemi Pyncheonów”. Można przy tym wspomnieć, że grób ten znajdował się w całkiem zresztą płytkiej rozpadlinie między dwoma skałami, niedaleko od szczytu Wzgórza Szubienicy. A znów kiedy prawnicy poszukiwali zaginionego dokumentu, krążyła taka gadka, że nie znajdzie się nigdy — chyba w kościotrupich palcach czarownika. Prawnicy tyle wagi przypisywali owym bajkom, że w tajemnicy kazali przeszukać grób czarownika (choć o tym fakcie pan Pyncheon nie uznał za stosowne powiadomić cieśli). Nic jednak nie odkryto za wyjątkiem tego, że prawa ręka szkieletu znikła w sposób niewyjaśniony.

Co niewątpliwie było ważne, to to, że część powszechnie krążących plotek brała swój początek, jak zdołano wyśledzić, choć i to wyraźne nie było, ze słów rzucanych mimochodem i z tajemniczych aluzji syna straconego czarownika, a ojca obecnego Mateusza Maule. I pan Pyncheon mógł dorzucić do tego coś z własnych wspomnień. Choć był wówczas dzieckiem, pamiętał lub zdawało mu się, że ojciec Mateusza Maule miał jakąś robotę do wykonania w przeddzień lub właśnie w dzień zgonu pułkownika, w tym pokoju, w którym w tej chwili rozmawiali. Pewne papiery należące do pułkownika Pyncheona, jak wyraźnie pamiętał jego wnuk, leżały wówczas na stole.

Mateusz Maule zrozumiał, o co chodziło panu Pyncheonowi.

— Ojciec mój — rzekł, lecz na twarzy jego błąkał się ciągle ów posępny uśmiech nadając jej zagadkowy wyraz — mój ojciec był uczciwszym człowiekiem niż ten stary łajdak pułkownik! Nie wzięłby tych papierów, nawet gdyby mógł za nie odzyskać swoje prawa!

— Nie będę tracił z tobą słów na próżno — zauważył wyniośle wychowanek obcych krajów. — Ani też nie przystoi mi uraza za ordynarne wymysły wymierzone przeciw memu dziadkowi lub mnie samemu. Dżentelmen, nim się wda w rozmowę z osobą twego stanu i obyczajów, musi najpierw rozważyć, czy doniosłość celu wynagrodzi nieprzyjemności, na które się naraża. Tak jest i w tym przypadku.

Następnie rozpoczął znów rozmowę i ofiarował cieśli duże wynagrodzenie pieniężne w wypadku, gdyby dostarczył on wskazówek, które by doprowadziły do odkrycia zagubionego dokumentu, a w następstwie tego do załatwienia sprawy wschodnich terytoriów. Przez długi czas Mateusz Maule podobno nie chciał słyszeć o tych propozycjach. Lecz w końcu, śmiejąc się dziwnie, spytał, czy pan Pyncheon oddałby mu ziemię, na której stała chata starego czarownika, razem z Domem o Siedmiu Szczytach jako zapłatę za dokumenty tak pilnie potrzebne.

Pokątne legendy opowiadane przy kominku (którymi zasadniczo kieruje się moje opowiadanie z pominięciem najbardziej cudackich nedorzecznosci) wtrącają tutaj opis nader dziwnego rzekomo zachowania się portretu pułkownika Pyncheona. Należy wyjaśnić, że obraz ten miał być pono tak ściśle związany z losami domu i wbudowany w jego ściany siłą tak magiczną, że gdyby go usunięto, budynek rozsypałby się w gruzy. Przez cały czas rozmowy między panem

Pyncheonem i cieślą portret marszczył czoło, wymachiwał pięścią i dawał podobne dowody nadzwyczajnego zaniepokojenia, wszakże żaden z rozmawiających nie zwrócił na to uwagi. W końcu, na śmiałą propozycję Mateusza dotyczącą przekazania mu budowli o Siedmiu Szczytach, upiorny wizerunek, jak zaręczano, stracił całkiem cierpliwość i prawie że wyszedł ze swych ram. Lecz takie niewiarygodne wypadki należy tylko wspomnieć na stronie.

— Oddać ten dom! — wykrzyknął pan Pyncheon osłupiały na taką propozycję. — Gdybym to zrobił, mój dziad nie zaznałby spokoju w grobie!

— Nie zaznał go nigdy, jeśli wierzyć wszystkim opowieściom — zauważył spokojnie cieśla. — Ale ta sprawa obchodzi bardziej jego wnuka niż Mateusza Maule. Nie przyjmę żadnych innych warunków.

Jakkolwiek niemożliwym do spełnienia zdawał się warunek Maule'a, to jednak po zastanowieniu pan Pyncheon uznał, że sprawa przynajmniej nadaje się do dyskusji. On sam nie był osobiście przywiązany do starego domu ani też nie posiadał przyjemnych wspomnień z czasów, gdy mieszkał w nim jako dziecko. Przeciwnie, po trzydziestu siedmiu latach jeszcze ciążyła nad tym miejscem obecność zmarłego dziada, tak jak owego ranka, gdy przerażony chłopczyk ujrzał upiorną maskę zeszywniałego w krzesle starca. Długi pobyt w zagranicznych krajach, znajomość zamków i rodowych dworów w Anglii i marmurowych pałaców we Włoszech — kazały mu patrzeć z pogardą na Dom o Siedmiu Szczytach, na jego wspaniałości i wygody. Był to dwór zupełnie nieodpowiedni do stylu życia, jaki przystałoby prowadzić panu Pyncheonowi po zdobyciu swych terytorialnych praw. Może by raczył w nim zamieszkać jego rządca, lecz nigdy z pewnością sam właściciel ziemski. W razie powodzenia tej sprawy zamierzał faktycznie powrócić do Anglii;

prawdę mówiąc nie opuściłby i teraz tamtego, bardziej mu bliskiego domu, gdyby fortuna jego i żony nie zaczęła się wyczerpywać. Po załatwieniu roszczeń do wschodnich posiadłości, gdyby pan Pyncheon stał się ich rzeczywistym właścicielem, jego majątność — mierzona na mile, nie na akry — byłaby warta hrabstwa i dałaby mu prawo ubiegania się o tę wysoką godność lub możność jej zakupienia od brytyjskiego monarchy. Lord Pyncheon! Lub hrabia Waldo! Jakże można wymagać, by taki magnat zacieśniał swą wielkość do siedmiu nędznych, gontem krytych skrzydeł starego domu?

Krótko mówiąc z nowego, rozszerzonego punktu widzenia warunek cieśli wydawał się tak śmiesznie łatwy, że pan Pyncheon zaledwie się powstrzymał, aby mu się nie roześmiać w twarz. Po tych refleksjach wstyd mu było proponować jakiegokolwiek umniejszenie tak umiarkowanego wynagrodzenia za oddanie usługi tak ogromnej.

— Zgadzam się na twoją propozycję, Maule! — zakrzyknął. — Spraw, by dokument niezbędny do uznania moich praw znalazł się w mym posiadaniu, a Dom o Siedmiu Szczytach będzie twój!

Według jednej wersji tej historii sporządzono formalny kontrakt spisany przez prawnika, opieczetowany i podpisany w obecności świadków. Inne powiadają, że Mateusz Maule zadowolili się prywatną umową na piśmie, w której pan Pyncheon poręczył dostrzymanie warunków porozumienia swoim honorem i uczciwością. Następnie pan rozkazał przynieść wina, które wypili razem z cieślą na przypieczetowanie interesu. Podobno przez cały czas poprzedniej rozmowy i załatwiania formalności portret starego Purytanina miał powtarzać swoje upiorne gesty niezadowolenia, lecz bez żadnego skutku; tyle tylko, że pan Pyncheon



odstawiając opróżnioną szklanekę wyobraził sobie, że widzi dziadka marszczącego brew.

— Ten kseres jest dla mnie za mocny; już mi zakręcił w głowie — zauważył rzucając nieco przestraszone spojrzenie na obraz. — Po powrocie do Europy będę się ograniczał do delikatniejszych w smaku win francuskich i włoskich, z których najlepsze nie znoszą transportu.

— Lord Pyncheon może pić takie wino, jakie chce i gdzie mu się podoba — odrzekł cieśla, jakby wtajemniczony w projekty pana Pyncheona. — Lecz naprzód, panie, jeśli pragnie pan wiadomości o zaginionym dokumencie, muszę pokornie prosić o łaskę krótkiej rozmowy z pańską piękną córką Alicją.

— Maule, jesteś szalony! — wykrzyknął dumnie pan Pyncheon i teraz wreszcie w jego dumę wmieszał się gniew. — Co może mieć wspólnego moja córka z taką sprawą?

Rzeczywiście, na to nowe żądanie cieśli właściciel Siedmiu Szczytów osłupiał nawet bardziej jeszcze niż na bezwstydną propozycję ustąpienia mu domu. Pierwszy warunek miał przynajmniej jakieś uzasadnienie; dla drugiego nie było żadnego zgoła. Niemniej Mateusz Maule mocno nalegał na przywołanie młodej damy, a nawet dał do zrozumienia jej ojcu, tłumacząc się tajemniczo, co bardziej jeszcze zaciemniło tę ciemną sprawę, że jedyna możliwość zdobycia potrzebnych wiadomości leży w posłużeniu się pośrednictwem kryształowo czystej dziewiczej duszy pięknej Alicji. Nie chcemy obarczać naszej opowieści przedstawianiem skrupułów pana Pyncheona, jakie podsuwało mu sumienie, duma lub miłość ojcowska; dość, że w końcu kazał przywołać córkę. Wiedział, że jest ona w swym pokoju i nie ma żadnego zajęcia, którego by nie można z łatwością odłożyć; gdyż tak się zdarzyło, że odkąd padło w rozmowie imię Alicji,

obaj — ojciec i cieśla — słyszeli smutne i słodkie dźwięki jej klawikordu i jeszcze słodszy i smutniejszy głos Alicji towarzyszący muzyce.

A więc Alicja Pyncheon została wezwana i zjawiła się na progu. Portret tej młodej damy pędzla weneckiego artysty, pozostawiony przez ojca w Anglii, trafił do rąk obecnego księcia Devonshire i znajduje się teraz w Chatsworth, nie ze względu na jakieś związki z jego oryginałem, lecz dzięki swej wartości artystycznej i nadzwyczajnej piękności przedstawionej na nim twarzy. Jeśli żyła kiedy urodzona dama, wyróżniająca się z wulgarnego tłumu tego świata delikatną, chłodną, arystokratyczną urodą, to była nią właśnie Alicja Pyncheon. A przecież promieniowała z niej kobiecość i czułość. Dla tej zalety, okupującej wszystko, człowiek o naturze szlachetnej wybaczyłby jej całą dumę i byłby rad niemal lec na jej drodze i pozwolić, by drobną stopą stanęła na jego sercu. Nic by w zamian nie żądał prócz tego, by uznała w nim człowieka, istotę bliźnią, ulepioną z tych samych co ona pierwiastków.

Gdy Alicja weszła do pokoju, wzrok jej padł na cieślę, który stał na środku odziany w zielony wełniany kaftan, spodnie puszczone luźno za kolana i zaopatrzone w długą kieszeń, z której wystawał koniec linijki; był to stosowny znak powołania rzemieślnika, tak jak u pana Pyncheona szpada przy stroju galowym oznaczała arystokratyczne pretensje owego pana. Twarz Alicji Pyncheon zajaśniała zachwytem artysty. Była pełna admiracji, której nie starała się ukryć, dla uderzająco urodziwej, kipiącej energią i siłą postaci Maule'a. Lecz tego zachwyconego spojrzenia (które większość innych mężczyzn zachowałyby jako najczulsze wspomnienie przez całe życie) cieśla nie wybaczył jej nigdy. Chyba sam szatan dał mu tę subtelną spostrzegawczość.

„Ta dziewczyna patrzy na mnie tak, jakbym był zwierzęciem! — pomyślał zaciskając zęby. — Już ona się dowie, czy mam duszę ludzką, i tym gorzej dla niej, jeśli się okaże, że silniejszą od jej własnej!”

— Mój ojciec, posłałeś po mnie — rzekła Alicja głosem słodkim jak dźwięk harfy. — Lecz jeśli masz jakiś interes do załatwienia z tym młodym człowiekiem, proszę, pozwól mi odejść. Wiesz, że nie lubię tego pokoju, mimo że umieściłeś w nim Claude'a, którym starasz się obudzić słoneczne wspomnienia.

— Proszę się wstrzymać na chwilę, młoda pani, jeśli łaska! — rzekł Mateusz Maule. — Moje interesy z pani ojcem zostały zakończone. Teraz zaczną się z panią.

Alicja spojrzała na ojca zdziwiona, z niemym zapytaniem.

— Tak, Alicjo — rzekł pan Pyncheon niespokojny i zmieszany. — Ten młody człowiek, nazywa się Mateusz Maule, utrzymuje, o ile mogłem go zrozumieć, że potrafi odkryć za twoim pośrednictwem pewne papiery lub pergaminy, które zaginęły na długo przed twym urodzeniem. To bardzo ważny dokument. Nie należy zaniedbywać żadnych możliwych, a nawet mało prawdopodobnych sposobów jego odzyskania. Będę ci więc zobowiązany, droga Alicjo, jeśli odpowiesz na pytania tego człowieka i spełnisz jego uczciwe i rozsądne żądania, o ile będą dotyczyły owej sprawy. Ponieważ pozostanę w pokoju, nie potrzebujesz się obawiać ordynarnego lub nieprzystojnego obejścia ze strony tego młodzieńca, a na twoje najłżejsze życzenie badania, czy jak to nazwać, zostaną natychmiast przerwane.

— Panna Alicja Pyncheon — zauważył Mateusz Maule tonem najgłębszego uszanowania, lecz z na pół ukrytą ironią w spojrzeniu i w głosie — będzie się niewątpliwie czuć całkiem bezpieczna w obecności swe-

go ojca i pod jego zupełnie wystarczającą opieką.

— Na pewno nie odczuję żadnej obawy, gdy mój ojciec będzie w pobliżu — rzekła Alicja z dziewczęcą godnością. — Nie pojmuję też, aby dama, która pozostaje wierna samej sobie, mogła się czegoś obawiać, wszystko jedno od kogo i w jakich okolicznościach!

Biedna Alicja! Jakiż to nieszczęsny odruch kazał jej w ten sposób rzucić wyzwanie sile, której potęgi nie znała?

— A więc, panno Alicjo — rzekł Mateusz Maule podając jej krzesło, jak na rzemieślnika bardzo dwornie — proszę tylko usiąść i uczynić mi tę łaskę, choć nie zasługuje na nią biedny cieśla: proszę patrzeć mi w oczy.

Spełniła jego prośbę. Alicja była bardzo dumna. Pomijając wszelkie przywileje stanowiska, ta piękna dziewczyna posiadała świadomość swojej potęgi, na którą składały się uroda, nieskalana czystość i osłaniająca moc kobiecości. To wszystko czyniło ją niedosiężną, póki nie zdradziła samej siebie. Przeczynała instynktem, być może, że jakaś złowroga lub szatańska siła pragnie się wedrzeć do jej duszy — i nie cofnęła się przed walką. Tak zatem Alicja przeciwstawiła potęgę kobiety potędze mężczyzny; siły często nierówne — na niekorzyść kobiety.

Tymczasem ojciec odwrócił się i pograżył w kontemplacji pejzażu Claude'a, na którym gra cieni i słońca stworzyła tak daleką perspektywę starego lasu, że nic by w tym nie było dziwnego, gdyby jego wyobraźnia zatraciła się w tych oszałamiających głębinach. Lecz po prawdzie obraz nie miał dla niego większego w tej chwili znaczenia niż biała ściana, na której wisiał. Jego umysł dręczyły znane mu liczne i dziwne opowieści przypisujące tajemnicze, jeśli nie nadnaturalne właściwości tym Maule'om, wnukowi w równej mierze co dziadkowi i ojcu. Długi pobyt pana Pyn-

cheona za granicą i znajomości z ludźmi słynącymi dowcipem i modnym ułożeniem w kręgu dworaków, światowców i wolnomyślicieli usunęły w cień zapomnienia ponure purytańskie zabobony, od których żaden człowiek urodzony w Nowej Anglii w tym wczesnym okresie nie mógł się całkowicie uwolnić. Lecz z drugiej strony czyż nie uwierzyła w to cała gmina, że dziadek Maule'a był czarownikiem? Czyż nie dowiedziano mu tego? Czy czarownik nie zapłacił za to śmiercią? Czy nie zostawił dziedzictwa nienawiści do Pyncheonow jedyne mu wnukowi, który, jak się zdało, zajmował się w tej chwili wywieraniem subtelnego wpływu na córkę swego wroga? Czyż nie mógł to być wpływ tego samego rodzaju jak to, co zwano czarami?

Odwrócił się na poły i dojrzał w lustrze postać Maule'a. O kilka kroków od Alicji cieśla wykonywał rękami wzniesionymi do góry taki ruch, jakby opuszczał z wolna na dziewczynę wielki niewidzialny ciężar.

— Stój, Maule! — wykrzyknął pan Pyncheon robiąc krok naprzód. — Ani jednego ruchu więcej!

— Proszę cię, mój drogi ojcze, nie przerywaj temu młodemu człowiekowi — rzekła córka nie zmieniając pozycji. — Zapewniam cię, że jego wysiłki okażą się zupełnie nieszkodliwe.

I znów pan Pyncheon zwrócił oczy na Claude'a. Tak więc było to wołą córki, a nie jego, aby eksperyment przeprowadzono jak należy. Odtąd on się tylko zgadzał, nie nalegał. I czyż nie pragnął powodzenia bardziej ze względu na nią niż na siebie? Z chwilą przywrócenia zaginionego pergaminu rodowi Pyncheonow piękna Alicja z bogatym wianem, które dałby jej wtedy, mogłaby poślubić angielskiego lub niemieckiego księcia panującego zamiast jakiegoś pastora czy prawnika Nowej Anglii! Na tę myśl ambitny ojciec niemalże

zgodził się w sercu, by Maule, jeśli dla osiągnięcia tego wielkiego celu zajdzie potrzeba użycia siły diabelskiej, diabła wywołał! Tarczą Alicji będzie jej czystość.

Z głową nabitą obrazami urojonych splendorów pan Pyncheon posłyszał nagle stłumiony okrzyk córki, bardzo słaby i tak niewyraźny, jakby wydany tylko częścią woli, i zbyt nieokreślony, by można go było zrozumieć. Jednakże było to wołanie o pomoc. Nie miał w swym sumieniu ani cienia wątpliwości i choć niewiele głośniejszy od szeptu, dla jego ucha był to okropny krzyk, odbity długim echem w jego sercu. Lecz tym razem ojciec nie odwrócił się.

Dopiero po upływie dłuższej chwili przemówił Maule.

— Niech pan spojrzy na swoją córkę! — powiedział.

Pan Pyncheon podszedł spieszenie. Cieśla stał wyprostowany przed krzesłem Alicji wskazując na nią palcem z wyrazem triumfującej siły, której granice trudno by było określić, gdyż w istocie rozciągały się mgliście w niewidzialne i nieskończone. Alicja siedziała w pozie zupełnego bezwładu, długie ciemne rzęsy opadły jej na oczy.

— Otóż i ona! — rzekł cieśla. — Niech pan do niej przemówi!

— Alicjo! Córko moja! — wykrzyknął pan Pyncheon.

Nie poruszyła się.

— Głośniej! — powiedział Maule z uśmiechem.

— Alicjo! Zbudź się! — krzyczał ojciec. — Twój widok sprawia mi ból! Zbudź się!

Mówił głośno, z przerażeniem, tuż przy jej delikatnym uchu, które było zawsze tak czułe na każdy nieharmonijny dźwięk. Lecz widocznie głos do niej nie dochodził. Nie da się opisać, jak daleką, mglistą i nie-

przebytą zdała mu się przestrzeń dzieląca go od Alicji przez to, że nie mógł dosięgnąć jej głosem.

— Najlepiej niech jej pan dotknie! — rzekł Ma-teusz Maule. — Niech pan nią potrząśnie, i to mocno! Moje ręce są zbyt stwardniałe od siekiery, piły i he-bła — w przeciwnym razie mógłbym panu pomóc!

Pan Pyncheon ujął jej rękę i uściśnił z powagą zro-dzoną z przerażenia. Pocałował ją, a tyle serca drżało w tym pocałunku, że chyba musiała je odczuć. Po-tem, w przypływie gniewu na nieczułość córki, po-trząsnął jej dziewczęcą postać z gwałtownością, której przeraził się w następnej chwili. Cofnął obejmujące ją ręce i Alicja, której ciało, choć giętkie, było cał-kiem niewrażliwe, powróciła do tej samej pozycji, w jakiej znajdowała się, zanim spróbował ją ożywić. Skoro Maule przesunął się nieco, jej twarz odwróciła się ku niemu lekko, jakby poddając swój sen jego władzy.

Dziwny to był widok, jak człowiek dbały o pozory i konwenanse strząsnął puder z peruki; jak powścią-gliwy i dostoyny pan zapomniał swej godności; jak mi-gotała i błyskała w blasku ognia złotem haftowana ka-mizelka wstrząsana wściekłością, przerażeniem i bólem serca, które pod nią biło.

— Nędzniku! — krzyczał pan Pyncheon wymachu-jąc zaciśniętą pięścią przed nosem Maule'a. — Ty i twój szatan ukradliście mi córkę! Oddaj ją, bękar-cie starego czarownika, albo pójdziesz na Wzgórze Szubienicy śladami twego dziada!

— Spokojnie, panie Pyncheon! — powiedział cieśla z pogardliwym uśmiechem. — Proszę spokojnie, bo pan zniszczy sobie koronki u mankietów! Czy to mo-ja wina, że sprzedał pan córkę za nadzieję pochwy-cenia strzępu żółtkłego pergaminu? Oto tam siedzi panna Alicja pogrążona w spokojnym śnie. Zobacz-

my teraz, czy będzie równie dumna wobec Mateusza Maule, jak była przed chwilą wobec cieśli.

Przemówił i Alicja odpowiedziała miękkiem, stłumionym, pokornym głosem, skłaniając ku niemu swą postać niby płomień pochodni pochylony łagodnym powiewem. Skinął dłonią: dumna Alicja powstała z krzesła i ślepo, lecz bez wahania, jakby dążąc do pewnego i nieuniknionego celu, na którym skoncentrowała się cała jej istota, zbliżyła się ku niemu. Oddalił ją ruchem ręki i Alicja cofając się opadła znów na krzesło.

— Moją jest! — powiedział Mateusz Maule. — Moją, prawem silniejszego ducha!

W dalszym ciągu tej legendy znajdujemy długi, groteskowy, a czasem przejmujący grozą opis praktyk magicznych — jeśli można je tak nazwać — odprawianych przez cieślę w celu odnalezienia straconego dokumentu. Wydaje się, iż zamierzał uczynić z umysłu Alicji coś na kształt teleskopu, przez który pan Pyncheon i on sam mogliby zajrzeć w świat duchów. Udało mu się też nawiązać jakby rozmowę ze zmarłymi osobistościami, pod których opieką cenna tajemnica została uniesiona poza granice ziemi. W swym transie Alicja opisała trzy postacie, które oglądał jej duch. Jedną był wiekowy pan, surowy i pełen godności, wystrojony jak na uroczyste święto w poważne i kosztowne suknie, lecz z wielką plamą krwi na bogato haftowanej wstędze; drugą — nędznie ubrany starzec o twarzy ponurej i groźnej, z urwanym postronkiem na szyi; trzeci z nich — nie tak posunięty w latach jak tamci dwaj, lecz więcej niż w średnim wieku, w grubej wełnianej kapocie i skórzanych spodniach, z linijką ciesielską wystającą z bocznej kieszeni. Te trzy zjawy znały tajemnicę zaginionego dokumentu. Zdaje się, że jedna z nich, właśnie ów leciwy pan z plamą krwi na wstędze, o ile jego gesty nie



zostały źle zrozumiane, miał pergamin bezpośrednio w swej pieczy, lecz dwaj współnicy sekretu nie pozwolili mu, by zrzucił z siebie ciężar tej tajemnicy. Wreszcie, gdy zamierzał wykrzyknąć ją dość głośno, by usłyszano go w sferze śmiertelnych, jego towarzysze zaczęli się z nim bić i dłońmi zatkali mu usta, i oto zaraz — czy to zadławił się swą tajemnicą, czy też miała ona odcień karmazynu — na wstędze wystąpiła świeża plama krwi. Na to dwie nędznie odziane figury jęły drwić i szydzić ze starego dygnitarza, który bardzo się skonfundował, i pokazywały palcami plamę.

Wówczas Maule zwrócił się do pana Pyncheona:

— Nigdy mu na to nie pozwolą. Trzymanie pod strażą tajemnicy, która wzbogaciłaby tak bardzo jego spadkobierców, jest częścią kary nałożonej na pańskiego dziadka. Musi się nią dławić, póki tajemnica nie straci całej wartości. Niech pan sobie zatrzyma Dom o Siedmiu Szczytach! Zbyt drogo okupiono to dziedzictwo i zbyt ciężkie wisi nad nim przekleństwo, by już teraz uwolnić od niego potomstwo pułkownika!

Pan Pyncheon usiłował coś powiedzieć, lecz ze strachu i z wściekłości wydobył z gardła tylko bulgoczący dźwięk. Cieśla uśmiechnął się.

— Aha, dostojny panie! Musi pan pić krew starego Maule'a — powiedział szyderczo.

— Ty szatanie w ludzkim ciele! Czemu trzymasz w swej władzy moje dziecko? — zawołał pan Pyncheon, skoro tylko powróciła mu mowa. — Oddaj mi moją córkę! A potem idź swoją drogą i obyśmy się już nigdy nie spotkali!

— Pańską córkę! — rzekł Mateusz Maule. — Ależ ona jest już moja! Jednak, by nie być zbyt srogim dla pięknej pani Alicji, pozostawię ją pod pańską opieką; lecz nie ręczę, czy nie będzie miała okazji, by wspomnieć cieślę Mateusza Maule.

Machnął dłońmi ku górze i po kilku takich ruchach piękna Alicja Pyncheon obudziła się ze swego dziwnego snu. Obudziła się nie pamiętając swych wizji, jak ktoś, kto na moment zatraci się w marzeniu i powraca do świadomości rzeczywistego życia po tak krótkiej chwili, jaka wystarczy, aby przygasający płomień na kominku znów się poderwał w górę. Poznając Mateusza Maule przybrała wyraz nieco zimnej, lecz łagodnej godności, tym bardziej, że na twarzy cieśli błąkał się jakiś szczególny uśmiech, który podrażnił wrodzoną dumę pięknej Alicji. Tak zakończyło się wówczas poszukiwanie utraconego tytułu własności do wschodnich ziem Pyncheonów; choć często je później ponawiano, nie zdarzyło się nigdy, by ktokolwiek z Pyncheonów zobaczył ów pergamin na własne oczy.

Lecz biada pięknej, łagodnej, a zbyt wyniosłej Alicji! Jej dziewiczą duszą zawładnęła siła, której istnienia nawet nie podejrzewała. Ta siła zmuszała ją do spełniania groteskowych i fantastycznych rozkazów wbrew jej woli. Ojciec jej, jak się okazało, skazał na męki swoje biedne dziecko wskutek nieopanowanej żądzy odmierzenia swej ziemi na mile zamiast na akry. I tak więc, póki żyła Alicja Pyncheon, była niewolnicą Maule'a w niewoli tysiąckroć bardziej upokarzającej niż ta, która opasuje ciało łańcuchem. Wystarczyło, by Maule siedząc przy swoim skromnym kominku skinął tylko ręką, i gdziekolwiek znajdowała się ta dumna panna: czy w swoim pokoju, czy w salonie podejmując dostojnych gości ojca, czy w kościele oddając cześć Bogu — duch jej wychodził spod jej władzy i skłaniał się przed wolą Maule'a. — Alicjo, śmieję się! — mówił cieśla przy swoim kominku lub tylko mocno sobie tego życzył nie mówiąc ani słowa. I wtedy, nawet w czasie modlitwy lub na pogrzebie, Alicja śmiała się jak szalona. — Alicjo, bądź

smutna! — w tejże chwili łzy zalewały jej oczy gasząc wesołość wszystkich wkoło niej zebranych, jak gwałtowny deszcz gasi rozpalone ognisko. — Alicjo, tańcz! — i tańczyła, nie dworskie tańce, których się wyuczyła za granicą, lecz jakiegoś szybkiego dżiga lub skoczne rigaudony pasujące wesołym dziewczuchom na wiejskim kiermaszu. Zdawało się, że zamiarem Maule'a nie było zgnębienie Alicji czy sprowadzenie na nią jakiegoś ponurego, wielkiego nieszczęścia, które uczyniłoby jej smutki wzniosłą tragedią, lecz upokorzenie jej i wydanie na wzgardę i pośmiewisko. W ten sposób cała godność życia przepadła dla niej. Czuła się tak poniżona, że rada by była zamienić swą dolę z jakimś robakiem!

Pewnego wieczoru będąc na weselu (lecz nie jej własnym, gdyż przy takiej utracie władzy nad sobą za grzech poczytałaby sobie zamążpójście) biedna Alicja została zawezwana przez swego niewidzialnego tyrana i musiała pośpieszyć w swej białej cienkiej niby pajęczyna sukni i w atłasowych pantofelkach przez ulicę do nędznego robotniczego mieszkania. Było tam wiele śmiechu i radości, bo tej nocy Mateusz Maule poślubiał córkę robotnika i zawezwał dumną Alicję Pyncheon, aby służyła jego oblubienicy. I usłuchała go, a kiedy tych dwoje się połączyło, Alicja przebudziła się ze swego zaczarowanego snu. Lecz nie była już dumna. Pokornie, ze smutnym uśmiechem ucałowała żonę Maule'a i poszła w swoją drogę. Była to okropna noc: południowo-wschodni wiatr siekł jej słabo osłonięte ciało śniegiem i deszczem, atłasowe pantofelki przemokły, gdy brnęła zabłoconym chodnikiem. Nazajutrz przyszło przeziębienie, po nim nieustający kaszel, wkrótce potem gorączkowy rumieniec; i oto wychudła postać siedziała przy klawikordzie napełniając dom dźwiękami muzyki, w której odzywały się echa niebiańskich chórów. O, radości! Alicja zniosła ostat-

nie upokorzenie! O, stokroć większa radości! Alicja żałowała za swój jedyny grzech i przestała być dumną!

Pyncheonowie wyprawili Alicji wspaniały pogrzeb. Zebrali się wszyscy krewni i wszyscy co znaczniejsi obywatele miasta. A ostatni w żałobnym kondukcie szedł Mateusz Maule zgrzytając zębami, jak gdyby chciał przegryźć własne serce — najposępniejszy, najnieszczęśliwszy ze wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek szli za trumną! Chciał tylko upokorzyć Alicję, a nie zabijać; lecz wziął brutalnie w swą władzę delikatną duszę kobiety, by się nią zabawić — i oto kobieta nie żyła.

XIV  
POŻEGNANIE FEBE

Holgrave, który wziął się do czytania opowieści z energią i zapałem naturalnym u młodego autora, dopomagał sobie bardzo ożywioną gestykulacją w miejscach, które w ten sposób mógł rozwinąć i uzupełnić. Teraz zauważył, że jakaś osobliwa senność (całkiem niepodobna do tej, jaką być może odczuwa w tej chwili czytelnik) ogarnęła jego słuchaczkę. Było to niewątpliwie skutkiem mistycznych gestów, jakimi starał się unaocznic jej postać mesmeryzującego cieśli. Powieki Febe to opadały na oczy, to unosiły się na chwilę, to znów się opuszczały jakby obciążone ołowiem. Skłaniała się lekko ku niemu, niemalże dostosowując swój oddech do jego oddechu. Holgrave spojrział na nią zwijając swój manuskrypt i rozpoznał początkowe stadium owego ciekawego stanu psychicznego, który, jak sam powiedział Febe,

umiał wywoływać mając po temu niezwykle zdolności. Poczynała ją spowijać zasłona, w której zdolna była widzieć tylko jego i żyć tylko jego myślami i uczuciem. Wzrok artysty utkwiony w młodej dziewczynie stawał się mimo woli bardziej skupiony, poczucie siły nadało ledwie dojrzałej postaci młodzieńca godność, jakiej nie da żadna siła fizyczna. Było oczywiste, że jednym tylko ruchem ręki i odpowiednim wysiłkiem woli mógł zdobyć władzę nad wolnym jeszcze dziewczęcym duchem Febe; mógł utrwalić swój wpływ na to dobre, niewinne i proste dziecko, wpływ równie niebezpieczny i może równie zgubny jak ten, który zdobył i wykorzystał na nieszczęsnej Alicji cieśla z jego opowieści.

Dla takiego człowieka jak Holgrave, który miał umysł spekulatywny i czynne usposobienie, nie ma większej pokusy niż zdobycie władzy nad duszą innego człowieka; nic nie jest bardziej kuszące dla młodego mężczyzny od myśli, że może się stać panem losów młodej dziewczyny. Przyznajmy więc, że jakiegokolwiek wady tkwiły w jego naturze i edukacji, i mimo pogardy, jaką żywił dla instytucji i wierzeń — dagerotypista posiadał rzadką i cenną zaletę poszanowania cudzej indywidualności. Przyznajmy mu też uczciwość, na której odtąd zawsze będziemy mogli polegać; gdyż zabronił sobie zadzierzgnięcia tego następnego węzła, który mógł jego moc nad Febe uczynić nieodwołalną.

Zrobił ręką lekki ruch w górę.

— Naprawdę zmartwiła mnie pani, droga panno Febe! — powiedział uśmiechając się do niej z lekką ironią. — Jest rzeczą aż nazbyt oczywistą, że moje nędzne opowiadanie nie nadaje się zupełnie dla Godeya i Grahama! Pomyśleć tylko, że pani zasnęła słuchając tego, co, jak się spodziewałem, krytycy mieli okrzyknąć wspaniałym, potężnym, oryginalnym, pełnym

i patosu, i dramatycznego napięcia! Cóż, manuskrypt trzeba użyć do zapalania lamp, jeśli oczywiście prze-sycony subtelną nudą mojej pisaniny zdolny będzie zająć się płomieniem!

— Ja zasnąłam? Jak pan może tak mówić! — za-wołała Febe nieświadoma kryzysu, który przeszła, jak dziecko nie zdaje sobie sprawy z przepaści, nad którą znalazło się przypadkiem. — Nie, nie! Myślę, że słu-chałam z uwagą i choć nie pamiętam całkiem dokład-nie, co się właściwie zdarzyło, to jednak pozostało mi wrażenie wielkich kłopotów i nieszczęść — więc opo-wieść niewątpliwie będzie się nadzwyczajnie podobała.

Przez ten czas słońce zaszło i tylko kilka zapóźnio-nych promieni malowało chmury w zenicie żywymi barwami, które widzi się dopiero w jakiś czas po za-chodzie, kiedy horyzont ściemnieje. I księżyc, od daw-na już pnący się w górę, zacząjony w lazurze niby ambitny demagog, który ukrywa swe dążenie przy-bierając barwy uczuć powszechnych i wokół niego przeważających — począł teraz świecić jasno, szeroki i owalny, w połowie swej nocnej drogi. Jego srebrne promienie miały już w sobie dość mocy, by zmienić obraz ginącego dnia. Złagodziły i upiększyły kształt starego domu, choć cienie zapadły głębiej w załamania licznych wieżyczek i leżały w zamyśleniu pod wy-stępem piętra i we wnętrzu półotwartych drzwi.

Z każdą chwilą ogród stawał się bardziej malowni-czy; pomiędzy drzewa owocowe, zarośla i kępy kwia-tów słała się głęboka ciemność. Pospolite szczegóły, które o południu wyglądały tak, jakby nagromadziło je sto lat brzydoty życia, odmienił romantyczny czar. Sto tajemniczych lat szeptało wśród liści za każdym podmuchem morskiej bryzy. Poprzez pnącza sklepie-nia małej altanki wdzierało się światło księżycza opa-dając srebrzystą bielą na ciemną podłogę, na stół i półkolistą ławę, ruchliwe i drżące, posłuszne rozkoły-

sanym szczelinom i szparom między gałązkami, które przepuszczały lub zatrzymywały blask.

Powietrze było chłodne po upalnym dniu, a tak miły był ten chłód, że zdawał się zmieniać letnią noc w srebrną czarę napełnioną rosą i płynnym światłem księżyca, ochłodzoną kryształkiem lodu. Krople tej świeżości padały niekiedy na serca ludzkie, darzyły je młodością i jednały z odwieczną młodością natury.

Błogosławieństwo tej nocy spłynęło i na artystę. Pod jej wpływem przypomniał sobie to, o czym zwykle rzadko pamiętał, rzucony tak wcześnie w brutalność walki człowieka z człowiekiem — poczuł, że jest przecież jeszcze bardzo młody.

— Wydaje mi się — zauważył — że nigdy nie oglądał tak pięknego wieczoru i nigdy nie czułem się tak bliski szczęścia, jak w tej chwili. A jednak w jakże dobrym świecie żyjemy! Jak dobrym i pięknym. I jakież on młody! Nie ma w sobie naprawdę nic zgniętego i starczego. Ten stary dom na przykład, który czasami wprost dławił mnie zapachem próchniejącego drewna. I ten ogród, ciemna pleśń zawsze lgnie do mojej łopaty, jak gdybym był grabarzem kopiącym cmentarz. Gdybym mógł zachować uczucie, które mnie teraz ogarnia, ogród ten byłby zawsze jak rola dziewicza, pachnąca pierwotną świeżością ziemi, wonna jak jej owoce. A dom! Byłby jak altana w rajskim ogrodzie, kwitnąca różami, pierwszymi, jakie stworzył Bóg. Światło księżyca i uczucie, jakim odpowiada mu serce człowieka, to najwięksi reformatorzy świata. A wszystkie inne reformy i zmiany nie znaczą więcej niż światło księżyca!

— Byłam dawniej szczęśliwsza niż teraz, a przynajmniej o wiele weselsza — powiedziała Febe w zadumie. — Jednak czuję, jak wielki ma urok jaśniejące światło księżycowe, i patrzę rada, jak dzień, choć taki zmęczony, ociąga się niechętnie i nie chciałby, żeby go



tak rychło zwano dniem wczorajszym. Nigdy przedtem nie lubiłam specjalnie światła księżyca. Cóż się stało, że tyle jest w nim piękna dzisiejszego wieczoru?

— I nigdy przedtem nie czuła pani tego? — spytał artysta patrząc poważnie na dziewczynę w półmroku.

— Nigdy — odrzekła Febe. — I życie nie wygląda tak samo, odkąd to czuję. Wydaje mi się, jakbym dotychczas patrzyła na wszystko w jaskrawym świetle dnia albo w różowym blasku ognia, który migocze i tańczy po pokoju. Ach, jakaż ja biedna — zaśmiała się, a jej śmiech pełen był melancholii. — Nigdy już nie będę taka wesoła jak przedtem, nim poznałam kuzynkę Hepzibę i nieszczęśliwego kuzyna Clifforda. W tym krótkim czasie stałam się o tyle starsza. Starsza — i, mam nadzieję, mądrzejsza, i nie smutniejsza może, ale nie jest mi już ani w połowie tak lekko na sercu jak dawniej. Dałam im moją słoneczną radość i dałam z ochotą. Pewnie, nie mogę dawać i mieć razem. Ale to nic, niechże im służy jak najlepiej.

— Nie straciłaś niczego, Febe, co by było warte utrzymania, niczego, co by można było utrzymać — rzekł Holgrave po chwili. — Nasza pierwsza młodość nie ma wartości, gdyż nigdy nie jesteśmy jej świadomi, póki nas nie opuści. Lecz niekiedy — myślę, że zawsze, chyba że ktoś jest szczególnie nieszczęśliwy — zjawia się poczucie drugiej młodości, wytrysłe z serca, które poznało radość kochania; lub uwieńczy może jakieś inne wielkie święto w życiu — jeśli takie święto nadejdzie. Ten żal za pierwszą, beztroską, płytką pogodą uchodzącej młodości, który ty czujesz teraz, i to głębokie szczęście z młodości odzyskanej — o tyle głębszej i bogatszej niż tamta utracona — są konieczne w rozwoju ducha. W pewnych wypadkach oba te stany zjawiają się prawie równocześnie i jednocześnie smutek i uniesienie w jedno tajemne uczucie.

— Zdaje mi się, że nie rozumiem pana — rzekła Febe.

— Nic dziwnego — odrzekł Holgrave z uśmiechem. — Gdyż opowiedziałem ci tajemnicę, którą sam dopiero zacząłem pojmować, gdy zawierzałem ją słowom. Pamiętaj o niej jednak, a kiedy moja prawda stanie ci się jasna, wspomnij ten księżycowy wieczór.

— Już światło księżycyca zapanowało całkiem, tylko na zachodzie widać mały, delikatny rumieniec, o tam, między tymi domami — zauważyła Febe. — Muszę iść do domu. Kuzynka Hepziba nie bardzo jest szybka w liczeniu i rozboli ją głowa przy dziennych rachunkach, jeśli jej nie pomogę.

Lecz Holgrave zatrzymał ją jeszcze.

— Panna Hepziba mówiła mi — zauważył — że za kilka dni wraca pani na wieś.

— Tak, ale tylko na krótko — odrzekła Febe — gdyż teraz to miejsce uważam za swój dom. Jadę, aby załatwić kilka spraw i pożegnać się na dobre z matką i przyjaciółmi. Miło jest mieszkać tam, gdzie się jest bardzo pożądanym i pożytecznym, i mogę z zadowoleniem wyznać, że taką się czuję tutaj.

— Na pewno, i bardziej, niż pani przypuszcza — powiedział artysta. — I wszystko, co jest w tym domu zdrowe, krzepiące i naturalne, wcielone jest w pani esobe. Te błogosławieństwa z panią tu weszły i znikną, gdy pani opuści te progi. Panna Hepziba odsuwając się od społeczeństwa straciła wszelki z nim związek i w istocie jest umarłą, choć usiłuje utrzymać w sobie pozory życia i stoi za kontuarem dręcząc świat swą potwornie zmarszczoną twarzą. Pani biedny kuzyn Clifford to druga osoba zmarła i od dawna pogrzebana, na której gubernator z radą uczynili cud nekromancji. Nie zdziwiłbym się, gdyby się rozsypał któregoś ranka po pani odjeździe i gdyby nic z niego nie pozostało prócz garści prochu. Panna Hepziba w każ-

dym razie straci tę odrobinę giętkości, którą ma teraz. Oni oboje istnieją tylko przez panią.

— Byłoby mi przykro, gdyby tak było — odrzekła Febe poważnie. — Lecz prawdą jest, że moje skromne umiejętności są właśnie takie, jakich im potrzeba. I naprawdę obchodzi mnie ich los: czuję do nich jakiś dziwny, macierzyński sentyment, z którego nie chcę, by pan się wyśmiewał. I nich pan pozwól sobie powiedzieć, panie Holgrave, że czasem zastanawiam się i nie jestem pewna, czy pan im dobrze życzy, czy źle.

— Bez wątpienia — rzekł dagerotypista — interesuje mnie ta stara, biedna, zubożała panna i ten zniszczony, zdegradowany pan — ten poroniony miłośnik piękna. I to zainteresowanie nie jest też pozbawione sympatii. To takie stare, bezradne dzieci! Lecz pani nie ma pojęcia, jak bardzo moje serce różni się od serca pani. I nie budzą się we mnie żadne odruchy, gdy patrzę na tych dwoje, by im pomagać lub szkodzić; chcę patrzeć i analizować, wyjaśniać pewne rzeczy sobie samemu i zrozumieć dramat, który rozgrywa się przez lat blisko dwieście na tym miejscu, na którym stoimy teraz, pani i ja. Jeśli wolno mi będzie oglądać zakończenie, nie wątpię, że sprawi mi to moralną satysfakcję niezależnie od tego, jaki obrót wezmą sprawy. Mam wewnętrzne przekonanie, że nadciąga koniec. Lecz choć Opatrzność zesłała tu panią do pomocy, a mnie tylko jako uprzywilejowanego widza, zobowiązuję się udzielić tym nieszczęśliwym istotom tyle pomocy, ile będę mógł.

— Chciałabym, by pan mówił jaśniej — zawołała Febe z niepokojem i wcale niezadowolona. — A przede wszystkim, żeby pan miał w sobie więcej z chrześcijanina i z ludzkiej istoty! Jak to jest możliwe, widzieć ludzi w strapieniu i nie pragnąć nade wszystko nieść im pomoc i pociechę? Pan tak przemawia, jakby ten stary dom był teatrem, a na nieszczęścia Hepziby i Clif-

forda, i całych przed nimi pokoleń patrzy pan jak na tragedię na scenie, taką, jaką oglądałam w sali jednego zajazdu na prowincji, z tą różnicą, że ta tragedia bawi tylko pana. Nie lubię tego. Takie przedstawienie zbyt dużo kosztuje aktorów, a widzowie mają serca zbyt zimne.

— Pani jest surowa — rzekł Holgrave zmuszony przyznać, że w tym dowcipnym rysunku jego własnych nastrojów kryje się nieco prawdy.

— A poza tym — ciągnęła Febe — co pan miał na myśli mówiąc, że zbliża się koniec? Czy pan wie o jakimś nieszczęściu, które zagraża moim biednym kuzynom? Jeśli tak, niech mi pan powie od razu, wtenczas ich nie opuszczę!

— Przebacz mi, Febe! — rzekł artysta wyciągając dłoń, którą Febe musiała przyjąć. — Jestem poniekąd mistykiem, muszę to przyznać. Mam tę skłonność we krwi, razem ze zdolnością mesmeryzowania, która zaprowadziłaby mnie może na Wzgórze Szubienicy w dawnych dobrych czasach czarowników. Proszę mi wierzyć, gdybym rzeczywiście znał jakąś tajemnicę, której odkrycie pomogłoby pani przyjaciółom — a są oni również moimi przyjaciółmi — dowiedziałyby się pani o tym przed naszym rozstaniem. Lecz takiej tajemnicy nie znam.

— Pan coś ukrywa — rzekła Febe.

— Niczego nie ukrywam, za wyjątkiem moich własnych sekretów — odrzekł Holgrave. — Rzeczywiście widzę, że sędzia Pyncheon, który tak bardzo przyczynił się do nieszczęścia Clifforda, ma go ciągle jeszcze na oku. Jednakże jego motywy i intencje pozostają dla mnie tajemnicą. Jest to człowiek zdecydowany i nieugięty, prawdziwie inkwizytorski charakter; i gdyby mógł osiągnąć jakiś cel poddając Clifforda torturom, jestem przekonany, że bez wahania powyrywałby mu członki, by dopiąć swego. Lecz człowiek tak boga-

ty i wybitny jak sędzia Pyncheon, który własnymi siłami doszedł do tak wielkiego znaczenia i cieszy się poparciem społeczeństwa — czegoż by mógł spodziewać się lub obawiać ze strony zdziecinniałego, napiętnowanego hańbą starca?

— A jednak! — nagliła Febe. — Pan tak mówi, jakby groziło jakieś nieszczęście.

— Och, to dlatego, że mam chorobliwą wyobraźnię! — odrzekł artysta. — Mój umysł skłonny jest do zbaczania z prostej ścieżki, jak wszystkie niemal umysły za wyjątkiem twojego, Febe. Zresztą tak dziwnie się czuję jako mieszkaniec starego domu Pyncheonów, w tym starym ogrodzie, słuchaj, jak szemrze źródło Maule'a, że z tej tylko jednej przyczyny nie mogę się pozbyć uczucia, że Los gotuje piąty akt tragedii.

— No i proszę! — zawołała Febe znów zaniepokojona, gdyż była z natury wrogiem tajemniczości, jak słońce jest wrogiem cienia. — Znowu mnie pan przeraża więcej jeszcze niż przedtem.

— Rozstańmy się więc jako przyjaciele! — rzekł Holgrave ściskając jej dłoń. — A jeśli nie jako przyjaciele, rozstańmy się, zanim mnie pani całkiem zniechęci — pani, która kocha poza mną wszystkich ludzi na świecie!

— Do widzenia zatem — powiedziała Febe szczerze jak zawsze. — Daleko do tego, bym się miała na pana gniewać, i przykro by mi było, gdyby pan tak myślał. Oto kuzynka Hepziba stoi w cieniu drzwi od kwadransa! Uważa, że zbyt długo pozostaję w wilgotnym ogrodzie. Więc dobranoc i do widzenia!

Gdy nadszedł drugi poranek po tej rozmowie, widzieliśmy Febe, jak w swym słomkowym kapelusiku, z szalem na jednej ręce i z małym sakwojażem w drugiej, żegnała się z Hepzibą i kuzynem Cliffordem. Udawała się na stację kolei żelaznej, która miała ją

przewieźć do miejsca odległego o sześć mil od jej rodzinnej wioski.

W oczach Febe błyszczały łzy; w uśmiechu jej miłych ust był smutek pożegnania. Dziwiła się, skąd się to wzięło, że przeżycia kilku tygodni w tym smutnym starym dworze owładnęły nią tak bardzo, iż stały się ważniejsze od wszystkiego, co wydarzyło się w całym jej dotychczasowym życiu. Jakim sposobem Hepziba — posępna, milcząca i nieczuła na okazywaną jej przez Febe serdeczność — potrafiła obudzić w niej tyle miłości i przywiązania? A Clifford — przedwcześnie zgrzybiały, okryty tajemnicą okropnej zbrodni, tchnący jeszcze więzienną stęchlizną — jakże zdołał się przeistoczyć w łagodne dziecko, nad którym Febe czuła się w obowiązku roztoczyć opiekę i dla którego stała się opatrnością jego nieważnych godzin? To wszystko stanęło przed nią wyraźnie w chwili pożegnania. Cokolwiek robiła, na cokolwiek patrzyła, uczucie to nie wygasło w niej nigdy, jakby w jej sercu ukryło się drugie gorące serce.

Wyrzała oknem do ogrodu i na myśl, że opuszcza ten kawałek czarnej, zachwaszczonej od wieków ziemi, poczuła więcej żalu niż radości z tego, że zapachną jej znów sosnowe lasy i pola świeżej koniczyny. Zawołała koguta, jego dwie żony i czcigodne kurczątko i rzuciła im nieco okruszyn od śniadania. Gdy okruszyny zostały spiesznie wydziobane, kurczątko rozpostarło skrzydła i frunęło na okno siadając tuż przy Febe, popatrzyło poważnie w jej twarz i dało wyraz swym uczuciom głośnym piskiem. Febe przykazała mu, żeby było grzeczne podczas jej nieobecności, jak przystoi jej kochanemu staremu kurczątku, i obiecała mu przywieźć woreczek prosa.

— Ach, Febe — zauważyła Hepziba. — Nie uśmiechasz się już tak naturalnie jak wtedy, gdy do nas przybyłaś! Wtedy uśmiech sam wybiegał na twoją

twarzyczkę. Teraz — ty się uśmiechasz. Dobrze, że wracasz na kilka dni na powietrze, do rodzinnych stron. Zbyt duży ciężar spadł na twoje serce. Dom jest zbyt ponury i osamotniony; w sklepie pełno kłopotów; a co do mnie — nie mam tego daru, by ukazywać rzeczy z weselszej strony. Drogi Clifford był twoją jedyną pociechą!

— Chodź tutaj, Febe! — zawołał nagle kuzyn Clifford, który tego ranka odzywał się bardzo niewiele. — Bliżej! Bliżej! I spójrz mi w oczy!

Febe położyła swe małe ręce na poręczach jego krzesła i pochyliła ku niemu twarz, aby mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Możliwe, że ukryte wzruszenia pożegnalnej godziny ożywiły osłabiony i zamglony umysł. W każdym razie Febe wkrótce poczuła, że badawcze spojrzenie przenika w głąb jej serca nieomylnie odgadując wszystkie tajemnice, nie tyle wnikliwością obserwacji, co dzięki kobiecej i więcej niż kobiecej delikatności wyczucia. Do tej chwili nie była świadoma niczego, co by pragnęła ukryć. Teraz jakby spostrzegła w sobie coś nowego za pośrednictwem innej osoby i chętnie skryłaby oczy przed wzrokiem Clifforda. Rumieniec tym mocniejszy, im bardziej starała się go powstrzymać, wstępował na jej twarz coraz wyżej, kapryśną rosnącą falą, aż zalał jej czoło.

— To mi wystarczy, Febe — powiedział Clifford z melancholijnym uśmiechem. — Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, byłaś najładniejszą dziewczką na świecie; teraz jesteś piękna! Dziewiczość zmieniła się w kobiecość; pączek stał się kwiatem. Idź teraz! Czuję się bardziej samotny niż przedtem.

Febe pożegnała tę smutną parę i przeszła przez sklep, mrugając powiekami, by strząsnąć z nich kroplę rosy; gdyż tak krótko miała trwać jej nieobecność, że niedorzecznością byłoby tym się smucić. Nie chciała więc nawet przyznać się do łez wyciągnięciem chu-

steczki. Na progu spotkała małego urwisa, tego, który dokonywał tak wielkich czynów w dziedzinie pochłaniania smakołyków, co opisano na poprzednich stronicach naszej historii. Stary wujek Venner akurat wychodził ze swego domu z kozłem i piłą na ramieniu i bez żenady zaofiarował Febe swe towarzystwo, póki ich drogi się nie rozejdą; a ona nie miała serca go zostawić mimo jego łataney kurtki, zrudziałej czapki i płóciennych spodni dziwnego kroju.

— Będzie nam pani brakować w następną niedzielę — zauważył łatany filozof. — To nie do wiary, jak prędko pewni ludzie stają się dla człowieka bliscy niby własny oddech. I z przeproszeniem pani, panno Febe, choć stary człowiek może to rzec bez obrazy, pani się właśnie stała tak bliska dla mnie! Przeżyłem bardzo wiele lat, a pani życie dopiero się zaczyna, a przecież taka mi się pani wydaje swoja jak kwiaty z ogrodu mojej matki; jakby mi pani oplotła, niby winna latorośl, wszystkie ścieżki mojego życia. Niech pani prędko wraca, bo może już niedługo wyniosę się na moją farmę; trochę mi się to piłowanie drzewa widzi niedobre dla moich bolących pleców.

— Wrócę bardzo prędko — rzekła Febe.

— I niech to będzie jeszcze prędszej, dla tych tam biedaków — ciągnął jej towarzysz. — Teraz już całkiem nie potrafią się obejść bez pani. Ale to całkiem a całkiem. Tak jakby anioł Boży zamieszkał z nimi i uczynił ich dom miłym i wygodnym! Czy nie uważa pani, że byłoby im smutno, gdyby pewnego pięknego poranka, tak jak dzisiaj, anioł rozwinął skrzydła i odleciał tam, skąd przybył? Tak oni się teraz czują, kiedy pani odjeżdża do domu koleją! Nie zniosą tego, panno Febe. Więc niech pani wraca na pewno!

— Nie jestem aniołem, wujku Venner — rzekła Febe z uśmiechem podając mu rękę na rogu ulicy. — Lecz myślę, że najbliżej nam do aniołów, kiedy robi-



my tyle dobrego, ile w naszej słabej mocy. Więc powrócę na pewno.

Tak się rozstali — starzec i różana dziewczeczka. A Febe rozwinęła poranne skrzydła i wkrótce mknęła prawie tak szybko, jakby rzeczywiście dano jej ten powietrzny środek lokomocji aniołów, do których tak uprzejmie porównywał ją wuj Jenner.

TWARZ UŚMIECHNIĘTA  
I TWARZ NASEPIONA

Nad Siedmioma Szczytami przeszło kilka dni ciężkich i posępnych. Wprawdzie (aby nie przypisywać wszelkiego mroku na niebie i na ziemi jedynie niepomysłnej okoliczności odjazdu Febe) zerwał się wicher ze wschodu i niezmordowanie zabiegał o to, by czarny dach i ściany starego domu stały się smutniejsze niż kiedykolwiek. Lecz wewnątrz domu było nieskończenie bardziej smutne. Biedny Clifford został od razu pozbawiony wszystkich nielicznych źródeł radości. Febe nie było; promienie słońca nie padały na podłogę. Ogród z błotnistymi ścieżkami i zmarznięte liście, opadające ze ścian altanki, przedstawiały obraz przejmujący grozą. W bezlitośnie zimnym wilgotnym powietrzu, bryzgającym słonawą pianą niesioną wiatrem od morza, nic nie kwitło za wyjątkiem mchu porastającego brzegi gontów na dachu

i rosnącej w załamaniu frontowych ścian wielkiej kępy chwastów, które ostatnio ucierpiały od suszy.

Zaś Hepziba zdawała się już nie tylko opętana przez wschodni wiatr, lecz sama była jego wcieleniem, inną fazą tego szarego i złośliwego wybryku natury; to też był wschodni wiatr, ponury i niepocieszony, w zrudziałej jedwabnej sukni, w turbanie z girlandy chmur. Ruch w sklepie zmniejszył się, gdyż rozeszła się wieść, że Hepziba zakwasza piwo i inne łątko psujące się produkty swoim nasepionym spojrzeniem. Może to i prawda, że klienci mieli powody, by się uskarżać na jej zachowanie; lecz względem Clifforda nigdy nie była zła ani nieuprzejma i jej serce nie mniej miało dla niego ciepła niż zawsze. Gdybyż tylko mogło go ogrzać! Lecz bezużyteczność wszystkich jej najczulszych wysiłków paraliżowała biedną starą pannę. Nie wiele mogła zdziałać, siedziała więc milcząco w kącie pokoju, gdy mokre gałęzie gruszy omiatając małe okna czyniły tam nawet w południe mrok, który bezwiednie pogłębiała jeszcze Hepziba swoją nieszczęśliwą miną. Nie było w tym jej winy. Wszystko wokoło — nawet stare krzesła i stoły, które wiedziały, czym jest zła pogoda, od lat trzykrotnie przekraczających jej lata — zdawało się tak wilgotne i zmrożone, jakby ta pogoda teraz była najgorszą w ich życiu. Obraz purytanskiego pułkownika dygotał na ścianie. Cały dom trząsł się — od strychów wszystkich siedmiu skrzydeł aż do wielkiego kuchennego paleniska, które tym lepszym stało się symbolem serca tego domu, gdyż pozostawało zimne i puste, choć zbudowano je po to, by promieniowało ciepłem.

Hepziba usiłowała rozpalić w bawialni na kominku ogień, żeby choć trochę rozweselić stare kąty. Lecz demon wiatru czuwał i ilekroć zatlił się płomień, wtłaczał z powrotem dym w wyściełaną sadzami gardziel

komina, zatykając ją swym oddechem. Niemniej jednak przez cztery dni tego strasznego wichru Clifford zajmował swoje krzesło, otulony w stary płaszcz. Piątego ranka, gdy Hepziba zawołała go na śniadanie, odpowiedział tylko zgnębionym pomrukiem, wyrażając postanowienie nie opuszczania łóżka. Siostra nie próbowała zmieniać tego zamiaru. Prawdę mówiąc, choć go tak bardzo kochała, Hepziba z trudem już znosiła nieszczęsny obowiązek wyszukiwania rozrywek dla Clifforda, którego umysł był ciągle jeszcze wrażliwy, choć tak zniszczony, jeszcze krytyczny i wybredny, choć bez siły i woli. Obowiązek ten stawał się wprost niewykonalny przy jej znikomych talentach i sztywności usposobienia. Więc nie rozpaczła zbyt, że mogła siedzieć dziś sama, drżąc z zimna, i nie słyszeć westchnień swego towarzysza niedoli, które budziły w niej za każdym razem nowy ból i bezsensowne wyrzuty sumienia.

Lecz widocznie Clifford, choć nie pojawił się na dole, szukał mimo wszystko jakiejś rozrywki. Tego ranka Hepziba usłyszała dźwięki muzyki, które (jako że nie było żadnych poza tym muzycznych urządzeń w Domu o Siedmiu Szczytach) dobywały się widocznie z klawikordu Alicji. Hepziba wiedziała, że w młodości Clifford posiadał wyrobiony smak w dziedzinie muzyki, a także wysoką umiejętność gry. Trudno wszakże było pojąć, że tę umiejętność, która wymaga codziennych ćwiczeń, zachował tak dalece, jakby na to wskazywała melodia dobiegająca do jej uszu — słodka, zwiewna i delikatna, choć bardzo melancholijna. Niemniej cudownym było, że tak długo milczący instrument wydawał harmonijne dźwięki. Hepziba wspominała mimo woli historię o nieziemskich tonach przypisywanych legendarnej Alicji, które miały przepowiadać śmierć w rodzinie. Lecz, może jako dowód, że działała tu inna siła niż bezcielesne palce ducha, po

kilku uderzeniach akordy załamały się, jakby spłoszone własnym dźwiękiem, i muzyka umilkła.

Lecz skoro tylko przebrzmiały tajemnicze tony, rozległ się głos bardziej ostry; nie było sądzone, by dzień spod znaku wschodniego wiatru przeszedł bez wydarzenia, które samo przez się mogło zatruć Hepzibie i Cliffordowi najpiękniejszy nawet dzień spośród tych pięknych dni, w które przylatywały kolibry. Ostatnie echa gry Alicji Pyncheon (lub Clifforda, jeśli to on wygrywał) przerwał dysonans najbardziej zgrzytliwy — dźwięk sklepowego dzwonka. Ktoś przekroczył próg i Hepziba posłyszała stąpanie ciężkich kroków. Zwlekała chwilę otulając się w spłowiały szal, który był jej zbroją i ochroną w ciągu czterdziestoletniej wojny ze wschodnim wiatrem. Lecz jakiś charakterystyczny dźwięk — ni to kaszel, ni chrząkanie, coś jakby głucho szarpnięcie strun głosowych odbite dudnieniem w głębi klatki piersiowej — przynagliło ją do pośpiechu. Wygląd jej mówił o dzikiej determinacji wylękłego serca — tak wyglądają kobiety w chwilach niebezpieczeństwa. Niewiele jednak istot jej płci wyglądało w owych chwilach tak groźnie jak nasza biedna Hepziba ze zmarszczoną brwią. Lecz gość zamknął za sobą drzwi sklepiku, postawił przy kontuarze parasol i na spotkanie strachu i gniewu wywołanego swym przybyciem obrócił twarz pogodną i dobrotliwą.

Nie omyliły jej przecucia. Nie był to nikt inny jak sędzia Pyncheon, który, próbując bezskutecznie drzwi frontowych, wkroczył do sklepu.

— Jak się miewamy, kuzynko Hepzibo? A jakże wpływa ta niepogoda na naszego biednego Clifforda? — zaczął sędzia. I dziw niemały, że wicher ze wschodu nie zawstydził się i nie zmiękł pod ożywym ciepłem serdeczności tego uśmiechu. — Nie miałbym spokoju, gdybym się przynajmniej raz jeszcze nie dowiedział, czy mogę w jakiś sposób dopomóc jemu lub tobie.

— Nic tu nie możesz pomóc — rzekła Hepziba opowując, jak mogła, swe wzruszenie. — Ja się opiekuję Cliffordem. Ma wszelkie wygody, jakie można mieć w jego sytuacji.

— Lecz pozwól mi powiedzieć sobie, droga kuzynko — ciągnął sędzia — że błądzisz, z miłości i dobroci serca bez wątpienia i w jak najlepszych intencjach, niemniej błądzisz trzymając swego brata w takim odosobnieniu. Po co tak go odgradzać od wszelkiego współczucia i sympatii? Clifford, niestety! miał aż nazbyt wiele samotności. Niechże teraz spróbuje towarzystwa, to znaczy towarzystwa krewnych i starych przyjaciół. Pozwól mnie na przykład choć raz go zobaczyć, a ręczę za dobre skutki tej rozmowy.

— Nie możesz go zobaczyć — odrzekła Hepziba. — Clifford od wczoraj pozostaje w łóżku.

— Co? Jak? Czy chory? — krzyknął sędzia Pyncheon podrywając się jakby z przerażeniem i z gniewem, a groźna zmarszczka na czole (zupełnie jak u staroego Purytanina) rzuciła cień na ściany. — Nie, w takim razie muszę go widzieć i będę widział! A co by było, gdyby umarł?

— Śmierć mu wcale nie grozi — rzekła Hepziba dodając z goryczą, od której nie mogła się już powstrzymać: — Chyba że uśmierci go jego dręczyciel, który już dawno tego próbował!

— Kuzynko Hepzibo — rzekł sędzia z wielką powagą, która w miarę jego słów wzrastała nabrzmiewając łzawym patosem. — Czy to możliwe, byś nie widziała, jak niesprawiedliwa, niepocziwa i niechrześcijańska jest ta wieczna uraza do mnie za to, do czego niegdyś zmusił mnie obowiązek, sumienie i prawo z narażeniem mego własnego bezpieczeństwa? Cóż takiego uczyniłem na szkodę Clifforda, czego by można było nie uczynić? Czy ty, jego siostra — gdybyś wiedziała na swoje nieszczęście to, co ja miałem nie-

szczęście wiedzieć, czyż mogłabyś okazać mu więcej czułości niż ja? I czy myślisz, kuzynko, że mnie to nie sprawiło cierpienia? Że nie pozostawiło w mym łonie bólu dręczącego mnie aż po dzień dzisiejszy, przy całym powodzeniu, jakim mnie Bóg pobłogosławił? Czyż nie raduję się, gdy osądzono, iż może to być bez obrazy sprawiedliwości i bez szkody dla społeczeństwa, że ten drogi krewny, mój dawny przyjaciel, ta natura tak piękna i delikatna, tak nieszczęśliwy, przyznajmy to, a pomińmy milczeniem: „tak pełen winy!” — jednym słowem, że nasz Clifford powrócił do życia i jego radosnych możliwości? Ach, mało mnie znasz, kuzynko Hepzibo! Mało znasz to serce, które bije teraz na myśl o ujrzeniu go! Nie ma na świecie istoty ludzkiej (wyjąwszy ciebie, lecz i ty mnie tu nie wyprzedziłaś) — istoty, która by tyle łez wylała, co ja, nad nieszczęściem Clifforda! Dostrzeżasz je i teraz. Nikt więcej ode mnie nie pragnąłby przyczynić się do jego szczęścia. Wypróbuj mnie, Hepzibo! Wypróbuj człowieka, którego traktujesz jak swego wroga i wroga Clifforda! Wypróbuj Jaffreya Pyncheona, a znajdziesz go wiernym do głębi serca!

— Wielkie Nieba! — krzyknęła Hepziba doprowadzona do ostateczności tym potokiem czułych uczuć płynącym z ust surowego kuzyna. — Na Boga, którego imię znieważasz, w którego potęgę przestaję niemal wierzyć, jeżeli za tyle fałszywych słów nie odbiera ci mowy! Zaklinam cię, porzuć te wstrętne kłamstwa o miłości do twej ofiary! Nienawidzisz go! Powiedz to jak mężczyzna! Knujesz w swym sercu jakieś straszne zamiary przeciw niemu! Wyjaw je od razu — lub też, jeśli to leży w twoim interesie, ukryj je do chwili swego triumfu! Lecz nie mów mi nigdy o miłości do mego biednego brata. Tego nie zniosę! Zapomnę, co przystoi kobiecie! Doprowadzisz mnie do szaleństwa! Ani słowa więcej — bo skoczę ci do gardła!

Raz przecież gniew Hepziby dodał jej odwagi. Przemówiła. A jednak czy te straszne zarzuty i całkowite odmawianie mu ludzkich uczuć oparte były na słusznej ocenie jego charakteru, czy wypływały jedynie z nierozsądnych kobiecych uprzedzeń?

Sędzia — ponad wszelką wątpliwość — cieszył się powszechnym poważaniem. Uznawał to Kościół, uznawało państwo. Nikt temu nie zaprzeczał. W rozległym kręgu tych, co go znali w życiu publicznym i prywatnym, za wyjątkiem Hepziby i jakiegoś może poza prawem stojącego mistyka (jak na przykład dagerotypista), a może i kilku politycznych oponentów — nie było człowieka, któremu by przyszło na myśl poważnie podawać w wątpliwość, że sędzia miał prawo do szacunku. Ani też (musimy mu oddać i tę sprawiedliwość) — sam sędzia nie miał prawdopodobnie ani licznych, ani częstych wątpliwości co do tego, że zasłużył sobie na tak godną zazdrości reputację. Sumienie więc, które uważa się zwykle za najpewniejsze świadectwo prawości człowieka, jego sumienie — wyjąwszy może kilka chwil w ciągu doby i najwyżej jakiś jeden czarny dzień w ciągu całego roku — było w zgodzie z pochwalnym głosem świata. A jednak, jakkolwiek silne są to dowody, zawahalibyśmy się, gdyby przyszło ręczyć naszym sumieniem za to, że sędzia i zgodny z nim świat mieli rację, a nie miała jej biedna Hepziba, osamotniona w swym potępiającym sądzie. Może w ukryciu przed ludźmi, zapomniana przez niego samego lub schowana tak głęboko pod ozdobnym stosem ostentacyjnie spełnianych dobrych uczynków, że w codziennym życiu nie zwracała na siebie uwagi, czaiła się jakaś rzecz zła i haniebna? Co więcej, odważmy się dodać jeszcze, że mógł co dzień popełniać jakąś zbrodnię, stale odnawianą i otwierającą się jak rana, jak legendarne krwawe piętno pozo-



stałe po morderstwie, niekoniecznie uświadamiając to sobie w każdej chwili.

Ludzie zdecydowani, o silnym charakterze i małej wrażliwości są nader zdolni do popełniania takich błędów. Są to zazwyczaj ludzie, dla których formy stanowią rzecz pierwszorzędnej wagi. Polem działania są dla nich zewnętrzne zjawiska życia. Posiadają wielką zdolność chwytania i przywłaszczania sobie dużych, ciężkich, konkretnych, a przecież złudnych wartości, takich jak złoto, majątek, odpowiedzialne i intratne urzędy i zaszczyty. Z tych materiałów i z uczynków pozornie dobrych, spełnianych na oczach ludzi, osobnik z tej klasy wznosi sobie jak gdyby wysoki i wspinały gmach, który w mniemaniu innych, a na koniec i w jego własnym nie jest niczym innym jak jego charakterem — nim samym. Oglądajcie ten pałac! Wspinałe przedsionki i rząd obszernych apartamentów, posadzki wykładane mozaiką kosztownych marmurów, okna na całą wysokość pokoju, wpuszczające światło słoneczne przez najjaśniejsze kryształowe szyby, wysokie pozłacane gzymsy, sufity pokryte bogatymi malowidłami; a wyniosła kopuła, przez którą możesz, stojąc w dole na środku, patrzeć prosto w niebo, jakby nic między tobą i niebem nie było — okrywa całość. Czyż może człowiek pragnąć piękniejszego, szlachetniejszego symbolu dla wyrażenia siebie? Ach! Lecz w jakimś ciemnym zakątku — w ciasnej komórce na parterze, zaryglowanej i zamkniętej na klucz, który precz wyrzucono — lub w stojącej kałuży wody pod marmurową posadzką, którą ozdabia najpiękniejszy mozaikowy wzór — leży rozkładający się trup, który swym zaduchem zatruwa cały ów pałac. Właściciel go nie dostrzega, gdyż od dawna przyzwyczał się do niego; nie poczują go i goście, gdyż im pachną tylko bogate wonie skrzętnie rozsiewane przez pana w pałacu i kadzidło, które przynoszą i spalają przed nim z upo-

dobaniem! Czasem przypadkiem zabłądzi tu ktoś widzący i pod jego wzrokiem, który posiadał smutny dar przenikania, cały gmach znika, a pozostaje tylko ukryty kącik, zaryglowana komórka z draperią pajęczyn w zapomnianych drzwiach lub cuchnąca nora pod posadzką z rozkładającym się ciałem. Tutaj więc szukajmy prawdziwego symbolu charakteru człowieka i czynu, który jest jedyną prawdziwą rzeczywistością jego życia. I tam, pod przepychem marmurowego pałacu, ta kałuża stojącej wody, plugawa od nieczystości i zabarwiona może krwią — ta skrywana ohyda, nad którą, niepomyślnie, być może odmawia modlitwy — to dusza owego nędznego człowieka!

Zastosujmy te uwagi nieco ściślej do sędziego Pyncheona. Można przyznać (nie przypisując bynajmniej zbrodni osobie tak wybitnie czcigodnej), że w życiu jego dość było wspaniałego blichtru, by zakryć i sparaliżować sumienie bardziej czynne i subtelne niż jego sumienie. Nieskazitelność w sędziowskim urzędowaniu; lojalność w służbie publicznej na różnych stanowiskach; oddanie dla swej partii i surowa konsekwencja w przestrzeganiu jej zasad, a w każdym razie dotrzymywanie kroku jej organizowanym posunięciom; nadzwyczajna gorliwość w pełnieniu urzędu prezesa Towarzystwa Biblijnego; wzorowa uczciwość w sprawowaniu funkcji skarbnika funduszu wdów i sierot; zasługi dla ogrodnictwa — dzięki wyhodowaniu dwóch cennych odmian gruszy, i dla rolnictwa — przez działalność sławnego buhaja Pyncheonów; czystość moralna obyczajów od wielu lat; surowość, z jaką potępił, a potem odepchnął rozpustnego utracjusza-syna odmawiając przebaczenia aż do ostatniego kwadransa życia tego młodzieńca; modlitwy odmawiane rano i wieczorem oraz przy posiłkach; zasługi w propagowaniu wstrzemięźliwości; ograniczanie się, od ostatniego ataku podagry, do pięciu szklanek starego hiszpańskiego

wina dziennie; śnieżna białość koszuli, połysk butów, elegancka laska ze złotą gałką, sztywny i swobodny fason surduta z najcieńszego sukna, wystudiowana stosowność stroju i ekwipunku; skrupulatność, z jaką zwracał uwagę na znajomych spotykanych na ulicy, witając ukłonem, uniesieniem kapelusza, skinieniem głowy lub ruchem ręki wszystkich — biednych czy bogatych; dobrodusznie życzliwy uśmiech, który miał na celu uweselenie całego świata; gdzież by się pomieściły ciemniejsze rysy w portrecie złożonym z takich zalet? Tę twarz, tak stosowną, oglądał w lustrze. To cudownie urządzone życie widział każdego dnia. Czyż nie mógł uważać siebie za jego wynik i sumę, i powiadać dumnie sobie i społeczeństwu: „Oto sędzia Pyncheon!”

A przyjąwszy, że wiele, wiele lat temu, we wczesnej i lekkomyślnej młodości popełnił jakiś jedyny zły czyn — lub że nawet i teraz nieunikniona siła okoliczności pchnęłaby go do popełnienia jakiegoś uczynku wątpliwej wartości wśród tysiąca chwalebnych a przynajmniej nienaganych — czy potępilibyśmy sędziego za ten jeden grzech i za tamten, dawno zapomniany, i pozwolili, by przysłonił piękną historię całego życia? Jakiż ciężar musiałoby mieć zło, by najmniejszy jego ślad miał przeważyć cały stos zalet rzuconych na przeciwną szalę? Ten system ważenia na szalach upodobali sobie ludzie z kręgu sędziego Pyncheona. Postawiony w tej niefortunnej sytuacji twardy, zimny człowiek, który nie zagląda nigdy lub bardzo rzadko w głąb własnej duszy i śmiało buduje sobie obraz własnego charakteru na podstawie tego, co w nim widzi opinia publiczna, rzadko kiedy osiągnie prawdziwą znajomość samego siebie — chyba że z utratą majątku i reputacji. Choroba nie zawsze mu w tym pomaga; i nie zawsze godzina śmierci!

Lecz mamy się zająć teraz sędzią Pyncheonem, który w tej chwili stawia czoło dzikiej wściekłości Hep-

ziby. Ta, bez żadnej premedytacji, ku własnemu zdumieniu a nawet przerażeniu, dała wreszcie ujście swym zastarzałym urazom żywionym do krewnego od trzydziestu lat.

Jak dotąd twarz sędziego wyrażała łagodną cierpliwość — poważny i niemal pokorny protest przeciw nieprzystojnej gwałtowności kuzynki — szczerze chrześcijańskie przebaczenie krzywd zadanych jej słowami. Lecz gdy słowa te zostały nieodwołalnie powiedziane, jego fizjonomia przybrała wyraz surowy, stanowczy i nieubłagany, a zmiana ta dokonała się tak naturalnie i niepostrzeżenie, że zdawało się, iż zawsze stał tu człowiek z żelaza, a tego łagodnego wcale nie było. Wyglądało to tak, jak gdyby lekkie pastelowe obłoki zniknęły nagle z kamiennego czoła urwistej skały pozostawiając obraz nagiej odwiecznej grozy. Hepziba uwierzyła niemal, że człowiek, na którego wylała gorzyc swego serca, to nie obecny sędzia Pyncheon, lecz jej stary purytański pradziad. W tej krytycznej chwili sędzia był tak podobny do portretu w pokoju za sklepem, że gdyby istniała jakakolwiek wątpliwość co do jego pochodzenia, uznano by to za dowód wystarczający.

— Kuzynko Hepzibo — powiedział bardzo spokojnie. — Czas już z tym skończyć.

— Z całego serca! — odrzekła. — Dlaczegoż więc prześladujesz nas jeszcze? Pozostaw w spokoju biednego Clifforda i mnie. Żadne z nas nie pragnie nic więcej.

— Muszę zobaczyć Clifforda, zanim opuszczę ten dom — ciągnął sędzia. — Nie bądź szalona, Hepzibo! Jestem jedynym jego przyjacielem i to potężnym przyjacielem. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, czy aż taka jesteś ślepa, by tego nie widzieć — że Clifford nie zdobyłby nigdy tego, co nazywasz wolnością, nie tylko bez mojej zgody, lecz bez moich starań, zabiegów,

bez użycia wszystkich moich wpływów: politycznych, oficjalnych i osobistych? Czy uważałaś, że jego zwolnienie było zwycięstwem nade mną? O, nie, moja zagna kuzynko. O, nie, przynigdy! Daleko od tego. Nie. Było to spełnienie mojego zamiaru, który żywiłem od dawna. To ja go uwolniłem.

— Ty! — odrzekła Hepziba. — Nigdy w to nie uwierzę! Tobie zawdzięczał więzienie. Wolność — opatrzności Boga!

— Ja go uwolniłem! — upewnił znów sędzia Pyncheon z najwyższym spokojem. — I przychodzę tutaj, by postanowić o tym, czy zatrzyma swą wolność. Będzie to zależało od niego samego. I w tym celu muszę go widzieć.

— Nigdy! To by go przywiodło do szaleństwa! — wykrzyknęła Hepziba, lecz w słowach jej było już wahanie widoczne dla bystrych oczu sędziego; gdyż wcale nie wierzyła w dobroć jego intencji, ale i nie wiedziała, czego się więcej obawiać: ustępstw czy oporu. — Dlaczego chcesz go widzieć? To nieszczęsny złamany człowiek. Niewiele mu zostało rozumu, a nawet i tę resztę ukryje przed okiem, które nie ma dla niego miłości.

— Jeśli o to chodzi, to zobaczy w moich oczach dość miłości — rzekł sędzia z dobrze uzasadnionym zaufaniem do swej dobrotliwej miny. — Lecz, kuzynko Hepzibo, wyznałaś wiele, i to właśnie, czego potrzebowałem. Posłuchaj mnie, a wyjaśnię ci szczerze powody mego nalegania na tę rozmowę. W chwili śmierci naszego stryja Jaffreya, trzydzieści lat temu, stwierdzono (nie wiem, czy ta okoliczność zwróciła twoją uwagę wśród innych, bardziej smutnych, jakie towarzyszyły temu wypadkowi), stwierdzono zatem, że majątek, jaki pozostawił zmarły, był znacznie mniejszy od tego, na jaki go szacowano. Uchodził za człowieka bardzo majątnego. Nikt nie wątpił, że należał do najbogatszych

ludzi swego czasu. Miewał jednak takie ekscentryczne pomysły — niegłupie zresztą — by taić swe bogactwa lokując pieniądze w nieznanym zagranicznych interesach, być może pod obcym nazwiskiem, a także na różne inne sposoby, dobrze znane kapitalistom, których nie ma potrzeby tu wymieniać. Jak ci wiadomo, ostatnią wolą i testamentem stryja Jaffreya całkowity jego majątek dostał się mnie, wyjąwszy jedynie twoje dożywocie w tym starym dworze rodzinnym wraz z przylegającym kawałkiem ziemi.

— I chcesz nas tego pozbawić? — spytała Hepziba nie mogąc powstrzymać goryczy i pogardy? — Czy to jest twoja cena za poniechanie biednego Clifforda?

— Na pewno nie, droga kuzynko! — odpowiedział sędzia z dobrodusznym uśmiechem. — Przeciwnie, jak musisz przyznać, jeśli chcesz mi oddać sprawiedliwość, wyrażałem stale gotowość podwojenia lub potrojenia twych dochodów w każdej chwili, gdybyś się tylko zdecydowała na przyjęcie jakiejkolwiek uprzejmości tej natury z rąk krewnego. Nie, nie! Lecz oto jest sedno sprawy: z ogromnej bez wątpienia fortuny mego stryja nawet połowy nie odnaleziono po jego śmierci, nawet jednej trzeciej. Jestem o tym najmocniej przekonany. Otóż mam poważne powody, by przypuszczać, że twój brat Clifford może dostarczyć mi wiadomości potrzebnych do uzyskania reszty majątku.

— Clifford! Clifford miałby wiedzieć o ukrytych bogactwach! Clifford mógłby cię uczynić bogatym! — zakrzyknęła stara panna, której ta myśl wydała się śmieszna. — To niemożliwe! Ty się łudzisz. Naprawdę,, można się z tego uśmieć!

— Jest to tak pewne jak to, że tu stoję — rzekł sędzia Pyncheon i uderzył laską ze złoconą gałką o podłogę, tupiąc równocześnie nogą, jakby chciał dobitnie wyrazić swe przekonanie tym ruchem swej masywnej postaci. — Clifford sam mi to mówił!

— Nie, nie! — wykrzyknęła Hepziba z niedowierzaniem. — Śnisz chyba, kuzynie Jaffreyu.

— Nie należę do ludzi podlegających złudzeniom — powiedział sędzia spokojnie. — Na kilka miesięcy przed śmiercią stryja Clifford chełpił się przede mną posiadaniem tajemnicy niezliczonych bogactw. Robił to, by ze mnie szydzić i podniecić mą ciekawość. Wiem o tym dobrze. Lecz pamiętam wyraźnie pewne szczegóły naszej rozmowy i jestem całkowicie przekonany, że w tym, co mówił, tkwiła prawda. W tej chwili Clifford, jeśli zechce — a zechcieć musi — może powiedzieć mi, gdzie znaleźć wykaz czy dokumenty, słowem jakiegokolwiek dowody istnienia brakujących sum z majątności stryja Jaffreya. On zna tajemnicę. Jego przechwałki to nie były puste słowa. Mówił zbyt wyraźnie i pewnie, widać było, że opiera je na prawdzie przybranej w tajemnicze zwroty.

— Lecz jaki cel mógłby mieć Clifford — spytała Hepziba — by tę prawdę tak długo ukrywać?

— Był to jeden z owych złych odruchów jego upadłej natury — odrzekł sędzia wznosząc oczy ku niebu. — Uważał mnie za swego wroga. Uważał, że jestem przyczyną jego hańby, zagrażającej mu śmierci i niepowetowanych nieszczęść. Nie było zbyt prawdopodobne, by z własnej woli dostarczył wiadomości, która by wyniosła mnie jeszcze wyżej. Lecz teraz nadeszła chwila, gdy musi zdradzić swą tajemnicę.

— A gdyby odmówił? — pytała Hepziba. — Lub też, w co mocno wierzę, gdyby nie wiedział nic o tym majątku?

— Moja droga kuzynko — powiedział sędzia Pyncheon ze spokojem, który był groźniejszy od najsroźszego gniewu. — Po powrocie twego brata postarałem się (przezorność nader wskazana ze strony bliskiego krewnego i naturalnego opiekuna osoby w tej sytuacji), aby jego zachowanie i obyczaje pozostawały pod

staranną obserwacją. Sąsiedzi byli naocznymi świadkami wszystkiego, co się działo w waszym ogrodzie. Rzeźnik, piekarz, dostawca ryb, niektórzy klienci z twego sklepu i niejedna stara plotkarka zdradzili mi pewne tajemnice waszego domu. Więcej jeszcze ludzi — ja sam między innymi — może zaświadczyć o jego wybrykach przy sklepionym oknie. Tysiące osób widziało tydzień czy dwa tygodnie temu, jak chciał się rzucić na ulicę. Biorąc to pod uwagę obawiam się, choć myślę o tym z niechęcią i z głębokim bólem, iż nieszczęścia Clifforda tak nadwerężyły jego umysł,, który nigdy nie był zbyt mocny, że nie może pozostawać bezpiecznie na wolności. Konsekwencją więc tego, musisz wiedzieć — a wprowadzenie jej w życie zależy tylko od tego, co ja teraz postanowię — konsekwencją będzie zamknięcie go, prawdopodobnie na resztę życia, w zakładzie publicznym dla osób pozostających w takim nieszczęśliwym stanie umysłu.

— Nie mówisz tego poważnie! — krzyknęła Hepziba.

— Gdyby mój kuzyn Clifford — ciągnął sędzia Pyncheon zupełnie tym nie wzruszony — ze zwykłej złośliwości i z nienawiści do tego, którego dobro zgodnie z głosem natury winno być mu drogie, a nienawiść taka, jak i wiele podobnych uczuć, jest objawem choroby umysłowej, gdyby Clifford miał mi odmówić wiadomości tak dla mnie ważnej, a którą na pewno posiada, będę to uważał za ostatni dowód potrzebny, by mnie przekonać o jego obłądnie. A z chwilą, gdy się upewnię o konieczności postępowania, które wskazuje mi sumienie, znasz mnie zbyt dobrze, kuzynko Hepzibo, by żywić jakiegokolwiek wątpliwości, czy pójdę tą drogą.

— Ach, Jaffreyu, kuzynie Jaffreyu! — wykrzyknęła Hepziba ze smutkiem, nie z gniewem. — To ty jesteś chory na umyśle, nie Clifford. Zapomniałeś, że matką twą była kobieta! Że miałaś siostry, braci, dzie-



<i własne! Zapomniałeś, że na tym nędznym świecie istniała kiedyś miłość człowieka do człowieka lub li-  
tość jednego człowieka dla drugiego. Bo jakżebyś ina-  
czej mógł coś podobnego wymyślić? Nie jesteś młody,  
kuzynie Jaffreyu, ani nawet w średnim wieku! Jesteś  
już starym człowiekiem. Masz siwe włosy! Ile lat  
życia ci pozostało? Czy nie dość masz bogactw na ten  
krótki czas? Czy będziesz głodny? Czy brak ci będzie  
odzieży, czy dachu nad głową, nim zejdiesz do grobu?  
Nie! Połowa twego majątku starczyłaby na kosztowne  
jedzenie i wina, na zbudowanie domu dwakroć więk-  
szego, niż posiadasz, na okazanie większej jeszcze wspa-  
niałości światu i na to, by zostawić twemu jedynemu  
synowi dość bogactw, żeby błogosławił godzinę twej  
śmierci! Dlaczego więc chcesz uczynić rzecz tak nie-  
ludzką, tak szaloną, że nie wiem nawet, czy nazwać  
ją złem! Niestety, kuzynie Jaffreyu, ta zachłanność  
i okrucieństwo płyną w naszej krwi od dwustu lat!  
Robisz znów to samo, co zrobił przed tobą twój dziad,  
tylko w innej formie, i przekazujesz potomności prze-  
kleństwo, które po nim odziedziczyłeś!

— Mów do rzeczy, Hepzibo, na miłość boską! —  
wykrzyknął sędzia z niecierpliwością naturalną u roz-  
sądnego człowieka, który w rozmowie o interesach  
słyszy podobne głupstwa. — Powiedziałem ci o moim  
postanowieniu i nie zmienię niczego. Clifford musi  
zdradzić swą tajemnicę lub ponieść konsekwencje.  
I niech się decyduje prędko, gdyż mam kilka spraw  
<do załatwienia dziś rano, a potem ważne spotkanie na  
obiedzie z przyjaciółmi ze sfer politycznych.

— Clifford nie ma żadnej tajemnicy! — odrzekła  
Hepziba. — I Bóg nie pozwoli ci popełnić zbrodni,  
którą knujesz.

— Zobaczmy — rzekł niewzruszony sędzia. —  
A teraz wybieraj: albo przywołasz Clifforda i pozwo-  
lisz, aby ta sprawa została załatwiona w przyjaznej

rozmowie dwóch krewnych, albo zmusisz mnie do zastosowania ostrzejszych środków — będę szczęśliwy mogąc tego uniknąć. Całkowita odpowiedzialność spoczywa na tobie.

— Jesteś silniejszy ode mnie — rzekła Hepziba po krótkim namyśle — i pozbawiony litości. Clifford nie jest teraz obłąkany, lecz rozmowa, na którą nalegasz, może go doprowadzić do obłądu. Niemniej jednak, znając cię tak dobrze, myślę, że najlepiej będzie pozwolić ci, abyś się sam przekonał, iż Clifford nie posiada żadnej cennej tajemnicy. Zawołam Clifforda. Bądź dla niego litościwy! Bądź bardziej litościwy, niż zdolne jest do tego twoje serce! Gdyż Bóg patrzy na ciebie, Jaffreyu Pyncheonie!

Wyszła ze sklepu, gdzie odbywała się powyższa rozmowa; sędzia podążył za nią do bawialni i rzucił się ciężko na wielki rodzinny fotel. Wielu dawnych Pyncheonów szukało wytchnienia w jego przestronnych ramionach: rumiane dzieci po zabawie, młodzi ludzie rozmarzeni miłością, ludzie dojrzały zmęczeni troskami, starcy uginający się pod brzemieniem czasu; siadywali tam pogrążeni w rozmyślaniach, w marzeniach lub we śnie. Tradycja — choć wątpliwa — utrzymywała, że na tym samym krześle siedział pierwszy z nowoangielskich przodków sędziego, ten sam, którego obraz wciąż wisiał na ścianie — przyjmując tłum dostojnych gości surową i milczącą maską śmierci. Od tej złowroziej godziny aż do chwili obecnej nie siedział w nim może człowiek bardziej znużony i smutny niż sędzia Pyncheon — choć nie znamy tajemnicy jego serca — ten, którego widzieliśmy dopiero co stanowczym i nieubłaganym. Zapewne kosztowało go niemało, by uzbroić swe serce w żelazo. Taki spokój jest niekiedy owocem większego wysiłku niż gwałtowność człowieka słabego. A czekało go jeszcze ciężkie zadanie. Miał teraz po trzydziestu latach niewidzenia spot-

kać krewnego, który był już raz pogrzebany za życia, i wydrzeć mu tajemnicę lub znów go żywcem pogrzebać. Czy była to rzecz błaha? Czy wystarczy na to krótka chwila przygotowania i równie krótka po tym chwila odpoczynku?

— Mówiłeś coś? — spytała Hepziba oglądając się na progu bawialni, gdyż wyobraziła sobie, że sędzia wydał jakiś odgłos, który pragnęłaby wytłumaczyć sobie jako zapowiedź ustępstw. — Myślałam, że mnie wołasz.

— Nie, nie! — burkliwie rzekł sędzia Pyncheon marszcząc się surowo, a czoło jego w mrokach pokoju zdawało się ciemnopurpurowe. — Po cóż bym miał cię wołać? Czas upływa! Przyślij mi swego brata!

Sędzia wyjął zegarek z kieszeni kamizelki i trzymał go w ręku, by mierzyć czas, który upływał do chwili pojawienia się Clifforda.

**XVI**  
**POKÓJ CLIFFORDA**

Nigdy jeszcze stary dom nie wydał się Hepzibie równie pośpny jak wtedy, gdy szła spełnić swe okropne poselstwo. W tych murach kryło się coś dziwnego. Gdy mijała wydeptane korytarze, przechodziła przez labirynt drzwi i wstępowała na skrzyżujące schody, rozglądała się wokoło w zadumie i z lękiem. W swym podnieceniu nie zdziwiłaby się, gdyby za nią lub przed nią rozległy się szelesty sukien dawno pomarłych Pyncheonów lub gdyby na górze czekały na nią ich pobladłe twarze. Jej nerwy były wzburzone pełną grozy i namiętności sceną, którą przed chwilą przeżyła. Rozmowa z sędzią Pyncheonem, który tak idealnie reprezentował osobę i przymioty założyciela rodu, obudziła wspomnienia pośpnej przeszłości. Ciążyła ona na jej sercu. Cokolwiek słyszała od starych ciotek i babek o złych i dobrych kolejach losów Pynr

cheonów, opowieści, które dotąd zachowały dla niej ciepło blasku ognia na kominku — powróciły teraz ponure, upiorne i zimne jak większość rodzinnych historii przypominanych w melancholijnym nastroju. To wszystko zdawało się tylko jednym pasmem klęsk odradzających się w każdym pokoleniu, podobnych w swej treści, a różnych tylko z pozoru. Lecz Hepzibę przepełniało teraz takie uczucie, jakby sędzia, Clifford i ona sama — wszyscy troje razem — mieli właśnie dorzucić jeszcze jedno zdarzenie do rodzinnych kronik tego domu, zdarzenie, które zawrze w sobie więcej cierpienia i krzywdy niż wszystkie pozostałe i będzie większym jeszcze niż tamte nieszczęściem. Tak to cierpienie w chwili, gdy się rodzi, nabiera indywidualności, przyjmuje charakter najwyższego napięcia tragedii, które za chwilę utraci i rozpułynie się na szarej kanwie czasu wspólnej dla wszystkich wydarzeń, wesółych i smutnych, wszystkich dni. Tylko przez chwilę coś jest dziwne i wstrząsające. Oto prawda, która kryje w sobie i gorycz, i pociechę.

Lecz Hepziba nie mogła pozbyć się wrażenia, że w tej chwili dzieje się coś bezprzykładnego, co się wkrótce dokona. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Instynktownie przystanęła przy sklepionym oknie i wyjrzała na ulicę, aby się upewnić, że istnieją jeszcze jakieś stałe przedmioty, i w ten sposób uspokoić się, gdy jej własny świat wirował i drżał w posadach. Doznała wstrząsu, skoro ujrzała, że wszystko wygląda tak samo jak wczoraj i zawsze, wyjąwszy różnicę między dniem słonecznym a burzliwym. Oczy jej błędziły wzdłuż ulicy, od progu do progu, dostrzegając mokre chodniki, na których gdzieniegdzie widniały kałuże w zagłębieniach niewidocznych, póki nie wypełniły się wodą. Wysilała swój zamglony wzrok, aby wyraźnie dostrzec pewne okno, w którym widziała, a raczej odgadywała siedzącą przy pracy szwaczkę. Hepziba ucze-

piła się wzrokiem tej odległej postaci, spragniona jakiegoś ludzkiego towarzystwa. Potem oczy jej przyciągnął przejeżdżający pędem powóz; patrzyła na jego wilgotny błyszczący daszek i koła bryzgające błotem, aż znikł za rogiem ulicy i nie mógł już związać jej myśli błędzającej bez celu pod naporem rozpaczy i strachu. Gdy pojazd zniknął, ociągała się jeszcze przez chwilę, bo ukazała się teraz połatana kurta dobrego wujka Vennera, który włókł się z wolna w dół ulicy kulejąc, gdyż wschodni wiatr napędził mu reumatyzmu. Hepziba pragnęła, by szedł jeszcze wolniej i bliskością przyjaznej duszy ulżył, chociaż przez chwilę, jej przejmującej samotności. Wszystko, co mogło odciągnąć ją od bolesnej terażniejszości i postawić ludzkie istoty między nią i tym, co ją czekało, cokolwiek mogło odsunąć choć trochę nieuniknione zadanie, które musiała wykonać — to wszystko było upragnione. Do takich dystrakcji są skłonne serca pogrążone w ciężkim strapieniu i w tym podobne są sercom nie zmacowanym żadną troską.

Hepziba, niezbyt odporna na cierpienia własne, ugięła się zupełnie pod ciężarem cierpienia, które miała zadać bratu. Clifford tak był słaby z natury i tak rozbity nieszczęściem swego życia, że musiało to doprowadzić do katastrofy prawie nieuniknionej, gdyby postawiono go twarzą w twarz z twardym, nieubłaganim człowiekiem, który stał się jego złym duchem. Nawet gdyby nie było między nimi dawnych uraz i wrogości płynącej ze sprzecznych interesów, sama tylko odraza natury wrażliwej do kogoś o silnym, nieczułym i brutalnym charakterze musiała być zgubną dla tego słabszego — tak jakby ktoś rzucił porcelanową wazę, już pękniętą, na kolumnę z granitu. Nigdy przedtem nie uświadamiała sobie Hepziba tak jasno siły swego kuzyna Jaffreya — siły, na którą składały się upór, energia, nieugięta wola, długoletnie przyzwy-

czajenie do czynnego życia wśród ludzi i (jak święcie wierzyła) brak skrupułów w dążeniu złymi środkami do samolubnych celów. Że sędzia Pyncheon łądził się co do tajemnicy pozostającej rzekomo w posiadaniu Clifforda, potęgowało jeszcze trudność tej sytuacji. Ludzie dążący do celu tak nieugięcie i z natury roztropni, jeśli przypadkiem wytworzą sobie mylny pogląd na jakąś praktyczną sprawę, tak go sobie wbijają w głowę i otoczą zaraz pancierzem rzekomych dowodów ukutym z okoliczności, których prawdziwość jest oczywista, że wydrzeć go z ich umysłu przedstawia trudność nie mniejszą chyba od wyrwania z ziemi dębu. Zatem skoro sędzia wymagał od Clifforda niemożliwości, ten ostatni, nie mogąc spełnić jego żądania, musiał zginąć. Bo cóż by się stało z miękka, poetyczną naturą Clifforda w rękach tego człowieka? Z Cliffordem, który nie powinien mieć innych zadań jak dostrojenie pięknego, radosnego życia do melodii i rytmów muzyki? Tak, cóż się z nim już stało? To człowiek już załamany, zniszczony, a za chwilę czeka go zupełna zagłada!

Zrodziła się w niej przelotna myśl, czy Clifford rzeczywiście nie wiedział czegoś o zaginionym majątku zmarłego stryja, jak posądzał go sędzia. Przypomniały się jej jakieś aluzje brata, które można by sobie w ten sposób wytłumaczyć, gdyby to przypuszczenie nie było całkiem niedorzeczne. Snuł jakieś plany podróży i pobytu za granicą, marzenia o świetnym życiu w domu i wpaniałe zamki na lodzie, do urzeczywistnienia których trzeba by ogromnych bogactw. Gdyby to leżało w jej mocy, jakże chętnie przekazałaby Hepziba takie bogactwa swemu krewnemu o żelaznym sercu, by kupić dla Clifforda wolność i spokój w starym posępnym domu! Lecz była przekonana, że rojenia jej brata są tak pozbawione realnych podstaw jak marzenia o przyszłości, które się roją dziecku siedzącemu na kolanach

matki. Clifford posiadał złoto tylko na księżycu, a tym nie zadowolili się sędzia Pyncheon!

Czy nie było już dla nich wyjścia z tej rozpaczliwej sytuacji? Dziwnym się zdało, że nie miała żadnej pomocy, gdy wokoło niej rozciągało się całe miasto. Byłoby tak łatwo otworzyć okno i wołać o pomoc, a na to wołanie przybiegłby każdy czując, że jest to krzyk ludzkiej duszy w straszliwej męce. Lecz jakże nie-szczęśny, śmieszny nieomal zbieg okoliczności, a przecież jak zwykły w tej beznadziejnej gorączce życia, myślała Hepziba, że ktokolwiek by pośpieszył na pomoc, z jak najlepszym w sercu zamiarem, pomógłby na pewno — stronie silniejszej! Siła i zło razem połączone mają, jak namagnesowane żelazo, nieodpartą moc przyciągania. Z jednej strony sędzia Pyncheon — osoba w opinii społeczeństwa wybitna, na wysokim stanowisku; bardzo majątna, filantrop, członek Kongresu i Kościoła, ściśle związany ze wszystkim, co daje dobre imię, tak imponujący w tym korzystnym świetle, że gama Hepziba z trudem panowała nad sobą, by się nie wzdrygnąć przed własnym sądem o jego nieprawości. Sędzia po jednej stronie. A któż po drugiej? Morderca Clifford. Niegdyś postrach miasta. Teraz — symbol hańby.

Niemniej, choć wiedziała, że sędzia obróciłby wszelką pomoc na swoją korzyść, Hepziba tak była nieprzyzwyczajona do samodzielnego działania, że najmniejsze słowo zachęty pchnęłoby ją do czynu. Mała Febe Pyncheon od razu wyjaśniłaby sytuację, jeśli nie poddaniem nadającej się do wykonania myśli, to samym ciepłem swej życzliwości i energii. Hepziba przypomniała sobie artystę. Wiedziała, że Holgrave — choć młody i nieznany, zwykły włóczęga i awanturnik — posiadał siłę wewnętrzną, dzięki której mógł stać się jej obrońcą w chwili krytycznej. Z tą myślą odryglowała drzwi, długo nie używane i zarosłe pajęczyną, które dawniej



służyły jako przejście od jej części domu do skrzydła, gdzie wędrowny dagerotypista znalazł tymczasem mieszkanie. Nie było go tam. Rozłożona na stole książka obrócona grzbietem do góry, zwój rękopisu, na pół zapisana kartka, gazety, narzędzia, którymi się posługiwał w obecnym swym zawodzie, i kilka odrzuconych dagerotypów wskazywałyoby, że był gdzieś niedaleko. Lecz o tej porze dnia, jak mogła przewidzieć Hepziba, artysta znajdował się w swych pokojach przyjęć. Wiedziona odruchem pustej ciekawości, która zabłąkała się do jej ciężkich myśli, rzuciła okiem na jeden z dagerotypów i oto spod namarszczonych brwi spojrział na nią sędzia Pyncheon! To patrzyło jej przeznaczenie. Zawróciła od swych bezowocnych poszukiwań z uczuciem ciężkiego rozczarowania. Przez całe swoje osamotnione życie nigdy tak dotkliwie nie czuła samotności jak teraz. Zdawało się, jakby dom stał na pustyni lub jakieś czary uczyniły go niewidzialnym dla sąsiadów i przechodniów; tak że każde nieszczęście, straszny wypadek czy zbrodnia mogły się tu zdarzyć nie zauważone przez nikogo. W swym smutku i obrażonej dumie Hepziba przez całe życie odsuwała się od wszystkich życzliwych, dobrowolnie odrzucając oparcie, którego zrządzeniem Stwórcy potrzebują od siebie nawzajem ludzie. A teraz, jako kara za ten grzech, oboje z Cliffordem staną się łatwym łupem wroga.

Wróciwszy do sklepionego okna biedna Hepziba marszcząc groźnie brwi podniosła swe krótkowzroczne oczy ku niebu i usiłowała przesłać modlitwę przez gęsty szary pułap chmur. Mgły zebrały się jakby dla zobrazowania wielkiej masy ludzkich cierpień, zwątpień, błędzenia i zimnej obojętności wiszącej między ziemią i szczęśliwym niebem. Jej wiara była za słaba, a modlitwa zbyt ciężka, by wznieść się w górę. I z powrotem opadła na jej serce ołowiem! Naszły ją posępne myśli, że Opatrzność nie miesza się w te drobne

krzywdy wyrządzane przez człowieka swym bliźnim i nie udziela żadnej pociechy za małe cierpienia samotnej duszy, lecz rzuca swą sprawiedliwość i miłosierdzie szerokim gestem, niby słońce, od razu połowie wszechświata. Olbrzymia rozpiętość tych łask czyni je niczym. Lecz Hepziba nie spostrzegła, że tak jak ciepły promień słońca trafia do każdej chaty, tak promienie miłości niosące opiekę i litość Boga spływają na każdego, kto ich potrzebuje.

W końcu nie znalazła już pretekstu, by odwlec męczarnie, które miała zadać bratu — a to było prawdziwą przyczyną ociągania się przy oknie, poszukiwania artysty a nawet nieudanej modlitwy; obawiała się też, że usłyszy z dołu łający ją za ociąganie surowy głos sędziego. Powlokła się, blada zbolała postać, posępny cień kobiety, na zdrętwiałych nogach, zwolna do drzwi brata i zapukała.

Nie było odpowiedzi.

Bo jakżeby być mogła? Jej drżąca i niechętna ręka uderzyła w drzwi tak słabo, że dźwięk chyba nie przeniknął do wnętrza. Zapukała powtórnie. Żadnej odpowiedzi! I w tym nic nie było dziwnego. Stukała z całej mocy dygocącego serca, udzielając owym uderzeniom w jakiś subtelny magnetyczny sposób swego lęku. Clifford zapewne wcisnął twarz w poduszkę i ukrył głowę pod kołdrą jak przestraszone dziecko o północy. Zapukała po raz trzeci — trzy regularne uderzenia, łagodne, lecz całkiem wyraźne, znaczące. Gdyż jakkolwiek ostrożnie staramy się regulować uderzenie, nie powstrzymamy ręki, by nie wygrała na nieczułym drewnie, nie powstrzymamy ręki, by nie wygrała na nieczułym drewnie melodii naszych uczuć.

Clifford nie dawał odpowiedzi.

— Cliffordzie! Drogi braciszku! — przemówiła Hepziba. — Czy mogę wejść?

Milczenie.

Dwa czy trzy razy, i więcej jeszcze, powtórzyła Hepziba jego imię — bez skutku, aż wreszcie obawiając się, że w głębokim uśpieniu brata coś się kryje niezwykłego, otworzyła drzwi i weszła. Zastała pokój pusty. Jak mógł wyjść i kiedy, bez jej wiedzy? Czy możliwe, by pomimo słoty, zmożony nudą, poszedł odwiedzić swoje zwykłe miejsce w ogrodzie i drzy teraz pod nieprzytulnym dachem altanki? Pośpiesznie podniosła okno, wysunęła okrytą turbanem głowę a za nią chudą postać i przepatrywała cały ogród tak dokładnie, jak tylko jej pozwalał słaby wzrok. Widziała wewnątrz altany i półkolistą ławę mokrą od ściekającej z dachu wody. Nikt na niej nie siedział. Clifforda nie było w pobliżu, chyba że ukrył się (jak sobie przez chwilę wyobrażała Hepziba) pod wspartą na płocie starą drewnianą ramą oplataną mokrym gąszczem szerokich liści dyni. Ale tam go też nie było, bowiem gdy Hepziba patrzyła w to miejsce, wysunął się stamtąd jakiś niesamowity kocur i skradał się do ogrodu. Czy to z odrazy do tego kociego ruchu, czy dlatego, że kot wyglądał tak, jakby knuł coś złego, stara panna mimo całej grozy swego położenia poczuła chęć przegnania tego zwierzęcia i rzuciła weń kijem okiennym. Kot spojrział na nią jak przyłapany złodziej lub morderca i umknął. Kogut z rodziną albo wcale nie opuszczał grędy, albo zniechęcony nie kończącym się deszczem wcześniej tam powrócił. -

Hepziba zamknęła okno.

Lecz gdzie był Clifford? Czy być mogło, że czując obecność swego prześladowcy chyłkiem przemknął się po schodach w czasie, gdy sędzia i Hepziba stali rozmawiając w sklepie, cicho odemknął rygle zewnętrznych drzwi i wysunął się na ulicę? Na tę myśl ujrzała w wyobraźni jego postać — siwą, z twarzą pomarszczoną, o dziecinnym wyrazie, w staroświeckich sukniach, które nosił po domu; postać, w jakiej niekiedy w przy-

krym śnie oglądamy siebie czując na sobie oczy całego świata. Ta nieszczęsna figura, jej brat, będzie wędrować przez miasto przyciągając wszystkie spojrzenia, budząc wszędzie zdumienie i odrazę, jak upiór tym bardziej przerażający, że widoczny w samo południe. Narazi się na śmiech młodych, tych, co go nie znali, na gorszą jeszcze pogardę i oburzenie kilku starych, którzy mogli pamiętać jego twarz z dawnych lat. Będzie pośmiewiskiem chłopców, którzy, skoro dojdą do lat, gdy mogą już biegać po ulicy, nie czują uszanowania dla tego, co piękne i święte, ani litości dla tego, co smutne, ni uznania dla wzniosłości nieszczęścia uświęcającego kształt ludzki, w który się wcieli. Tych uczuć mają nie więcej, niż gdyby szatan był im ojcem! Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Clifford smagany ich drwiną, przeraźliwym krzykiem i okrutnym śmiechem, znieważany nieczystościami ulicy, które za nim będą rzucać, lub, co też być mogło, doprowadzony do szaleństwa dziwaczością swej sytuacji, choćby nikt nie pognębił go nawet jednym słowem — popełnił jakieś dziwactwo, które na pewno będzie poczytane za dowód obłąkania! W ten sposób mógłby się urzeczywistnić szatański zamysł sędziego Pyncheona.

Potem Hepziba pomyślała, że miasto było prawie całkowicie otoczone wodą. Przystanie ciągnęły się daleka w głąb portu i przy tej nie sprzyjającej pogodzie były opuszczone przez zwykły tłum kupców, robotników i marynarzy. Samotne przystanie, przycumowane statki we mgle... Gdyby zawiodły go tam bez celu błędzące kroki, gdyby pochylił się choć raz nad czarną głębiną, czy nie pomyślałby, że tu znajdzie pewne schronienie, że jednym krokiem lub wychyleniem ciała uwolni się na zawsze od mściwej ręki krewnego? O, cóż za pokusa! Zamienić ciężar troski na wieczny spokój! Zapaść się ze swym brzemieniem i nigdy się już nie wynurzyć!

Groza tej ostatniej wizji zmogła Hepzibę. Nawet

Jaffrey Pyncheon musi jej teraz pomóc! Pośpieszyła na dół z krzykiem.

— Clifford zginął! — krzyczała. — Nie mogę znaleźć mego brata! Pomocy, Jaffreyu Pyncheonie! Bo stanie mu się coś złego!

Otworzyła z trzaskiem drzwi bawialni. Lecz gałęzie za oknem rzucały cień, sufit był poczerniały od dymu, a ściany wykładane ciemną dębową boazerią, tak że słaby wzrok Hepziby zaledwie dostrzegał postać sędziego. Była wszakże pewna, że widzi go siedzącego w fotelu przodków, na środku pokoju, z głową nieco opuszczoną, skierowaną do okna. Tak silny i niewzruszony jest system nerwowy mężczyzn tego typu co sędzia, że może nawet nie poruszył się od chwili, gdy odeszła, i jak zawsze opanowany siedział ciągle w tej samej pozycji.

— Jaffreyu! — krzyknęła niecierpliwie Hepziba zawracając natychmiast od drzwi bawialni, by biec do innych pokoi. — Mego brata nie ma na górze! Pomóż mi go szukać!

Lecz sędzia Pyncheon nie był człowiekiem, którego trwoga histerycznej kobiety mogła poderwać z fotela z pośpiechem niestosownym dla jego godności i potężnych kształtów. Biorąc wszakże pod uwagę swój własny w tej sprawie interes, mógłby się ruszyć nieco zwawiej.

— Czy słyszysz mnie, Jaffreyu Pyncheonie? — wrzasnęła Hepziba wracając do drzwi bawialni po bezskutecznym przeszukaniu wszystkich kątów. — Clifford zniknął!

W tejże chwili z wnętrza bawialni wyłonił się Clifford. Jego twarz była przeraźliwie blada; tak śmiertelnie blada, że w niewyraźnym mroku korytarza Hepziba widziała jego rysy, jak gdyby światło tylko na nie padało. Gwałtowny, dziki wyraz tej twarzy wystarczyłby sam przez się, by ją rozświetlić. Był to wyraz

pogardy i szyderstwa i podobne wzruszenia wyrażał jego gest. Stał na progu, odwrócony częściowo, i wskazywał w głąb bawialni wyciągniętą ręką potrząsając nią z wolna, jakby przywoływał nie tylko Hepzibę, lecz cały świat, by oglądał rzecz niepojęcie śmieszną. To zachowanie, tak niestosowne i cudaczne, i to wejrzenie, w którym wśród innych pomieszanych uczuć najwięcej było radości, przejęły Hepzibę strachem. Przeraziła się, że wizyta straszliwego kuzyna doprowadza jej biednego brata do zupełnego obłądu. Nie mogła też wytłumaczyć sobie spokoju sędziego inaczej, jak tylko tym, że miał się na baczości przed szaleństwem Clifforda.

— Uspokój cię, Cliffordzie! — wyszeptała siostra wznosząc rękę, by nakazać mu ostrożność. — Och, na Boga, bądź spokojny!

— Niech on będzie spokojny! Co ma lepszego do roboty? — odpowiedział Clifford, gestem bardziej jeszcze dzikim wskazując na pokój, z którego wyszedł przed chwilą. — My, Hepzibo, możemy teraz tańczyć! Możemy śpiewać, śmiać się, bawić, robić, co się nam podoba. Ciężar znikł, Hepzibo! Znikł z tego starego znużonego świata i nasze serca mogą być teraz tak lekkie jak małej Febe!

I zgodnie z tymi słowami począł się śmiać pokazując ciągle palcem na niewidoczny dla Hepziby przedmiot w głębi bawialni. Rzuciła się naprzód, przebiegła obok Clifforda i zniknęła w pokoju; lecz prawie natychmiast powróciła ze zduszonym krzykiem. Spojrzała na brata przerażonym i pytającym wzrokiem i zobaczyła, że dygocze na całym ciele. A wśród gwałtownego wzruszenia i strachu tliła się jeszcze dzika radość.

— Boże mój! Cóż się z nami stanie? — wyjąkała Hepziba.

— Pójdź! — rzekł Clifford krótko i stanowczo, tonem zupełnie u niego niezwykłym. — Za długo tu

pozostajemy! Zostawmy stary dom naszemu kuzynowi Jafireyowi! On się nim dobrze zaopiekuje!

Hepziba spostrzegła teraz, że Clifford ma na sobie płaszcz, którym się okrywał w te zimne dni wschodniego wiatru. Skinął ręką, wyrażając, o ile go mogła zrozumieć, zamiar opuszczenia wraz z nią domu. Są takie chaotyczne, ślepe lub pijane chwile w życiu ludzi, którym brak prawdziwej siły charakteru — chwile próby, w których odwaga występuje najsilniej, lecz w których człowiek zdany na samego siebie błąka się bez celu lub ślepo słuca każdego, kto nim zechce pokierować, choćby to było dziecko. Każdy plan, jakkolwiek niedorzeczny i szalony, jest dla niego darem Niebios. Ten stan osiągnęła Hepziba. Nienawykła do działania i odpowiedzialności, przepełniona grozą na myśl o tym, co zobaczyła, bojąc się pytać, a nawet wyobrazić sobie, jak to się stało, przerażona tym fatum, co zdawało się ścigać jej brata — odurzona mglistą, ciężką, duszną atmosferą trwogi, która napełniała dom niby śmiertelnym zaduchem i tłumiła każdą wyraźniejszą myśl — Hepziba natychmiast i bez pytania uległa Cliffordowi. Była jak we śnie, kiedy wola przestaje działać. Clifford, zawsze tej władzy pozbawiony, odzyskał ją w napięciu krytycznej chwili.

— Czemu tak zwlekasz? — krzyknął ostro. — Nałóż płaszcz i kaptur, albo co chcesz! Wszystko jedno co! Nie możesz wyglądać pięknie ani bogato, moja biedna Hepzibo! Weź sakiewkę z pieniędzmi i chodź!

Hepziba usłuchiwała tych poleceń, jakby nic innego nie można było zrobić ani wymyślić. Zaczęła się co prawda zastanawiać, dlaczego się nie budzi i w jakim zawrotnym punkcie szczytowym tych okropności dusza jej ocknie się i uświadomi sobie, że nic z tego wszystkiego nie zdarzyło się naprawdę. Oczywiście, to nie mogła być rzeczywistość. Ten czarny, owiany wschodnim wiatrem dzień jeszcze się nie zaczął; sę-

dzia Pyncheon nie rozmawiał z nią; Clifford nie śmiał się, nic nie pokazywał, nie uprowadzał jej ze sobą; po prostu, jak się często zdarza tym, co śpią w samotności, trapił ją zły sen niedorzecznymi obrazami grozy.

„Teraz, teraz obudzę się na pewno! — myślała Hepziba, gdy dreptała to tu, to tam, czyniąc drobne przygotowania. — Już dłużej tego nie wytrzymam! Teraz się muszę obudzić”.

Lecz chwila przebudzenia nie nadchodziła. Nie przyszła nawet wtedy, gdy tuż przed opuszczeniem domu Clifford zakradł się do drzwi bawialni i oddał pożegnalny ukłon jedynemu mieszkańcowi tego pokoju.

— Jak śmiesznie teraz wygląda ten stary jęgo-  
mość! — szepnął do Hepziby. — I właśnie wtedy, gdy  
sobie uroił, że trzyma mnie całkowicie w swych szponach! Pójdź, pójdź! Pośpiesz się, bo wstanie jak Olbrzym Rozpaoz ścigający Chrześcijanina i Ufnego\* i pochwyci nas jeszcze!

Gdy wyszli na ulicę, Clifford zwrócił uwagę Hepziby na litery wyryte na jednym ze słupów frontowego wejścia. Widniały tam jego własne inicjały, które wyciął, gdy był jeszcze chłopcem, litery pełne wdzięku, który zdawał się nieodłączny od Clifforda. Tak odeszli brat i siostra i pozostawili sędziego Pyncheona w starym krześle praojców, w zupełnej samotności. Był ciężki i bezwładny, i do niczego z większą trafnością nie możemy go porównać jak tylko do zgasłej zmory nocnej, która szeszła wśród własnej złości i pozostawiła swe ciężkie zwłoki na piersiach dręczonego, by się ich pozbył, jak umie.



XVII  
SOWY UCIEKAJĄ

Choć był to środek lata, resztki zębów Hepziby szczękały w zimnych podmuchach wschodniego wiatru, bo dał im prosto w twarz, gdy szli ulicą Pyncheonów ku miastu. Jej ręce zlodowaciały i drżała na całym ciele, lecz nie tylko od bezlitosnego wichru. Mróz przenikał jej serce, co sprawiało, że jeszcze bardziej niż ciało trzęsła się jej dusza. Lodowate tchnienie szerokiego świata odbierało wszelką otuchę. Takie wrażenie odnosi każdy, kto wchodzi w świat na nowo, nawet gdyby najcieplejszy prąd życia płynął przez jego żyły. Jakiż tedy musiał się on wydawać Hepzibie i Cliifordowi, starym już, a tak podobnym do dzieci w braku doświadczenia — gdy porzucili dom i osłaniający go szerokim cieniem wiaz Pyncheonów. Wędrowali na obczyznę, na taką właśnie pielgrzymkę, jaka często marzy się dziecku,

które wybiera się na koniec świata z sześciopensówką i kawałkiem biszkoptu w kieszeni. Umysł Hepziby dręczyła świadomość, że porwała ją jakaś fala i unosi w nieznaną. Straciła władzę kierowania swym losem, lecz wobec otaczających ją trudności czuła, że nie warto czynić wysiłków, by ją odzyskać, a zresztą do żadnego wysiłku nie była zdolna.

Gdy tak wędrowali, rzucała niekiedy z boku spojrzenie na Clifforda i nie uszło jej uwagi, że był mocno podniecony. To podniecenie właśnie dało mu energię i stanowczość, z jaką od razu opanował sytuację. Było nieco podobne do upojenia winem. Lub z większą dozą fantazji można by je porównać do wesołego utworu muzycznego, granego z werwą i życiem na rozstrojonym instrumencie. Jak fałsz uderza w ucho najgłośniej w najbardziej porywających frazach melodii, tak postać Clifforda przenikał dreszcz w chwilach, gdy uśmiechał się najbardziej triumfująco, gdy zdawało się niemal, że zacznie skakać z radości.

Na ulicach spotykali niewielu ludzi, nawet gdy przeszli z bocznej dzielnicy, gdzie stał Dom o Siedmiu Szczytach, do tej części miasta, która była zazwyczaj bardziej ruchliwa i ludna. Lśniące od deszczu chodniki z małymi kałużami wody rozsianymi tu i ówdzie na nierównej powierzchni, parasole wystawione ostentacyjnie w oknach sklepowych, jak gdyby życie handlowe skupiło się na tym jednym artykule; mokre liście kasztanów i wiązów zrywane przedwcześnie przez wichurę i rozrzucone na drodze, błoto nagromadzone na środku ulicy, która — o przewrotności! — stawała się tym brudniej sza, im dłużej i staranniej zmywał ją deszcz; oto niektóre bardziej widoczne szczegóły tego niesłychanie ponurego obrazu. Życie zamarło; i tylko z rzadka zaklapała przejeżdżająca karetka lub powóz z zakapturzonym woźnicą, zamajaczyła niby wyrzucona falą jakiegoś podziemnego kanału

postać starca, który grzebał kijem w mokrym stosie śmieci szukając zardzewiałych gwoździ. W drzwiach urzędu pocztowego czekało na spóźnioną pocztę kilku kupców wraz z redaktorem i jakimś wszędobyłskim politykiem; w oknie biura ubezpieczeń paru emerytowanych kapitanów okrętu patrzyło pustym wzrokiem na pustą ulicę, klnąc nie pogodę, brak wiadomości i miejscowych plotek. Cóż to byłoby za skarb dla tych czcigodnych plotkarzy, gdyby mogli odgadnąć, jaką tajemnicę unosili ze sobą Hepziba i Clifford! Lecz ich sylwetki mniej przyciągnęły spojrzeń niż młoda dziewczyna, przebiegająca w tej samej chwili, która podniosła spódnicę troszkę za wysoko. Gdyby dzień był słoneczny i pogodny, nie mogliby przejść przez miasto nie zwracając na siebie uwagi. Teraz, prawdopodobnie dlatego, że ich postacie, które mogły w słońcu razić, harmonizowały z wichrem i słotą, Hepziba i Clifford rozpływali się w szarej mgle i zapomniano o nich, gdy tylko zniknęli z oczu.

Biedna Hepzibia! Gdyby o tym wiedziała, doznałaby nieco ulgi; gdyż do jej trosk — dziwna rzecz — doszło jeszcze kobiece i staropanieńskie zmartwienie płynące z poczucia nieodpowiedniego stroju. Dlatego starała się zapaść głębiej w siebie, jak gdyby w nadziei, iż ludzie pomyślą, że to tylko płaszcz i kaptur, wytarte i żałośnie spłowiałe, zażywają świeżego powietrza wśród burzy.

Gdy tak szli, wszystko zdawało się jej nierzeczywiste do tego stopnia, że dotykając swej ręki wcale jej nie czuła. Najgorsza nawet pewnością byłaby lepsza od takiego stanu. Szeptwała do siebie bezustannie: — Czy ja śnię? Czy ja śnię? — i czasem wystawiała twarz na lodowate bryzgi wichru, aby przykry chłód i wilgoć upewniły ją, że to nie sen. Czy było to zamiarem Clifforda, czy też zaprowadził ich tam przypadek, tak się stało, że oto znaleźli się pod sklepieniem przej-

ściem dużego budynku z szarego kamienia. W ogromnym wnętrzu wzbijały się ku górze wirujące kłęby pary i dymu naśladując chmury nad ich głowami. Przed nimi stał rząd wagonów gotowy do odjazdu; lokomotywa drżała i dymiła jak rumak rwący się do biegu; zadzwonił dzwon, krótko i nagłaco, tak jak wzywa nas życie mknące swym szybkim lotem.

Bez pytań, bez namysłu, z nie spotykanym u niego zdecydowaniem, które było raczej lekkomyślnością i opanowało go dzisiaj tak nieoczekiwanie, a przez niego udzieliło się i Hepzibie, Clifford poprowadził ją w kierunku wagonów i pomógł jej wsiąść. Dano sygnał, lokomotywa zasapała krótkim, szybkim oddechem; pociąg ruszył i wraz z setką innych pasażerów dwoje osobliwych podróżników pomknęło naprzód jak wicher.

Na koniec więc i tych ludzi, tak długo odsuniętych od wszystkiego, co robił świat i czym się cieszył, wciągnął wielki prąd życia i niósł ze sobą, jakby ich gnało samo przeznaczenie.

Dręczona jeszcze myślą, że nic z tego, co się zdarzyło, nie mogło być rzeczywiste, łącznie z wizytą sędziego Pyncheona, samotnica z Siedmiu Szczytów wyszeptała do ucha brata:

— Cliffordzie, Cliffordzie! Czy to nie sen?

— Sen, Hepzibo? — powtórzył śmiejąc się jej w twarz. — Przeciwnie, nigdy moje życie nie było bardziej rzeczywiste niż teraz.

Tymczasem za oknem uciekał przed nimi świat. W jednej chwili lecieli z hałasem przez opustoszałe pola; w następnej wyrastała wokoło wieś; jeszcze kilka oddechów — i wieś zniknęła, jaby pochłonęto ją trzęsienie ziemi. Wieże zborów zdawały się odrywać od podstaw; rozległe wzgórza o łagodnych zboczach sunęły w dal. Wszystko to poderwało się z odwiecznego spoczynku i mknęło z huraganową szybkością w kierunku przeciwnym do ich drogi.

W wagonie płynęło zwyczajne życie podróżnych. Pozostali pasażerowie niewiele w nim dostrzegali, lecz dla tych więźniów, dziwnym trafem uwolnionych, pełno tam było nowości. Dostateczną nowością było to, że pod jednym długim i wąskim dachem, w bezpośrednim sąsiedztwie, siedziało pięćdziesiąt istot ludzkich unoszonych tą samą potężną siłą, która porwała tych dwoje. Cudem było, że ci wszyscy ludzie mogli tak spokojnie usiedzieć na miejscach, gdy pracowało na nich tyle hałaśliwych mocy. Niektórzy z biletami zatkniętymi w kapelusze, poważni podróżnicy mający przed sobą sto mil drogi koleją, zagłębili się w opisy angielskiego krajobrazu i przygód w broszurowych powieściach i dotrzymywali towarzystwa księżtom i hrabinom. Inni, którym krótkość przestrzeni, jaką mieli do przebycia, nie pozwalała na wgłębienie się w wiedzę tak zawiłą, zabijali nudę podróży centowym dziennikiem. Grupka dziewcząt i jeden młody człowiek, siedzący po przeciwnej stronie wagonu, zabawiali się znakomicie grą w piłkę. Rzucali ją tu i tam z wybuchami śmiechu, który można by mierzyć na mile; gdyż, nie myśląc o tym, weseli podróżnicy mknęli w dal szybciej, niż mogła lecieć chyba piłka, i pozostawiali daleko za sobą ślad swej wesołości, a kończyli grę pod innym niebem od tego, które patrzyło na jej początek. Chłopcy sprzedający jabłka, ciastka i cukierki — towar, który przypomniał Hepzibie opuszczony sklep — pojawiali się na każdym przystanku dokonując sprzedaży w pośpiechu lub przerywając ją, by ów sklepik nie porwał ich ze sobą. Ciągłe wchodzili nowi ludzie. Starzy znajomi — bo znajomość dojrzewała szybko w tym przyspieszonym prądzie życia — ciągle odchodzili. Tu i ówdzie w dudniącym zgiełku ktoś spał siedząc. Sen, zabawa, interesy, poważniejsze lub lżejsze studia i ogólny niepostrzymany ruch naprzód! To było samo życie.

Wszystkie te zdarzenia pobudziły wrodzoną wrażliwość Clifforda. Wchłaniał koloryt tego, co się wokół niego działo, a wrażenia swoje oddawał w słowach, barwniejsze niż otrzymał, jakkolwiek obrazy, które roztaczał, miały posępny, złowieszczy odcień, Hepziba, przeciwnie, czuła się bardziej odgradzona od ludzi niż w swej pustelni, którą dopiero co porzuciła.

— Nie jesteś szczęśliwa, Hepzibo! — rzekł półgłosem Clifford z wyrzutem. — Myślisz o tym starym ponurym domu i o kuzynie Jaffreyu — tu przesył go dreszcz — o kuzynie Jaffreyu siedzącym tam samotnie! Posłuchaj mojej rady, idź za moim przykładem i zapomnij o tym. Oto jesteśmy w świetle, Hepzibo! W samym sercu życia! W tłumie naszych bliźnich! Bądźmy szczęśliwi! Tak szczęśliwi jak ten młodzieniec i te ładne dziewczęta, co grają w piłkę!

„Szczęśliwi! — pomyślała Hepziba; na dźwięk tego słowa uświadomiła sobie ciężki, tępy ból, który ścisnął lodem jej serce. — Szczęśliwi! On już zwariował; a gdybym ja wreszcie poczuła, że to wszystko jest jawą, nie snem, oszalałabym również”.

Jeżeli myśl natrętna oznacza szaleństwo, to nie była od niego daleka. Choć tak szybko unosił ich w świat dudniący i szczękający wagon po żelaznym szlaku, mogliby równie dobrze, jeśli chodzi o obrazy w umyśle Hepziby, jeździć tam i na powrót po ulicy Pyncheonów. Miła za miłą zmieniał się krajobraz, lecz dla niej nie było innego widoku jak tylko siedem starych wieżyczek porośniętych mchem, z kępą chwastów w jednym załamaniu, z oknem sklepowym, z klientem szarpiącym drzwi i wprawiającym mały dzwonek w dziki hałaśliwy taniec, który nie zakłócał snu sędziego Pyncheona! Ten jeden stary dom był wszędzie! Unosił swój wielki ociężały kształt szybciej, niż jechała kolej, i osiadał flegmatycznie na każdym miejscu, na które spojrzała. Umysł Hepziby był zbyt

sztynny, by mógł przyjmować nowe wrażenia z taką łatwością jak umysł Clifforda. On miał duszę uskrzydloną. Ona należała raczej do świata roślinnego i nie mogła żyć długo, gdy podcięto jej korzenie. Tak się więc złożyło, że stosunki między nią i bratem uległy odwróceniu. W domu ona była jego opiekunką; tutaj Clif ford stał się jej opiekunem i z nadzwyczajną bystrością chwycił wszystko, co dotyczyło ich nowej sytuacji. Wstrząs przywrócił mu męskość charakteru i władzę umysłu; a przynajmniej wprowadził go w podobny stan duszy, choć mógł on być i chorobliwy, i przejściowy.

Zjawił się teraz konduktor z biletami; i Clifford, który zaopiekował się sakiewką, włożył mu banknot do ręki, tak jak widział, że robią to inni. <

— Dla pani i dla pana? — spytał konduktor. — A dokąd?

— Dokąd nas to dowiezie — rzekł Clifford. — To nieważne. Jedziemy tylko dla przyjemności!

— Wybrał pan na to dziwny dzień! — zauważył starszy pan ze świdrowatymi oczami, który siedział po drugiej stronie wagonu patrząc na Clif for da i jego towarzyszkę, jakby był ciekaw ich tajemnicy. — Największą przyjemnością w czasie deszczu i wschodniego wiatru jest, jak ja to rozumiem, własne mieszkanie z przytulnym ogniem na kominku.

— Nie całkiem się z panem zgadzam — rzekł Clif ford z uprzejmym ukłonem w stronę starszego pana, podejmując od razu nić rozmowy, której dostarczył mu tamten. — Przyszło mi właśnie na myśl coś przeciwnego: że ten wspaniały wynalazek kolei żelaznej, który każe nam się spodziewać olbrzymich i niewątpliwych ulepszeń zarówno w dziedzinie szybkości jak i wygody — że jego przeznaczeniem jest usunięcie przestarzałych ideałów zacisza i ogniska domowego i postawienie w to miejsce czegoś lepszego.

— Ależ gdzie rozum! — przemówił gniewnie starszy pan. — Co może być lepszego dla człowieka niż własny pokój i kąpiel przy kominku?

— Te rzeczy nie mają takich wartości, jakie im przypisuje wielu ludzi — odrzekł Clifford. — Można rzecz krótko i zwięźle, że służyły źle i złym celom. Moje przekonanie jest takie, że nasze cudownie pomnożone i ciągle rosnące możliwości lokomocji sprowadzą nas na powrót do stanu koczowniczego. Pan to zauważył, drogi panie — musi pan to wiedzieć z własnego doświadczenia — że wszelki postęp odbywa się po kole; lub też, by użyć trafniejszego i piękniejszego porównania, po krzywej wznoszącej się spiralnie w górę. Gdy wyobrażamy sobie, że idziemy prosto naprzód i z każdym krokiem osiągamy całkiem nową pozycję, w rzeczywistości zwracamy do czegoś, co zostało już dawno wypróbowane i odrzucone, lecz teraz odnajdujemy je bardziej wzniosłym, wysubtelnionym i udoskonalonym aż do ideału. Przeszłość jest tylko grubą i przyziemną przepowiednią teraźniejszości i przyszłości. Lecz zastosujmy teraz tę prawdę do naszego tematu. We wczesnych epokach życia naszej rasy ludzie mieszkali w prymitywnych chatkach lub szałasach z gałęzi budowanych równie łatwo jak ptasie gniazda. Owe schronienia budowali — jeśli można to nazwać budowaniem, gdyż te domy, urocze jak sen nocy letniej, raczej rosły same, niż robiła je ręka człowieka — powiedzmy więc: wznosili je z pomocą Natury w miejscach, gdzie owoców było w bród, pełno ryb i zwierzyny, a zwłaszcza tam, gdzie ładniej ocieniana okolica, doskonalsze ułożenie jeziora, lasu i wzgórz mogło zaspokoić pragnienie piękna. To życie miało urok, który przestał istnieć, skoro człowiek je porzucił. I ono było symbolem czegoś większego od siebie. Miało swoje złe strony: głód i pragnienie, upalne słońce, słoty i uciążliwe, raniące nogi marsze po



jałowych brzydkich szlakach, które dzieliły miejsca pożądane dla swej urodzajności i piękna. Lecz w naszej wstępującej spirali możemy tego wszystkiego uniknąć. Koleje — gdyby tylko można było uczynić gwizdek bardziej melodyjnym i pozbyć się tego dudnienia i zgrzytania — są największym błogosławieństwem, jakie wypracowały dla nas wieki! Dają nam skrzydła, usuwają znój i kurz pielgrzymki, uszlachetniają podróże. Skoro tak łatwo jest się przenosić, co może skłonić człowieka, by pozostawał na jednym miejscu? Po cóż by budował mieszkania cięższe od takich, które mógłby ze sobą wozić? Czemuż by miał się uczynić więźniem na całe życie w cegłach, kamieniu i starym drzewie toczonym przez robaki, kiedy może również łatwo mieszkać w pewnym sensie nigdzie, a w lepszym znaczeniu wszędzie tam, gdzie piękno i wygoda dostarczą mu domu?

Twarz Clifforda jaśniała, gdy wygłaszał tę teorię. Młodość promieniała z jego duszy i sprawiała, że zmarszczki i bladość starości stały się nieważną maską. Wesołe dziewczęta porzuciły piłkę na podłogę i patrzyły na niego. Być może myślały, że zanim ten włos posiwiiał i sieć zmarszczek pokryła skronie, ów człowiek, chylący się teraz do grobu, musiał wryć obraz swej twarzy w niejednym kobiecym sercu. Lecz niestety! Żadne oko kobiety nie oglądało tej twarzy wtenczas, gdy była piękna!

— Ja bym chyba nie nazwał tego poprawą — zauważył nowy znajomy Clif forda — żeby mieszkać wszędzie i nigdzie.

— Dlaczego nie? — zakrzyknął Clifford ze szczególną energią. — Dla mnie jest jasne jak słońce, gdyby było teraz na niebie, że największą przeszkodą na drodze ludzkiego szczęścia i postępu są te stopy cegły i kamieni zlepionych wapnem lub ociosanego drzewa pozbijanego bretnalami, które ludzie wznoszą z takim

trudem na własną mękę i zwań to budynkiem, domem! Dusza potrzebuje powietrza, szerokiego tchnienia powietrza i częstej jego odmiany. Przy ognisku domowym gromadzą się chorobliwe wpływy w tysiącnych kształtach i zatruwają życie domu. Nie ma atmosfery równie niezdrowej jak atmosfera starego domu zatrutego przez zmarłych przodków i krewnych. Wiem, o czym mówię. Istnieje pewien dom, dobrze mi znany, jeden z tych budynków z nawisami pięter i ze spiczastymi szczytami (jest ich tam siedem), taki, jakiego widuje się niekiedy w naszych starych miastach. Czerniały, popękany, trzeszczący, spróchniały, ponury, ciemny i nędzny stary loch więzienny ze sklepionym oknem nad gankiem, małym wejściem do sklepu po jednej stronie i z wielkim melancholijnym wiazem przed oknami. Otóż, panie, ilekroć moje myśli zwracają się do tego dworu o Siedmiu Szczytach, staje mi przed oczyma obraz starego człowieka o surowych rysach, siedzącego w dębowym krześle z poręczami, martwego, z plamą krwi na gorsie koszuli. Nie żyje, lecz oczy ma otwarte! Plugawi cały dom. Nigdy nie mógłbym tam żyć i być szczęśliwym, pracować, jak Bóg przykazał, i cieszyć się jego darami!

Twarz mu ściemniała, zdawała się ściągać, kurczyć i więdnąć od starości.

— Nigdy, panie! — powtórzył. — Nigdy bym nie mógł tam swobodnie odetchnąć!

— Tak i ja sądzę — rzekł starszy pan spoglądając na Clifforda poważnie i z pewnym lękiem. — Pojmuję to, jeśli ma pan w głowie takie obrazy!

— Oczywiście — ciągnął Clifford. — I ulgą byłoby dla mnie, gdyby ten dom zburzono lub spalono, by się go ziemia pozbyła, a trawa porosła na jego fundamentach. Nie, żebym kiedykolwiek miał to miejsce odwiedzić! Gdyż, proszę pana, im dalej jestem od niego, tym więcej wraca mi radości. Czuję

się lekki, świeży, serce bije mocniej, umysł się rozjaśnia. Młodość, jednym słowem, tak, moja młodość, moja młodość powraca do mnie! Nie dalej jak dziś rano byłem stary. Pamiętam, jak spojrzałem do lustra i zdumiałem się moim siwym włosom, głębokim zmarszczkom na czole i skroniach i bruzdom na policzkach. To przyszło zbyt prędko! Nie mogłem się z tym pogodzić. Wiek nie miał prawa przyjść do mnie! Ja nie żyłem! Lecz teraz — czy wyglądam staro? Jeśli tak, to mój wygląd kłamie; gdyż wielki ciężar spadł mi z serca i czuję radość młodości. Przede mną jest świat i moje najlepsze dni!

— Wierzę, że pan tak czuje — rzekł nowy znajomy trochę zmieszany i widać było, że wolałby uniknąć spojrzeń, jakie się ku nim zwracały, gdyż wszystkich dziwiła bezładna mowa Clifforda. — Proszę zatem przyjąć moje najlepsze życzenia.

— Na miłość Boską, drogi Cliffordzie, uspokój się! — szepnęła siostra. — Oni myślą, że jesteś szalony.

— To ty się uspokój, Hepzibo — odparł brat. — Wszystko mi jedno, co myślą! Nie jestem szalony. Po raz pierwszy od trzydziestu lat moje myśli płyną, wzbierają i znajdują odpowiednie dla siebie słowa. Muszę mówić i będę mówił!

Zwrócił się znów do starszego pana i podjął rozmowę.

— Tak, drogi panie — powiedziało. — Moim niewzruszonym przekonaniem i wolą jest, by te określenia dachu i ogniska, które tak długo były uważane za świętość, wkrótce wyszły z codziennego użytku i zostały zapomniane. Proszę sobie tylko wyobrazić przez chwilę, jak wiele ludzkiego zła rozpadnie się od tej jednej zmiany! To, co nazywamy własnością ziemską — miejsce, gdzie się buduje dom — jest podstawą, na której wspierają się wszystkie niemal zbrod-

nie świata. Człowiek wyrządzi każdą prawie krzywdę — spiętrzy olbrzymi stos zła, twardego jak granit, które obciąży jego duszę na wieki, po to tylko, by zbudować wielki posepny dom o ciemnych pokojach — dla siebie, by mógł w nim umrzeć, i dla potomnych, by się w nim męczyli. Kładzie swego trupa pod fundament i wiesza obraz swej nasępionej twarzy na ścianie, i kiedy w ten sposób stanie się złym duchem swego domu, spodziewa się, że jego praprawnuki będą w nim szczęśliwi. Nie mówię jak szaleniec. Znam taki dom!

— Wobec tego, mój panie — odrzekł starszy pan, rad zakończyć ten temat — nie można panu mieć za złe, że go pan opuścił.

— Jeszcze za życia dzieci teraz urodzonych — ciągnął Clifford — ludzkość to wszystko odrzuci. Świat staje się zbyt subtelny i uduchowiony, by mógł dłużej znosić te okropności. Moim zdaniem — choć przez długi czas żyłem w oddaleniu od świata i mniej mi o tych rzeczach wiadomo niż większości ludzi — nawet według mnie znaki zwiastujące nadejście lepszej ery są oczywiste. Na przykład mesmeryzm? Czy to się nie przyczyni do oczyszczenia życia z brutalnej przyziemności?

— To wszystko głupstwa! — warknął starszy pan.

— Te stukające duchy, o których opowiadała nam niedawno Febe — mówił Clifford — czymże są, jeśli nie wysłannikami lepszego świata, który kołacze do bram materii? Te bramy otworzą się na oścież!

— Znowu głupstwa! — wykrzyknął starszy pan coraz bardziej zirytowany metafizyką Clifforda. — Chętnie bym postukał tęgim kijem w puste pały głupców, co rozpuszczają te bzdury!

— Następnie mamy elektryczność: demona, anioła, potężną siłę fizyczną, rozum, który wszystko przenika! — wykrzyknął Clifford. — Czy to także głup-

stwa? Czy jest faktem, czy też mi się tylko przyśniło, że za pomocą elektryczności świat materii stał się jednym wielkim nerwem przysłaniającym drgania na tysiące mil w nieskończenie małym okresie czasu? Lub raczej okrągły glob ziemski jest olbrzymią głową, mózgiem, instynktem wyposażonym w inteligencję! A może powiemy, że jest myślą — niczym, tylko myślą, nie materią, za jaką go uważaliśmy!

— Jeśli pan ma na myśli telegraf — rzekł starszy pan rzucając okiem na druty biegnące wzdłuż szyn — to rzecz doskonała, to znaczy oczywiście, jeżeli nie zagarną jej oszuści spekulujący bawełną i polityką! Zależy wielka rzecz, panie, zwłaszcza przy wykrywaniu bandytów, co rabują banki, i morderców.

— Z tego punktu widzenia niezupełnie mi się podoba — rzekł Clifford. — Bandyta i ten, którego nazywa się mordercą, ma także swoje prawa, które ludzie światli i humanitarni powinni rozważyć w duchu tym bardziej liberalnym, że większość społeczeństwa tych praw im odmawia. Taki pośrednik jak telegraf, duchowej niemal natury, winien służyć posłannictwom wzniosłym, głębokim, radosnym i świętym. Kochankowie mogliby codziennie albo nawet co godzinę, jeżeli pragną to czynić często, przysyłać uderzenia swych serc z Maine na Florydę w takich na przykład słowach: „Kocham się na zawsze!”, „Moje serce przepelnione jest miłością”, „Kocham cię więcej, niż mogę!” — i znowu następnym razem: „Żyję godzinę dłużej, a kocham cię dwakroć silniej!” Lub kiedy dobry człowiek odejdzie, jego przyjaciel w dalekich krajach otrzyma elektryczne drgnienie, jak gdyby ze świata szczęśliwych duchów, mówiące mu: „Drogi ci przyjaciel zażywa szczęścia!” Lub do nieobecnego męża nadejdzie taka wieść: „Nieśmiertelna istota, której jesteś ojcem, przybyła w tej chwili od Boga!” — i natychmiast jej głos zdaje się dolatywać aż tutaj, by

odbić się echem w jego sercu. Lecz co do tych biednych łotrzyków, rabujących banki, którzy ostatecznie niewiele mniej są uczciwi od wielu szanowanych obywateli, z tą różnicą, że zaniedbują pewnych formalności i wolą przeprowadzać transakcje o północy raczej niż w godzinach urzędowania na giełdzie — i co do tych morderców, jak pan ich określa, których często motywy tego czynu w zupełności usprawiedliwiają i którzy niejednokrotnie zasługują na miano dobroczyńców ludzkości, gdy rozważymy rezultaty ich zbrodni — jeśli o nich chodzi, to nie mogę przyjąć z aplauzem myśli, aby użyć tej niematerialnej i cudownej siły do powszechnego polowania na tych nieszczęśników!

— Doprawdy? — zauważył starszy jegomość obrzucając go ostrym spojrzeniem.

— Stanowczo nie! — odpowiedział Clifford. — Stawia ich to w okrutnie niekorzystnej sytuacji. Na przykład, proszę pana, przypuśćmy, że w ciemnym, niskim, poprzecznie belkowanym, wyłożonym boazerią pokoju starego domu siedzi w fotelu nieżywy człowiek, z plamą krwi na gorsie koszuli — i dodajmy do tej hipotezy, że drugi człowiek opuszcza ten dom, gdyż nie może znieść obecności zmarłego. I wreszcie wyobraźmy go sobie uciekającego Bóg wie dokąd, z huraganową szybkością, koleją. Teraz, mój panie, jeżeli uciekający wysiadzie w jakimś odległym mieście i usłyszy, że wszyscy gadają o tymże samym umarłym, od którego widoku i od myśli o nim uciekł aż tak daleko, czy nie przyzna pan, że nadużyto jego przyrodzonych praw? Został pozbawiony schronienia w tym mieście i moim zdaniem poniósł niezmierną krzywdę.

— Pan jesteś dziwnym człowiekiem — rzekł jego rozmówca wbijając swe świdrowate oczy w Clifforda,

jakby go chciał przewiercić na wylot. — Nie mogę pana przejrzeć!

— Oczywiście, że nie! — odparł Clifford ze śmiechem. — A jednak, drogi panie, jestem tak przejrzysty jak woda w studni Maule'a! Lecz pójdź, Hepzibo. Pofrunęliśmy dość daleko jak na ten raz. Usiądźmy jak ptaki na najbliższej gałęzi i zastanówmy się, gdzie lecieć dalej.

Akurat w tej chwili pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce. Korzystając z krótkiego postoju Clifford opuścił wagon pociągając za sobą Hepzibę. W chwilę potem pociąg z całym towarzystwem, w którym Clifford wzbudził tyle zainteresowania, mknął w przestrzeń malejąc szybko, aż stał się punktem *i* znikł. Świat uciekł od dwojga wędrowców. Rozglądali się posępnie. Niedaleko wznosił się mały drewniany kościółek, poczerniały wiekiem i mocno zrujnowany, z wybitymi oknami, z wielką dziurą w głównej nawie i z naderwaną krokwią zwisającą ze szczytu kwadratowej wieży. Nieco dalej stał staroświecki wiejski domek, tak czcigodnie poczerniały jak i kościół, z pochyłym dachem opadającym stromo od trzypiętrowego szczytu do wysokości człowieka. Zdawał się nie zamieszkały. Przed drzwiami poniewierały się resztki drew na opał, lecz trawa rosła już wśród trzasek i porzuconych polan. Małe kropelki deszczu siekły z ukosa; wiatr nie był gwałtowny, lecz uporczywy, przenikający wilgocią i lodowatym zimnem.

Clifford drżał od stóp do głów. Nastrój wzburzenia i podniecenia, który podsuwał mu myśli, obrazy i przedziwnie trafne słowa, zmuszając go do mówienia z samej tylko potrzeby, by dać ujście tej tryskającej kaskadzie idei — ustąpił całkowicie. Chorobliwe podniecenie pobudziło w nim energię i żywość. Gdy tylko ustąpiło jego działanie, natychmiast zamarło w nim wszystko.

— Teraz ty musisz objąć dowództwo, Hepzibo — zamruczał głucho i niewyraźnie. — Rób ze mną, co chcesz!

A ona uklękła na peronie, gdzie stali, i wzniosła splecione ręce ku niebu. Zakrywały je szare posępne zwały chmur, lecz nie był to czas na niewiarę; chmury nie mogły rodzić zwątpienia, czy było tam w górze niebo i czy patrzył z niego Bóg Wszechmogący.

— O, Boże! — wykrzyknęła biedna wynędzniała Hepziba i umilkła na chwilę szukając słów modlitwy. — O Boże, Ojczy nasz! Czy nie jesteśmy twymi dziećmi? Zmiłuj się nad nami!



Gdy jego dwoje krewnych ucieka z tak nierozważnym pośpiechem, sędzia Pyncheon ciągle jeszcze siedzi w starej bawialni pilnując domu pod nieobecność jego stałych mieszkańców. Do niego to i do czcigodnego Domu o Siedmiu Szczytach wraca też nasza opowieść niby sowa przestraszona światłem i śpiesząca do swej dziupli.

Sędzia od dłuższego czasu nie zmienił pozycji, nie poruszył ręką ni nogą, nie oderwał wzroku utkwionego w kąt pokoju, od chwili gdy umilkło skrzypienie kroków Hepziby i Clifforda, a drzwi zewnętrzne ostrożnie zamknięto po ich odejściu. Trzyma zegarek w lewej ręce, lecz tak ją zacisnął, że nie widać tarczy. Jakże głęboko pogrążył się w rozmyślaniach! Lub też, jeśli przypuścimy, że śpi, jak dziecięcy musi być spokój sumienia, w jakim porządku i zdrowiu organa

trawienne, o czym świadczy ów sen, tak zupełnie nie zakłócony żadnym drgnieniem, skurczem, skrzywieniem twarzy, mamrotaniem, trąbieniem przez nos i najłżejszą choćby nieregularnością oddechu! Musiałbyś powstrzymać własny oddech, aby się przekonać, czy w ogóle oddycha. Wcale tego nie słyszać! Słyszać tykanie jego zegarka — oddechu nie słyszać. Niewątpliwie bardzo odświeżająca drzemka. A jednak sędzia nie śpi. Oczy ma otwarte! Doświadczony polityk nie powinien nigdy zasypiać z otwartymi oczami, gdyż jakiś wróg lub wichrzyciel mógłby go w tym czasie zaskoczyć i zajrzeć przez nie jak przez okna w głąb jego świadomości i odkryć w niej wspomnienia, plany, nadzieje, obawy, słabe i mocne strony, których dotychczas nikomu nie zdradzał. Człowiek przezorny, jak powiada przysłowie, śpi z jednym okiem otwartym. To może być mądrością. Lecz nie z dwoma; to by była nieostrożność! Nie, nie! Sędzia Pyncheon nie śpi!

Dziwne wszakże, że dżentelmen mający tyle spraw na głowie i znany ponadto z punktualności tak się ociąga w starym dworze, którego nigdy chętnie nie odwiedzał. Dębowe krzesło, zapewne, mogło go skusić swą przestronnością. Jest rzeczywiście pojemne i wiały pod uwagę surową epokę, która je ukształtowała, ma dość wygodne siedzenie, dające w każdym razie wiele miejsca i nie krępujące obfitych kształtów sędziego. Pomieściłby się w nim człowiek jeszcze potężniejszych rozmiarów. Jego pradziad, którego portret wisi na ścianie, nie mógł chyba — mimo że się odżywił tradycyjną angielską wołowiną — poszczycić się przedsięwzięciem sięgającym od poręczy do poręczy tego krzesła lub podstawą, która by pokryła całą przestrzeń poduszki. Lecz są przecież lepsze krzesła — mahoniowe, z czarnego orzecha, z drzewa różanego, z siedzeniami sprężynowymi, wyściełane poduszkami, kryte adamaszkiem, z wygięciami i niezliczonymi

mi sztuczki pomyślanymi dla wygody siedzącego a zarazem dla rozproszenia nudy, jaką budzi zbyt duża wygoda. Ze dwadzieścia takich krzeseł znalazłoby się na usługi sędziego. Ależ tak! W dwudziestu salonach byłby bardziej niż mile widziany. Mama wyszłaby na jego powitanie z wyciągniętą ręką; a dziewczyna córka, choć był już starszym człowiekiem — stary wdowiec, jak nazywa siebie z uśmiechem — strzepnęłaby najwdzięczniejszym ruchem poduszkę, na której miał siedzieć, i wszystko by zrobiła dla jego wygody. Gdyż sędzia jest człowiekiem, któremu się doskonale wie. Ma swoje plany, jak każdy człowiek, a choć plany te są wspanialsze od tych, jakie żywi większość ludzi, wspierają się zawsze na rozsądnych podstawach. W każdym razie miał je dziś rano, gdy leżał w łóżku w przyjemnym półśnie układając program dnia dzisiejszego i rozważając możliwości następnych piętnastu lat. Przy jego tegim zdrowiu, które wiek niewiele nadwerżyło, piętnaście lub dwadzieścia lat — tak, a może i dwadzieścia pięć — to nie za wiele; tyłu się jeszcze śmiało może spodziewać. Dwadzieścia pięć lat będzie mógł się cieszyć swymi nieruchomościami na wsi i w mieście, udziałami w kolejach żelaznych, w banku i w ubezpieczeniach, akcjami Stanów Zjednoczonych — jednym słowem swym majątkiem posiadanym, inwestowanym lub tym, który jeszcze zdobędzie. Do tego zaszczyty, które mu już przypadły, oraz większe jeszcze honory, jakie go dopiero czekają. To dobrze! To doskonale! To wystarczy.

Jeszcze się ociaga na starym krześle! Jeżeli sędzia ma trochę czasu do stracenia, dlaczego nie idzie do biura ubezpieczeń, jak to jest jego zwyczajem, nie usiądzie na chwilę w jednym z wyściełanych foteli obitych skórą, nie posłucha ostatnich plotek i nie rzuci, niby mimochodem, dobrze obmyśloną słówką, które na pewno znajdzie się wśród plotek dnia ju-

trzej szego? A czy dyrektorzy banku nie mają dziś posiedzenia, na którym zamierzał być, któremu miał nawet przewodniczyć? Ależ tak, oczywiście; a godzinę zapisano na karcie, która spoczywa lub winna spoczywać w prawej kieszeni kamizelki sędziego Pyncheona. Niechże sobie tam idzie i rozsiądzie się wygodnie na swych worach pieniędzy! Dość już tego próżnowania w starym fotelu!

A miał to być taki pracowity dzień! Najpierw rozmowa z Clifiordem. Sędzia przeznaczył na to pół godziny. Mogło to trwać krócej, lecz biorąc pod uwagę, że należało się wpierw rozprawić z Hepzibą, a kobiety lubią marnować wiele słów tam, gdzie by kilka starczyło, bezpieczniej było zostawić sobie pół godziny. Pół godziny! Ależ, panie sędzio, już dwie godziny minęły według pańskiego niezawodnego, akuratanego chronometru! Niechże pan rzuci nań okiem i zobaczy. Ach! Nie zada sobie nawet trudu, by spuścić głowę lub unieść rękę, tak żeby jego wierny czasomierz znalazł się w zasięgu wzroku. Czas stał się naraz w oczach sędziego sprawą nieważną!

A czy zapomniał o innych pozycjach do załatwienia? Po zakończeniu sprawy z Cliffordem miał się spotkać z maklerem z ulicy Państwowej, który podjął się umieszczenia kilku luźnych tysięcy sędziego, przypadkowo jeszcze nie zainwestowanych, na wysoki procent w najlepszych papierach. Zasuszony przykrawacz kuponów odbędzie podróż koleją na próżno. W pół godziny później na sąsiedniej ulicy miała się odbyć licytacja nieruchomości wraz z kawałkiem dawnej posesji Pyncheonów należącym pierwotnie do ogrodu Maule'a. Został on odłączony od posiadłości Pyncheonów przed osiemdziesięciu laty, lecz sędzia miał go na oku i uwziął się, że dołączy go do niewielkiego obszaru ziemi, który otaczał jeszcze Siedem Szczytów. I teraz, podczas tego dziwnego ataku niepamięci, fatalny mło-

tek musiał opaść i oddał naszą ojcowiznę obcemu właścicielowi. Możliwe też, że sprzedaż odłożono na lepszą pogodę. Jeśli tak, czy sędzia uzna za stosowne zjawić się tam i zaszczyścić licytatora swą ofertą przy najbliższej okazji?

Następną sprawą było kupno konia pod wierzch. Jego ulubiony wierzchowiec potknął się tegoż ranka na drodze do miasta, więc trzeba się go pozbyć. Szyja sędziego Pyncheona zbyt jest cenna, by ją narażać bezsensownie na takie niebezpieczeństwo jak potykający się koń. Gdyby powyższe interesy zakończyły się w porę, sędzia mógłby się udać na zebranie towarzystwa dobroczynności; lecz wśród swych rozlicznych aktów miłosierdzia zapomniał nawet, jak się nazywa owo towarzystwo; tak że w razie niedopełnienia tej powinności szkoda będzie niewielka. A jeśli znajdzie czas w nawale ważniejszych spraw, winien załatwić sprawę odnowienia nagrobka pani Pyncheon, który, jak mu doniósł kościelny, runął na ziemię marmurowym frontem i pękł na dwoje. Sędzia przyznawał, że była to dosyć zacna niewiasta mimo swych nerwów i ciągle płynących łez, i niemądrego zachowania się przy tej kawie; a ponieważ odeszła tak w porę, nie pożałuje jej drugiego nagrobka. To już lepsze, niż gdyby go wcale nie potrzebowała.

Następną pozycją w notatkach było zamówienie pewnej rzadkiej odmiany drzew owocowych, które chciał, by mu dostarczono do jego wiejskiej rezydencji w jesieni. Tak, tak, proszę je kupić koniecznie i niech owe brzoskwinie rozpływają się w pańskich ustach, panie sędzio Pyncheon! Potem coś ważniejszego. Komitet partii politycznej sędziego prosił go o sto lub dwieście dolarów jako uzupełnienie poprzednich dotacji dla przeprowadzenia kampanii jesiennej. Sedna jest patriotką; losy kraju zależą od elekcji listopadowej, a poza tym, jak się okaże w innym miejscu, ma

on i własną stawkę, i to niemałą, do rozegrania w tej wielkiej grze. Spełni prośbę komitetu, co więcej, okaże się nadspodziewanie hojnym: dostaną czek na pięćset dolarów i więcej, gdy zajdzie potrzeba. Co potem? Zubożała wdowa po dawnym przyjacielu sędziego Pyncheona wzruszająco opisała mu swą nędzę. Nie mają prawie na chleb, ona i jej piękna córka. Sędzia właściwie zamierza wstąpić tam dzisiaj — zresztą może tak, może nie — w zależności od tego, czy znajdzie trochę czasu i drobnych pieniędzy.

Jeszcze jeden interes, do którego wszakże nie przywiązuje wielkiej wagi (dobrze jest, wiecie, dbać o swoje zdrowie, lecz bez przesady i zbytnio się tym nie przejmując) — jeszcze więc jeden interes to odwiedzenie domowego lekarza. A z jakiegoż to powodu, na miłość boską? Ach, symptomy trudne do opisania. Po prostu jakieś zamglenie wzroku i zawroty głowy — chyba coś takiego było? A może nieprzyjemna duszność, bulgotanie w gardle czy szmery w okolicy klatki piersiowej? A czy nie było silnego bicia serca, co by mu raczej przyniosło zaszczyt niż ujmę — jako świadectwo, że nie jest pozbawiony owego szlachetnego organu? Zresztą wszystko jedno, jakie były objawy. Doktor prawdopodobnie przyjmie to uśmiechem, że takie drobnostki sędzia powierza jego zawodowym uszom; z kolei uśmiechnie się i sędzia; i spojrzawszy sobie w oczy pośmieją się serdecznie razem. Lecz co tam lekarskie porady! Sędziemu nie będzie ich nigdy potrzeba!

Proszę, proszę, panie sędzio, niechże pan spojrzy teraz na swój zegarek! Co? Ani jednego spojrzenia? Za dziesięć minut pora obiadu! Nie mogło przecież ujść pańskiej pamięci, że dzisiejszy obiad z uwagi na pewne konsekwencje jest najważniejszy ze wszystkich obiadów, jakie pan dotąd w swym życiu spożywał. Ależ tak, właśnie najważniejszy; choć w dziejach pań-

skiej świetnej kariery zasiadał pan nieraz na honorowych miejscach u stołu podczas wspaniałych bankietów i olśniewał pan odświętną elokwencją uszy, w których brzmiały jeszcze potężne niby huk organów dźwięki mowy Webstera! A jednak to żaden oficjalny obiad. Po prostu zebranie kilkunastu przyjaciół z różnych okręgów stanu; ludzi wybitnych i wpływowych, zbierających się tak ot, prawie przypadkowo, w domu wspólnego znajomego, również znamienitego obywatela, który przyjmie ich za stołem z powszednią prawie zastawą. Żadnych francuskich potraw, niemniej jednak obiad przedni. O ile nam wiadomo, zupa z prawdziwego żółwia, łosoś, tautog, dzika kaczką, wieprzowina, baranina sprowadzana z Anglii, doskonała pieczeń wołowa i tym podobne tradycyjne przysmaki stosowane dla zamożnych wiejskich dżentelmenów, do jakich przeważnie zaliczają się goście. Jednym słowem, aktualności sezonu podlane maderą sprzed wielu sezonów. To gatunek junco, wyborne wino, aromatyczne i pełne subtelnej mocy; zabutelkowane szczęście, od dawna przechowywane; złoty płyn wart więcej niż płynne złoto; tak rzadki i cudowny, że smakosze tego trunku zaliczają skosztowanie go do zdarzeń epokowych. Uśmierza ból serca nie sprowadzając w zamian bólu głowy! Gdyby sędzia wychylił bodaj lampkę tego wina, na pewno otrząsnąłby się z niewytłumaczonej senności, która opóźnia jego przybycie na ten ważny obiad. Minęło już dziesięć minut i znowu pięć minut — a przecież łyk tego wina wskrzesiłby chyba umarłego! Miałby pan ochotę skorzystać go teraz, panie sędzio?

Ten obiad, o, żałości! Czyżby pan naprawdę zapomniał o jego celu? Szepnijmy więc coś o tym, może pan. sędzia zerwie się z tego dębowego krzesła, które naprawdę zda się zaczarowane, zupełnie jak krzesło w Komusie lub to, w którym Moll Pitcher uwięziła

pańskiego dziadka. Lecz ambicja to talizman potężniejszy od czarów. Powstań więc, sędzio, i spiesznie przybądź do kompanii, by mogli zaczynać, bo ryba już gotowa, a czekać nie może. Wyglądają pana; niedobrze, gdy zbyt długo będą czekać. Ci panowie — czyż trzeba ci o tym przypominać? — nie bez powodu zebrali się ze wszystkich stron stanu. Są to sami doświadczeni politycy, wprawni we wszystkich zabiegach, którymi wykradają ludowi bez jego wiedzy władzę wybierania swych przywódców. Przy następnej elekcji gubernatora głos ludu, choćby się rozlegał donośnie niby grzmot, po prawdzie będzie tylko echem tego, co ci panowie postanowią półgłosem przy odświętnym stole swego przyjaciela. Zbierają się, by ustalić kandydata. Ta nieliczna grupa chytrych spiskowców kierować będzie zgromadzeniem i przez nie narzuci swą wolę partii. A któż byłby godniej szym kandydatem? Kto był mędrszy i bardziej uczony, kto był hojniejszym filantropem, kto wierniej strzegł dawnych zasad? Czy był bardziej wypróbowany stróż publicznego mienia, czy był ktoś bardziej nieskazitelny w życiu prywatnym, bardziej majątny, silniej związany tradycją z purytańską wiarą przodków? Jakiegoż człowieka można było postawić przed głosującym ludem, by te wszystkie zalety, pożądane dla sprawującego najwyższą władzę, łączył tak idealnie jak tu oto siedzący sędzia Pyncheon?

Pośpiesz się więc! Czyń, co ci wypada! Nagroda, dla której pracowałeś, walczyłeś, piąłeś się w górę i pełzałeś, czeka na ciebie. Idźże na ten obiad! Wychyl kilka kielichów szlachetnego wina! Naszeptaj im obietnic! A wstaniesz od stołu jako faktyczny gubernator znakomitego starego stanu. Gubernator Pyncheon z Massachusetts!

Czy taka pewność nie działa jak upajający nektar? Dążyłeś do tego celu przez pół życia. Teraz, gdy nie-



wiele więcej potrzeba nad twoją zgodę, dlaczego tkwisz nieruchomy w dębowym krześle swego pradziada, jakbyś je przekładał nad gubernatorski stolec? Słyszeliśmy wszyscy o królu Klocu. Lecz w tych czasach, gdy tylko tęgie łokcie coś znaczą, nikt z owego królewskiego rodu nie wygra wyścigu na najwyższy obieiralny urząd!

No, już stanowczo za późno na obiad. Żółw, łosoś, tautog, słonka, gotowany indyk, baran z angielskich pastwisk, wieprzowina i pieczeń wołowa znikły lub istnieją tylko we fragmentach, z letnimi ziemniakami, a na sosach zastygła skorupa tłuszczu. Sędzia mógł być dokazać cudów nożem i widelcem. To o nim, wiecie, powiadano w związku z jego wilczym apetytem, że Stwórca uczynił go wielkim zwierzęciem, a pora obiadowa czyniła go wielką bestią. Osoby o takim apetycie muszą żądać wyrozumiałości w czasie karmienia. Lecz raz w życiu sędzia nie stawił się na obiad! Już za późno, jak się obawiamy, nawet na dostrzymanie gościom towarzystwa przy winie. Goście rozgrzali się — są weseli; poniechali myśli o sędzim i wnosząc z jego nieobecności, że zagarnęli go abolicjoniści, naznaczają innego kandydata. Gdyby nasz przyjaciel pojawił się teraz wśród nich z tymi szeroko otwartymi oczami, z dziką i nieruchomą twarzą — taki niesamowity gość zgasiłby ich wesołość. I byłoby nietaktem ze strony sędziego Pyncheona, tak zawsze dbałego o ubiór, pokazać się przy stole z szkarłatną plamą na gorsie koszuli. Ale, ale — skąd się tam ona wzięła? Brzydki to widok w każdym razie i najrozsądniej zrobiłby sędzia, gdyby zapiął swój surdut szczelnie na piersi, najął w zajeździe konia i powóz i pognął cwałem do swego domu. Tam winien by wypić szklanekę wódki z wodą, zjeść kotlet barani, befszyk lub pieczoną kaczkę jako lekki obiad razem z kolacją i spędzić wieczór przy kominku. Musiałby

długo grzać sobie pantofle, by pozbyć się zimna, które ścięło mu żyły w tym przeklętym starym domu.

Dalejże więc, sędzio Pyncheon! Straciłeś dzień. Lecz przyjdzie jutro. Czy wstaniesz dość wcześnie, by je wykorzystać jak najlepiej? Jutro! Jutro! Jutro! My żywi możemy jutro wstać wcześnie. Dla tego, co zmarł dzisiaj, jutrem będzie dzień Zmartwychwstania.

Tymczasem zmierzch wypełza mrokiem z kątów pokoju. Cienie wysokich mebli stają się głębsze, zrazu rysują się wyraźniej, potem rozlewają się i tracą ostrość konturów niby w szarej fali zapomnienia, która wpływa z wolna na przedmioty i na siedzącą wśród nich jedyną postać ludzką. Zmrok nie przyszedł z zewnątrz; czaił się tu przez cały dzień i teraz, nie spiesząc się, odwiecznym porządkiem weźmie wszystko w posiadanie. Tylko stężała, upiornej białości twarz sędziego nie chce pogrążyć się w żywioł mroku.

Światło słabnie, jak gdyby dorzucano garściami cienie, już nawet nie szare, lecz żałobnie czarne. Coś jeszcze prześwituje w oknie; ni to blask, ni to błysk — nie, wszelkie określenia światła wyraziłyby coś znacznie jaśniejszego niż to wrażenie, a raczej przecucie, że tam jest okno. Czy już znikło? Nie! Tak! Nie całkiem. A jeszcze trwa ta ciemna białość — ośmielimy się połączyć te niezgodne słowa — ciemna białość twarzy sędziego Pyncheona. Jej rysy już znikły, pozostała tylko białość. A jak jest teraz? Nie ma okna! Nie ma twarzy! Nieskończona, nieprzenikniona czerń unicestwiła widzenie. Gdzie jest nasz wszechświat? Gdzieś się zapadł, a my, zabłąkani w chaosie — słuchamy zawodzenia bezdomnego wichru, który wzdycha i szumi, i szuka tego, co było kiedyś światem.

I żadnego innego dźwięku? Jest jeszcze jeden i to straszny. Tykanie zegarka, który sędzia trzyma w ręce, odkąd Hepziba poszła szukać Clifforda. Z jakiejś przyczyny to ciche, spokojne, nieustanne pulsowanie

tętna Czasu, powtarzające swe drobne uderzenia z pracowitą regularnością, ma w sobie grozę, jakiej nie znajdujemy w żadnym innym dźwięku towarzyszącym tej scenie.

Lecz cicho! Oto nadleciał głośniejszy podmuch wiatru. Zabrzmiał w nim nowy ton, niepodobny do tego pośepnego i groźnego jęku, którym od pięciu dni zawodzi żale nad sobą i obłudną litością nęka ludzi. Wiatr się odwrócił! Leci teraz z hałasem od północnego zachodu, chwyta leciwe zręby siedmiu szczytów, potrzasa nimi jak zapaśnik próbujący sił na przeciwniku. Jeszcze jedno krzepkie zwarcie się z podmuchem i jeszcze jedno! Stary dom znów trzeszczy i porykuje donośnie, lecz trochę niezrozumiale z głębi sadzą zasnutej gardzieli szerokiego komina — po trosze skarżąc się na brutalność wichru, lecz więcej, jak przystało ich stu pięćdziesięcioletniej wrogiej zażyłości — krępkim wyzwaniem. Zadudniało, załomotało za osłoną kominka. Na górze trzasnęły drzwi. Być może zostawiono gdzieś odemknięte okno lub otworzył je niesforny wiatr. Niepodobna sobie wyobrazić, jeśli się tego nie słyszało, jakim cudownym instrumentem są te stare, drewniane dwory nawiedzane przez najdziwniejsze odgłosy. Gdy zawierucha dorwie się do domu z otwartym oknem i wtargnie do wnętrza, wtedy natychmiast poczynają się śpiewy, wzdychanie, szlochy i krzyki, bicie powietrznymi młotami w jakimś odległym pokoju, stąpanie dostojnych kroków u drzwi wejściowych i szelesty na schodach, jakby pomykały tam w górę i w dół jedwabie sztywnych sukien. Gdybyśmy już mogli stąd odejść — my, obserwujące duchy! To okropne! To straszne! Hałas wiatru w samotnym domu; spokój sędziego, który siedzi niewidoczny w ciemnościach; i to uporczywe tykanie zegarka!

Zresztą to, że sędzia Pyncheon pozostaje niewidzialny, to wkrótce się zmieni. Wiatr północno-zachodni od-

mióttł niebo do czysta. Widać wyraźnie okno. Przez szyby dostrzegamy mgliście rozkołysane pęki listowia drżące ciągłym nieregularnym ruchem, mrugające to tu, to tam gwiazdnym migotem. Te błyski padają najczęściej na twarz sędziego. Lecz oto wschodzi lepsze światło. Zwróćcie uwagę na ten srebrzysty płas w górnych gałązkach gruszy; teraz trochę niżej, a teraz we wszystkich gałęziach — i oto przez ich ruchomą płataninę na pokój spływają ukosem promienie księżyca. Ślizgają się teraz po postaci sędziego i widać, że nie poruszył się w godzinach ciemności. Ścigają cienie na nieruchomej twarzy. Lśnią na powierzchni zegarka. Zaciśnięta dłoń skrywa tarczę. Lecz my wiemy, że wierne wskazówki spotkały się; bo miejski zegar ogłasza północ.

Człowiek rozumny, jak sędzia Pyncheon, nie lęka się dwunastej godziny w nocy, tak jak nie lęka się tejże samej godziny w południe. Paralela, którą przeprowadziliśmy na poprzednich stronach między sędzią i jego purytańskim przodkiem, jakkolwiek słuszna, w tym punkcie zawodzi. Pyncheon sprzed dwóch stuleci, podobnie jak i jego współcześni, święcie wierzył w obrzędy duchów, choć przypisywał im wyłącznie złośliwe intencje. Pyncheon siedzący w tę noc tam, na fotelu, nie wierzy w podobne głupstwa. Przynajmniej tak uważał kilka godzin temu. Nie zjeżyłby mu się zatem włos na głowie, gdyby usłyszał historie, które opowiadano w tym pokoju wtedy, gdy kąty przy kominkach miały ławy, na których siedzieli starcy grzebiąc w popiołach przeszłości i wyciągając z nich opowieści niby żarzące węgle. Po prawdzie opowieści te są zbyt naiwne, by się od nich zjeżył choćby jeden włos na głowie dziecka. Co za sens, jakie znaczenie, jaki morał — a winny je posiadać nawet opowieści o duchach — znaleźć można w takiej na przykład śmiesznej legendzie, że o północy wszyscy pomarli Pyn-

cheonowie muszą się zbierać w tej bawialni? A po cóż to, proszę? Otóż aby zobaczyć, czy portret pradziada ciągle jeszcze zajmuje swe miejsce na ścianie, zgodnie z jego testamentem. Czyż warto im po to wychodzić z grobów?

Czujemy pokusę, by zabawić się tą myślą. Opowieści o duchach nie można już przecież traktować poważnie. Przypuśćmy więc, że rodzinne zebranie zmarłych Pyncheonów odbywa się w ten sposób:

Najpierw wchodzi sam praszczur rodu, w czarnym płaszczu, w wysokim kapeluszu na głowie, w krótkich spodniach umocowanych skórzanym pasem, z którego zwisa szpada o stalowej rękojeści. Trzyma w dłoni długi kij, jaki nosili panowie w podeszłych latach, zarówno gwoli godności, jak i dla oparcia. Spogląda na portret — bezcielesna zjawa patrząca na własny malowany wizerunek! Wszystko w porządku. Obraz wisi. Dochowywano ciągle jeszcze posłuszeństwa woli człowieka, który dawno skiełkował cmentarną trawą. Spójrzcie! Podnosi swą nieprzydatną rękę i próbuje rami. Wszystko bez zmian! Lecz czy to uśmiech? Czy nie jest to raczej surowa zmarszczka śmiertelnego niezadowolenia, która mroczy cień jego twarzy? Tęgi pułkownik niezadowolony! Tak zdecydowany jest wyraz niezadowolenia, iż dodaje ostrości konturom twarzy, którą przenika wszakże promień księżyca i migocze na przeciwległej ścianie. Ojca rodu coś zmartwiło! Ponuro potrząsa głową i odwraca się. Oto nadchodzą inni Pyncheonowie, całe plemię w sześciu pokoleniach; tłoczą się i potracają, by dojść do obrazu. Widzimy starców i matrony, duchownego w sztywnych purytańskich szatach i oficera z czasów wojny francuskiej, w czerwonej kurtce. A tam z odwiniętymi mankietaми idzie Pyncheon-sklepikarz sprzed stu lat. A tu dżentelmen w peruce i brokatach z opowiadania artysty, z piękną zamyśloną Alicją, w której nie ma już

dumy. Wszyscy dotykają ram obrazu. Czego szukają ci upiorni ludzie? Matka podnosi dziecko, by mogło dotknąć obrazu rączką. Widocznie z tym obrzędem wiąże się jakaś tajemnica, która nęka tych biednych Pyncheonów, gdy powinni odpoczywać w spokoju. A w kącie przez cały czas stoi widmo starca w skórzanym kaftanie, z ciesielską linijką wystającą z bocznej kieszeni; wskazuje palcem brodatego pułkownika i jego potomków. Kiwa głową, drwi, szydzi, a w końcu wybucha niby hałaśliwym a przecież niedosłyszalnym śmiechem.

Lecz pozwalając sobie na ten kaprys puściliśmy wodze wyobraźni i straciliśmy miarę! W naszej wizji dostrzegamy postać, której wcaleśmy tu nie szukali. Przez tłum przodków przepycha się jakiś młody człowiek ubrany według najnowszej mody. Ma na sobie ciemny żakiet o bardzo krótkich połach, szare spodnie, lakierowane kamasze, złoty łańcuch pięknej roboty błyszczący mu na piersi, a w ręku trzyma fiszbinową laseczkę ze srebrną gałką. Gdybyśmy spotkali go w południe, powitalibyśmy go jako młodego Jaffreya Pyncheona, jedyne żyjącego syna sędziego, który spędził ostatnie dwa lata na zagranicznych podróżach. Jeśli jeszcze żyje, to jakże tu trafił jego cień? Jeśli zmarł — co za nieszczęście! Stary majątek Pyncheonów wraz z wielką posiadłością nabytą przez ojca tego młodzieńca przejdzie... na kogóż to? Na biednego głupkowatego Clifforda, na chudą Hepzibę i na małą wieśniaczkę Febe! Lecz czeka nas jeden jeszcze dziw, i to największy. Czy wierzyć własnym oczom? Pojawia się tęgi starszy pan; wygląd ma nader czcigodny, nosi czarny surdut, szerokie spodnie i można by rzec, iż wyróżnia się wyjątkową dbałością o czystość stroju, gdyby nie szkarłatna plama na śnieżnej bieli kołnierzyka i gorsu koszuli. Czy to sędzia, czy nie? Jakże to może być sędzia Pyncheon? Widzimy przecież jego

postać siedzącą na dębowym krześle tak wyraźnie, jak tylko może nam ukazać migotliwa poświata księżyca! Zjawa, kimkolwiek jest, zbliża się do obrazu, zdaje się chwytać ramy, stara się zajrzeć za obraz i odwraca się równie zasepiona jak wszyscy przodkowie.

Ta fantastyczna scena, którą właśnie opisaliśmy, nie może w żaden sposób być brana pod uwagę jako rzeczywisty fragment naszej historii. Skusiło nas do tej krótkiej fantazji migotanie promieni księżyca, które tańczą zgodnym rytmem z cieniami i odbijają się w lustrze, a ono, jak wiecie, jest niejako oknem na świat duchów. Potrzebowaliśmy zresztą wytchnienia po zbyt długiej i wyłącznej kontemplacji postaci na fotelu. Ten dziki wicher również dziwnie zamacił nam myśli, lecz nie oderwał ich od punktu, w którym się zbiegają. A sędzia siedzi bez ruchu i ta nieruchomość kładzie się ciężarem ołowiu na naszą duszę. Czyż się już nigdy nie podniesie? Jeśli się nie poruszy, oszalejemy! Jego spokój możecie ocenić widząc małą myszkę, która odważnie przysiadła na tylnych łapkach tuż przy nodze sędziego Pyncheona i zamyśla, zdaje się, o wyprawie krajoznawczej na tę wielką czarną górę. Ha! A cóż wystraszyło zwinną małą myszkę? Czy to pysk czarnego kocura za oknem, gdzie usadowił się, chyba rozmyślnie, by trzymać straż? Ten kocur wygląda szpetnie. Czy to kot czyhający na myszy, czy diabeł na ludzką duszę? Gdybyśmy go tak mogli przepłoszyć z tego okna!

Dzięki Bogu, noc prawie już przeszła. Promienie księżyca już nie lśnią tak srebrzyście, nie kontrastują tak ostro z cieniami. Są teraz bledsze, a cienie robią się szare, już nie są czarne. Wiatr się ucisza. Która to godzina? Ach, zegarek wreszcie przestał tykać, bo niepamiętliwe palce sędziego zaniedbały nakręcić go jak zwykle o dziesiątej, na pół godziny przed porą spoczynku. Stanał więc po raz pierwszy od pięciu lat.

Lecz wielki zegar Czasu ciągle liczy swe uderzenia. Ponura noc — bo jakże nam się zdaje ponurą ta upiorna, bezpłodna pustka, która pozostała za nami — owa noc ustępuje przed świeżym, bezchmurnym porankiem. Błogosławiona jasność! Światło dnia — choć tak trudno trafia do tej zawsze mrocznej bawialni — zdaje się częścią powszechnego błogosławieństwa, które przekreśla zło, wszelkie dobro czyni możliwym, a szczęście osiągalnym.

Czy sędzia Pyncheon wstanie ze swego fotela? Czy wyjdzie, by pierwsze promienie słońca padły na jego twarz? Czy rozpocznie ten nowy dzień, który Bóg ozłocił swym uśmiechem, pobłogosławił i podarował ludziom? Czy rozpocznie go lepiej niż wiele innych, które przeżył w grzechu? Czy też wszystkie zamiary dnia wczorajszego zalegają tak uparcie jak zawsze jego serce i myśli?

Jeśli tak jest, pozostaje wiele do zrobienia. Czy sędzia będzie się domagał od Hepziby rozmowy z Cliffordem? Czy zakupi bezpiecznego, stosownego dla starszego pana wierzchowca? Czy przekona nabywcę starej ziemi Pyncheonów, by zrzekł się kupna na jego korzyść? Czy odwiedzi swego lekarza, dostanie lek, który go zachowa w dobrym zdrowiu aż do patriarchalnej starości, by stał się chlubą i błogosławieństwem swego rodu? A przede wszystkim, czy sędzia Pyncheon przeprosi jak należy swych czcigodnych przyjaciół i upewni ich, że jego nieobecność na uroczystym obiedzie była nieunikniona, i w ten sposób odzyska ich względy, i zostanie jeszcze gubernatorem stanu Massachusetts? A po dokonaniu owych wielkich zadań, czy będzie się znów przechadzał po ulicach z tym lepkiem uśmiechem wyszukanej dobrotliwości, tak gorącym, że zwabi latające muchy, aby się grzały w jego ciepłe? Czy też po rozmyślaniach, na których spędził w grobowej samotności miniony dzień i noc,



wyjdzie jako człowiek skromny i pełen skruchy, smutny, łagodny, nie szukający zysku, unikający szczytów tego świata, nie śmiejący nieomal kochać Boga, lecz śmiały w miłości do człowieka i w czynieniu mu dobra wedle swej mocy? Czy zniknie z jego twarzy ten odrażający grymas udanej dobroci, obłudny pycha i wstrętny fałszem, a zagości na niej smutek skruszonego serca, które się wreszcie załamało pod ciężarem własnych grzechów? Gdyż jesteśmy przekonani, że jakkolwiek wysoko spiętrzył się stos honorów sędziego, u jego postaw leżał ciężki grzech.

Wstań, sędzio Pyncheonie! Poranne słońce jaśniej przez liście i choć tak piękne i święte, nie wzdraga się oświetlić twej twarzy. Wstań, ty przebiegły i światowy, samolubny obłudniku o kamiennym sercu, i uczynź wybór: czy masz być dalej przebiegły, samolubny, twardy i obłudny, czy też wydrzesz te grzechy ze swej natury, choćby w nich było samo życie! Gniew Boży zawisł nad tobą! Wstań, póki nie będzie za późno!

Cóż to! Nie poruszyło cię to ostatnie wezwanie? Nie, ani trochę. A tam widać muchę — jedną z tych zwyczajnych much domowych, co brzęczą zawsze na szynkach. Zwiertżyła gubernatora Pyncheona i oto siada mu na czole, a teraz na brodzie, a teraz — Boże, zachowaj nas! Pełźnie po nosie ku szeroko otwartym oczom przyszłego dostojnika! Czy nie umiesz odpędzić muchy? Czy jesteś zbyt leniwy? Ty, co zamierzałeś spędzić dzień tak pracowicie? Czyż tak jesteś słaby, ty, co byłeś tak potężny? Nie odpędzisz muchy? Ach, w takim razie poniechamy cię!

Ale słuchajcie! Zadzwoił sklepowy dzwonek. Po takich godzinach jak te ostatnie, w których musieliśmy znieść ciężar naszej posępnej opowieści, dobrze jest uprzytomnić sobie, że istnieje świat żywych i że

nawet ten stary samotny dwór zachował jakiś z nim związek. Oddychamy swobodniej porzucając sędziego Pyncheona i wychodzimy na ulicę przed Dom o Siedmiu Szczytach.

Wuj Venner pchający przed sobą taczkę był pierwszą osobą, jaka pojawiła się w tej okolicy nazajutrz po burzy.

Ulica Pyncheonów przed Domem o Siedmiu Szczytach przedstawiała widok o wiele przyjemniejszy, niż można się było spodziewać po takiej bocznej uliczce ogrodzonej lichymi opłotkami, wśród których stały ubogie drewniane domki. Natura dała ten ranek jako słodką nagrodę za pięć niedobrych dni, które go poprzedziły. Warto było żyć po to tylko, by patrzeć, jak rozległy błogosławiony błękit nieba lub bodaj skrawki błękitu widoczne między domami rozjaśniły się na nowo słońcem. Każdy przedmiot był miły dla oka, czy to oglądany z daleka, czy z bliska. Wabiły urokiem dobrze wymyte kamyczki i żwir na chodniku a nawet kałuże na środku ulicy, w których odbijało

się niebo, i jaśniejąca świeżą zielenią trawa, co pełzała pod płotami; a jeśli się zajrzało przez płot, można było zobaczyć bogatą roślinność w ogrodach. W ogóle rośliny wszelkiego rodzaju zdawały się nie tylko chłonać, lecz wprost chwytać szczęście w soczystym cieple i bujnej radości swego życia. Wiąz Pyncheonów tryskał zielenią w całej swej potężnej masie, pełen słońca i łagodnej bryzy, która drżała w nim i szeptała tysiącem liściastych języków na raz. Wiekowe drzewo nic, zdaje się, nie ucierpiało od wichury. Gałęzie były nienaruszone, a liście w komplecie; całość w idealnej zieleni z wyjątkiem jednej gałęzi, która, pożółkła wcześniej — a wiązy lubią w ten sposób przepowiadać jesień — lśniła jaskawym złotem niby złota gałązka, która otworzyła Eneaszowi i Sybilli wejście do Hadesu.

Ta jedna mistyczna gałąź zwisała przed głównym wejściem do Siedmiu Szczytów tak nisko nad ziemią, że każdy przechodzień mógł ją zerwać stając na palcach. Gdyby ją okazał przy drzwiach, mogłaby się stać się dlań symbolem prawa wstępu i poznania tajemnic domu. Jak mało wiary trzeba dawać pozorom! Czigodny budynek zdawał się rzeczywiście zapraszać do środka, a jego wygląd nasuwał myśl, że historia tego domu płynie dostojną i szczęśliwą falą i byłaby miłą opowieścią przy kominku. Okna wesoło lśniły w słońcu. Wyrastające gdzieniegdzie kępy zielonego mchu zdawały się upewniać o zażyłości i siostrzanej przyjaźni z Naturą, jak gdyby to mieszkanie człowieka, stojąc tu od tak dawna, uzyskało prawo istnienia na równi z pierwotnymi dębami i wszystkim, co mocą długiego trwania nabyło szczęśliwych praw wiecznego bytu. Gdyby tędy przechodził człowiek obdarzony wyobraźnią, z pewnością uważnie obejrzałby ten dom, jego liczne szczyty zbratane pękiem kominów, głęboki nawis pięter, sklepione okno rozpięte niby herb szlachecki nad zrujnowanym portalem, bujną gęstwini-

nę olbrzymich łopianów przy progu; ów człowiek spostrzegłby to wszystko, zadumałby się i osądził, że pod tym wszystkim kryje się coś głębszego. Pomyślałby, że dwór ten był rezydencją starego upartego Purytana, człowieka nieskazitelnego, który umierając w jakimś tam zapomnianym pokoleniu pozostawił w pokojach i komnatach swe błogosławieństwo, a jego skutki były widoczne w religijności i uczciwości, umiarkowanym dobrobycie lub męźnie i z pogodą znośnym niedostatku jego potomnych po dzień dzisiejszy.

Jedna rzecz nade wszystko wryłaby się w pamięć obdarzonego wyobraźnią obserwatora. Była to duża kępa kwiatów — jeszcze tydzień temu rzekłbyś, że to chwasty — kępa karmazynowo nakrapianych kwiatów w zagłębieniu ścian dwu frontowych szczytów. Starzy ludzie nazywali ją wiązaną Alicji na pamiątkę pięknej Alicji Pyncheon, która podobno przywiozła nasiona z Italii, Dziś zapłonęły niezwykłą piękną rozkwitu niby mistyczny znak, że we wnętrzu domu coś się dokonało.

Wkrótce po wschodzie słońca, jak już wspomnieliśmy, wuj Venner pchał taczki przez ulicę. Odprawiał swój poranny obchód zbierając liście kapusty, łupiny od kartofli i rozmaite odpadki z obiadu, które oszczędne gospodynie z sąsiedztwa zazwyczaj odkładały jako nadające się tylko dla świń. Świnia wuja Vennera chowała się w stanie kwitnącym na tych właśnie wybranych daninach — tak wyłącznie, że nasz ubogi filozof mawiał, iż przed odejściem na swoją farmę wyprowadzi ucztę z chrząkającego grubasa i sprosi sąsiadów, by spożywali golonki i schaby, które sami pomagali tuczyć. Gospodarstwo panny Hepziby Pyncheon tak bardzo się poprawiło od powrotu Clifforda, że jej udział w uczcie nie byłby wcale pośledni; dlatego też wuj Venner poczuł się mocno zawiedziony nie znajdując dużej glinianej konwi, pełnej jadalnych odpad-

ków, która zwykle czekała na jego przybycie koło schodków tylnego wejścia do Siedmiu Szczytów,

— Nigdy dotąd nie widział, żeby panna Hepziba tak o mnie zapomniała — rzekł do siebie patriarcha. — Musiała wczoraj gotować obiad, to niewątpliwe! Zawsze teraz gotuje obiady.. Więc gdzie są pomyje i obierzyny, pytam? Może zapukać i zobaczyć, czy już wstała? Nie, nie, nie trzeba. Gdyby mała Febe była w domu, można by zapukać. Ale panna Hepziba na pewno wyjrzy oknem i będzie się strasznie krzywiła, i zrobi złą minę, nawet gdyby w sercu była mi przychylna. Wrócę w południe.

Z tymi myślami staruszek zamykał furtkę małego podwórka od tyłu. Lecz furtka skrzypiała w zawiasach, jak wszystkie furtki i drzwi w okolicy, a skrzypienie to dobiegało do uszu mieszkańca północnego skrzydła, w którym jedno z bocznych okien wychodziło na tę stronę.

— Dzień dobry, wuju Venner! — powiedział dagerotypista wychylając się z okna. — Czy nie słychać, żeby ktoś się tam ruszał?

— Ani żywego ducha — odpowiedział starowina. — Ale to nic dziwnego. Dopiero z pół godziny minęło od wschodu słońca. Cieszę się, że pana widzę, panie Holgrave! Tak jakoś samotnie wygląda ta strona domu, że moje serce jakby przeczuwało coś złego; tak mi się jakoś wydało, że tam nie ma żywej duszy. Od frontu wygląda znacznie weselej, a wiązanka Alicji pięknie zakwitła. Gdybym był młody, panie Holgrave, moja dziewczyna już by miała jeden z tych kwiatów, choćbym miał nawet kark skrócić włączając po niego. A właśnie! Czy budził pana w nocy ten wiatr?

— O, tak! — odrzekł z uśmiechem artysta. — Gdybym wierzył w duchy (a właściwie to nie wiem, czy wierzę, czy nie), pomyślałbym, że wszyscy Pyncheonowie harczą w pokojach na dole, a zwłaszcza w tej

części domu, którą zajmuje panna Hepziba. Ale teraz tam bardzo spokojnie.

— Tak, może panna Hepziba zasnęła po takiej nocy. Ten hałas pewnie nie dawał jej spać — powiedział wuj Venner. — A może sędzia zabrał ich' oboje do siebie na wieś? To by było dziwne, nie? Widziałem, jak wchodził wczoraj do sklepu.

— O której godzinie? — spytał Holgrave.

— O, gdzieś koło południa — odrzekł staruszek. — Ano, trzeba mi w drogę, razem z moimi taczkami. Ale będę tu przed obiadem, bo moja świnka zjada i śniadanie, i obiad. Już ona nie pogardzi żadną porą i żadnym jadłem. Do widzenia panu! Aha, panie Holgrave, gdybym to ja był młody, tak jak pan, zerwałbym jeden kwiatek z wiązanki Alicji i potrzymał go w wodzie aż do przyjazdu Febe!

— Słyszałem — powiedział artysta chowając głowę za okno — że najlepiej tym kwiatom służy woda ze studni Maule'a.

Na tym zakończyła się rozmowa i wuj Venner poszedł w swoją drogę. Przez następne pół godziny nic nie zakłócało spokoju Siedmiu Szczytów z wyjątkiem chłopca, który przechodząc mimo drzwi frontowych rzucił na próg gazetę; bowiem Hepziba w ostatnich czasach regularnie ją zabierała. Po chwili przybiegła gruba kobieta, z wielkim pośpiechem, aż potknęła się na schodkach wiodących do sklepu. Twarz jej gorzała od ognia kuchennego, a że ranek był dość ciepły, cała jej postać jakby kipiała i syczała niby smażąc się od ciepła komina, ciepła lata i ciepła własnego rozpędzonego, grubego ciała. Spróbowała drzwi sklepowych — były zamknięte. Spróbowała znowu, tak gniewnym szarpnięciem, że dzwonek odszczeknął jej również ze złością.

— Do diabła z tą starą Pyncheon! — mruknęła zirytowana gospodyni. — Pomyśleć tylko, udaje, że

prowadzi sklepik centowy, a wyleguje się do południa! To są te pańskie fanaberie! Ale już ja podniosę jej pańską mość albo te drzwi rozwalę!

Zgodnie z tym szarpała drzwiami, a dzwonek, który też miał swoją złość, dzwonił przeraźliwie, aż jego wymyślenia doszły — nie do tych uszu, dla których były przeznaczone, lecz do uszu zacnej damy, co mieszkała naprzeciwko. Ta otworzyła okno i zwróciła się do niecierpliwiej klientki.

— Nikogo pani tam nie znajdzie, pani Gubbins.

— Ale ja muszę kogoś znaleźć i znaleźć! — krzyknęła pani Gubbins napadając raz jeszcze na dzwonek. — Potrzeba mi pół funta smalcu na smażenie. Mam pierwszorzędne fladry na śniadanie dla pana Gubbinsa i musi ta stara Pyncheon, pani czy nie pani, wstać i obsłużyć mnie!

— Ale niechże pani posłucha, pani Gubbins! — odrzekła dama z przeciwka. — Ona pojechała razem z bratem do krewnego, do sędziego Pyncheona na wieś. Nie ma w domu żywej duszy oprócz tego młodego dagerotypisty, który sypia w północnym skrzydle. Widziałam wczoraj Hepzibę i Clifforda, jak wychodzili. Ale to dziwne ptaszki! Jak toto wyglądało, kiedy się chlapani po tych kałużach! Na pewno ich nie ma, zaręczam pani.

— A skąd pani wie, że pojechali do sędziego? — spytała pani Gubbins. — To bogaty człowiek i z Hepzibą gniewają się od dawna, bo nie chce jej dać utrzymania. To dlatego otworzyła ten sklep.

— To, to ja dobrze wiem — rzekła sąsiadka. — Ale ich nie ma, to pewne. A kto inny jak nie krewny wzięłby do siebie tę starą jędzę i tego okropnego Clifforda? Tak, tak, może pani być przekonana.

Pani Gubbins odeszła kipiąc jeszcze złością na nieobecną Hepzibę. Przez następne pół godziny lub może znacznie dłużej przed domem panowała taka niemal



cisza jak wewnątrz. Tylko wiał wydawał przyjemne, radosne, słoneczne westchnienia odpowiadając podmuchom, które poza tym były nieuchwytnie. Rój owadów brzęczał wesoło w cieniu zwisających gałęzi migocząc niby światełka, ilekroć wpadały w słońce; gdzieś w nieprzeniknionej gęstwinie drzewa zagrała szarańcza, a samotny ptaszek z piórkami barwy bladego złota kręcił się wśród kwiatów wiazanki Alicji.

Wreszcie pojawił się nasz mały znajomy, Ned Higgins, idący do szkoły; a że pierwszy raz od dwóch tygodni zdarzyło się, iż był w posiadaniu centa, nie mógł w żaden sposób ominąć drzwi sklepowych. Lecz drzwi nie chciały się otworzyć. Raz po raz — i jeszcze z dziesięć razy, z niewyczerpanym uporem dziecka, które czegoś zapragnęło i uważa swój kaprys za rzecz niezmiernie ważną, ponawiał swe wysiłki, by się dostać do środka. Niewątpliwie wziął się na słońca lub może wraz z Hamletem postanowił zjeść krokodyla. W odpowiedzi na gwałtowniejsze szarpnięcia dzwonek od czasu do czasu dźwięczał cicho, lecz słabe siły malca nie mogły wydobyć z niego hałaśliwego dzwonięcia. Trzymając klamkę zajrzał przez szparę w zasłonie i zobaczył, że wewnętrzne drzwi, prowadzące do korytarza przy bawialni, są zamknięte.

— Panno Pyncheon! — krzyczało dziecko stukając w szybę. — Ja chcę słońca!

Skoro odpowiedź na kilkakrotne wezwanie nie nadchodziła, Ned począł się niecierpliwić; a że mały garnuszek jego złości prędko zakipiał, podniósł kamień z niegrzecznym zamiarem rzucenia go w okno. W tej właśnie chwili przechodziło ulicą dwóch mężczyzn x jeden z nich złapał urwisa za rękę.

— Co się stało, kawalerze? — zapytał.

— Ja chcę starej Hepziby albo Febe, żeby któraś e nich przyszła — odrzekł Ned z płaczem. — Nie chcą otworzyć drzwi i nie mogę dostać słońca.

— Idź do szkoły, ty mały gałganie! — powiedział mężczyzna. — Masz drugi sklep za rogiem. To bardzo dziwne, Dixey — dodał zwracając się do swego towarzysza. — Co się stało z tymi wszystkimi Pyncheonami? Smith ze stajni mówił mi, że sędzia Pyncheon zostawił wczoraj swego konia i miał go zabrać po obiedzie, i do tej pory nie zabrał. A jeden służący sędziego przyszedł rano i pytał o swego pana. To podobno taki człowiek, że rzadko kiedy odstępuje od swoich zwyczajów i nigdy nie spędza nocy poza domem.

— O, znajdzie się, nie ma strachu! — rzekł Dixey — A co do starej panny Pyncheon, to ja ci mówię, że wpadła w długi i uciekła od wierzycieli. Przepowiedziałem ci, pamiętasz, pierwszego dnia, jak tylko otworzyła sklep, że jej diabelska mina odstraszy klientów. Nie mogli jej znieść!

— Nigdy nie myślałem, że jej to pójdzie — zauważył jego przyjaciel. — Te centowe sklepiki to żaden interes. Za dużo kobiet to prowadzi. Moja żona spróbowała i straciła na tym pięć dolarów.

— Marny interes! — rzekł Dixey trzęsąc głową. — Marny interes.

Przez cały ranek czyniono przeróżne próby nawiązania porozumienia z mieszkańcami tego milczącego i nieprzeniknionego domu. Przyjechał handlarz piwem na swoim ładnie malowanym wózku, żeby wymienić pełne butelki na puste; piekarz z sucharkami, które zamówiła do swego interesu Hepziba; rzeźnik z pięknym kawałkiem mięsa, który, jak myślał, Hepziba będzie rada kupić dla Clifforda. Gdyby ktoś obserwujący to wszystko wiedział o strasznej tajemnicy, jaka się kryła we wnętrzu domu, przejęłoby go to dziwną grozą. Patrzcie, jak to prąd codziennego życia stworzył tu mały wir: kręcące się patyki, żdźbła słomy i tym podobne drobiazgi dookoła, dookoła, nad głębiną,

nad tym właśnie miejscem, gdzie spoczywały niewidoczne zwłoki.

Rzeźnik traktował swój pośladek jagnięcy czy jakiś tam inny przysmak tak poważnie, że spróbował wszystkich dostępnych drzwi prowadzących do Siedmiu Szczytów, aż wreszcie obszedłszy dom wokoło przyszedł znów do tych samych drzwi sklepowych, którymi wchodził zazwyczaj.

— To jest piękny towar i wiem, że stara pani weźmie go jak nic! — mówił do siebie. — Nie mogła nigdzie odejść. Dwadzieścia lat jeżdżę tym wózkiem po ulicy Pyncheonów i jeszcze nie widział, żeby kiedy wyszła z domu. Choć dosyć często, rzeczywiście, człowiek mógł pukać przez cały dzień i nie doczekać się, żeby podeszła do drzwi. Ale to było wtedy, jak miała tylko siebie do wyżywienia.

Zaglądając przez tę samą szparę w zasłonie, przez którą patrzył przed chwilą mały urwis o słoniowym apetycie, rzeźnik ujrzał wewnętrzne drzwi nie zamknięte, jak widziało dziecko, lecz otwarte niemal na oścież. Jakkolwiek się to mogło zdarzyć, tak było. Przez korytarze można było dojrzeć jaśniejsze, choć jeszcze ciemne wnętrza bawialni. Wydało się rzeźnikowi, że zobaczył dość wyraźnie coś jakby nogi mężczyzny siedzącego w dużym dębowym krześle, którego oparcie zakrywało resztę jego figury, ów pogardliwy spokój mieszkańca tego domu wobec niezmordowanych wysiłków rzeźnika, by zwrócić na siebie uwagę, tak uraził tego kapłana cielesności, że postanowił się wycofać.

„To tak — pomyślał. — Tam ten przeklęty brat starej panny Pyncheon siedzi, a ja tu się męczę i tracę czas! Gdyby tak się zachował wieprz, tobym go zakłuł! Moim zdaniem to jest ujma dla przedsiębiorstwa, handel z takimi ludźmi. Teraz, jak zechcą ode

mnie kiełbasy czy choćby uncję wątroby, będą lecieć za moim wozem".

Cisnął przysmak na wózek i odjechał w wielkiej złości.

Niedługo potem zza rogu ulicy dał się słyszeć dźwięk muzyki; głos ten kilkakrotnie przycichał, potem rozbrzmiewał na nowo żywą, skoczną melodią, coraz to bliżej. Gromada dzieci posuwała się naprzód, to znów przystawała, razem z dźwiękami muzyki, które płynęły gdzieś ze środka tego tłumu; tak jakby wszyscy byli związani delikatną przędzą dźwięków, tony harmonii trzymały ich razem i wiodły za sobą niby jeńców, a od czasu do czasu przybywał nowy malec w fartuszkach i słomkowym kapeluszu, wypadający w podskokach z drzwi lub furtki. Gdy to wszystko nadciągnęło pod wiaz Pyncheonów, okazało się, że to mały Włoch, który grał kiedyś na swej katarynce i pokazywał swoją małpkę i kukiełki pod sklepionym oknem. Miła twarzyczka Febe — a niewątpliwie też i hojna nagroda, jaką rzuciła, utkwiała mu w pamięci. Wyrazista twarz rozjaśniła mu się, gdy poznał miejsce, w którym zdarzyła się ta mała przygoda jego wędrownego życia. Wszedł na zaniedbane podwórko, dzikszere teraz niż kiedykolwiek, zarosłe bujnie łośpianem i pasternakiem, ustawił się na progu głównego wejścia i otwierając swą skrzynkę począł grać. Wszystkie osoby mechanicznej społeczności niezwłocznie wzięły się do pracy, każda zgodnie ze swym powołaniem. Małpka zdejmowała czapeczkę, kłaniała się i mizdrzyła obłęnie do przechodniów, bacząc pilnie, by podnieść zabłąkanego centa, a sam młodociany cudzoziemiec obracając korbę swej maszyny spoglądał w górę na sklepione okno oczekując pojawienia się słuchaczy, których obecność dodałaby jego muzyce uroku. Obok tłum dzieci: niektóre na chodniku, inne na podwórku, dwoje czy troje na schodkach prowadzących do drzwi, a jed-

no przykucnęło na progu. W gałęziach starego wiązu Pyncheonów grała ciągle szarańcza.

— Nie słyszę nikogo w tym domu — powiedziało jedno z dzieci. — Małpa nic tu dziś nie dostanie.

— Jest ktoś w domu — upewnił mały urwis na progu. — Słyszałem kroki.

Oczy małego Włocha ciągle zwracały się w górę i zdawało się rzeczywiście, jak gdyby cień niewielkiego, lecz szczerogo uczucia ogrzał suche, mechaniczne zabiegi jego minstrelskich obrządków. Ci wędrowcy bardzo żywo reagują na każdy objaw okazanej im dobroci — choćby to był tylko przelotny uśmiech lub słowo, nawet niezrozumiałe, lecz pełne ciepła, rzucone na ich drogę. Pamiętają te rzeczy, gdyż są to małe czarodziejskie zaklęcia, które na chwilę — na taki czas, przez jaki odbija się krajobraz w bańce mydlanej — budują wkoło nich dom. Dlatego włoski chłopiec nie myślał się szybko zniechęcać ciężkim milczeniem, jakim stary dom zdawał się tłumić blask jego melodii. Wytrwale wysyłał w przestrzeń swe piosenki i patrzył w górę ufny, że jego ciemna twarz rozjaśni się wkrótce widokiem słonecznej Febe. Nie chciał też odchodzić nie zobaczywszy Clifforda, którego wrażliwość przemówiła do małego cudzoziemca, podobnie jak uśmiech Febe, mową serca. Niestrudzenie powtarzał swe melodie, aż jego słuchacze poczęli się nużyć. Znużył się też mały drewniany ludek w skrzynce, a najbardziej małpka. Nie było żadnej odpowiedzi prócz grania szarańczy.

— W tym domu nie mieszkają dzieci — powiedział wreszcie jakiś malec. — Nikt tu nie mieszka, tylko jedna stara panna i jeden stary człowiek. Nic tu nie dostaniesz. Czemu nie odchodzisz?

— Ty głupi, po co mu to mówisz? — szepnął jakiś chytry mały Jankes, któremu nie zależało bynajmniej na muzyce, a tylko na tym, że jej słuchał darmo. —

Niech" gra, dokąd chce! Jak nie dostanie pieniędzy, to jego rzecz!

Jednakże Włoch' przegrał raz jeszcze swoje melodyjki. Przypadkowy obserwator, który by widział tylko zewnętrzną stronę domu pełną słońca i muzyki, uznałby tę uporczywość ulicznego grajka za zabawną. Czy uda mu się wreszcie? Czy otworzą się znienacka oporne drzwi? Czy wypadnie z nich gromadka dzieci, najmłodszych mieszkańców tego domu, ze śmiechem i krzykiem obstąpi czarodziejską skrzynkę w zachwycie patrząc na kukiełki i rzucając miedziaki ogoniastej Mamonie?

Lecz na nas, którzy znamy wnętrze tego domu równie dobrze jak jego zewnętrzne oblicze, to powtarzanie swawolnych melodii na progu czyni wrażenie upiorne. A gdyby tak sędzia Pyncheon (którego nie poruszyłyby najbardziej nawet natchnione tony skrzypiec Paganiniego) pojawił się u drzwi z krwawym gorsem koszuli, z ponuro namarszczoną, śmiertelnie bladą twarzą i gestem odprawił obcego włóczęgę? Czy kto kiedy słyszał takie wygrywanie dżigów i walców, kiedy nikt do tańca nie czuje ochoty? Ależ tak, bardzo często. Ten kontrast lub przeplatanie się tragedii z wesołością zdarza się co dzień, co godzina, co chwila. Ponury, pusty, stary dom, z którego uciekło wszelkie życie, ze straszliwą śmiercią zasiadającą surowo w samotnym wnętrzu, był symbolem niejednego ludzkiego serca, które jednakże musi słuchać odgłosów i dźwięków weselącego się wokół świata.

Przed zakończeniem występów Włocha dwóch ludzi przechodziło pod domem zdążając na obiad.

— Hej tam, ty mały Francuzie! — zawołał jeden z nich. — Odejdź no z tych schodków i pójdz gdzie indziej ze swoimi głupstwami! Tu mieszka rodzina Pyncheonów i właśnie teraz mają wielki kłopot. Nie mają dzisiaj głowy do muzyki. Mówią po mieście, że

sędziea Pyncheon, do którego należy ten dom, został zamordowany i naczelnik miejskiej policji ma się tym zająć. Wynoś się stąd zaraz!

Gdy Włoch zakładał na ramię swą katarynkę, zobaczył na schodkach kartę, która leżała pod gazetą rzuconą tam przez chłopca, lecz teraz wysunęła się i było ją widać. Podniósł ją, a widząc na niej jakiś napis ołówkiem, dał do przeczytania mężczyźnie. Była to drukowana karta wizytowa sędziego Pyncheona z porobionymi ołówkiem zapiskami na odwrocie, tycającymi się różnych spraw, które miał załatwić wczoraj, skrót projektowanej historii dnia, która wszakże nie ułożyła się zgodnie z programem. Karta musiała wypaść z kieszeni kamizelki sędziego, gdy usiłował się dostać do domu głównym wejściem. Choć nasiąkała deszczem, można ją było jeszcze w części odczytać.

— Popatrz no, Dixey! — wykrzyknął mężczyzna. — To ma coś wspólnego z sędzią Pyncheonem. Spójrz! Tu jest wydrukowane jego nazwisko, a tu pewnie coś napisane jego ręką.

— Chodźmy z tym do naczelnika policji — powiedział Dixey. — Może to naprowadzi go na jakiś ślad. Właściwie — szepnął do ucha towarzysza — nic by w tym nie było dziwnego, gdyby sędzia wszedł w te drzwi i nie wyszedł więcej! Pewien kuzyn może znów zaczyna swoje stare figle. A stara panna Pyncheon zadłużyła się na swoim centowym sklepiku — sędzia ma dobrze wypchany portfel — no i już były między nimi jakieś swary! Złóż do wszystko razem i zobacz, co z tego wychodzi!

— Cicho, cicho! — szepnął drugi. — To chyba grzech mówić pierwszemu takie rzeczy. Ale myślę tak jak i ty, że trzeba iść do naczelnika policji.

— Tak, tak — rzekł Dixey. — Ano, ja zawsze mówiłem, że jest coś diabelskiego w twarzy tej kobiety!

Zawrócili więc i poszli znów w górę ulicy. Włoch

również zbierał się co prędzej do odejścia, rzucając pożegnalne spojrzenie na sklepione okno. Dzieci porwały się do ucieczki wszystkie na raz i pędziły, jakby je gonił jakiś strach, a zatrzymały się dopiero daleko od domu, tak samo nagle, jak się zerwały. Zasłyszane słowa przejęły lękiem wrażliwe dziecięce serca. Groteskowe szczyty i cieniste kąty starego dworu wydały im się tak ciemne, że nie mogło ich rozjaśnić nawet słońce. Hecziba marszczyła czoło i groziła im palcem z kilku okien na raz. Clifford — gdyż był on zawsze postrachem dzieci (uraziłoby go boleśnie, gdyby się o tym dowiedział) — stał za urojoną Heczibą w spłowiałym szlafroku, czyniąc straszliwe gesty. Dzieciom łatwiej jeszcze niż dorosłym udziela się paniczny strach. Przez resztę dnia lękliwsze z nich obchodziły ulicę z daleka, by uniknąć Siedmiu Szczytów, a odważniejsze okazywały swe męstwo przebiegając pędem koło tego domu.

Nie upłynęło chyba więcej niż pół godziny od zniknięcia małego Włocha wraz z jego muzyką, która zjawiała się tak nie w porę, gdy na ulicę wjechała dorożka. Zatrzymała się pod wiazem Pyncheonów; dorożkarz zdjął kufer, płócienną torbę podrózną i łubiane pudło z dachu swego wehikułu i złożył je na schodkach starego domu; z wnętrza dorożki wyłonił się słomkowy kapelusik, a potem zgrabna figurka młodej dziewczyny. Była to Febe, promienna spokojną jasnością słonecznego z natury usposobienia, choć nie tak kwitnąca jak wówczas, gdy po raz pierwszy wbiegła lekką stopą w naszą opowieść — gdyż przeżycia tych kilku tygodni uczyniły ją poważniejszą i bardziej kobiecą, a spojrzenie jej oczu stało się głębsze — znak budzącego się serca. Tak jak przedtem, wszystko wokół niej stawało się od razu rzeczywiste, realne raczej niż fantastyczne; tego daru nie zatraciła. Lecz czujemy, że nawet dla Febe przekroczenie w tej chwili pro-



gu Siedmiu Szczytów jest ryzykownym przedsięwzięciem. Czy ma w sobie dość mocy, by swą obecnością przepędzić tłum grzesznych, bladych, ohydnych widziadeł, które się tam dostały po jej odjeździe? Czy też i ona zwiędnie, posmutnieje, zbrzydnie i stanie się jeszcze jednym wybladłym widmem snującym się bezszelestnie po schodach i straszącym dzieci?

Chętnie byśmy przynajmniej ostrzegli nie podejrzewając niczego dziewczynę, że nie powita jej żadna ludzka istota — chyba że będzie to postać sędziego Pyncheona, który — choć tak nędzny przedstawiał widok i straszny dla naszej pamięci, odkąd sprawowaliśmy przy nim nocną wartę — jeszcze ciągle zajmuje swe miejsce w dębowym krześle.

Febe spróbowała najpierw drzwi sklepowych; nie ustąpiły pod jej ręką; widok okna zaciągniętego białą zasłoną uderzył ją od razu jako coś niezwykłego. Nie próbując już wejść tamtędy, skierowała się do głównego wejścia pod sklepionym oknena. Znalazła drzwi zamknięte i zastukała. Pustka wnętrza odpowiedziała echem. Ponowiła pukanie. Nasłuchującej z natężeniem wydało się, że podłoga zaskrzypiała, jak gdyby zbliżała się, jak zwykle na palcach, Hepziba, aby ją wpuścić. Lecz po tym urojonym skrzypieniu nastąpiła taka cisza, że Febe zaczęła się zastanawiać, czy nie pomyliła domu, choć zdawało jej się, że była tak dobrze obeznana z jego wyglądem.

Uwagę jej zwrócił teraz głos dziecka wołający z daleka. Zdawało się, że woła ją po imieniu. Spoglądając w stronę, skąd dochodził głos, ujrzała małego Neda Higginsa, który stał w głębi ulicy, tupał nogami, trząsał gwałtownie głową, czynił błagalne gesty obiema rękami i krzyczał na całe gardło:

— Nie, nie, Febe! — wrzeszczał. — Nie wchodź tam! Tam jest coś złego! Nie wchodź, nie wchodź, nie wchodź tam!

Lecz gdy nie mogła nakłonić malca do zbliżenia się na tyle, by mógł się jaśniej wytłumaczyć, zdecydowała, że musiał się wystraszyć jej kuzynki Hepziby podczas której bytności w sklepie: gdyż prawdę mówiąc wszystko, co czyniła ta zacna pani, budziło w dzieciach paniczny lęk albo nieprzystojną wesołość. Jednakże teraz jeszcze mocniej odczuła, jak dziwnie milczący i nieprzenikniony stał się ten dom. Następnie Febe udała się do ogrodu, gdyż nie wątpiła, że przy dniu tak ciepłym i pogodnym znajdzie Clifforda a może i Hepzibę spędzających południową porę leniwie w cieniu altany. Skoro się tylko ukazała w ogrodzie, rodzina kur rzuciła się pół biegnąc, pół lecąc na skrzydłach na jej spotkanie, a dziwny kocur, który czaił się pod oknem bawialni, wdrapał się spieszenie na płot i znikł. Altana była pusta, a jej podłoga, stół i półkolista ława jeszcze wilgotne i zarzucone gałązkami i śmieciem naniesionymi przez burzę. W ogrodzie wyrosło wszystko nad podziw. Chwasty, korzystając z nieobecności Febe i z długotrwałych deszczów, wybujały wysoko ponad kwiaty i warzywa. Studnia Maule'a wylała przez kamienne ocembrowanie i utworzyła wielką kałużę w kącie ogrodu.

To wszystko robiło takie wrażenie, jak gdyby nie powstała tu noga ludzka od wielu dni — prawdopodobnie od jej wyjazdu, gdyż Febe zobaczyła swój grzebień, którym upinała włosy, leżący pod stołem altany, gdzie musiał upaść owego ostatniego popołudnia, kiedy siedziała tam z Cliffordem.

Dziewczyna wiedziała, że jej krewni zdolni są do dziwactw znacznie większych niż zamykanie się na cztery spusty w starym domu, tak jak widocznie uczynili teraz. Niemniej jednak gdy zbliżała się do drzwi, którymi zazwyczaj wychodziło się z domu do ogrodu, ogarnęło ją niewyraźne przeczucie, że coś się wydarzyło złego, jakiś lęk, którego nie umiała nazwać.

Drzwi były zaryglowane od wewnątrz tak jak dwa pozostałe wejścia, których już próbowała; zapukała jednak — i natychmiast, jakby ktoś tam oczekiwał jej przybycia, drzwi się otwarły, niby pociągnięte niewidzialną ręką, nie na oścież, lecz dość szeroko, by umożliwić jej wsunięcie się bokiem do wnętrza. Ponieważ Hepziba nie chcąc się wystawiać na spojrzenia ludzkie zawsze w ten sposób otwierała drzwi, Febe zdecydowała oczywiście, że wpuszcza ją teraz kuzynka.

Bez wahania zatem przesunęła się przez próg i skoro tylko znalazła się we wnętrzu, drzwi się natychmiast za nią zamknęły.

Febe przechodząc tak nagle z jasności słonecznego dnia w gęsty cień, jaki panował we wszystkich prawie korytarzach starego domu, była jak oślepią. Z początku nie zdawała sobie sprawy, kto ją wpuścił. Zanim jej oczy jednak przyzwyczyły się do ciemności, jakaś ręka ujęła jej rękę na powitanie w uścisk mocny, lecz delikatny i ciepły, od którego jej serce zabiło i zadrżało nieokreślonym dreszczem radości. Poczuła, że ktoś ją prowadzi, nie w kierunku bawialni, lecz do obszernego nie zajętego apartamentu, który był niegdyś wielkim salonem Siedmiu Szczytów. Słońce wchodziło swobodnie przez wszystkie nie osłonięte okna sali i padało na zakurzoną podłogę, tak że Febe zobaczyła teraz wyraźnie — co zresztą nie było dla niej tajemnicą, odkąd poczuła ciepłą dłoń — że przyjęcie to zawdzięcza nie Hepzi-

bie lub Cliffordowi, lecz panu Holgrave. Jakieś mgliste, nieokreślone przeczucie kazało jej ulec bez oporu jego woli, tak jak gdyby ktoś tajemniczą drogą powiadomił ją, że dowie się czegoś ważnego. Nie cofając ręki spojrzała pytająco na jego twarz, nie dość bystra, by przewidzieć nieszczęście, lecz świadoma, że sytuacja w rodzinie zmieniła się od jej odjazdu. Czekwała więc niespokojnie na wyjaśnienie.

Artysta był bledszy niż zazwyczaj; czoło, na którym malowało się zamyślenie i surowość, ściągnęła głęboka pionowa zmarszczka. Lecz uśmiech miał w sobie szczere ciepło, a radość — jakiej Febe jeszcze nigdy nie widziała na twarzy Holgrave'a — promieniała spod typowo nowoangielskiej maski powściągliwości, którą zwykle okrywał to, co czuło jego serce. Był to wyraz, jaki ma człowiek nękanym straszliwą troską na posępnym, dzikim bezludziu, gdy dostrzeże dobrze znaną postać najdroższego przyjaciela, który niesie ze sobą spokój myśli, nastrój domowego zacisza i spraw codziennych. A jednak gdy poczuł, że musi odpowiedzieć na jej pytające spojrzenie, uśmiech znikł mu z twarzy.

— Nie powinienem się cieszyć, że przybyłaś, Febe — powiedział. — Spotykamy się w dziwnej chwili.

— Co się stało? — wykrzyknęła. — Dlaczego dom jest taki pusty? Gdzie są Hepziba i Clifford?

— Odeszli! Nie mam pojęcia, gdzie się podziewają. Jesteśmy sami w tym domu.

— Hepziba i Clifford odeszli? — wykrzyknęła Febe. — To niemożliwe! I dlaczego wprowadził mnie pan do tego pokoju zamiast do bawialni? Ach, coś się stało strasznego! Muszę biec tam i zobaczyć!

— Nie, nie, Febe! — rzekł Holgrave zatrzymując ją. — Jest tak, jak ci powiedziałem. Poszli i nie wiem dokąd. Rzeczywiście zdarzyło się coś strasznego, lecz nie im ani też (nie wątpię w to) za ich sprawą. Jeśli

dobrze czytam w twym charakterze, Febe — ciągnął wpatrując się z czułością i niepokojem w jej oczy — choć jesteś tak łagodna i żyjesz w kręgu zwyczajnych, codziennych spraw, posiadasz jednak dość siły. Jesteś bardzo zrównoważona i zdolna w razie potrzeby radzić sobie w sprawach, które wykraczają daleko poza zwyczajny krąg życia.

— Och, nie, nie. Jestem bardzo słaba! — zaprzeczyła Febe drżąc. — Lecz proszę mi powiedzieć, co się stało!

— Jesteś silna! — upierał się Holgrave. — Musisz być silna i mądra, gdyż jestem jak błędny i potrzeba mi twojej rady. Może być, że ty właśnie powiesz, co należy robić.

— Proszę mi powiedzieć! Proszę powiedzieć! — mówiła Febe drżąc cała. — Dręczy mnie i przeraża ta tajemnica! Wszystko zniosę, tylko nie tę niepewność!

Artysta zawahał się. Mimo że tyle mówił przed chwilą o zrównoważeniu Febe, które szczerze podziwiał, zdawało mu się niemal okrutnym obarczenie jej Straszliwą tajemnicą dnia wczorajszego. Było to jakby wywlekanie ohydneho kształtu śmierci na czyste i jasne miejsce przy kominku w rodzinnym domu, gdzie wydawałby się bardziej jeszcze szpetny w cieplej i harmonijnej atmosferze. Lecz nie można było tego przed nią ukrywać; musiała się dowiedzieć.

— Febe — powiedział — czy pamiętasz to?

Włożył jej do ręki dagerotyp, ten sam, który pokazywał jej przy pierwszej ich rozmowie w ogródku, ten, który w tak nieubłagany sposób wydobywał skrywaną przed światem twardość i nieugiętość owej twarzy.

— Co to ma wspólnego z Hepzibą i Cliffordem? — spytała Febe zdumiona i zniecierpliwiona, że Holgrave droczy się z nią w takiej chwili. — To jest sędzia Pyncheon. Pokazywał mi to pan przedtem.

— Lecz tu jest ta sama twarz, zdjęta pół godziny temu — rzekł artysta ukazując jej drugą podobiznę. — Właśnie ją skończyłem, gdy usłyszałem twoje pukanie.

Febe zatrzęsała się i zbladła. — To twarz umarłego! Sędzia Pyncheon nie żyje!

— Tak i jest tutaj — rzekł Holgrave — siedzi obok w pokoju. Sędzia nie żyje, a Clifford i Hepziba zniknęli! Nie wiem nic więcej. Wszystko poza tym jest przypuszczeniem. Wracając wczoraj wieczór do mego samotnego pokoju nie widziałem światła ani w bawialni, ani w pokoju Hepziby, ani u Clifforda; żadnego ruchu, żadnego stąpania po domu. Dziś rano ta sama śmiertelna cisza. Przez okno podsłuchiwałem, jak mówiła sąsiadka, że widziano ich wczoraj, wśród burzy, opuszczających dom. Doszły mnie też głosy, że sędzia Pyncheon gdzieś zaginął. Jakieś uczucie, którego nie umiałbym określić, przeczucie jakiejś katastrofy, wrażenie, że coś się dokonało — zmusiło mnie do udania się do tej części domu, gdzie odkryłem to, co widzisz. Użyłem środków, jakimi dysponuję, by zrobić ten obrazowy dokument śmierci sędziego Pyncheona, gdyż może on się okazać użytecznym dla Clifforda, a także dla mnie stanowi cenną pamiątkę, gdyż istnieją pewne dziedziczne więzy, które połączyły mnie w dziwny sposób z losem tego człowieka.

Przy całym swym wzruszeniu Febe zauważyła jednak, jakim spokojem odznaczało się zachowanie Holgrave'a. Prawda, że był wstrząśnięty okropnością śmierci sędziego, lecz mimo to przyjmował ten fakt do wiadomości bez żadnego zdziwienia, jak wypadek z góry przesądzony i tak zgodny z wydarzeniami przeszłości, że można go było niemal przepowiedzieć.

— Dlaczego nie otworzył pan drzwi i nie zwołał ludzi? — zapytała z drżeniem. — To straszne być tu samemu!

— Lecz Clifford! — przypomniał artysta. — Clifford i Hepziba! Musimy rozważyć, co należy zrobić, żeby było dla nich jak najlepiej. To nieszczęśliwa okoliczność, że tak zniknęli! Ich ucieczka rzuci jak najgorsze światło na ten wypadek, który może się zdawać wysoce podejrzany. A jednak jak jest zrozumiała dla tych, co ich znali! Oszołomieni i przerażeni podobieństwem tego zgonu do owej śmierci, która zdarzyła się przed laty i miała tak fatalne następstwa dla Clifforda, nie zdobyli się na żadną inną myśl prócz tej, by się stąd usunąć. Jak straszliwie niefortunna myśl! Gdyby Hepziba bodaj krzyknęła głośno, gdyby Clifford otworzył drzwi i rozgłosił śmierć sędziego Pyncheona — wypadek ten, choć tak okropny sam przez się, miałyby dla nich dobre następstwa. Wedle mego zdania dopomógłby wielce do zmazania hańby ciążyącej na Cliffordzie.

— Jakże to — pytała Febe — może wyniknąć dobro z czegoś tak straszego?

— Dlatego — rzekł artysta — że gdy się tę sprawę uczciwie zbada i bezstronnie wytłumaczy, stanie się rzeczą oczywistą, że sędzia Pyncheon nie mógł ponieść śmierci na skutek jakiegoś zamachu na jego życie. Podobną śmiercią zmarło wielu Pyncheonów w różnych pokoleniach, choć zdarzało się to nieczęsto, zazwyczaj u ludzi w tym wieku co sędzia i przeważnie w chwilach przełomowych, w chwilach jakiegoś napięcia lub gwałtownego gniewu. Klątwa starego Maule'a opierała się prawdopodobnie na znajomości tych objawów w rodzinie Pyncheonów. Otóż istnieje dokładne i niemal zupełne podobieństwo między śmiercią, która zdarzyła się wczoraj, a śmiercią stryja Clifforda trzydzieści lat temu. To prawda, że pewien układ okoliczności, o którym wspominać teraz nie ma potrzeby, sprawił, że zdało się możliwe i nie tylko możliwe, lecz, tak jak patrzą na te rzeczy ludzie, prawdo-



podobne a nawet pewne, że stary Jaffrey Pyncheon poniósł śmierć gwałtowną z ręki Clifforda.

— A skąd się wzięły te okoliczności, skoro, jak wiemy, on był niewinny? — zdumiała się Febe.

— Zostały upozorowane — rzekł Holgrave — a przynajmniej takie jest moje przekonanie. Upozorowane po śmierci stryja, zanim jego zgon stał się znanym faktem, przez człowieka, który siedzi tam, w bawialni. Jego własna śmierć, tak podobna do tamtej, której wszakże nie towarzyszą żadne podejrzone okoliczności, wydaje się karą z ręki Bożej, karą za jego podłość, a zarazem jasno wykazuje niewinność Clifforda. Lecz ta ucieczka — ona odwraca wszystko! Może Clifford ukrywa się gdzieś w pobliżu. Gdybyśmy tylko mogli go sprowadzić na powrót, zanim odkryją śmierć sędziego, można by zło naprawić.

— Nie możemy tego ukrywać ani chwili dłużej! — rzekła Febe. — To straszne ukrywać taką rzecz w naszych sercach. Clifford jest niewinny. A Bóg sprawi, że uwierzą w to i ludzie! Otwórzmy drzwi i zawołajmy wszystkich sąsiadów, niech widzą prawdę!

— Masz rację, Febe — odrzekł. Holgrave. — Masz rację, bez wątpienia.

Lecz artysta nie czuł takiej grozy, jaką odczuwała Febe ze swym łagodnym usposobieniem i zamiłowaniem do wszelkiego ładu, gdy znalazła się nagle w sprzeczności z resztą społeczeństwa i zetknęła z wypadkiem, który naruszał zwykły porządek rzeczy. Nie śpieszył się też, jak ona, by znów się znaleźć w kręgu zwykłego życia. Przeciwnie, ogarnęła go potężna radość — jak gdyby znalazł kwiat dziwnej piękności, wyrosły na posępnym, opuszczonym miejscu i kwitnący na wietrze — taki niespodziewany kwiat szczęścia przyniosła mu obecna chwila. Oddzieliła ona Febe i jego od świata, związała ich wspólną tajemnicą, którą na razie znało tylko ich dwoje, i naradą, którą

musieli odbyć z tego powodu. Tajemnica, póki nią była, trzymała ich w zaczarowanym kole, w samotności wśród ludzi, w oddaleniu tak całkowitym, jak gdyby żyli na wyspie na środku oceanu; z chwilą jej rozgłoszenia wody oceanu wedrą się między nich i osadzą każde na innym brzegu. Do tego czasu wszystkie okoliczności zbliżały ich niby dwoje dzieci przytulonych do siebie, idących ręka w rękę, w miejscu, gdzie straszą widma. Obraz groźnej śmierci, który napełniał dom, jednoczył ich uściskiem zeszywniałej dłoni.

Te wpływy przyśpieszyły rozwój uczuć, które w innych okolicznościach nie rozkwitłyby może tak szybko. Może nawet Holgrave zamierzał stłumić je w zarodku.

— Czemu tak zwlekamy? — pytała Febe. — Ta tajemnica dusi mnie! Otwierajmy drzwi!

— Takiej chwili może już nie być w całym naszym życiu — rzekł Holgrave. — Febe, czy ty odczuwasz tylko przerażenie? Nic, tylko przerażenie? Czy nie czujesz radości, radości, która sprawia, że dla tej jednej chwili warto było żyć?

— Wydaje mi się grzechem — odrzekła Febe cała drżąca — myśleć teraz o radości.

— Gdybyś wiedziała, Febe, co się ze mną działo przez tę godzinę, zanim ty przybyłaś — powiedział artysta. — Czarna, zimna, nieszczęsna godzina! Obecność tego zmarłego mroziła wszystko; on sprawiał, że wszechświat — jak daleko mogłem sięgnąć myślą — zdawał się jednym siedliskiem grzechu i kary straszniejszej jeszcze niż grzech. To uczucie zabrało mi moją młodość. Straciłem nawet nadzieję, bym jeszcze kiedykolwiek poczuł się młodym. Świat zdawał się dziwny, dziki, wrogi, zły; moje dotychczasowe życie — samotne i posępne; moja przyszłość — bezkształtnym mrokiem, któremu musiałbym nadawać

mroczne kształty! Lecz ty przekroczyłaś próg, Febe, a z tobą nadzieja, ciepło i radość! Czarna chwila zmieniła się od razu w chwilę szczęścia. Nie może minąć bez słowa. Kocham cię!

— Jak pan może kochać taką prostą dziewczynę jak ja? — spytała Febe zmuszona jego powagą do odpowiedzi. — Pan ma wiele, wiele myśli, których ja nie rozumiem i nie czuję. A ja... też mam uczucia, których pan nie potrafiłby pojąć. To jest mniej ważne. Ale ja jestem zanadto ograniczona, żeby uczynić pana szczęśliwym.

— Jesteś dla mnie jedyną możliwością szczęścia! — odrzekł Holgrave. — Jedyne ty możesz dać mi szczęście.

— A poza tym ja się boję — ciągnęła Febe mimo woli zbliżając się do Holgrave'a, choć mu tak szczerze wyznawała swoje wątpliwości. — Pan mnie sprowadzi z mojej spokojnej ścieżki. Pan mi każe walczyć, iść za sobą na bezdroża. Ja temu nie podołam. To sprzeczne z moją naturą. Utonę w tym i zginę!

— Ach, Febe! — westchnął Holgrave, lecz uśmiechnął się przy tym, mimo smutnej chwili. — Będzie całkiem inaczej, niż ty przepowiadasz. Świat zawdzięcza cały swój rozwój ludziom żyjącym w niepokoju. Człowiek szczęśliwy niechybnie zamyka się w starych granicach. Mam przecucie, że odtąd mym przeznaczeniem będzie sadzenie drzewek, wznoszenie płotów a może nawet kiedyś zbudowanie domu dla przyszłych pokoleń — słowem spokojne i zgodne z prawem życia w społeczeństwie. Twoja równowaga będzie silniejsza od wszystkich moich buntów.

— Tego bym nie chciała! — rzekła poważnie Febe.

— Czy mnie kochasz? — spytał Holgrave. — Jeżeli oboje się kochamy, to w tej chwili nie ma miejsca na nic innego. Zatrzymajmy ją i bądźmy szczęśliwi. Czy mnie kochasz, Febe?

— Patrzysz w moje serce — odpowiedziała spuszczać oczy. — Wiesz, że cię kocham.

I w tej godzinie, tak pełnej zwątpienia i grozy, dokonał się cud, bez którego każde ludzkie istnienie jest pustką. Szczęście, od którego wszystko staje się prawdziwe, piękne i święte, zajaśniało wokół tego młodzieńca i tej dziewczyny. Stracili świadomość wszystkiego, co było stare i smutne. Przeistoczyli ziemię, stworzyli z niej raj, a z siebie — dwoje pierwszych jego mieszkańców. Zmarły w sąsiednim pokoju został zapomniany. W takiej chwili nie ma śmierci. Gdyż nieśmiertelność objawia się od nowa i obejmuje wszystko swym świętym tchnieniem.

Lecz jakże szybko powrócił ciężki sen ziemskiego życia!

— Cicho! — szepnęła Febe. — Ktoś stoi przy drzwiach od ulicy!

— Teraz wyjdźmy na spotkanie światu! — rzekł Holgrave. — Niewątpliwie rozeszły się już pogłoski o tym, że sędzia był w tym domu, i o ucieczce Hepziby i Clifforda, i władze nakażą przeszukanie tego miejsca. Nie mamy innej rady, jak stawić temu czoło. Otwórzmy natychmiast drzwi.

Lecz ku swemu zdumieniu — nim doszli do drzwi wiodących na ulicę, zanim nawet opuścili pokój, w którym odbywała się ta rozmowa — posłyszeli kroki w odległym korytarzu. A więc drzwi, które, jak przypuszczali, były bezpiecznie zamknięte, i jak widział sam Holgrave, zaryglowane, a przez które Febe na próżno usiłowała się dostać — otworzono od zewnątrz. Kroki nie rozbrzmiewały mocno, śmiało i zdecydowanie, jak kroki obcych ludzi wchodzących z nakazu władzy do domu, w którym obecność ich jest niepożądana. Były niepewne jak u ludzi słabych lub zmęczonych. Usłyszeli szmer dwóch głosów, obojgu dobrze znanych.

— Czy to możliwe? — szepnął Holgrave.

— To oni! — odrzekła Febe. — Bogu dzięki! Bogu dzięki!

A potem, jakby echo szeptu Febe, usłyszeli wyraźniej głos Hepziby.

— Bogu dzięki, mój bracie, jesteśmy w domu!

— O tak! Bogu dzięki! — odrzekł Clifford. — Ponury dom, Hepzibo! Lecz dobrze zrobiłaś przyprowadzając mnie tutaj. Stój! Drzwi od bawialni są otwarte. Nie mogę przejść koło nich. Pozwól mi pójść wypocząć w altance, gdzie bywałem tak szczęśliwy z małą Febe, choć po tym, co na nas spadło, wydaje mi się, że to było bardzo dawno.

Lecz dom nie był tak całkiem ponury, jak sobie wyobrażał Clifford. Zrobili zaledwie kilka kroków — ociagał się wprawdzie w korytarzu, ogarnięci apatią, jaka nachodzi nas czasem po wykonaniu jakiegoś zadania, niepewni, co robić dalej — gdy Febe wybiegła na ich spotkanie. Widząc ją Hepziba wybuchnęła płaczem. Wlokła się resztkami sił, dźwigając brzemię nieszczęścia i odpowiedzialności aż do tej chwili. Teraz już mogła je zrzucić z siebie. A raczej nie miała już dość energii, by je zrzucić — po prostu przestała je podtrzymywać i pozwoliła, by przygniotło ją do ziemi. Clifford okazał się silniejszy z nich dwojga.

— To nasza kochana mała Febe! Ach! I Holgrave z nią razem! — wykrzyknął rzucając spojrzenie bystre i delikatnie przenikliwe i uśmiechnął się miłym, dobrym, lecz melancholijnym uśmiechem. — Pomyślałem o was obojgu, kiedy szliśmy ulicą i zobaczyliśmy wiązanek Alicji w pełnym rozkwicie. A więc dzisiaj rajski kwiat zakwitł także i w tym starym ciemnym domu!

XXI  
ODJAZD

Nagły zgon tak wybitnego obywatela eleganckiego świata jak Wielmożny Sędzia Jaffrey Pyncheon wzbudził, przynajmniej w kołach bliżej związanych ze zmarłym, sensację, która jeszcze po dwóch tygodniach nie całkiem ucichła.

Jednak należy zauważyć, że ze wszystkich wydarzeń, jakie składają się na biografię człowieka, nie ma chyba żadnego, a przynajmniej żadnego o takiej doniosłości, z którym by świat równie łatwo się godził jak ze śmiercią. We wszystkich innych wypadkach dany osobnik przebywa wśród nas, związany jest ze sprawami codziennego życia i nasze spostrzeżenia odnoszą się do czegoś konkretnego. Po śmierci pozostaje tylko próżnia, chwilowy wir — bardzo niewielki w porównaniu z przedmiotem, który pochłoniął — i parę baniek powietrza wybiegających z czar-

nej głębi na powierzchnię, gdzie natychmiast pękają. Co się tyczy sędziego Pyncheona, to wydawało się z początku, że sposób jego zejścia z tego świata wywoła większy rozgłos, niż to zazwyczaj bywa po śmierci wybitnego człowieka. Lecz gdy największe lekarskie powagi wydały orzeczenie, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, które często powodują zgon (choć może w tym wypadku przyczyniła się do tego i szczególna skłonność organizmu) — wtenczas publiczność ze zwykłym w tych razach pośpiechem czym prędzej zapomniała, że ktoś taki w ogóle żył na świecie. Krótko mówiąc szacowny sędzia zaliczał się już do sensacji przedawnionych, nim jeszcze połowa miejscowych dzienników zdążyła przybrać swe szpalty w żałobne obwódki i wydrukować bardzo pochwalne wzmianki pośmiertne.

Niemniej w miejscach, do których ta znakomita osobistość uczęszczała za życia, krążyły pokątne plotki, wysoce nieprzystojne i dlatego nie wypowiedane głośno i otwarcie. To szczególne, jak śmierć człowieka zdaje się stwarzać w opinii ludzkiej prawdziwszy obraz jego charakteru — czy to w dodatnim, czy w ujemnym znaczeniu — niż ten, jaki utrzymywał się wówczas, gdy żył i działał wśród nich. Śmierć jest faktem tak niezbitym, że wyklucza fałsz lub ukazuje jego bezużyteczność. Jest probierzem, który wykrywa złoto, a odrzuca metale mniej szlachetne. Gdyby zmarły, kimkolwiek był, mógł powrócić w tydzień po swojej śmierci, niemal na pewno stwierdziłby, że został postawiony w opinii ludzkiej wyżej lub niżej jak za życia. Lecz rozmowy albo plotki, o których teraz wspominamy, dotyczyły spraw aż tak dawnych jak domniemane zabójstwo stryja sędziego przed trzydziestu czy czterdziestu laty. Orzeczenie lekarskie, wydane z okazji niedawnej i nieodżałowanej śmierci sędziego, obaliło całkowicie przypuszczenie, że w tym

pierwszym wypadku dokonano zabójstwa. A jednak, jak zapisano w aktach, istniały wówczas okoliczności niezbitnie wskazujące na to, że ktoś dostał się do prywatnych apartamentów starego Jaffreya Pyncheona w chwili jego zgonu lub mniej więcej w tym czasie. Ktoś splądrował jego biurko i szuflady w pokoju przylegającym do jego sypialni, w których przechowywał dokumenty osobiste. Stwierdzono brak pieniędzy i wartościowych rzeczy i tak ukuto potężny łańcuch poszlak, który obciążył zarzutem rabunku i morderstwa Clifforda mieszkającego wówczas ze stryjem w Domu o Siedmiu Szczytach.

Obecnie powstała wersja, mniejsza o to, gdzie się zrodziła, która wyjaśniała owe okoliczności w sposób wykluczający uczestnictwo Clifforda w zbrodni. Wiele osób twierdziło, że owe fakty, tak długo pozostające tajemnicą, a także ich naświetlenie zawdzięczano dagerotypiście, a on uzyskał je od jednego z mesmerycznych wizjonerów, którzy tak dziwne wprowadzają dziś pomieszanie w ustalone poglądy na sprawy ludzkie i sprawiają, że nasze naturalne widzenie świata ustąpić musi z rumieńcem wstydu przed tymi cudami, które oni widzą zamknawszy oczy.

Zgodnie z ową wersją sędzia Pyncheon, choć nasza opowieść odmalowała go jako wielce przykładowego obywatela, był w młodości, jak się zdaje, zupełnym nicponiem. Instynkty zwierzęce, cielesne, jak to często bywa, rozwinęły się w nim wcześniej niż zalety umysłu i siła charakteru, którymi się później odznaczał. Był marnotrawnym rozpustnikiem oddanym swawoli, o łajdackich skłonnościach, lekkomyślnym i rozrzutnym, a pozbawionym jakichkolwiek dochodów z wyjątkiem tego, co dostawał w darze od stryja. Ten tryb życia sprawił, że stary kawaler, który poprzednio bardzo kochał bratanka, stracił do niego serce. Otóż teraz utrzymywano — lecz nie zasięgalśmy in-



formacji w sądzie, czy były na to dowody — że młodzińca skusił pewnej nocy diabeł do przetrząśnięcia prywatnych szuflad stryja, do których miał dostęp, choć nikt tego nie podejrzewał. W czasie tych złodziejskich praktyk zaskoczył go skrzyp otwieranych drzwi. Obejrzał się — i oto na progu stał stary Jaffrey Pyncheon w bieliźnie! Zdumienie z powodu takiego odkrycia, wzburzenie, niepokój i zgroza spowodowały na starego kawalera atak choroby, do której miał dziedziczną skłonność; dławiąc się własną krwią runął na podłogę i uderzył mocno skronią o róg stołu. Co było robić? Starzec na pewno już nie żył. Wszelka pomoc niewątpliwie okazałaby się spóźniona. Byłoby zresztą nieszczęściem, gdyby nadeszła zbyt wcześnie, gdyż po odzyskaniu przytomności stryj przypomniałby sobie bezecny postępek bratanka.

Lecz przytomności nie odzyskał nigdy. Bratanek z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała, prowadził dalej poszukiwania w szufladach i znalazł niedawno sporządzony testament na rzecz Clifforda, który zniszczył, oraz drugi, dawniej sporządzony, na rzecz swoją, który pozostawił. Lecz nim się stąd wycofał, Jaffrey zastanowił się, że splądrowane szuflady świadczyć będą o tym, że ktoś odwiedził ten pokój w złych zamiarach. Podejrzenia mogły paść na rzeczywistego winowajcę, gdyby nie udało się ich zwrócić w inną stronę. W tymże samym miejscu zatem, nad ciałem zmarłego, ułożył plan uwolnienia się od nich kosztem swego rywala Clifforda, do którego żywił odrazę i wzdargę. Należy powiedzieć, że nie jest prawdopodobne, aby działał w ustalonym zamiarze oskarżenia Clifforda o morderstwo. Ponieważ wiedział, iż stryj zmarł własną śmiercią, nie przyszło mu zapewne na myśl w pośpiechu tej krytycznej chwili, że padnie takie podejrzenie. Lecz gdy sprawy wzięły ten przykry i niespodziewany obrót, poczynione już kro-

ki nie pozwoliły mu się cofnąć. Tak chytrze obmyślił Jaffrey wszystkie okoliczności, że na procesie Clifforda nie potrzebował zeznawać pod przysięgą kłamstw, wystarczyło, że ukrył jedyne wyjaśnienie, które mogło zagadkę rozwiązać, czyli własny udział w tej sprawie.

A zatem Jaffrey Pyncheon obciążył swe sumienie zbrodnią popełnioną na Cliffordzie, potworną i straszną, podczas gdy formalne przewinienie było drobne, jeśli można je tak nazwać, skoro pociągnęło za sobą wielki grzech. Przewinienia tego rodzaju człowiek wybitny i szanowany najłatwiej wyrzuca z pamięci. We wspomnieniach Wielmożnego Sędziego Pyncheona wi-na ta zbladła i gdy robił przegląd swego życia, liczył ją za grzech powszedni. Odsunął ją precz wraz z resztą wybaczonych i zapomnianych ułomności swego młodzieńczego okresu i rzadko do niej powracał myślą.

Zostawmy sędziego, niech odpoczywa w spokoju. W godzinie jego śmierci nie moglibyśmy go nazwać szczęśliwym. Nie wiedząc o tym był już człowiekiem bezdzietnym w chwili, gdy starał się powiększyć majątek, który miał stać się dziedzictwem jedyne-go syna. W tydzień zaledwie po jego zgonie jeden z parowców Cunarda przywiózł wiadomość o śmierci syna sędziego, który zmarł na cholera w tedy właśnie, gdy miał wracać do rodzinnego kraju. To nieszczęście sprawiło, że Clifford został bogatym człowiekiem, jak również Hepziba; także nasza mała dziewczuszka ze wsi, a przez nią i ten przysięgły wróg bogactw i wszelkiego konserwatyzmu, namiętny reformator — Holgrave!

Było już za późno, by zabiegi o formalną rehabilitację Clifforda w opinii społeczeństwa warte były trudu i cierpienia, które takie starania musiały za sobą pociągnąć. Czego potrzebował teraz — to miłości kil-

ku najbliższych osób, a nie podziwu czy szacunku nieznanego ogółu. Szacunek prawdopodobnie dałoby się odzyskać, gdyby ci, którzy opiekowali się nim teraz, uznali za wskazane narazić Clifforda na udrękę wskrzeszania przeszłości, gdy warunkiem jego szczęścia, o ile mógł się jeszcze spodziewać jakichkolwiek jasnych chwil, był spokój zapomnienia. Krzywdy, jakiej doznał, nie można było wynagrodzić. Nędzna namiastka zadośćuczynienia, które świat chętnie by może przyznał, zjawiająca się teraz, gdy cierpienie już dawno dokonało dzieła zupełnego zniszczenia, byłaby drwiną zasługującą na śmiech — gorzki śmiech, do jakiego nie był zdolny nasz biedny Clifford. Prawdą jest, że żadnego wielkiego błędu ani wyrządzonej krzywdy nie da się w sposób istotny naprawić w naszym życiu doczesnym (i byłaby to prawda bardzo smutna, gdyby nie budziła w nas nadziei wyższego zadośćuczynienia). Czas, co płynie niezmiennie we wszelkich okolicznościach, i śmierć, przychodząca zawsze nie w porę, uniemożliwiają taką naprawę. Gdy po wielu latach dochodzi do głosu sprawiedliwość, nie ma z nią co robić. Najlepszym będzie wówczas lekarstwem dla cierpiącego, gdy pójdzie swoją drogą i pozostawi daleko poza sobą tragedię, która zniszczyła mu życie.

Wstrząs spowodowany śmiercią sędziego Pyncheona okazał się zbawienny w skutkach dla Clifforda, wzmocnił go i uspokoił. Ten srogi, przytłaczający swą indywidualnością człowiek był jego zmorą. Niepodobna było oddychać swobodnie w atmosferze takiej wrogości. Pierwszym skutkiem odzyskania swobody, jak widzieliśmy w bezcelowej ucieczce Clifforda, była nerwowa wesołość. Lecz nawet gdy minęła, nie powrócił już do dawnego otepienia. Nigdy co prawda nie odzyskał swych władz w całej pełni, lecz dźwignął się na tyle, że można się w nim było dopatrzeć pewnej indywidualności, dojrzeć słaby odblask tego uroku,

który zniszczyło życie — i darzyć go zainteresowaniem nie mniej głębokim, choć mniej przepojonym melancholią. Widać było, że jest szczęśliwy. Gdybyśmy mogli zatrzymać się przez chwilę nad nowym obrazem codziennego życia Clifforda, które dawało mu tak wiele możliwości zaspokojenia jego poczucia piękna, dawne sceny w ogrodzie, które tak mu były drogie, zdałyby się teraz skromne i niepozorne.

Wkrótce po tej odmianie losu Clifford, Hepziba i mała Febe za zgodą artysty postanowili wyprowadzić się z ponurego starego Domu o Siedmiu Szczytach i osiedlić się na razie w eleganckiej rezydencji wiejskiej zmarłego sędziego Pyncheona. Kogut z rodziną zostali już tam przewiezieni i obie kury zaczęły natychmiast niez mordowanie nieść jajka z widocznym zamiarem — który był sprawą obowiązku i sumienia — aby znakomitej swej rasie zapewnić trwanie pod lepszymi auspicjami niż przez ostatnie sto lat.

W dniu wyjazdu główne osoby naszej opowieści, wraz z dobrym wujkiem Vennerem, zebrały się w bawialni.

— Dwór jest rzeczywiście bardzo piękny, jak widać z planu — zauważył Holgrave, gdy towarzystwo omawiało projekty na przyszłość. — Lecz dziwię się, że sędzia przy całym swym bogactwie i mając wszelkie dane, by się spodziewać, że przekaże je potomstwu, nie uznał za właściwe uwiecznić tak wspaniałego okazu architektury w kamieniu raczej, a nie w drzewie. Wtenczas każde pokolenie mogłoby zmieniać wnętrze wedle swego gustu i wygody, podczas gdy ściany zewnętrzne z upływem lat nabrałyby patyny wieku, co przydałoby piękna kształtom stwarzając w ten sposób wrażenie trwałości, które uważam za niezbędny element każdej chwili szczęścia.

— Co takiego? — zawołała Febe spoglądając na

twarz artysty z niesłychanym zadziwieniem. — Twoje idee zmieniły się w cudowny sposób! Dom z kamienia, coś podobnego! Nie dalej jak dwa czy trzy tygodnie temu życzyłeś sobie, jak mi się zdaje, by ludzie mieszkali w domach tak kruchych i nietrwałych jak ptasie gniazda!

— Ach, Febe, mówiłem ci, jak to będzie! — odparł artysta ze śmiechem trochę melancholijnym. — Widzisz, już się stałem konserwatystą! Czyż się tego kiedy spodziewałem? To rzecz niewybaczalna, zwłaszcza w tym domu, przez który przeszło tyle dziedzicznych nieszczęść, i pod okiem portretu typowego konserwatysty, który dzięki tej właśnie skłonności stał się na długie lata złym duchem swego rodu.

— Ten portret! — zawołał Clifford wzdrygając się pod surowym wzrokiem pułkownika. — Ilekroć nań patrzę, prześladowuje mnie jakieś stare, zatarte wspomnienie, które nie może przybrać wyraźnego kształtu w moim umyśle. Zdaje mi się szeptać do ucha: „Bogactwo! Bezgraniczne bogactwo! Niepojęte bogactwo!” Mógłbym sobie wyobrazić, że gdy byłem dzieckiem, portret przemówił i wyznał mi jakąś senną tajemnicę lub wychylił głowę i ukazał mi spisany rejestr ukrytych bogactw. Lecz te dawne sprawy zatarty się w mej pamięci niby zasnute mgłą. Cóż to mógłby być za sen?

— Może ja bym potrafił go przypomnieć — odrzekł Holgrave. — Spójrzcie! Ręcę, że nikt z ludzi nie wtajemniczonych nie dotknął nigdy tej sprężyny.

— Ukryta sprężyna! — krzyknął Clifford. — Ach, teraz sobie przypominam. Ja ją właśnie odkryłem któregoś letniego popołudnia, gdy błądziłem beczynn timer po pokojach pogrążony w marzeniu, dawno, dawno temu. Lecz nie pojmuję sensu tej tajemnicy.

Artysta przycisnął palcem urządzenie, o którym mówił. W dawnych czasach spowodowałoby to zapew-

ne wysunięcie się obrazu naprzód. Lecz maszyna, nie używana przez wiele lat, była prawdopodobnie przeżarta rdzą, tak że pod naciskiem ręki Holgrave'a cały portret wraz z ramą oderwał się nagle od ściany i runął twarzą na podłogę. Ukazała się wówczas skrytka w ścianie. Spoczywał w niej jakiś przedmiot tak grubo pokryty stuletnim kurzem, że nie można było w nim zrazu rozpoznać złożonej karty pergaminu. Holgrave rozwinął ją; był to starodawny dokument podpisany hieroglifami kilku indiańskich wodzów i przekazujący pułkownikowi Pyncheonowi i jego spadkobiercom na wieczne czasy rozległe terytoria na wschodzie.

— To ten sam pergamin, którego poszukiwanie piękna Alicja Pyncheon opłaciła szczęściem i życiem — rzekł artysta czyniąc aluzję do starej legendy. — To, czego Pyncheonowie szukali na próżno wtenczas, gdy posiadało jeszcze wartość; a znajdujący ów skarb teraz, gdy już od dawna utracił wszelkie znaczenie.

— Biedny kuzyn Jaffrey! To go wprowadziło w błąd! — zawołała Hepziba. — Prawdopodobnie gdy byli jeszcze młodzi, Clifford wymyślił jakąś bajkę na temat swego odkrycia. On zawsze błędził po domu pogrążony w marzeniach i siedząc w ciemnych kątach wymyślał piękne opowieści. A biedny Jaffrey, który brał wszystko realnie, myślał, że mój brat odkrył bogactwa swego stryja. I zmarł z tym złudzeniem!

— Lecz jak to się stało, żeś ty poznał tę tajemnicę? — zapytała Febe na stronie Holgrave'a.

— Moja najdroższa Febe! — powiedział Holgrave. — Jakby ci się podobało, gdybyś przybrała nazwisko Maule? Co do tajemnicy, to jest ona jedynym dziedzictwem, jakie otrzymałem po moich przodkach. Powinnaś się była wcześniej o tym dowiedzieć (tyl-

ko obawiałem się ciebie przerazić), że w tym przez wieki ciągnącym się dramacie krzywdy i kary ja reprezentuję starego czarownika i jestem zapewne w tym samym stopniu czarownikiem, co i on. Syn straconego Maule'a skorzystał z okazji przy budowie tego domu i zrobił ową skrytkę, by schować w niej indiański dokument, od którego zależało zrealizowanie roszczeń Pyncheonów do olbrzymiego majątku ziemskiego. W ten sposób przehandlowali swe wschodnie "terytoria za kawałek ogrodu Maule'a.

— A teraz — rzekł wujek Venner — przypuszczam, że cały ten tytuł posiadania nie jest wart nawet tyle, co miejsce jednego człowieka na mojej farmie!

— Wujku Venner — zawołała Febe ujmując rękę filozofa w łatach. — Nie wolno ci już nigdy wspominać o twojej farmie! Nigdy w życiu już tam się nie wprowadzisz! W naszym nowym ogrodzie stoi chatka — najładniejsza żółtobrazowa chatka, jaką tylko można zobaczyć; najśłodsza chatka, bo wygląda tak, jakby była z piernika — i my ją przygotowujemy i urządzimy dla ciebie. I nie będziesz nic robił, tylko to, na co masz ochotę, i będziesz szczęśliwy jak dzień długi, i będziesz podtrzymywał na duchu kuzyna Clifforda mądrością i dobrocią twoich słów.

— Ach, moje drogie dziecko! — zawołał wuj Venner całkiem zwyciężony. — Gdybyś tak przemawiała do młodego człowieka jak do mnie starego, nie dałbym ani jednego guzika od mojej kamizelki za to, że serce jego pozostanie nietknięte! I na honor, to potężne westchnienie, które przez ciebie teraz wydałem, urwało mi właśnie ostatni guzik! Ale to nic nie szkodzi. To było najszcześniejsze westchnienie, jakie kiedykolwiek wydostało się z mojej piersi; a oddech do niego musiałem chyba zaczerpnąć z nieba! Tak, tak, panno Febe. Poczują brak mojej osoby sąsiedzi w ogródkach i na podwórkach, a ulica Pyncheonów nie

będzie już taka sama, kiedy odejdzie wuj Venner, który pamięta jeszcze, jak po jednej stronie szumiały zboża, a po drugiej ciągnął się ogród Siedmiu Szczytów. Ale jedno jest pewne: albo ja się przeniosę do waszej wiejskiej rezydencji, albo panna Febe musi się przenieść na moją farmę. Niech już pani wybiera sama!

— O, musicie z nami zamieszkać, wujku Venner! — powiedział Clifford, który znajdował wiele przyjemności w towarzystwie tego spokojnego, promieniejącego prostą mądrością staruszka. — Chcę, żebyście zawsze byli gdzieś w pobliżu mego krzesła. O ile wiem, jesteście jedynym filozofem, którego mądrość nie zawiera na dnie ani kropli goryczy!

— O, mój Boże! — wykrzyknął wujek Venner, który zaczynał dopiero zdawać sobie sprawę z tego, jak wielkim był człowiekiem. — A ludzie za moich młodych lat powiadali, że jestem przygłupi! Ale ja pewnie jestem jak roksburskie jabłko: im dłużej mnie trzymać, tym lepszy się robię. A moje mądrości, o których opowiadają pan Clifford i panna Febe, to jak te złote kwiatki mniszku, co to nie rosną nigdy w upalne miesiące, ale błyszczą dopiero w grudniu w zwiędłej trawie i zeschniętych liściach. Ano, bierzcie, proszę, te moje mniszki, przyjaciele! Ile ich jest!

W tej chwili przed chylący się do ruiny portal starożytnego domu zajechał prosty, lecz elegancki, ciemnozielony powóz. Całe towarzystwo opuściło dom i wszyscy z wyjątkiem wuja Vennera, który miał podążyć za nimi po kilku dniach, zaczęli zajmować miejsca. Wszyscy gawędzili i śmiali się wesoło, i tak, jak się często zdarza w chwilach, w których należałoby się spodziewać wielkich wzruszeń, Clifford i Hepziba pożegnali się ostatecznie z rezydencją przodków tak obojętnie, jak gdyby mieli tu powrócić już na podwieczorek. Nadbiegło kilkoro dzieci zwabionych wido-



kiem powozu i pary siwych koni. Hepziba poznając wśród nich małego Neda Higginsa sięgnęła ręką do kieszeni i dała małemu urwisowi garść srebrnych monet, których starczyłoby na zapełnienie Danielowej jamy brzuszka tak różnorodną kolekcją czworonogów, jaka była w arce Noego.

W chwili gdy powóz ruszał, ulicą przechodziło dwóch mężczyzn.

— Ano, Dixey — powiedział jeden z nich — i co ty na to? Moja żona miała centowy sklepik przez trzy miesiące i straciła na nim pięć dolarów. Stara panna Pyncheon prowadziła interes tak samo długo i odjeżdża powozem, a w kieszeni ma dwieście tysięcy — licząc jej własny udział, Clifforda i Febe, a niektórzy powiadają, że dwa razy tyle! Jeżeli powiesz, że miała szczęście, to w porządku. Ale jeżeli to ma być wola Opatrzności, to już tego mój rozum nie pojmie!

— Dobry interes! — odparł mądry Dixey na to. — Bardzo dobry interes!

Przez cały ten czas studnia Maule'a, choć osamotniona, wyrzucała ciągle, jak w kalejdoskopie, swe obrazki, w których jasnowidzące oko mogło dostrzec przepowiednię losów Hepziby i Clifforda, prawnuka legendarnego czarownika i wiejskiej dziewczyny, na którą rzucił miłosne czary. Wiąz Pyncheonów też szeptał niezrozumiałe proroctwa resztą liści pozostawionych mu przez wrześnie wicher. A mądry wuj Venner, odchodząc z wolna od walącego się ganku, usłyszał jakby tony muzyki i wyobraził sobie, że słodka Alicja Pyncheon, która była świadkiem owych wydarzeń, minionych smutków i obecnego szczęścia swych krewnych, uderzyła w struny klawikordu pożegnalną nutą nieziemskiej radości i uleciała w zaświaty z **DOMU O SIEDMIU SZCZYTACH!**